



WPROWADZENIE DO GWIEZDNE WOJNY: PRZEBUDZENIE MOCY

STAR WARS™

UTRAIONE GWIAZDY

AUTORKA BESTSELLERÓW Z LISTY „NEW YORK TIMESA”

CLAUDIA GRAY

Claudia Gray

STAR WARS. UTRACONE GWIAZDY

przełożyli Błażej Niedziński i Anna Hikiert



Tytuł oryginału: *Star Wars. Lost Stars*

© & TM 2015 Lucasfilm Ltd.

All rights reserved. Published by Disney • Lucasfilm Press, an imprint of Disney Book Group. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording, or by any information storage and retrieval system, without written permission from the publisher.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

[Dedykacja](#)

[***](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[O autorce](#)

*Książka ta jest poświęcona pamięci Karen Jones, wyjątkowej przyjaciółki
i fanki.*

Mieliśmy szczęście, że Cię znaleźliśmy.

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce....

Osiem lat po upadku Starej Republiki Imperium Galaktyczne panuje w całej znanej galaktyce. Opór wobec niego został niemal całkowicie stłumiony. Jedynie kilku odważnych przywódców, takich jak Bail Organa z planety Alderaan, ma jeszcze odwagę otwarcie sprzeciwić się Imperatorowi Palpatine'owi.

Po latach oporu wiele światów na obrzeżach Zewnętrznych Rubieży skapitulowało. Z podbojem każdej kolejnej planety Imperium jeszcze bardziej rośnie w siłę.

Ostatnim opanowanym przez Imperatora światem jest odosobniona górzysta planeta Jelucan, której mieszkańcy liczą na lepszą przyszłość, podczas gdy nad ich głowami gromadzi się imperialna flota gwiazdna...

Prolog

Szare niebo przeciął statek, tak szybko, że pozostały po nim tylko świetlista linia i odległy świst, który niemal przepadł na wietrze.

– To prom typu Lambda! – Thane Kyrell pokazał w górę, podskakując z podniecenia. – Słyszałeś, Dalven? Słyszałeś?

Jego starszy brat trzepnął go dłonią z szyderycznym uśmiechem.

– Nie wiesz, jak wygląda taki statek. Jesteś za mały.

– Nieprawda. To był prom typu Lambda. Można poznać po odgłosie silników...

– Cicho, dzieci. – Matka Thane'a nawet na nich nie spojrzała. Zajęta była trzymaniem brzegu swojego szafranowego płaszcza, żeby nie ciągnął się po ziemi. – Mówiłam, żeby wziąć poduszkowiec, a nie wlec się do Valentii na piechotę jak hołota z doliny.

– W hangarach będzie dom wariatów – odparł ojciec Thane'a, Oris Kyrell, z pogardliwym prychnięciem. – Tysiące ludzi próbujących wylądować, niezależnie od tego, czy mają rezerwację, czy nie. Chcesz stracić cały dzień, kłócąc się o miejsce do dokowania? Tak będzie lepiej. Chłopaki dadzą radę.

Dalven dawał; miał dwanaście lat, długie kończyny i z dumą patrzył z góry na swojego młodszego brata. Thane'owi trudniej schodziło się po nierównych górskich ścieżkach. Na razie był niższy niż większość chłopców w jego wieku, a duże stopy i dłonie, wskazujące na jego przyszły wzrost, wydawały się w najlepszym razie niezdarne. Jego jasnorude włosy przylepiały się do spoconego czoła i żałował, że rodzice nie pozwolili mu założyć ulubionych butów zamiast tych nowiutkich, które uwierały go w palce przy każdym kroku. Ale wycierpiałby znacznie więcej, żeby w końcu zobaczyć myśliwce TIE i promy – prawdziwe statki kosmiczne, a nie jakieś stare, zdezelowane V-171.

– To był prom typu Lambda – mruknął z nadzieją, że Dalven nie usłyszy.

Ale usłyszał. Jego starszy brat zeszywniał, a Thane się

przygotował. Dalven nie bił go za mocno przy rodzicach, ale te lżejsze ciosy czy popchnięcia były często zapowiedzią tego, co miało nadejść później. Tym razem jednak Dalven nic nie zrobił. Może myślał o oczekującym ich przedstawieniu – pokazie możliwości i techniki bojowej imperialnej floty.

A może Dalven się zawstydził, bo zorientował się, że Thane rozpoznał statek, a on nie.

„Mówi, że pójdzie do Akademii Imperialnej – pomyślał Thane – ale to tylko dlatego, że chciałby być ważny. Dalven nie zna się na statkach tak jak ja. Nie czyta podręczników ani nie ćwiczy na szybowcu. Nigdy nie będzie prawdziwym pilotem.

Ale ja tak”.

– Trzeba było zostawić Thane’a w domu z droidem. – Głos Dalvena zrobił się ponury. – On jest na to za mały. Jeszcze godzina i będzie jęczał, żeby wracać do domu.

– Nie będę – zaprotestował Thane. – Jestem wystarczająco duży. Prawda, mam?

Ganaire Kyrell pokiwała głową w zamyśleniu.

– Oczywiście, że jesteś. Urodziłeś się w tym samym roku co Imperium, Thane. Nie zapominaj o tym.

Jak mógłby zapomnieć, skoro przypominała mu o tym już co najmniej pięć razy tego dnia? Miał ochotę tak powiedzieć, ale tylko ściągnąłby na siebie kolejnego klapsa od Dalvena – albo, co gorsza, grad wyzwisk ze strony ojca, które potrafiły ranić mocniej niż jakiegokolwiek ostrze. Już czuł, jak obaj wpatrują się w niego, czekając na jakąś oznakę słabości lub nieposłuszeństwa. Thane odwrócił się, udając, że spogląda w stronę ich celu, miasta Valentia, tak żeby ojciec ani Dalven nie widzieli jego twarzy. Lepiej było, kiedy nie wiedzieli, o czym myśli.

Matką się nie przejmował. Ona rzadko kiedy w ogóle go dostrzegała.

Wiatr szarpnął jego niebiesko-złotą haftowaną peleryną, a Thane zadrżał. Inne światy musiały być cieplejsze. Jaśniejsze, bardziej ruchliwe, pod każdym względem fajniejsze. Wierzył w to, mimo że nigdy nie był na innej planecie, nie sądził jednak, że w tej ogromnej

galaktyce nie ma lepszych miejsc do życia niż to.

Jelucan został zasiedlony dość późno w historii galaktyki, zapewne dlatego, że wcześniej nikt nie okazał się na tyle zdesperowany, żeby skusić się na prawie nienadającą się do zamieszkania skałę na samym końcu Zewnętrznych Rubieży. Niemal pięćset lat wcześniej pierwsza grupa osadników została tu wygnana z innego świata, równie nieznaczącego. Walczyli po niewłaściwej stronie w jednej z wielu wojen domowych. Thane nie znał szczegółów. Rodzice powiedzieli mu tylko, że ci pierwsi osadnicy ugrzęźli w dolinach, w niemal całkowitym ubóstwie, i ledwie utrzymywali się przy życiu.

Prawdziwa cywilizacja przyszła dopiero później, sto pięćdziesiąt lat temu, wraz z drugą falą osadników, którzy przybyli tu dobrowolnie, w nadziei na zdobycie majątku. Zdołali zbudować kopalnie, nawiązać kontakty handlowe z resztą galaktyki i prowadzić nowoczesne życie – w odróżnieniu od ludzi z dolin, którzy zachowywali się bardziej jak koczownicy z czasów przedtechnologicznych niż współczesne społeczeństwo. Oczywiście oni też zaliczali się do Jelucańczyków, ale pozostawali nieprzyjaźni, wyobcowani i dumni.

A może po prostu ci mieszkańcy dolin byli wciąż wściekli, że zostali wyrzuceni na tę lodowatą, poszarpaną skałę. Jeśli tak, to Thane wcale im się nie dziwił.

– Szkoda, że nie pojawi się sam Imperator – powiedziała matka. – To by było coś, zobaczyć go na własne oczy.

„Tak jakby Imperator kiedykolwiek mógł tu przylecieć”. Thane wiedział jednak, że lepiej nie mówić tego na głos.

Wszyscy powinni kochać Imperatora Palpatine’a. Wszyscy mówili, że to najodważniejsza, najinteligentniejsza osoba w całej galaktyce, że to on zaprowadził porządek po chaosie wojen klonów. Thane zastanawiał się, czy to wszystko prawda. Niewątpliwie dzięki Palpatine’owi Imperium rosło w siłę, a on sam był najpotężniejszym człowiekiem w Imperium.

Thane’a właściwie nie obchodziło, czy Imperator był miły, czy nie. Samo przybycie Imperium wydawało mu się dobre, bo Imperium przywiozło ze sobą swoje statki. A on chciał tylko zobaczyć te statki. A później nauczyć się nimi latać.

A w końcu odlecieć jak najdalej stąd i nigdy nie wrócić.

– Cieno! Patrz pod nogi, bo się przewrócisz.

Ciena Ree nie mogła oderwać wzroku od szarego nieba. Przysięgłaby, że słyszała prom typu Lambda, i za wszelką cenę chciała go też zobaczyć.

– Ale, mamusiu... Jestem pewna, że słyszałam statek.

– Ciągle tylko te statki i latanie. – Jej matka, Verine, zachichotała cicho i podniosła córkę, po czym posadziła ją na szerokim, włóchatym grzbiecie muunyaka, którego prowadzili pod górę, w stronę Valentii.

– Siadaj. Oszczędzaj siły na paradę.

Ciena zatopiła dłonie w zmierzwionej sierści muunyaka. Pachniała przyjemnie: piżmem i sianem. Domem.

Spoglądając w górę, dostrzegła w chmurach cienką linię – już zniknęła, ale świadczyła o tym, że prom tam był. Zadrżała z podniecenia, a potem przypomniała sobie, żeby chwycić się za plecioną skórzaną bransoletkę na nadgarstku. Ściskając w palcach skórę, wyszeptwała:

– Patrz moimi oczami.

Teraz jej siostra Wynnet także mogła to zobaczyć. Ciena żyła za nie obie i nigdy o tym nie zapomniała.

Ojciec musiał ją usłyszeć, bo miał ten smutny uśmiech, który oznaczał, że też myśli o Wynnet. Ale pogłaskał tylko córkę po głowie i zaczesał jej niesforny czarny lok za ucho.

Wreszcie, po dwóch godzinach marszu pod górę, dotarli do Valentii. Ciena prawdziwe miasto widziała dotąd tylko na holofilmach. Jej rodzice rzadko opuszczali rodzinną dolinę i nigdy nie zabierali jej ze sobą – aż do dziś. Otworzyła szeroko oczy, widząc wydrążone w białym kamieniu urwisk budynki – niektóre miały po dziesięć czy piętnaście pięter. Ciągnęły się po zboczu góry jak okiem sięgnąć. Wokół tych kamiennych domów stały namioty i daszki, pomalowane na kilkanaście różnych jaskrawych kolorów i ozdobione frędzlami lub paciorkami. Na masztach, świeżo wbitych w ziemię lub przytwierdzonych do skał, powiewały imperialne sztandary.

Na ulicach tłoczyło się więcej ludzi, niż kiedykolwiek naraz

widziała w ciągu ośmiu lat swojego życia. Niektórzy sprzedawali jedzenie lub pamiątki – imperialne flagi czy małe hologramy półprzezroczystego Imperatora uśmiechającego się dobrotliwie nad niewielkim opalizującym dyskiem. Większość jednak szła tą samą zatłoczoną drogą co ona i jej rodzina, w kierunku miejsca, gdzie miały się odbyć uroczystości. Widziała nawet kilka droidów, które toczyły się, latały lub człapały wśród tłumu – oczywiście każdy z nich był znacznie bardziej błyszczący i nowoczesny niż ten wysłużony droid krajalniczy w ich wiosce.

Ci wszyscy ludzie i droidy byliby znacznie bardziej fascynujący, gdyby nie zagradzali jej drogi.

– Nie spóźnimy się? – spytała Ciena. – Nie chcę przegapić statków.

– Nie spóźnimy. – Matka westchnęła. Powtarzała to już tyle razy tego dnia, że Ciena wiedziała, że powinna się uspokoić. Ale Verine Ree położyła dłonie na ramionach córki; mimo że zrobiła to bardzo delikatnie, muunyak wiedział, że ma się zatrzymać. Wypłowiwały czarny płaszcz mamy owinął się wokół jej zbyt chudego ciała. – Wiem, że nie możesz się doczekać, kochanie. To najważniejszy dzień w twoim życiu jak dotąd. Nic dziwnego, że jesteś podekscytowana. Ale nie obawiaj się. Imperium będzie na nas czekać, aż wejdziemy na samą górę, nieważne, ile to potrwa. W porządku, kochanie?

Uśmiech mamy sprawił, że Ciena poczuła się, jakby wyszła nagle na słońce.

– W porządku.

Nieważne, jak długo będą szli. Imperium zawsze, zawsze będzie na nią czekać.

Tak jak mama obiecywała, zostało jeszcze mnóstwo czasu, gdy dotarli do wybiegu. Ale kiedy rodzice płacili za zagrodę i paszę, Ciena usłyszała śmiech.

– Przyjechali tym obleśnym muunyakiem na imperialne święto! – zawołał nastoletni chłopak z drugiej fali. Ciemna czerwień jego peleryny przywodziła na myśl świeżą ranę. – Zasmrodzą całe miasto.

Ciena poczuła, jak rumienią jej się policzki, ale nie patrzyła więcej na drwiące z niej dzieciaki. Poklepała tylko muunyaka po boku, on popatrzył na nią, cierpliwy jak zawsze.

– Później po ciebie wrócimy – obiecała. – Nie smuć się. – Żadne docinki jakichś głupich starszych dzieciaków nie sprawią, że będzie się wstydzić swojego muunyaka. Uwielbiała go i jego zapach. Ci głupi drugofalowcy nie rozumieli, co to jest przywiązanie do zwierząt czy do ziemi.

Jednak teraz, gdy zobaczyła setki ludzi z drugiej fali w ich długich jedwabnych płaszczach i bogato zdobionych ubraniach, spojrzała na swoją jasnobrązową sukienkę i poczuła się jak obdartus. Wcześniej zawsze lubiła ten strój, bo materiał był tylko odrobinę jaśniejszy od jej skóry i podobało jej się to, że do siebie pasują. Teraz zauważyła obszarpane brzegi i luźne nitki wystające z rękawów.

– Nie zwracaj na nich uwagi. – Twarz ojca stężała. – Ich czas minął i dobrze o tym wiedzą.

– Paron – szepnęła matka Cieny, ściskając męża za ramię. – Ciszej.

– Imperium szanuje ciężką pracę – ciągnął dyskretniej, ale z jeszcze większą dumą. – Bezwzględna lojalność. Wyznają te same wartości co my. Ci drugofalowcy myślą tylko o tym, jak sobie nabić kabzę.

To oznaczało zarabianie pieniędzy. Ciena to wiedziała, bo jej ojciec często to powtarzał, zawsze odnośnie do drugofalowców, którzy żyli w najwyższych górach. Nie rozumiała, co właściwie takiego złego jest w zarabianiu pieniędzy, ale inne rzeczy były ważniejsze... zwłaszcza honor.

Ciena i wszyscy inni mieszkańcy jelucańskich dolin byli potomkami lojalistów, wygnanych z ojczystego świata po obaleniu króla. Woleli udać się na wygnanie niż zdradzić swojego władcę. I chociaż życie na Jelucanie było ciężkie, podobnie jak praca, a bieda nierzadko zaglądała im w oczy, ludzie z dolin wciąż chlubili się wyborem swoich przodków. Jak każde dziecko z jej wioski Cienę wychowano w przekonaniu, że słowa trzeba dotrzymywać, a honor jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiada.

Niech drugofalowcy paradują sobie w swoich nowych płaszczach i błyszczącej biżuterii. Prosta peleryna Cieny została utkana przez jej matkę z wełny przedzonej z futra ich muunyaka; jej bransoletka była rozplatana i przedłużana, tak by mogła ją nosić przez całe życie. Posiadała niewiele, ale wszystko, co posiadała – wszystko, co robiła –

miało znaczenie i wartość. Ludzie z gór tego nie rozumieli.

– Teraz otwierają się przed nami nowe możliwości – ciągnął Paron Ree, jakby czytał córce w myślach. – Lepsze. Już dało się to zauważyć, prawda?

Matka Cieny uśmiechnęła się, poprawiając swoją jasnoszarą chustkę na włosach. Zaledwie trzy dni wcześniej zaproponowano jej kierownicze stanowisko w pobliskiej kopalni. Taką władzę drugofalowcy zwykle zachowywali dla siebie. Ale teraz rządziło Imperium. Wszystko miało się zmienić.

– Będziesz miała większy wybór, Cieno. Masz szansę dokonać czegoś więcej. Być kimś więcej. – Paron Ree uśmiechnął się do córki z nieudolnie skrywaną dumą. – Moc tym kieruje.

Z tego, co Ciena wywnioskowała z kilku holofilmów, jakie widziała w swoim życiu, większość ludzi w galaktyce nie wierzyła już w Moc, energię, która pozwalała zjednoczyć się ze wszechświatem. Nawet ona zastanawiała się czasami, czy mogło kiedykolwiek istnieć coś takiego jak Rycerz Jedi. Niesamowite historie opowiadane przez starszych o dzielnych bohaterach z mieczami świetlnymi, którzy potrafili naginać umysły, przenosić przedmioty siłą woli – to z pewnością tylko bajeczki.

Ale Moc musiała być prawdziwa, bo przywiodła Imperium na Jelucana, by odmieniło ich przyszłość na zawsze.

– Ludu Jelucana, dzisiejszy dzień oznacza zarówno koniec, jak i początek – mówił na uroczystościach imperialny oficer, mężczyzna zwany wielkim moffem Tarkinem.

Ciena wiedziała, że nosi on taki tytuł i nazwisko, ale nie była pewna, czy tytuł to „wielki moff”, a nazwisko „Tarkin”, czy może nazywał się Moff Tarkin i był naprawdę wielki. Postanowiła, że później o to zapyta, kiedy w pobliżu nie będzie żadnych drugofalowców, którzy mogliby się z niej naśmiewać, że tego nie wie.

– W tym dniu kończy się wasza izolacja od reszty galaktyki, a Jelucan rozpoczyna nową i chwalebą przyszłość, zajmując należne mu miejsce w Imperium!

Powietrze wypełniły oklaski i wiwaty, a Ciena klaskała razem

z innymi. Ale jej bystry wzrok dostrzegł kilka osób, które nie dołączyły do owacji – głównie starszych ludzi, którzy musieli żyć jeszcze przed wojnami klonów. Stali nieruchomo i z poważnymi minami, niczym żałobnicy na pogrzebie albo świadkowie jakiegoś haniebnego wydarzenia. Jakaś kobieta o srebrzystych włosach i bladej skórze pochyliła głowę, a po policzku popłynęła jej łza. Ciena pomyślała, że może straciła na wojnie syna lub córkę, a widok tych wszystkich żołnierzy przypominał jej o tym i dlatego smuciła się w tak radosnym dniu.

Tak wielu zgromadziło się tu żołnierzy – oficerów w szeleszczących czarnych lub szarych mundurach i szturmowców w lśniącym białym zbrojach – a statków było prawie tyle samo: kanciaste myśliwce TIE, czarne jak obsydian, krążowniki uderzeniowe w tym samym odcieniu szarości co górski granit, a wysoko na orbicie – kilka plamek mieniących się jak gwiazda południowa o poranku. Ciena wiedziała, że w istocie są to gwiazdne niszczyciele. Podobno każdy z nich był dwa albo trzy razy większy od całej Valentii.

Na samą myśl o tym serce Cieny pęczyło z dumy. Teraz stanowiła część Imperium – nie tylko jej planeta, ale też ona sama. Imperium rządziło całą galaktyką. Potęgą imperialnej floty przyćmiewała wszystkie siły zbrojne w historii. Widok tych statków lecących nad głową w precyzyjnym szyku, nawet na chwilę niezbaczających z wytyczonej trasy, przyprawiał ją o dreszcz podniecenia.

To była siła, wielkość, majestat. To był honor i dyscyplina, w duchu których została wychowana, ale podniesione do poziomu, o jakim nawet nie śniła. Nie wyobrażała sobie nic piękniejszego.

Poza samodzielnym lotem jednym z tych statków.

Wielki moff Tarkin wciąż przemawiał, mówił coś o separatystycznych światach, co wszystkich na chwilę jakby zakłopotало, ale potem wrócił do tego, jak wspaniałe jest Imperium i jaką dumą powinno wszystkich napawać. Ciena wiwatowała razem z innymi, ale potem jej uwagę całkowicie zaprzął najbliższy statek, prom wyglądający zupełnie jak ten, który widziała wcześniej na niebie. Gdyby tylko mogła mu się bliżej przyjrzeć...

Może po uroczystości nadarzy się okazja...

Kiedy przemówienia i muzyka się skończyły, Kyrellowie mieli prywatne spotkanie z Bardzo Ważnymi Urzędnikami i kazali Dalvenowi przypilnować Thane'a. Gdy tylko wypowiedzieli polecenie, Thane oszacował w myślach, ile czasu minie, zanim Dalven go zostawi na rzecz kolegów. „Pięć minut – pomyślał. – Pięć albo sześć”.

Tym razem przecenił Dalvena, który porzucił go już po trzech minutach.

Ale Thane potrafił o siebie zadbać. A co ważniejsze, pozbawiony opieki starszego brata mógł dostać się znacznie bliżej imperialnego hangaru.

Wprawdzie większość imperialnych statków wróciła już do swoich gwiazdnych niszczycieli lub do jednej z nowych baz, budowanych na zachodnich płaskowyżach, jednak kilka pozostało w imperialnym hangarze. Najbliżej był prom typu Lambda, taki jak ten, który Thane widział wcześniej na niebie.

Tabliczki ostrzegawcze kazały trzymać się z daleka. Ale ludzie czasem zakładali, że dzieci nie potrafią czytać. Thane uznał, że jest jeszcze dostatecznie mały, żeby móc użyć tej wymówki w razie, gdyby go ktoś przyłapał.

Chciał tylko obejrzeć sobie statek z bliska – może go dotknąć, chociaż raz.

Zakradł się więc za podest postawiony na dzisiejsze przemówienia, a potem wszedł pod niego. Musiał wprawdzie pochylić głowę, ale mógł przebiec w ten sposób aż do samego hangaru. Kiedy wyszedł spod podestu, uśmiechnął się z dumą, ale potem ku swojemu rozczarowaniu zobaczył, że nie on jeden wpadł na taki pomysł. Kilku innych chłopaków, których znał ze szkoły, także zebrało się w pobliżu – trochę starszych, których nigdy nie lubił – a oprócz nich chuda dziewczynka w wytartym ubraniu, które zdradzało, że pochodzi z dolin. Przy błyszczących, szkarłatno-złoty szatach chłopaków jej brązowa sukienka przypominała Thane'owi jesienny liść, który zaraz spadnie z drzewa.

– Co tu robisz, doliniaro? – odezwał się Mothar Drik z jeszcze paskudniejszym niż zwykle uśmiechem na szerokiej gębie.

Dziewczynka przeniosła wzrok z promu na swoich prześladowców

i uśmiech zachwytu zamarł jej na ustach.

– Chciałam tylko zobaczyć statek. Tak samo jak wy.

Mothar wykonał obsceniczny gest.

– Wracaj do chlewa wywozić gnój. Tam jest twoje miejsce.

Dziewczynka nie ruszyła się z miejsca. Zwinęła tylko dłonie w pięści.

– Gdybym miała wywozić gnój, to musiałabym zacząć od ciebie.

Thane roześmiał się na głos. Wtedy kilku z tamtych chłopaków go zobaczyło.

– Hej, Thane. Pomożesz wyrzucić śmieci? – spytał jeden z nich.

Mieli zamiar pobić tę dziewczynkę z dolin. Sześciu na jedną. Taka przewaga liczebna mogła zachęcać tylko łobuzów.

Dorastając jako syn Orisa Kyrella, Thane nauczył się wielu rzeczy. Nauczył się, jak surowo i rygorystycznie można egzekwować zasady. Nauczył się, że jego brat reagował na okrucieństwo ojca takim samym okrucieństwem wobec Thane'a, o ile nie gorszym. Nauczył się, że to bez znaczenia, kto ma rację, bo zasady ustala ten, kto trzyma kij.

A przede wszystkim nauczył się nienawidzić łobuzów, którzy znęcają się nad innymi.

– No – powiedział Thane. – Wyrzucę śmieci. – I mówiąc to, ruszył prosto na Mothara.

Ten idiota zupełnie się tego nie spodziewał; wylądował na plecach, nie mogąc złapać tchu. Thane zdążył sprzedać mu kilka ciosów, zanim ktoś go odciągnął, a kiedy zobaczył, jak jeden z chłopaków chwyta go za kołnierz, przygotował się na nieuchronne uderzenie pięścią w twarz – ale chuda dziewczynka rzuciła się na napastnika, ciągnąc go za rękę.

– Zostaw go! – wrzasnęła.

Dwoje na sześciu to wciąż nie były wyrównane szanse, ale dziewczyna dobrze się biła. Thane wiedział, że on też, głównie dlatego, że dzięki Dalvenowi nauczył się przyjmować ciosy i nie poddawać się. Mimo wszystko dali się zapędzić w kozzi róg, Thane miał już zakrwawioną wargę i czuł, że to się nie skończy dobrze...

– Co tu się dzieje?

Wszyscy zamarli. Zaledwie pięć metrów od nich stał wielki moff

Tarkin otoczony przez imperialnych oficerów i szturmowców w białych zbrojach. Na ich widok Mothar uciekł, a jego przydupasy tuż za nim. Thane i dziewczynka zostali sami.

– No więc? – powiedział Tarkin, podchodząc bliżej. Jego twarz, z tymi ostrymi, bladymi rysami, wyglądała jak wyrzeźbiona z kryształu kwarcu.

Dziewczynka wystąpiła naprzód.

– To moja wina – powiedziała. – Tamte chłopaki chciały mnie pobić, a on próbował ich powstrzymać.

– Bardzo niemądrze – powiedział Tarkin do Thane’a. Wydawał się rozbawiony. – Rzucić się do z góry przegranej potyczki? Nigdy nie stawaj do walki z przeważającymi siłami, chłopcze. To nie kończy się dobrze.

Thane myślał szybko.

– Dzisiaj się skończyło, dzięki panu.

Tarkin zachichotał.

– A zatem wiedziałeś, że zjawią się jeszcze potężniejsze siły? Doskonale myślenie strategiczne. Brawo, chłopcze.

Upiekło im się, ale dziewczyna z dolin najwyraźniej jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Nie powinnam była wchodzić do hangaru – powiedziała ze spuszczoną głową. – Złamałam zasadę. Ale nie chciałam zrobić nic niegodnego. Chciałam tylko zobaczyć statki.

– Oczywiście – odparł Tarkin, nachylając się bliżej. – To mówi mi, że jesteście ciekawi galaktyki poza Jelucanem. I wy dwoje zostaliście, podczas gdy inne dzieci uciekły. To mówi mi, że jesteście odważni. Teraz chciałbym zobaczyć, czy jesteście inteligentni. Jaki statek tu mamy?

– Prom typu Lambda! – zawołali jednym głosem, a potem spojrzeli po sobie. Na twarz dziewczynki powoli wypłynął uśmiech. Thane uśmiechnął się także.

– Bardzo dobrze. – Tarkin wyciągnął rękę w kierunku statku. – Chcielibyście zajrzeć do środka?

Czy on mówił poważnie? Tak. Thane nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, kiedy jeden ze szturmowców otworzył przed nimi włącz.

Razem z dziewczynką wbiegli do środka, gdzie wszystko było czarne, błyszczące i rozświetlone setkami światełek. Zaprowadzono ich do kabiny i pozwolono nawet usiąść w fotelach pilotów. Wielki moff Tarkin stanął tuż za nimi, wyprostowany, jakby połknął kij od szczotki, a jego buty lśniły równie jasno jak polerowany metal wokół.

– Pokażcie mi wskaźnik wysokości – powiedział. Oboje wskazali go natychmiast. – Doskonale. A naprowadzacz dokowania? To też wiecie. Tak, oboje jesteście bardzo bystrzy. Jak się nazywacie?

– Ja jestem Thane Kyrell. – Chłopiec zastanawiał się, czy wielki moff Tarkin rozpozna jego nazwisko; jego rodzice twierdzili, że dobrze znają imperialne władze. Ale twarz Tarkina zdradzała jedynie mgliste zaciekawienie.

– A ja Ciena Ree, sir – powiedziała dziewczynka.

„Sir”. On też powinien tak się zwrócić do Tarkina. Ale Tarkin najwyraźniej nie miał mu tego za złe.

– Nie chcielibyście kiedyś służyć Imperatorowi i latać takimi statkami? Moglibyście zostać kapitanem Kyrellem i kapitan Ree. Co wy na to?

Thane wypiął dumnie pierś.

– Byłoby super. Sir.

Tarkin roześmiał się łagodnie, odwracając się do jednego z młodszych oficerów stojących tuż za nim.

– Widzisz, Piett? Nie powinniśmy się nigdy wahać użyć kija, ale są chwile, kiedy marchewka jest skuteczniejsza.

Thane nie miał pojęcia, co to znaczy, ale nie dbał o to. Wiedział tylko, że nie wyobraża sobie nic wspanialszego ponad życia oficera w imperialnej flocie. Sądząc po uśmiechu Cieny, ona myślała tak samo.

– Będziemy musieli pilnie się uczyć – szepnęła.

– I ćwiczyć latanie.

Jej twarz nagle posmutniała.

– Nie mam żadnego statku, na którym mogłabym ćwiczyć, a nasz jedyny symulator jest stary.

Oczywiście, że w dolinach nie mieli dobrych symulatorów i pewnie jedna osoba na pięćdziesiąt dysponowała własnym statkiem.

Thane'owi zrobiło się na chwilę przykro, ale potem wpadł na świetny pomysł.

– To możesz ćwiczyć ze mną.

Twarz Cieny się rozjaśniła.

– Naprawdę?

– Jasne. – Wiele manewrów dało się wykonać tylko z drugim pilotem. Potrzebował partnera, jeśli chciał się nauczyć latać dostatecznie dobrze, żeby przyjęli go kiedyś do imperialnej floty gwiazdnej.

A poza tym Thane miał przeczucie, że pomimo wszystkich dzielących ich różnic on i Ciena Ree wkrótce zostaną przyjaciółmi.

Rozdział 1

Pięć lat później

Do ćwiczeń zostało pół godziny – ciężko byłoby już nawet dotrzeć do hangaru w tym czasie. A Ciena musiała ciągle tu siedzieć, na tej głupiej ławce...

„Nie – pomyślała – To nie jest głupie. Honor rodziny Nierre został zakwestionowany. Potrzebują przyjaciół, którzy wesprą ich w godzinie próby. Nawet jeśli miałabym przez to opuścić ćwiczenia.

Chociaż zdecydowanie wolałabym teraz latać”.

Grubo ciosana granitowa ławeczka stała przed niewielkim kopulastym domem rodziny Nierre, której ziemie od pokoleń sąsiadowały z gruntami rodziny Ree. Przed ławeczką biegł długi rów wypełniony piaskiem – wetknięto w niego kilka flag. Każda z nich reprezentowała jeden z klanów, które w tych trudnych chwilach zadeklarowały lojalność wobec Nierre. Ta stara tradycja, sięgająca początków osadnictwa na Jelucanie, wciąż miała znaczenie. Jeden z członków każdego z lojalnych rodów miał pozostawać stale z rodziną Nierre, dopóki ich honor nie zostanie oczyszczony z wszelkich podejrzeń.

Flagi przyniosła większość rodzin z doliny, ale niektórzy uważali, że pan domu nadużywał władzy jako imperialny kontroler łączności, donosząc o prywatnych spotkaniach i przekazując władzom poufne wiadomości. Rodzice Cieny uważali jednak, że nikt nie powinien ukrywać ważnych informacji przed Imperium i to ci, którzy oskarżają Nierre, są pozbawieni honoru. Niemniej to rodzina Nierre musiała dźwigać brzemień oskarżeń.

Członkowie rodziny odziedziczyli w genach jasne włosy i mlecznobiałą skórę. Mimo to ich twarze zrobiły się jeszcze bledsze, do tego stopnia, że wszyscy wyglądali na chorych. Gdyby oficjalna skarga do imperialnego gubernatora została podtrzymana i powołano nowego kontrolera, rodzina Nierre na zawsze okryłaby się hańbą.

Trudno znosić taką groźbę, dlatego ich przyjaciele musieli być przy nich i dodawać im otuchy.

„Ja też chciałabym, żeby ktoś dla mnie umiał zrobić to samo, gdybym była niesłusznie oskarżona – pomyślała Ciena. – Ale poczuliby się jeszcze lepiej, gdyby moi rodzice tu byli, tak jak obiecywali. Mieli przybyć już godzinę temu”.

Omiatała wzrokiem niebo, wypatrując w górze starego V-171. Z ławeczki miała widok na całą dolinę, aż do srebrzystej tafli wody kilka tysięcy metrów niżej. Widziała stąd niezliczone śnieżne szczyty, niczym białe szpony rozdrapujące niebo w kolorze kamienia. Jej granatowy płaszcz był na tyle ciężki, że nie poruszał nim wiatr, a ponadto ukrywał fakt, że zamiast tradycyjnej sukni miała na sobie za duży kombinezon lotniczy, który udało jej się kupić w tym roku w sklepie ze sprzętem z demobilu.

Nagle usłyszała odległy warkot graniolaza – terenowego poduszkowca, którego wspierani przez Imperium kupcy sprowadzili na świat pięć lat wcześniej. Ciena już prawie nie pamiętała, jak sobie bez nich radzili; wciąż uwielbiała starego muunyaka, ale ostatnio robił się coraz wolniejszy. Kiedy graniolaz wyłonił się zza rogu, miała ochotę podskoczyć z radości. Wreszcie!

Pozostała jednak na ławce, z poważną miną, aż jej ojciec wysiadł i podszedł do niej. Był sam.

– A gdzie mama? – spytała Ciena, wstając.

– Musiała znowu zostać w kopalni. – Ojciec pokręcił głową. – Wiedzieliśmy, że stanowisko nadzorcy będzie wymagało ciężkiej pracy, ale czasami mi jej brakuje.

– Mnie też. – I Ciena mówiła całkowicie szczerze, jednak nie mogła oderwać oczu od graniolaza. Gdyby tylko tata jej go pożyczył, z pewnością mogłaby jeszcze dotrzeć na czas do hangaru.

Ojciec zauważył, że jej się spieszy, i zacisnął usta w cienką linię, która mogła przerodzić się w marsową minę.

– Znowu dziś latasz?

– Tato, proszę. Jak inaczej mam się dostać do jednej z imperialnych akademii?

– Powinnaś ćwiczyć, i to często. Oboje z matką będziemy bardzo

dumni, gdy zostaniesz imperialnym oficerem. – Paron Ree zamilkł na chwilę. Kilka ptaków przeleciało nad nimi ze skrzekiem. Ciena odprowadziła je wzrokiem, bo kiedy jej ojciec poruszał ten temat, nie chciała nawet na niego patrzeć. Oczywiście on ciągnął dalej: – Wolelibyśmy tylko, żebyś częściej ćwiczyła na nowych symulatorach w Valentii zamiast spędzać tyle czasu z tym chłopakiem.

– Thane jest moim przyjacielem – odparła, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Nie powinniśmy niczego przyjmować od drugofalowców. Powinniśmy piąć się w górę o własnych siłach, nie dzięki ich darom.

W tym miejscu wyvodu Ciena wpadała czasami w złość – ale gdyby teraz to zrobiła, to na pewno nie zdążyłaby już polatać tego dnia. Wzięła więc głęboki oddech i powiedziała:

– Pomagam Thane’owi tak samo jak on mnie. Współpracujemy ze sobą. Żadne z nas nie zawdzięcza niczego drugiemu i on o tym pamięta tak samo dobrze jak ja.

Ojciec westchnął.

– Tacy jak on mają krótką pamięć. Ale idź. Weź graniolaz; ja wrócę na muunyaku. Twoja matka i ja będziemy w domu później, a ty w tym czasie odrobisz lekcje i dokładnie wysprzątasz kuchnię.

– Tak jest. – Od razu poprawił jej się nastrój. Jednak sobie dziś polata.

– Obyś została lepszym pilotem od tego Kyrella – powiedział jej ojciec, wygładzając płaszcz, i ruszył w stronę domu Nierre. – Jeśli będzie tylko jedno miejsce dla kadeta z Jelucana, chcę, żebyś ty je zajęła.

Ciena się roześmiała.

– Oboje się dostaniemy. Imperialna flota nie będzie mogła się bez nas obejść!

Nawet tata musiał się uśmiechnąć.

Thane zastanawiał się, czy dałoby się poluzować ogranicznik na droidzie korepetytorze CZ-1. Gdyby mu się udało, może droid by go puścił, mimo że nie skończył jeszcze tego głupiego testu z matematyki.

– Twoja koncentracja spada – zakomunikował CZ-1. – To nie sprzyja osiągnięciu optymalnych wyników.

Thane wskazał na najbliższy chronometr.

– Spóźnię się na ćwiczenia lotnicze.

– Musisz skończyć lekcję, żeby opanować przedmiot. Jak inaczej się dostaniesz do imperialnej akademii? Twoi rodzice liczą na to, że pójdiesz w ślady Dalvena.

Czasami Thane myślał, że CZ-1 jest sprytniejszy, niż powinien. Nic tak nie wkurzało Thane'a jak świadomość, że Dalven dostał się jakimś cudem do akademii – wprawdzie jednej z mniejszych, ale mimo wszystko. Thane podejrzewał, że ojciec mógł przekupić lokalnego rekrutera, żeby ten przyjął jego starszego syna, bo był to powód do dumy dla rodziny. Ale Oris Kyrell nie wysilałby się tak dla Thane'a, więc chłopak mógł liczyć tylko na siebie.

Musiał więc myśleć szybko.

– Nie dostanę się do imperialnej akademii, jeśli nie nauczę się dobrze latać – zauważył Thane. – A jak mam tego dokonać bez ćwiczeń?

– Twoja rodzina ma własny hangar i statek. Zatem możesz ćwiczyć o każdej porze.

– Ale mamy też ciebie, CZ-1 – odparł Thane ze swoim firmowym uśmiechem. – To znaczy, że matmy też mogę się uczyć o każdej porze. A latać z partnerem mam okazję tylko wtedy, kiedy Ciena jest wolna, a ona przychodzi dzisiaj, więc czy nie powinienem stawiać latania na pierwszym miejscu?

CZ-1 przechylił głowę, a Thane usłyszał cichy warkot, który oznaczał, że droid intensywnie myśli.

– Wiesz, gdy wrócę, mógłbym ci zrobić kąpiel w smarze – dodał niedbale chłopiec. – Długą, porządną kąpiel. Przydałaby się, co?

Minęło jeszcze parę chwil, zanim CZ-1 odpowiedział:

– Skoro już o tym wspominasz, to faktycznie złącza mi zeszytniały ostatnio.

Thane z szerokim uśmiechem wyłączył holograf do matematyki i chwycił swoją kurtkę lotniczą.

– Będę w domu, zanim moi rodzice wrócą z tego głupiego bankietu.

Dobra?

– A jutro rano matematyka! – zawołał CZ-1 za wybiegającym.

Rodzina Thane'a miała prywatny hangar, ale – podobnie jak w przypadku większości ludzi na Jelucanie – należący do niej teren położony był bardziej pionowo niż poziomo. Wykładany złotymi płytkami dom rozciągał się niemal na całą szerokość ich posiadłości, głównie dlatego, że rodzice upierali się, iż ludzie o ich pozycji muszą mieć bardziej okazały dom niż sąsiedzi. Ten snobizm drażnił Thane'a mniej niż fakt, że hangar był przez to oddalony o trzysta metrów – w dół zbocza.

Ale przynajmniej znalazł rozwiązanie. Thane z uśmiechem założył swoje gogle lotnicze i pobiegł w stronę przeciwległej grani. Pałąk znajdował się na miejscu gotowy do użycia, więc wystarczyło tylko chwycić mocno, zwolnić hamulec i skoczyć.

Po chwili, uczepiony pałąka, pędził w dół długiej kamiennej grani po linie prowadzącej z domu do hangaru. Smagany zimnym górskim powietrzem, patrzył na leżącą w oddali dolinę. To nie było to samo co latanie, ale sprawiało prawie tyle samo frajdy.

Dojeżdżając do końca, zaczął hamować, ale stopniowo, bo lubił zachować nieco prędkości na końcu. Tuż przed tym, jak zderzyłby się ze słupkiem, Thane puścił się i zeskoczył na ziemię, śmiejąc się głośno.

– Kiedyś sobie rozbijesz głowę na tym czymś – usłyszał nagle.

Odwrócił się i zobaczył Cienę stojącą przy starym, zdezelowanym graniolazie należącym do jej rodziny. W tym przydużym kombinezonie lotniczym wydawała się jeszcze niższa i chudsza, a ze swoimi zaokrąglonymi policzkami i zadartym nosem wciąż nie wyglądała na swój wiek. Ręce miała skrzyżowane na piersi i starała się wyglądać surowo, ale w jej ciemnobrązowych oczach widział kryjący się uśmiech.

Wyprostował się i otrzepał rękawice.

– Jesteś po prostu zazdrosna, bo nigdy nie pozwalałam ci spróbować.

Ciena pokazała mu język.

– Mogłabym to zrobić.

Oczywiście, że by mogła, Thane w to nie wątpił. Ale lina zaczynała

się przy jego domu, a jego rodzice nie znosili Cieny jeszcze bardziej niż jej rodzice jego. Te parę razy, kiedy się spotkali, rodzina Thane'a traktowała Cienę tak niegrzecznie, że robiło mu się niemal niedobrze ze wstydu. Ciena nie miała ochoty na kolejne spotkania z Kyrellami, tak samo jak oni nie mieli ochoty oglądać jej.

Jednak oboje zawsze udawali, że nie istnieje żaden powód, dla którego nie mieliby spędzać ze sobą czasu. Woleli to od rozmów o tym, jak ich rodziny chciałyby ich rozdzielić.

– Ja się martwiłam, że się spóźnię – ciągnęła Ciena – a i tak byłam przed tobą.

– Trygonometria. – Thane się skrzywił, na co odpowiedziała mu podobną miną. – Chodź, zaczynajmy. Jaszczurka-ropucha-wąż o pilota? – Oboje odliczyli po cichu do trzech, po czym wyciągnęli dłonie. Thane wybrał węża, ale Ciena wybrała jaszczurkę, a jaszczurka zjadała węża. Dziewczyna rozpromieniła się, a on wskazał gestem na V-171. – Piloci przodem.

Właściwie nie miał nic przeciwko byciu drugim pilotem strzelcem; kadeci musieli mieć wprawę w lataniu na obu stanowiskach, jeśli chcieli się dostać do akademii. Ale nie przepadał za siedzeniem tyłem w kabinie.

Teoretycznie V-171 należał do Dalvena. Kiedy wyjeżdżał do akademii, wyraźnie zaznaczył, że nikt ma nim nie latać pod jego nieobecność.

No jasne.

Thane nigdy nie przepuszczał okazji, żeby sobie polatać – ani żeby odegrać się trochę na starszym bracie.

Z całej rodziny Kyrellów najbardziej chamsko wobec Cieny zachowywał się Dalven. Niedługo przed swoim wyjazdem do akademii zadrwił, mówiąc, że jest tylko jeden powód, żeby poderwać jakąś dziewczynę z dolin – i jeśli o to chodziło Thane'owi, to powinien wybrać taką, która ma już piersi. Thane rozwalił Dalvenowi wargę, zanim rodzice zdążyli ich rozdzielić.

– Hej – powiedziała Ciena. Thane zdał sobie sprawę, że stoi na drabince zamiast wsiadać do kabiny. – Jesteś tam?

– Tak. – Thane wsunął się do środka, próbując nie patrzeć na przód

kombinezonu lotniczego Cieny. – Przepraszam. Ruszajmy.

Założyli hełmy, zapięli uprząże i zamknęli właz. Cała procedura weszła im już w krew. Thane mógł ją powtórzyć bez chwili namysłu. Wiedział, w którym momencie Ciena zacznie wciskać przełączniki, żeby włączyć silnik; znał nawet rytm jej palców, gdy to robiła. W odpowiedzi zaświecił się jego pulpit.

– Wszystkie systemy sprawdzone.

– Potwierdzam gotowość do startu – powiedziała. – Pełna moc silników. Pora trochę pofruwać.

Stary V-171, trzęsąc się, oderwał się od ziemi; silniki po obu stronach świeciły na niebiesko. A potem statek obrócił się, przechylił i pomknął w górę.

Ciena poprowadziła go wyżej, w stronę szczytów, zbyt zimnych i nieprzyjaznych, by ktokolwiek się tam osiedlił. Wokoło porozrzucana była garstka droidów górniczych, które połyskiwały ciemno na tle śniegu i jasnego kamienia, ale poza tym teren wydawał się nietknięty. Thane odniósł wrażenie, jakby mieli z Cieną cały świat dla siebie.

Kiedy przelatywali w pobliżu łuku jednej ze wschodnich grani, w słuchawkach jego hełmu zatrzeszczał głos Cieny.

– Widzę parę soplei, którym trzeba dać nauczkę.

– Jasne.

Łuk pojawił się na jego monitorze celowniczym. Trzy sople grubości jego ręki wisiały na skale niczym stalaktyty. Duże jak na sople – małe jak na cel.

Thane wycelował i strzelił, roztrzaskując lód na kawałeczki, które rozproszyły się w powietrzu. Uśmiechnął się, słysząc triumfalny okrzyk Cieny.

– Znajdziesz mi jeszcze kilka celów? – spytał.

Nigdy nie strzelali na oślep, bo na tej wysokości spadające skały czy sople mogły spowodować lawinę. Ale on i Ciena znali już każde miejsce, gdzie można było bezpiecznie postrzelać i gdzie znajdował się lód.

– No pewnie – odparła. – Trzymaj się.

Thane dobrze wiedział, jak dziewczyna poprowadzi statek w dół.

Nawet nie znając dokładnego celu, potrafił przewidzieć po najmniejszym ruchu skrzydeł, w którą stronę zaraz skreśli. W ciągu ostatnich pięciu lat on i Ciena latali razem przy każdej okazji. Teraz współpracowali jak dwie ręce jednego pilota.

V-171 zanurkował w głąb Wąwozu Stepsona, wąskiej, urwistej przełęczy, najeżonej niebezpieczeństwami. Ciena poprowadziła ich głęboko w dół, niewątpliwie żeby Thane mógł poćwiczyć strzelanie do górnych celów. Schodząc w dół, minęli jeden z wielu wodospadów w wąwozie. Mimo lodowatego zimna woda wciąż płynęła, chociaż bardziej strużką niż potokiem. O tej porze światło padało na wodę pod idealnym kątem, by utworzyć tęczę, a obludzona skała w pobliżu odbijała je w kilkunastu kierunkach jednocześnie. Była to jedna z tych idealnych chwil, tym wspanialszych, że zaraz miała przeminąć na zawsze.

Thane usłyszał szept Cieny:

– Patrz moimi oczami.

Wiedział, że ona to powie.

Może nadeszła w końcu pora, żeby się dowiedzieć dlaczego.

Po ćwiczeniach poszli do Fortecy.

Nazwali ją tak, kiedy mieli po osiem lat i skłonność do koloryzowania. W rzeczywistości była to zwykła jaskinia, ale spędzili kilka lat, urządzać ją wedle własnego upodobania. Co parę tygodni któreś z nich dodawało coś nowego do kolekcji. Większość lepszych rzeczy (grzejnik na paliwo protonowe, hologry) przynosił Thane – były to przedmioty wyrzucone przez domowników, takie, które im się znudziły albo które nigdy by im się nie przydały. Dary Cieny, choć skromniejsze, wydawały się jej ważniejsze. To dzięki przyniesionym przez nią grubym kocom i dywanikom ze skóry Forteca stawała się bardziej przytulna i komfortowa. To także były przedmioty niepotrzebne, wyrzucone przez ludzi z doliny, którzy starali się unowocześnić swoje domy według imperialnych standardów. Ale ciepłe i miękkie – stanowiły idealną wyściółkę dla ich ukrytego przed światem gniazdka.

Tak naprawdę jaskinia leżała niecałe pięćdziesiąt metrów od

hangaru Kyrellów, ale dzięki wejściu, ukrytemu pod jedną skałą i zasłoniętemu przez drugą, była tak schowana, że Ciena zastanawiała się czasem, czy ktoś poza nią i Thane'em kiedykolwiek w historii Jelucana, wszedł do środka. Krótko mówiąc, była to idealna miejscówka.

Zdarzało się, że któreś z nich przychodziło tam samo, ale najczęściej odwiedzali Fortecę razem. Rozmawiali wtedy o wszystkim i snuli marzenia o swojej przyszłości wśród gwiazd.

– Mój ojciec mówi, że wyszło trzydziestu sześciu senatorów – powiedziała Ciena.

Thane wzruszył ramionami. Mniej interesował się polityką niż Ciena i wciąż leżał wyciągnięty na czerwonym dywaniku, obserwując zachód słońca.

– Co za różnica: dwudziestu czy trzydziestu sześciu? Na kilkuset senatorów to i tak niewiele.

– Odmówili oddania głosów. Będą zastąpieni przez senatorów mianowanych przez Imperium. To poważna sprawa, Thane.

– To tylko jacyś bogaci starzy politycy zgrywający ważniaków. Ich to bawi.

– Jak oni mogli złamać przysięgę? Stracić honor? – Ciena wciąż nie mogła w to do końca uwierzyć. – Wszyscy wiedzą, że to senat doprowadził galaktykę do wojny domowej, a Imperator przywrócił porządek. Dlaczego niektórzy uważają pokój, który mamy teraz, za coś oczywistego?

Thane wzruszył ramionami.

– Pewnie tak naprawdę walczą o coś zupełnie innego i tylko tak mówią, że chodzi o te wzniosłe ideały. Kiedy zdadzą sobie sprawę, że nie mają już żadnej władzy, wrócą na kolanach do Imperatora i zapomną o tym wszystkim, o co się teraz kłóć.

– Czasami jesteś strasznie cyniczny.

– Ale mam rację. Zobaczysz.

Ciena westchnęła i wyciągnęła się na czarnej skórze z gundarka. Jego gęste futro było równie wygodne co najlepsze łóżko. Pod tym kątem zachód słońca płonął wspaniale tuż za odległym górskim grzbietem. Wpadające do jaskini światło nadawało włosom

Thane'a prawdziwie czerwony kolor, a jego bladej skórze cieplejszy odcień i sprawiało, że jego twarz wyglądała jakoś starzej.

„Kiedyś będzie przystojny” – pomyślała. Była to dziwna myśl, ale Ciena po prostu stwierdzała fakt. Przecież nie byli... nigdy nie będą... nie, nie mogliby. Skoro jej rodzice nie mogli znieść, że przyjaźni się z drugofalowcem, to jak by zareagowali, gdyby się w nim zakochała? I chociaż Thane nigdy nie mówił jej wprost o tym, jak jego ojciec go traktuje, widziała u niego siniaki i wyczuwała w jego milczeniu to, o czym nie wspominał. Ojciec Thane'a mógłby zrobić coś znacznie gorszego, gdyby choćby pomyślał, że są ze sobą.

Poza tym ona i Thane... może byli ze sobą zbyt blisko, żeby się w sobie zakochać. Czasami miała wrażenie, że są dwiema częściami tej samej osoby.

– Hej – odezwał się Thane cicho, ostrożnie. – Mogę ci zadać pytanie, które może być, hm, osobiste?

Czyżby odgadł, o czym myślała? Ciena podniosła się i objęła rękami kolana.

– Zadać możesz. Ale nie obiecuję, że odpowiem.

– W porządku. – Zawahał się chwilę. – Co jakiś czas, kiedy widzimy coś niesamowitego, szepczesz: „Patrz moimi oczami”. To coś związanego z dolinami? Co to znaczy?

To było osobiste, ale Ciena stwierdziła, że nie ma nic przeciwko temu, żeby Thane się o tym dowiedział.

– Tak, to jeden z naszych zwyczajów, chociaż rzadszy. Widzisz, kiedy się urodziłam, byłam bliźniaczką.

– Bliźniaczką? – Thane się wyprostował. Nawet drugofalowca musiało to zaintrygować; na większości planet istniały mity i legendy o bliźniętach. – Naprawdę? Ale ja myślałem, że jesteś jedynaczką.

– Teraz jestem. Moja siostra, Wynnet, zmarła zaledwie parę godzin po urodzeniu.

– Och. Przepraszam.

– Nie, w porządku. Ja nawet jej nie pamiętam ani nic. Ale przeżywam swoje życie za nas obie. – Podniosła rękę, pokazując swoją skórzaną bransoletkę. – Nie zauważyłeś, że nigdy jej nie zdejmuję?

– No tak, ale myślałem, że po prostu ci się podoba.

Ciena przesunęła palcem po pleciance.

– Noszę ją jako symbol swojego związku z Wynnet. Całe moje życie, wszystko, co robię, wszystko, co widzę, jest namiastką jej świata, bo dzielę się tym z nią. Więc kiedy widzę coś wyjątkowo pięknego, coś niesamowitego, a czasem nawet coś wyjątkowo złego, wypowiadam te słowa. Moja siostra patrzy moimi oczami, a ja pokazuję jej najważniejsze chwile mojego życia.

Thane wyciągnął się z powrotem na dywaniku.

– To... wspaniałe. Naprawdę.

Ciena pokiwała głową.

– Czasami wydaje mi się, że to wielka odpowiedzialność żyć też za Wynnet, ale najczęściej przypomina mi to, żeby szukać tego, co naprawdę wyjątkowe. Może nie widziałabym tak dużo, gdybym nie patrzyła w jej imieniu.

Słońce schowało się w końcu za horyzontem. Chociaż dolną część nieba wciąż jeszcze oblewało światło, wyżej błękit zrobił się na tyle ciemny, że widać było małe migoczące punkciki.

– Kiedyś, gdy już dostaniemy się do akademii – wyszeptała Ciena – pokażę jej gwiazdy.

Rozdział 2

No – powiedział Thane. Siedział naprzeciwko niej ze skrzyżowanymi nogami, głęboko wewnątrz Fortecy. – Przecież wiesz.

– Wiem?

– Ten facet wszczął wojnę.

Ciena miała mętlik w głowie. Powtarzali historię galaktyki już od trzech godzin.

– Dobra. Gangiem przestępców, który przeszkodził w legalnej egzekucji na Geonosis i zapoczątkował wojny klonów, kierował... – Zamknęła oczy, skrzywiła się i powiedziała: – Mace Windu?

Następnie otworzyła znów oczy i zobaczyła spoglądającego na nią z uśmiechem Thane'a.

– No widzisz? Od początku wiedziałś.

Stojący obok nich droid CZ-1 cmoknął z aprobatą.

– Twoja wiedza historyczna jest doskonała, panienko Ree. Według mnie znacznie bardziej powinnaś się martwić rachunkami.

Jej twarz posmutniała. Thane spojrzał gniewnie na CZ-1.

– Trzeba mu było zainstalować moduł taktu.

– Jaki pożytek z taktu, jeśli powstrzymuje cię od nauki? – CZ-1 przywłókł się bliżej. Jego stare złącza nie ułatwiały mu chodzenia. – Kiedy pierwszy raz przemyciłeś mnie do graniolaza, żeby przywieźć mnie tutaj, mówiłeś, że mam wam pomóc w przygotowaniu się do egzaminów. Nie mogę tego zrobić, udając, że rozumiecie pewne tematy, gdy tak nie jest.

Ciena niemal jęknęła z rozpacz. To nawet nie były egzaminy wstępne do akademii. One dopiero miały jej pozwolić się zakwalifikować na kursy przygotowawcze do niej.

– Jeśli te testy tak mi dają w kość, to jakim cudem mam zdać te prawdziwe? – Starła się obrócić to w żart, ale głos jej się łamał.

Thane to usłyszał.

– Hej – powiedział, nachylając się bliżej. – Jesteś wystarczająco mądra. Jesteś wystarczająco silna. Potrafisz pilotować każdy

jednoosobowy statek w imperialnej flocie i założę się, że poradziłabyś sobie nawet z gwiazdnym niszczycielem, gdyby dali ci go poprowadzić.

Mimowolnie się roześmiała.

– Wątpię.

– A ja nie – odparł z pełnym przekonaniem. – Ja w ciebie nie wątpię. Więc ty też przestań w siebie wątpić, dobrze? Damy radę.

Ciena powtórzyła jego słowa, żeby samej w nie uwierzyć.

– Damy radę.

Kiedy mieli po piętnaście lat...

– Kyrell! – Trener od WiS-u, wytrzymałości i sprawności, stał nad Thane'em, który leżał na ziemi, ciężko dysząc. – Wstawaj albo wypad raz na zawsze!

Co miesiąc na kursach przygotowawczych musieli pokonać inny tor przeszkód. Tory stawały się stopniowo coraz trudniejsze, a nawet niebezpieczne. Jeśli potencjalny kadet złamał kończynę albo dorobił się blizny, oznaczało to niezabicie, że się do tego nie nadaje.

Niezaliczenie toru nie równało się z automatycznym wydaleniem, ale umieszczało delikwenta bardzo wysoko na liście kandydatów do odstrzału.

A plecy i ramiona tak bardzo go bolały...

– Hej. – Ciena uklękła przy nim. – No chodź. Wstawaj.

Thane pokręcił głową. Mięśnie drżały mu z wycieńczenia. Pod luźnym strojem do ćwiczeń siniaki i rany piekły go przy każdym ruchu. Spał niecałe dwie godziny. Bolał go każdy mięsień; jego kości wydawały się cięższe od karbonitu.

– Nie mogę.

– Akurat.

Podniósł głowę z gumowatej czerwonej nawierzchni sali ćwiczeń i spojrzał na nią klęczącą nad nim. Gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, Thane zdał sobie sprawę, że nie zdoła ukryć przed nią prawdy.

– Wczoraj mój tata...

Zwykle Oris Kyrell pouczał swoich synów. Często spuszczał im

lanie, ale poprzestawał na kilku uderzeniach. Jednak poprzedniego wieczora wybuchnął gniewem jak nigdy wcześniej. Thane nie zdawał sobie sprawy, że musi się bronić, do czasu, aż był zbyt poturbowany, by to zrobić. Ciosy i kopniaki ojca ustały dopiero, gdy Thane leżał zakrwawiony na podłodze. Żadne z rodziców mu potem nie pomogło ani nie zwracało uwagi na jego obrażenia następnego ranka. Najwyraźniej postanowili udawać, że nic się nie wydarzyło.

Posiniaczony i obolały Thane musiał sam znosić prawdę – przynajmniej do czasu, kiedy Ciena otworzyła szeroko oczy ze zrozumieniem.

– I tak dasz radę – wyszeptała. – Przecież dotarłeś tak daleko.

– Spróbuję – wykrztusił pomiędzy głębokimi, łapczywymi oddechami. – Ale musisz wracać na tor. Tracisz czas.

– Jestem pierwsza z WiS-u, zapomniałeś? Mogę sobie pozwolić na stratę paru minut. I przysięgam ci, Thanie Kyrellu, jeśli będę musiała cię zanieść do mety, zrobię to.

– Miło z twojej strony, ale to się chyba nie liczy.

Kolejni kursanci mijali ich, przeskakując nad następną wysoką przeszkodą. Czasami tylko słychać było stęknienia i jęki tych, którzy dotknęli ostrych krawędzi. To były najwolniejsze dzieciaki albo prawie najwolniejsze. Ciena dobiegłaby ostatnia, a Thane w ogóle nie liczył na ukończenie biegu.

Obrócił się i spojrzał jej w oczy, tak żeby zobaczyła, jak bardzo mu na tym zależy.

– Biegnij.

Ale dziewczyna tylko nachyliła się bliżej.

– Thane, nie pozwól, żeby twój ojciec wygrał.

Nienawiść do ojca dokonała tego, czego nie mogła zdziałać nadzieja. Napędzany czystą złością Thane podźwignął się na kolana, a potem wstał. Zachwiał się, ale zdołał utrzymać równowagę.

– Gotowy do biegu? – Ciena zaczęła niecierpliwie podskakiwać.

– Tak. – Thane wziął głęboki oddech. – Gotowy.

Jakimś cudem przeskoczył nad przeszkodą. Mimo że dobiegł do mety ostatni, ukończył bieg.

Później, w zaciszu szatni, usiadł na ławce, zdjął ostrożnie koszulę

i pokazał wszystko Cienie. Policzki piekły go ze wstydu. Chociaż wiedział, że to nie on powinien się wstydzić... oto siedział, pokazując przyjaciółce, jak dał się pobić, tak że aż popękała mu skóra na plecach.

Gdyby się nad nim litowała albo powiedziała, że jest jej przykro, Thane musiałby chyba wyjść.

Ale Ciena nie powiedziała nic. W milczeniu otworzyła apteczkę i zaczęła nakładać uzdrawiające szczeliwo na skórę, opatrując jedną ranę po drugiej, aż Thane znów poczuł się kompletny.

Kiedy mieli po szesnaście lat...

Jedynie garstka dzieciaków z całej planety Jelucan mogła się dostać do imperialnych akademii. O ile światy z Wewnętrznych Rubieży często wysyłały tysiące kandydatów, o tyle miejsca dla obywateli dawnych światów separatystycznych były ściśle ograniczone. Instruktorzy z akademii sami wybierali studentów. Kandydaci w jednej chwili dowiadywali się wszystkiego: czy się dostali, do której szkoły zostali przydzieleni i na której planecie zamieszkają w ciągu dwóch tygodni.

Ciena nie dbała o to, do której akademii trafi. Każda planeta była dobra, byle tylko została imperialną kadetką.

Tego ranka, kiedy miały być ogłoszone wyniki, cała ich grupa zebrała się na szkolnym dziedzińcu. Na teren szkoły mogli wejść tylko uczniowie i imperialni urzędnicy – rodziny czekały na zewnątrz. Czas na gratulacje i pocieszenie miał przyjść później. Na razie Ciena, Thane i inni kandydaci byli zdani tylko na siebie.

– Nie mogłam spać – wyznała Ciena Thane’owi, gdy stali w pobliżu lewego krańca dziedzińca, wpatrując się w drzwi, w których miał się pojawić egzaminator z wynikami. – Nawet nie zmrużyłam oka.

– Ja też nie. – Thane uśmiechnął się krzywo. – Ale dzięki temu miałem czas, żeby obmyślić dla nas kilka planów awaryjnych.

Ciena uniosła ręce na znak protestu. Nie chciała nawet rozważać innych ścieżek kariery, bo uważała, że to przynosi pecha.

Thane prychnął.

– Daj spokój, Cieno. Jesteśmy po testach. Decyzja już zapadła!

Teraz nie możemy już zapeszyć.

Fakt. A poza tym, sądząc po tonie głosu Thane'a, te jego „plany” nie były na serio.

– No dobra. Powiedz.

– Jeden. Zostajemy słynnymi akrobatami.

– ...akrobatami?

– Słynnymi akrobatami. To żadna chluba być przeciętnym, nieznanym akrobatą. Jeśli mamy to zrobić, musimy zrobić to jak należy.

Egzaminator mógł wyjść w każdej chwili. Szmer tłumu robił się coraz głośniejszy, coraz bardziej nerwowy. Serce Cieny biło jak oszalałe, ale starała się dostosować do żartobliwego tonu Thane'a.

– Opuść. Jeszcze jakieś genialne pomysły na przyszłość? Mówiłeś, że to jest numer jeden.

– Dwa. Podróżujemy po galaktyce, grając na bębnach i wykonując taniec egzotyczny.

Ciena uniosła brwi.

– Wybacz, ale nie zostanę tancerką egzotyczną.

– A kto powiedział, że ty? Ja będę tańczył. Ty będziesz grać na bębnach.

Tym razem jej śmiech był szczery.

– Pod warunkiem, że ja ci zaprojektuję kostium.

– Hmm. To może lepiej przejdę do planu numer trzy...

Nagle Thane się wyprostował i otworzył szeroko oczy, bo drzwi się otworzyły i wyszedł z nich egzaminator. Jego czarny mundur zdawał się kraść całe światło słoneczne. Ciena poczuła ściskanie w dołku, ale tak jak wszyscy inni uczniowie stanęła natychmiast na baczność, zachowując absolutną ciszę.

W pobliżu zawisły droidy wzmacniające, które odbijały głos egzaminatora.

– Oto lista wszystkich kandydatów przyjętych do różnych akademii imperialnych. Do Akademii Imperialnej na Arkanisie...

Ciena niemal jęknęła. Wyczytywali w kolejności alfabetycznej z podziałem na szkoły? Mogli do samego końca się nie dowiedzieć, czy się dostali, czy nie. Wyobrażała sobie, jak mijają kolejne minuty,

a ona stoi tam na baczność, powoli uświadamiając sobie swoją porażkę. A potem wymyka się upokorzona. Porażka to nie było to samo co hańba, ale w tej chwili tak właśnie to odbierała.

Po kilku minutach – które i tak już zdawały się trwać wieczność – egzaminator się wyprostował.

– Do Akademii Imperialnej na Coruscant...

W całej galaktyce nie było bardziej prestiżowej szkoły. Żadna inna nie dawała tak dużych szans na karierę w imperialnej flocie gwiazdnej.

Ciena marzyła o dostaniu się do niej i pewnie dlatego wyobraziła sobie, że egzaminator wyczytuje jej nazwisko.

Ale nie. On naprawdę powiedział: „Thane Kyrell i Ciena Ree”. Oboje, razem!

Stała wciąż na baczność, ale kątem oka zerknęła na Thane’a. Jeśli on też to słyszał, musiała to być prawda. Faktycznie się uśmiechał, ale był to znudzony uśmiech, taki jak wtedy, gdy pokonał ostatnią przeszkodę na torze do WiS-u. Thane zamknął oczy i wyszeptał jakby do siebie:

– Spadam stąd. Już mnie tu nie ma.

Ciena wiedziała, dlaczego jej przyjaciel tak bardzo chciał uciec z tej planety. Ona nie podzielała tych obaw. Kochała surowe piękno Jelucana, braterstwo łączące mieszkańców dolin – podziwiała to wszystko. Jednak była w stanie opuścić ojczysty świat bez żalu.

Ona przed niczym nie uciekała. Podążała za swoim marzeniem o karierze imperialnego oficera i z radością rzuciłaby się w przestworza.

Dzień, w którym Thane opuścił Jelucan, wydawał się... idealny. Jakby wszystkie gwiazdozbiory wreszcie ułożyły się tak, by go stąd wyprowadzić. Rodzice pożegnali go w domu i nie odwozili go do kosmoportu, co przyjął z ulgą.

Wejście na statek na Coruscant okazało się tym przyjemniejsze, że była tam też Ciena, chociaż tak długo stała na rampie, ściskając się z rodzicami, że kapitan zagroził, że odleca bez niej. Ona i Thane połączyli siły, żeby dostać się do akademii, więc tym bardziej powinni

dotrzeć tam razem. Jeszcze tylko niezapomniana chwila, kiedy transportowiec zadrżał, wchodząc w nadprzestrzeń – ich pierwsze zetknięcie z prędkością nadświatlną – i oboje uśmiechnęli się do siebie z zachwytem.

Przybycie na Coruscant było jak uderzenie obuchem.

Thane zawsze wiedział, że Jelucan jest prowincjonalnym światem. Z holofilmów dowiedział się, że galaktyka jest o wiele większa i bardziej rozwinięta niż wszystko, co w życiu widział. Sądził więc, że nic go nie zaskoczy. Ale kiedy wysiadł ze statku i po raz pierwszy zobaczył Coruscant...

Budynki wznosiły się tak wysoko jak góry na Jelucanie. Mimo że przez różne szklane budowle przebijało się światło słoneczne, wszystko razem tworzyło efekt głębokiej klaustrofobii. Grunt majaczył niewiarygodnie daleko w dole, a niebo pocięte było na cienkie kawałeczki. Setki mniejszych statków przemykały lub wisały między drapaczami chmur, tworząc nieustanny zgiełk. Każdy z mieszkańców zdawał się zmierzać w jakimś kierunku i celu i doskonale się odnajdywać w tej ogromnej metalowej klatce, w tym mieście, które połknęło cały świat. Thane przestał wyglądać przez okna, by nie czuć się tak bardzo małym.

Początkowo zakładał, że Cienę przytłoczy to jeszcze bardziej. Całe dzieciństwo spędziła przecież w dolinach, w domach niewiele bardziej zaawansowanych od namiotów. Wydawać by się mogło, że to okaże się dla niej za wiele.

Tymczasem ona wydawała się wniebowzięta.

– To jest centrum wszystkiego – zachwycała się, gdy szli korytarzami kosmoportu, a droidy sygnalizacyjne przed nimi prowadziły ich w stronę promu akademii. – To jest jak... elektryczność, ta niesamowita energia dookoła. Czujesz to?

– Jasne – powiedział Thane. – Totalnie elektryczna.

Ciena obejrzała się na niego.

– Hej, nic ci nie jest?

Dotarli na prom razem z garstką innych kadetów i pochłonął ich wir zajęć związanych z pierwszym dniem w akademii: odebrali datachipy danych z niezbędnymi informacjami, poinformowano ich

o wieczornej ceremonii powitalnej, poznawali kadetów z innych światów. Imperialni oficerowie, sztywni i poważni w galowych mundurach, chodzili między nimi, podczas gdy prom wystartował i włączył się do oszałamiająco szybkiego ruchu powietrznego Coruscant. Thane musiał się powstrzymać, żeby nie wzdragać się za każdym razem, kiedy inny statek zbliżał się na odległość dwóch skrzydeł, ale najwyraźniej w metropolii obejmującej całą planetę piloci byli przyzwyczajeni do mniejszego marginesu błędu.

Wszystko nabrało jeszcze tempa, kiedy dotarli do samej akademii. Gdy nowi kadeci zeszli z promu, Thane zdał sobie sprawę, że są tam już setki studentów. Kolejne setki miały zapewne wylać się z innych promów, które podążały za nimi. Nie opuszczało go poczucie zagubienia. Kiedy zaś spojrział na Cienę, ona uśmiechała się coraz bardziej promiennie. Wkrótce rozdzielił ich tłum ludzi próbujących się zorientować, gdzie powinni się udać.

Datachip Thane'a zawierał lokalizację jego pokoju oraz informację, że zamieszka z dwoma współlokatorami. „Nie mogą być gorsi od Dalvena” – pomyślał, starając się podejść do tego pozytywnie.

Mimo wszystko, unosząc rękę, żeby zadzwonić do drzwi, Thane poczuł się niewiarygodnie mały.

Drzwi się otworzyły, ukazując szczupłego, czarnowłosego faceta o wąskiej twarzy i sztywnej postawie – tak prawidłowej, że Thane dopiero po chwili zorientował się, że to nie jest żaden administrator, tylko jeden z jego współlokatorów.

– To ty jesteś z tego, jak mu tam, Jelucana? – Kiedy Thane pokiwał głową, facet prychnął. – Po co dzwonisz do własnego pokoju? To idiotyczne.

– Uroczy, co? – odezwał się inny facet, najwyższy z całej trójki, chudy jak patyk, o pociągłej twarzy i długich brązowych włosach, które związał z tyłu głowy. Miał arystokratyczny akcent, ale jego uśmiech był zaraźliwy. – Pan Przyjemniaczek to Ved Foslo, rodowity Coruscańczyk...

– Oczywiście – wtrącił Ved, unosząc podbródek. – Mój ojciec, generał Foslo, pracuje w centrali wywiadu.

– ...i jak widzisz, wdał się w ojca: prześwietli każdego w ciągu

minuty od poznania. – Ved spojrzał na niego gniewnie, a dryblas podszedł bliżej i podał Thane'owi rękę. – Ja jestem Nash Windrider z Alderaana. A mój ojciec robi dywany. Jesteś pod wrażeniem?

– Wielkim. – Thane zdał sobie sprawę, że zaczął się uśmiechać. – Mój zajmuje się niezbyt uczciwą księgowością.

– Przydatne – stwierdził Nash. – Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz potrzebował sfałszować rachunki. Wejdz, rozgość się, to znaczy, na dolnej koi. Dwie najlepsze już zajęliśmy.

Nash, jak się okazało, był już na kilkunastu światach i parę razy odwiedzał Coruscant. Nawet nie pytał Thane'a, czy czuł się z początku onieśmielony; przyjął, że tak, i zapewnił go, że każdy się tak czuje, kiedy po raz pierwszy ląduje na tej planecie.

– Powinni rozdawać inhalatory w kosmoportach – powiedział Nash, gdy leżeli rozciągnięci na łóżkach w oczekiwaniu na ceremonię powitalną i kolację. – Albo środki uspokajające. Coś, żeby łatwiej było się z tym oswoić.

– Nie rozumiem, co jest takiego niezwykłego w Coruscant. – Ved cały czas zachowywał się sztywno, ale ogólnie nie wydawał się taki zły. – Naprawdę nigdy nie byłeś wcześniej w prawdziwym mieście? Ani żadnym innym ze Światów Jądra?

Thane już wiedział, że na uczciwości wyjdzie najlepiej.

– Nie. – Wyciągnął się na koi pod Vedem, próbując przyzwyczaić się do twardego materaca. – Nigdy nie byłem w mieście większym od Valentii na mojej planecie, a podejrzewam, że cała jej populacja zajęłaby z siedem piętér tego jednego budynku.

Nash założył ręce za głowę.

– Przyzwyczaisz się, Thane. Niedługo wszyscy będziemy imperialnymi oficerami i odwiedzisz setki światów, a kiedy wrócisz do domu, będziesz tak samo znudzony jak ten tutaj generalski synalek.

Ved rzucił Nashowi krzywe spojrzenie, ale Thane mimowolnie się roześmiał.

Ciena była przekonana, że polubi swoje współlokatorki i spodoba jej się powitanie, ale to popołudnie przerosło jej najśmielsze

oczekiwania. Stała przed lustrem zdumiona, widząc siebie w mundurze kadeta. Czarne buty, ciemne spodnie, ciemna kurtka – widok jak ze snu.

– Beznadziejne te buty – powiedziała jej współlokatorka, Kendy Idele, która stała nieopodal z nachmurzoną miną. – Chociaż ja w ogóle nie znoszę butów. Kiedy wychowujesz się na tropikalnym świecie, nie ma to jak chodzenie na bosaka.

– Wkrótce się do nich przyzwyczaisz – zapewniła ją trzecia dziewczyna, Jude Edivon. Jak Kendy była niska, tak ona była wysoka, i jak Kendy oraz Ciena były ciemne, tak Jude była blada. – Chodzenie na bosaka może być dobre na Iloh, ale na Coruscant? Zaraz miałabyś brudne nogi. Nie mówiąc o wysokim prawdopodobieństwie zadrapań, skaleczeń i potencjalnych zakażeń. Nie to, żeby higiena stała tu na niskim poziomie, ale sama wielkość populacji sugeruje...

– Znowu będziesz cytować statystyki? – jęknęła Kendy.

– To nic złego być maniakiem nauki – powiedziała Ciena. – Cytuj tyle statystyk, ile chcesz, Jude. Kendy i ja w końcu się do tego przyzwyczaimy.

Lekko piegowatą twarz Jude rozjaśnił uśmiech.

– Nasze osobowości wydają się kompatybilne. Myślę, że ty i ja będziemy się świetnie dogadywać.

– My też – zapewniła Kendy. – Nie zwracajcie uwagi na moje zrzędenie. Jestem po prostu zmęczona po podróży i za nic nie mogę sobie poradzić z tymi cholernymi warkoczami.

Ciena od lat spletała włosy w ciasne warkocze, odkąd tylko się dowiedziała, że to obowiązkowe uczesanie dla wszystkich długowłosych kadetek.

– Pokaż. – Ciemnozielone włosy Kendy były proste i jedwabiste, zupełnie niepodobne do gęstych loków Cieny, ale pomyślała, że warkocz to warkocz. – Nigdy nie próbowałaś ich zaplatać?

– Ani razu. Myślałam, że to będzie łatwe! – westchnęła Kendy. – Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy.

– Mogłabyś po prostu obciąć włosy na krótko, jak ja. – Jude nachyliła się bliżej. – To zapewnia optymalną efektywność.

Kendy zrobiła kwaśną minę.

– Na Iloh tylko małe dzieci noszą krótkie włosy. Zapuszczenie ich jest oznaką dorosłości. Nie ma mowy, żebym teraz je ścięła.

– Niedługo nabierzesz wprawy – zapewniła Ciena. – Nie masz wyboru, bo nie będę cię codziennie czesać.

– Nawet gdybym obiecała, że będę ci słać łóżko przed inspekcjami?

– Nie.

Jakimś cudem dotarły na ceremonię na czas i w nieskazitelnym mundurach. Na roku Cieny było ponad osiem tysięcy studentów – oszałamiająca liczba, ale dreszcz przeszedł ją na widok ich wszystkich ubranych w imperialne stroje, złączonych przez wspólny cel, wspólne marzenie. Wszyscy ci kadeci przybyli tam z setek światów, by stać się jak najlepszymi oficerami. Przybyli, by służyć Imperium, by uczynić galaktykę lepszą. Jej serce tak bardzo wrywało się z piersi, że musiała położyć na nim jedną rękę.

Czy Thane czuł się już lepiej? Na pewno. Szukała go wzrokiem w tłumie, ale na tym polega jedna z wad noszenia mundurów – trudniej rozróżnić ludzi.

Postanowiła odnaleźć go, gdy tylko zdoła – a potem pochłonęło ją przemówienie dyrektora akademii.

– Jesteście tutaj nie tylko po to, żeby uczyć się taktyki wojskowej czy ćwiczyć pilotowanie myśliwców – mówił komendant Deenlark, wymawiając wyraźnie każde słowo. – Oczywiście, to ważne umiejętności. Ale oczekujemy od was więcej. Nasi studenci mają stać się obywatelami Imperium. Myśleć o sobie w pierwszej kolejności jako o patriotach i żołnierzach. Czy potraficie przestać myśleć o sobie jako o obywatelach swojej ojczystej planety, a zacząć myśleć przede wszystkim jako imperialnych? Wyłącznie jako imperialnych? Czy potraficie uznać fakt, że najlepiej chronić i służyć światu, z którego pochodzicie, możecie wzmacniając Imperium, do którego należy?

Ciena nigdy nie myślała o przynależności do Imperium jako konieczności wyrzeczenia się Jelucana. Ale być może niektórzy studenci pochodzili ze światów, gdzie działali zbuntowani senatorowie – z miejsc niełojalnych wobec Imperatora. Oni mogli potrzebować zapewnienia, że i dla nich jest miejsce w akademii.

– Niektórzy z was przybyli tu razem z przyjaciółmi – ciągnął Deenlark – albo mają starsze rodzeństwo w imperialnych służbach. Waszą naturalną skłonnością będzie szukanie tych osób przy każdej okazji i poleganie na tych relacjach, które już macie. Ale gdybyście mieli się do nich ograniczać, to równie dobrze moglibyście zostać w domu, prawda?

Parę osób zaśmiało się posłusznie, ale Ciena poczuła ukłucie. Ona i Thane mieli w ogóle nie spędzać ze sobą czasu? W ogóle?

No cóż. „W ogóle” to chyba przesada, stwierdziła. Wykładowcy nie chcieli po prostu, żeby polegali na sobie całkowicie.

A jednak ona i Thane to właśnie robili przez minione osiem lat.

Po ceremonii i kolacji studenci przechadzali się, zapoznając się ze sobą nawzajem i – czasami – niezbyt subtelnie oceniając konkurencję. Ciena chciała odnaleźć Thane’a, chociaż mówiła sobie, że nie powinna.

Na szczęście on odnalazł ją.

– Oboje planujemy służyć Imperium do końca życia – powiedział Thane, kiedy usiedli w fotelach zwróconych w stronę skrzącego się miejskiego krajobrazu. – Nigdy nie wrócimy na Jelucana, przynajmniej nie żeby tam mieszkać. Więc nie musimy się martwić o „życie przeszłością”, czy jak Deenlark to ujął.

Thane miał czasem bardzo lekceważący stosunek do autorytetów i zasad, ale Ciena podejrzewała, że w tej kwestii, z grubsza rzecz biorąc, ma rację.

– Wygląda na to, że część zajęć będziemy mieć razem, a część osobno. Więc oboje mamy szansę odnaleźć się tu po swojemu.

– Na początku przeraziło mnie to miejsce – wyznał Thane. – Ty mieszkałaś na głębszej prowincji niż ja, ale nawet przez chwilę nie wyglądałaś na speszoną. Jak to możliwe?

Choć tylko żartował, Ciena odpowiedziała mu serio.

– Byłam gotowa na Coruscant, bo zawsze marzyłam, żeby się tu znaleźć. Ty nie byłeś gotowy, bo... bo chyba marzyłeś głównie o tym, żeby uciec z Jelucana.

Thane milczał przez chwilę i Ciena zaczęła żałować wypowiedzianych słów. Ale on pokiwał głową.

– Masz rację.
– Ale dzieliliśmy najważniejszą część marzenia – powiedziała Ciena.

– Nie tylko to. Pomogliśmy sobie nawzajem się tu dostać. To nie przypadek, że oboje nas przyjęli do Akademii Imperialnej, wiesz? Latając razem, ucząc się razem, staliśmy się o wiele lepsi, niż bylibyśmy osobno.

Ciena poczuła ściskanie w gardle.

– Tak. To prawda.

Thane pokręcił z uśmiechem głową, jakby nie dowierzając, jak daleko już zaszli lub jak wiele było jeszcze przed nimi.

– Teraz kolej na akademię, żeby uczyniła nas jeszcze lepszymi.

– Żeby zrobiła z nas oficerów. Tak się stanie.

– Żebyś wiedziała.

W oknie wychodzącym na coruscancką noc odbijały się delikatnie ich sylwetki, które nakładały się na budynki i poduszki. Ciena widziała siebie obok Thane'a, oboje w sztywnych, nieznajomych kurtkach i butach, które im dzisiaj przydzielono. Wcześniej zawsze wyglądali tak różnie: Thane – wysoki i blady, zawsze w jaskrawym, eleganckim stroju drugofalowca, Ciena – ciemna i szczupła, w prostym, ręcznie tkanym ubraniu z doliny. Teraz mieli na sobie takie same mundury i każdy mógł zobaczyć, że w najważniejszych kwestiach są tacy sami.

Siedzieli tak jeszcze przez chwilę, a potem wstali. Thane się uśmiechnął i wyszeptał:

– Dasz radę.

– Ty też – odparła Ciena. Nie musieli na sobie polegać. Byli więcej niż gotowi do lotu.

A potem odwrócili się każde w swoją stronę i wmieszali w tłum, żeby poznawać nowych ludzi i stać się obywatelami Imperium, którymi zawsze chcieli być.

Rozdział 3

Jeśli kursy przygotowawcze do imperialnych akademii wydawały się ciężkie, nawał zajęć w Akademii Imperialnej na Coruscant okazał się potworny.

Swobodna, życzliwa atmosfera pierwszego dnia trwała właśnie tyle – tylko jeden dzień. Fizyka, matematyka, pilotaż, wychowanie fizyczne: każdy możliwy test wystawiał studentów na ciężką próbę, za każdym razem. Grupy kurczyły się mniej więcej o połowę każdego roku w ciągu trzyletniego programu. Tylko nieliczni mogli ukończyć akademię i rywalizacja o to, by znaleźć się wśród tych nielicznych, była zaciekle. Żadnych spóźnień, wagarów ani nawet rozmów na wykładach; jeśli chciałeś utrzymać się w akademii i zostać kiedyś oficerem, nie mogłeś sobie pozwolić nawet na chwilę rozluźnienia. Każdego dnia trzeba było dawać z siebie wszystko.

Po dwóch miesiącach na pierwszym roku Thane stwierdził, że nigdy w życiu nie bawił się tak dobrze.

– Chyba żartujesz – wysapał Nash, gdy obaj robili dziewiąte okrążenie wokół Podniebnej Pętli, toru na dachu akademii, wysoko nad zgiełkiem Coruscant. Na budynku osiadła chłodna chmura, spowijając ich w bladą mgłę. – Wstawanie o świcie, odrabianie pracy domowej do północy, ćwiczenia aż do porzygania? To ma być zabawa?

Thane uśmiechnął się, ocierając pot z czoła.

– Żebyś wiedział.

– Jeśli tak się bawią na Jelucanie, to na wakacje się tam nie wybiorę. – Minęli linię mety i zwolnili do truchtu, aż w końcu się zatrzymali. Nash się pochylił, opierając dłonie o kolana, i wziął kilka głębokich oddechów. – Musisz kiedyś polecieć ze mną na Alderaana – dodał. – Uwierz mi, pokażemy ci, że można się lepiej bawić.

Nash nie rozumiał. Nie mógł tego zrozumieć. Gdy szli w stronę szatni, Thane spróbował ubrać to w słowa.

– Przez większą część mojego życia musiałem o wszystko walczyć

z rodzicami, nawet o przygotowania do egzaminów na akademię. Musiałem się wymykać, żeby poćwiczyć latanie z Cieną. Dasz wiarę?

– Poważnie? – Nash pokręcił głową z niedowierzaniem. Jego szara koszulka pociemniała od potu. – Przecież Ciena Ree jest tutaj jednym z najlepszych pilotów. Mógłbyś zwiedzić dwadzieścia różnych światów i nie znaleźć nikogo lepszego, z kim mógłbyś polatać.

Czy był sens wyjaśniać podział między ludźmi z dolin i drugą falą osadników na Jelucanie? Thane postanowił to pominąć. Wykładowcy z akademii krzywo patrzyli na myślenie w kategoriach ojczystego świata.

– Chodzi o to, że po raz pierwszy w życiu mogę realizować swoje marzenia i nikt mi w tym nie przeszkadza.

Nash westchnął.

– Brzmi niewesoło. Na Alderaanie wszystkich zachęca się do nauki i rozwoju. Edukacja jest darmowa, a ludzie dobrowolnie uczą różnych umiejętności i rzemiosł, tak dla przyjemności. Oczywiście kiedyś w całym Imperium to stanie się standardem.

Thane się roześmiał, na co Nash zmarszczył brwi.

– Co cię tak śmieszy?

– Ty, skoro myślisz, że dzięki Imperium cała galaktyka będzie się pławić w kwiatkach i blasku gwiazd.

– Od tego chyba jest Imperium, nie? – Nash spróbował otrzeć pot z twarzy koszulką, ale kiedy zobaczył, że ta jest jeszcze bardziej mokra od potu, skrzywił się tylko i pozwolił mu skapywać. – Żeby brać to, co najlepsze, z każdego świata, z każdej kultury i rozpowszechniać to we wszystkich systemach.

Thane wzruszył ramionami.

– W Republice Galaktycznej też o to chodziło. A przynajmniej tak im się pewnie na początku wydawało. Ale z czasem wszystko się sypie.

– Tylko nie mów tego przy wszystkich, dobra? – Nash rozejrzał się dookoła, ale nikogo w pobliżu nie zauważył. – Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś nielojalny. Podczas gdy ja, jako twój przyjaciel, wiem, że jesteś po prostu cyniczny.

– Przyznaję się. – Thane nauczył się tej skutecznej gry pozorów za

pierwszym razem, kiedy jego rodzice publicznie podlizywali się tym samym ludziom, których wyśmiewali na osobności.

– No cóż, kiedyś polecisz ze mną na Alderaana i sam się przekonasz, jak tam jest wspaniale. Nawet twój cynizm prysnąłby w moim świecie.

Thane widział, że Nash tęskni za domem, więc postanowił wziąć jego przechwałki na temat Alderaana za dobrą monetę... na razie.

– Brzmi zachęcająco. Chętnie bym się kiedyś wybrał.

– Tylko poczekaj, przyjacielu. Będziesz zachwycony.

Tak więc Thane miał w perspektywie podróż na Alderaana. Tymczasem każdy ze światów, o których się uczył, stał się potencjalnym celem; to, co zrodziło się z prostego pragnienia opuszczenia Jelucana, przeobraziło się w autentyczne zamiłowanie do podróżowania. Kariera w imperialnej flocie miała mu pozwolić stanąć w głębokich śniegach lodowych planet, zanurzyć się w bezkresnych oceanach wodnych światów, wygrzewać się w piekącym skwarze na plaży binarnego systemu gwiazdowego.

I codziennie mógł latać, czasami przez cały dzień. Oczywiście na tym etapie kadeci korzystali głównie z symulatorów, ale symulatory w akademii działały na takim poziomie zaawansowania, jakiego Thane nigdy wcześniej nie widział. (Zresztą wszystko było lepsze od starego, gównianego V-171). Z zewnątrz symulatory miały wygląd surowych kul z ciemnego metalu; w środku na kadetów czekały dokładnie odwzorowane kabiny, świecące tablice przyrządów oraz ekrany ukazujące trójwymiarowe obrazy gwiazdowego krajobrazu lub planetarnej atmosfery, w których mieli danego dnia ćwiczyć.

Wrażenie lotu było absolutnie autentyczne, a wyzwania, z jakimi musieli się mierzyć – bardziej bezpośrednie, przerażające i liczniejsze niż te, które mogły na nich czekać w rzeczywistości. Jednego dnia Thane musiał sprowadzić myśliwiec TIE z przestrzeni kosmicznej w atmosferę planety o grawitacji tak silnej, że mogłaby zmiażdżyć człowieka. Następnego prowadził śmigacz śnieżny w zamieci, przy wietrze, który groził zerwaniem metalowej powłoki z kadłuba. Niektórzy studenci panikowali, przejmowali się swoimi ocenami albo perspektywą zmierzenia się z takimi wyzwaniami w rzeczywistości.

Thane w istocie czuł się bardziej zrelaksowany, kiedy pilotował. Nie mógł się doczekać prawdziwych lotów. Siedzenie za sterami statku było najczystsza formą przyjemności, jaką znał.

Połączenie entuzjazmu i spokoju znajdowało też odzwierciedlenie w jego wynikach. W rankingach pilotażu Thane zajmował zawsze jedno z czołowych miejsc...

...a jedno z nielicznych nazwisk, jakie kiedykolwiek pojawiały się nad nim, należało do Cieny Ree.

Śmiali się z tego wspólnie, gratulowali sobie nawzajem zwycięstw i z dumą zapowiadali, że następnym razem odzyskają tytuł. Ciena stała się jego rywalką, ale życzliwą. Na ogół widywali się w ciągu dnia, albo na zajęciach, albo w głównej kantynie akademii. Chociaż równowaga między utrzymaniem ich przyjaźni a zostaniem „obywatelem Imperium” była krucha, miał wrażenie, że ją znaleźli. Spotykali się zazwyczaj na krótko, jednak udawało im się pobyć ze sobą kilka razy w tygodniu – wtedy zapominali o swojej rywalizacji. Thane wiedział, że stają się wciąż coraz lepsi, starając się dorównać jedno drugiemu; nawet w akademii on i Ciena zmuszali się nawzajem do maksymalnego wysiłku.

– To idiotyczne – prychnął pogardliwie Ved Foslo pewnej nocy, po tym, jak Ciena odzyskała pierwsze miejsce. – Wyprzedziła cię w klasyfikacji. Dlaczego tak się cieszysz, że dzięki rywalizacji staje się lepszą pilotką? Powinieneś starać się ją pokonać, a nie jej pomagać.

– Wśród absolwentów jest miejsce dla nas obojga – odparował Thane, który siedział na brzegu koi, polerując buty do munduru. – A poza tym czy nie chodzi o wyszkolenie jak najlepszych imperialnych oficerów? W ten sposób Imperium zyska dwóch świetnych pilotów zamiast jednego.

Ved pokręcił głową.

– Kiedyś zrozumiesz.

Nash zaśmiał się spod cienkiego szarego koca na swojej koi.

– Przyznaj się, Ved. Złócisz się, bo Thane i Ciena zawsze są wyżej od ciebie! Mimo że twój ojciec jest... jaki ma stopień, przypomnij mi.

– Dobrze wiesz – powiedział Ved. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie, że regularnie przegrywa nie z jednym, ale z dwójką

dzieciaków z jakiejś skały na Zewnętrznych Rubieżach. Bez słowa zapiął swoją piżamę pod szyję, tak jak robił co wieczór. Ten facet nigdy się nie rozluźniał.

Poza tym jednak Ved nie był złym współlokatorem. Był czysty, nie chrapał i chętnie objaśniał zawilności kultury wojskowej na Coruscant. Z kolei między inspekcjami pokojów Nash rozrzucał wszędzie swoje rzeczy, robiąc prawdziwie spektakularny bałagan, ale pomijając kilka kłótni o brudne skarpety Nasha rzucone na czyjąś szczoteczkę do zębów, on i Thane byli najlepszymi przyjaciółmi.

Jednak najlepszym, co spotkało Thane'a w pierwszych miesiącach w akademii, było spotkanie z Dalvenem.

Przez większość życia Thane był przeciętnego wzrostu jak na swój wiek. Czasami patrzył z przygnębieniem na swoją posagową matkę, roślego ojca i tyczkowatego starszego brata. Myślał, że tu także wszyscy będą patrzeć na niego z góry. Jednak kilka miesięcy przed pójściem do akademii jego ciało zaczęło nadrabiać stracony czas. W nocy bolały go kości nóg, ciągle był nienajedzony, a trzy miesiące po rozpoczęciu nauki potrzebował już nowego munduru.

Stojąc w magazynie i czekając w kolejce po większe buty, usłyszał bezbarwny głos droida:

– Chorąży Kyrell, H-J-Dwa-Dziewięć-Zero, paczka gotowa.

Thane zmarszczył brwi. Przecież był tylko kadetem, a jego numer identyfikacyjny to AV547. A jednak był pewien, że usłyszał nazwisko Kyrell...

I wtedy z tłumu czekających oficerów wyszedł Dalven, który pospiesznie odebrał paczkę z mundurem. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo się spieszył, ale kiedy się odwrócił i zobaczył swojego młodszego brata, zastygł w bezruchu, jakby przerażony.

– Dalven? – Thane nie wiedział, co powiedzieć. „Miło cię widzieć”? W to nie uwierzyłby żaden z nich.

– No. Proszę. Jeszcze nie wymiękłeś. Zdziwiająca. – To mówiąc, Dalven uniósł podbródek, najwyraźniej szykując się do odejścia, ale Thane stał mu na drodze i nie miał zamiaru się ruszyć.

– Chorąży? Przecież mówiłeś, że zostałeś porucznikiem.

Dalven się zaczerwienił.

– Ja... no... lada dzień powinienem dostać awans.

Thane pokiwał głową.

– No tak. Jasne. Pewnie dlatego odbierasz nowy mundur...

Urwał, widząc nadrukowaną etykietę na zawiniątku w dłoniach Dalvena: PERSONEL BIUROWY/KLASA TRZECIA.

– Żegnaj. – Dalven wyszedł pospiesznie, najwyraźniej zdecydowany udawać, że Thane niczego nie widział.

Może to niezbyt chwalebne, nawet małostkowe, ale świadomość, że jego butny starszy brat nadawał się bardziej do pracy przy biurku niż do służby na gwiazdnym niszczycielu, bardzo Thane'a ucieszyła.

Tego popołudnia, gdy szedł na Podniebną Pętlę pobiegać, wyobrażał sobie, jak opowiada Cienie o tym spotkaniu. Dziewczyna nie znosiła Dalvena prawie tak samo jak on; Thane miał niemal wrażenie, że słyszy jej śmiech, widzi błysk satysfakcji w jej ciemnych oczach.

A potem wyszedł na tor i zobaczył innych kadetów, którzy także robili dodatkowe ćwiczenia, a wśród nich Cienę.

Miała na sobie to samo co wszyscy pozostali kadeci: szarą koszulę, czarne szorty i regulaminowe buty. Ciena była tylko jedną z kilkudziesięciu osób, na samym końcu toru. A jednak od razu ją rozpoznał – mimo dzielącej ich całej długości Podniebnej Pętli i oślepiającego słońca. Thane rozpoznał jej sposób biegu, kształt jej czarnych loków, upiętych na karku.

„Jest piękna” – pomyślał i ta myśl go zaskoczyła, a potem sprawiła, że poczuł się głupio. Jak mógł tego nie dostrzec w dziewczynie, którą widywał prawie codziennie przez ostatnie osiem lat? Ale to właśnie o to chodziło. Thane znał Cienę zbyt dobrze, żeby patrzeć na nią obiektywnie. Jej twarz wyglądała równie znajomo co jego własna, widziana w lustrze – przynajmniej do teraz.

Świadomość własnej ślepoty go zaniepokoiła. Miał wrażenie, jakby Ciena w jakiś sposób się zmieniła i powinna była go o tym uprzedzić. Możliwości, których wcześniej nie chciał rozważać, teraz zawładnęły jego myślami, możliwości, które były zarazem ekscytujące i przerażające. Poczuł na skórze ciarki, które zawsze kojarzyły mu się z lotem, z tą chwilą, kiedy odrywał się od ziemi i wzbijał się

w niebo...

Thane postanowił więcej o tym nie myśleć. Zamiast tego pobiegnie najszybciej, jak potrafi, aż będzie półprzytomny ze zmęczenia. A kiedy znów zobaczy się z Cieną, normalnie z nią porozmawia, tak jak zawsze. Nic nie musiało się zmieniać.

Rozdział 4

Strzelanie z broni ręcznej nigdy nie było czymś, o czym Ciena marzyła, ani czymś, co ćwiczyła, i jej początkowe wyniki ze strzelania, choć dostateczne, obniżały jej pozycję w ogólnym rankingu. Dlatego też spędzała dużo wolnego czasu na strzelnicy z treningowym karabinem laserowym, pracując wytrwale nad poprawieniem celności.

Albo, tak jak dziś, próbując pracować, w czym nie pomagały jej współlokatorki.

– To tylko spostrzeżenie – powiedziała Kendy, starając się wyglądać niewinnie, co zupełnie jej nie wychodziło. Stała na sąsiednim stanowisku, a jej biały kombinezon treningowy kontrastował z czarnymi, metalicznymi powierzchniami strzelnicy. – Przyznaj, że Thane dobrze ostatnio wygląda.

Ciena skoncentrowała się na holograficznym celu zmierzającym w jej stronę i oddała trzy strzały w jego głowę. Dopiero kiedy cel rozpadł się na drobne linie światła, odpowiedziała:

– No... zaokrąglił się.

– To normalny etap rozwoju fizjologicznego. – Jude siedziała na ławce za stanowiskami strzeleckimi, rozbierając swój karabin laserowy, żeby sprawdzić, jak szybko potrafi go złożyć z powrotem. – Chociaż muszę przyznać, że w przypadku Thane'a ten rozwój przebiega bardzo harmonijnie.

– Dziewczyny, dajcie spokój. Nie mogę celować, kiedy się śmieję.

Ale Kendy nie chciała zostawić tego tematu.

– Naprawdę nie jesteś nim ani trochę zainteresowana?

– Relacje uczuciowe lub seksualne między kadetami są zabronione.

– Jude wydawała się czasem bardzo pruderyjna. – Poza tym Ciena zna Thane'a od dziecka. Można chyba zakładać, że w tym momencie są dla siebie jak brat i siostra, więc nie powinien występować między nimi pociąg.

„Thane nie jest moim bratem. To zupełnie nie tak”. Ciena

otworzyła usta, żeby to powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Jeśli przyjaciółki pomyślały, że tak właśnie traktuje Thane'a Kyrella, skończą z tym wiecznym wypytywaniem.

Rzecz w tym, że sama nie wiedziała już, co o nim myśleć. Wcześniej przebywali ze sobą na okrągło i nigdy nie miała chwili, żeby się zastanowić, czy między nimi może się coś zmienić – a jeśli tak, to w jaki sposób. Życie każdego z nich wydawało się teraz równocześnie bardziej podobne i bardziej odrębne niż kiedykolwiek wcześniej.

Kiedy Thane wyprzedzał ją w rankingach – lub vice versa – patrzyli na siebie z udawaną złością, która nie była do końca udawana. Czasami Cienie wydawało się, że może znieść porażkę z każdym, tylko nie z Thane'em. A jednak następnego dnia, kiedy widziała, jak dobrze mu poszło, jej twarz rozjaśniał uśmiech. Widziała, jak kibicuje jej w wyścigach, a ona kibicowała jemu. Ich rywalizacja wytwarzała napięcie, które mogło stać się nieprzyjemne albo mogło doprowadzić...

„Skup się – upomniała się Ciena. – Przyszłaś tu postrzelać”.

Po hologramach przyszedł czas na droidy – kilkanaście małych kulek, które latały po całej strzelnicy. Ciena strzelała, wypuszczając czerwone wiązki ze swojego karabinu dotąd, aż zestrzeliła wszystkie.

– Dużo lepiej – powiedziała Jude, niepotrzebnie, gdy wynik Cieny pojawił się na ekranie powyżej. – Twoje wyniki przekraczają już średnią dla naszego roku. Niedługo będziesz w górnej ćwiartce.

– Wtedy będziesz mogła stanąć w jednym szeregach ze strzelcami wyborowymi, takimi jak ja. – Kendy zakreśliła swoim blasterem jak jakiś pirat z holofilmu o przemytnikach przyprawy i schowała go do kabury. Ciena parsknęła śmiechem.

Nie miała wątpliwości, że opanuje strzelanie. Nie była to arogancja – wymagania imperialnej akademii codziennie uświadamiały dziewczynie jej ograniczenia. Wiara Cieny płynęła z czystej radości, jaką czerpała z akademii i samej Coruscant. Wprawdzie kochała swoje życie w dolinach Jelucana i tęskniła za nim, jednak jej wszechświat rozszerzył się po stokroć i każda jego nowa część wydawała jej się cudowna. Chodzić korytarzami z przedstawicielami tuzina różnych

ras; słyszeć rozmaite języki z ich obco brzmiącymi sylabami, gwizdnięciami i młaśnięciami; patrzeć w niebo i dostrzegać codziennie kilkanaście różnych typów statków – to wszystko ją fascynowało.

Czasami Ciena miała wrażenie, że nieustannie szepcze do swojej zmarłej siostry. „Patrz moimi oczami”. Wszechświat krył niezliczone cuda, a ona wreszcie miała szansę zobaczyć je wszystkie.

Zdarzały się jednak też chwile, kiedy czuła się winna. Ciena przyłapywała się czasem na tym, że myśli o dawnych warunkach swojej egzystencji jako... zacofanych. Nie, nie miała takich luksusów jak drugofalowcy, ale specjalnie jej na nich nie zależało. Wiodła w dolinach szczęśliwe życie. Poza tym trudna sytuacja rodzinna Thane'a uświadomiła jej, że bogatsi nie muszą być wcale szczęśliwsi.

A zatem nie kusił jej względny splendor Coruscant. Chodziło o bogactwo tutejszego życia, energię, jaką czuło się w powietrzu, brak jakiegokolwiek potrzeby rytuału. Jednak z każdym krokiem naprzód zadawała sobie pytanie, czy nie zostawia za sobą tradycyjnych wartości.

Nie do końca. Nigdy nie wyzbędzie się pojęcia honoru, absolutnej konieczności dotrzymywania słowa, bez względu na okoliczności. To budowało ją w nie mniejszym stopniu niż jej kości. Zawsze będzie nosić w sobie swoją siostrę, pozwalając Wynnet patrzeć jej oczami.

Jednak teraz perspektywa Cieny poszerzyła się na zawsze.

Nie patrzyła już przez wąski pryzmat podziału na drugą falę i doliny. Ta ogromna różnica, jaką widziała kiedyś między sobą a Thane'em – to było nic. Ona nie istniała.

Ale Ciena tak długo wierzyła w ten podział, że sama nie wiedziała, co myśleć, kiedy zniknął.

W końcu przyszedł czas na prawdziwe latanie.

– Najwyższy czas – powiedziała Ciena do Thane'a, który przyszedł do hangaru wcześniej, tak samo jak ona. Zauważyła, że podszedł do niej bliżej, niż mógłby to zrobić jakikolwiek inny kadet, naruszając jej prywatną przestrzeń.

– Na co? – spytał pośpiesznie, odsuwając się od niej, jakby obawiał

się porażenia prądem. – To nie jest na nic czas.

– ...najwyższy czas, żebyśmy polatali. – Ciena popatrzyła na niego. Thane uśmiechnął się niepewnie.

– Ach, tak. Oczywiście. Zdecydowanie na to już czas. To znaczy... nieważne.

Dlaczego tak dziwnie się zachowywał? Z drugiej strony Ciena zdała sobie sprawę, że sama trzyma się za ramiona, jakby to był zimny poranek na Jelucanie. Ona i on wciąż dobrze się dogadywali, ale zaczęli miewać te momenty dziwaczego zachowania.

Może jedna z jej przyjaciółek powiedziała komuś, że plotkowały na strzelnicy o tym, jaki jest atrakcyjny. Jude ani Kendy nie obgadywałyby jej za plecami, ale Jude mogła być na tyle nieuważna, żeby palnąć coś przy Nashu czy Vedzie. To by było najgorsze – zwłaszcza że przez to Thane jakby się od niej odsuwał.

„Mówiłam, że między nami nic nie ma. Więc nie powinien się zachowywać w ten sposób. Chyba że chciałby, żeby między nami coś było. Ale chyba nie chce, prawda?

A ja?”.

Ciena otrząsnęła się z tych myśli. Mama zawsze jej powtarzała, żeby nie martwić się na zapas. Nie pora się teraz nad tym zastanawiać. Musiała skupić się na lataniu.

– Ćwiczyliście wiele razy na symulatorze skutera repulsorowego – powiedział komandor, który nauczał latania małymi pojazdami. Kilkudziesięciu pilotów z grupy Cieny, w tym jej współlokatorki i współlokatorzy Thane’a, stało w hangarze mieszczącym się w ogromnym gmachu akademii. Na zewnątrz zapadł już mrok i migotały światła Coruscant. – To najbardziej podstawowy typ statku niskopułapowego, a zatem pierwszy, z którym powinniście się zapoznać. Żaden kadet na roku nie powinien mieć trudności z obsługą skutera.

Ciena starała się nie okazywać podniecenia. Miała już dość symulatorów; była gotowa do lotu. A skutery repulsorowe wydawały się takie łatwe...

Komandor jakby słyszał jej myśli, bo dodał:

– Aby wasz pierwszy lot był dla was zarówno pamiętnym

wydarzeniem, jak i wyzwaniem, wprowadziliśmy element rywalizacji. Wyścig.

– Jest jakaś nagroda? – zawołał Nash Windrider, wywołując salwę śmiechu. W przeciwieństwie do innych wykładowców instruktor pilotażu pozwalał od czasu do czasu na nieco luzu. Mówił, że wzmacnia to „ducha bojowego”, którego powinni w sobie pielęgnować.

Komandor nawet się lekko uśmiechnął, odpowiadając:

– W istocie, kadecie Windrider, ale powinniście najpierw poznać zadanie, zanim się za nie zabierzecie. – Na środku hangaru pojawił się hologram ukazujący trójwymiarowy plan okolic akademii. Drobne, ale jaskrawe punkciki migwały w dziesięciu różnych miejscach, od samego dołu aż po Podniebną Pętlę. – To, co tu widzicie, to Bramki Reitgena; każda z nich jest wystarczająco duża, żeby bez problemu zmieścił się w niej pojedynczy skuter. Oczyszciliśmy okoliczną przestrzeń powietrzną, więc możecie wybrać własną trasę i musicie uważać jedynie na pojazdy kolegów.

„Najpierw najdalsza – natychmiast postanowiła Ciena. – Większość ludzi rzuci się do najbliższej bramki, więc będziesz miała wolną drogę. Potem prześlizgniesz się między nimi w drodze powrotnej”.

– Pierwszy, kto zaliczy wszystkie dziesięć bramek, dostanie pięćdziesiąt punktów do rankingu – zakończył komandor.

Wśród kadetów rozległ się szmer niedowierzania i podniecenia. Pięćdziesiąt punktów! To więcej, niż można było zdobyć za dwa albo nawet trzy egzaminy. Kadeci, którzy plasowali się nisko w rankingu, wiedzieli, że to pozwoliłoby im odbić się od dna. Ciena tymczasem myślała tylko o jednym: „To by załatwiło sprawę. Wskoczyłabym na pierwsze miejsce, z dużą przewagą nad całą resztą”.

– Nie możecie się doczekać? – spytał komandor. – Zatem ruszajcie do pojazdów i czekajcie na sygnał!

Ciena popędziła do swojego skutera i włączyła silniki. Następnie sprawdziła pasek swojego ciemnoszarego kasku i ochraniacze na przedramionach, łydkach i udach. Najważniejszy był pas repulsorowy, który powinien się włączyć, gdyby spadła ze skutera. Ale nie zamierzała spaść.

„Wygram to” – powiedziała sobie, chwytając za kierownicę. Przez fakturę rękawic czuła przyrządy kontrolne. Miała wrażenie, że silnik wibruje pod nią z podniecenia, tak jakby to było żywe stworzenie, a nie maszyna.

Światła nad jej głową stopniowo jaśniały. Wstrzymała oddech. A potem zobaczyła olśniewający błysk, który był sygnałem do startu.

Ciena dodała gazu i wszyscy razem wylecieli z budynku niczym chmara dardanelliańskiej szarańczy – ale gdy dziewczyna tylko znalazła się na zewnątrz, odłączyła się, redukując prędkość, żeby jak najmniej osób zauważyło jej tor lotu i przejrzało jej plan. Podczas gdy większość skuterów pomknęła w kierunku najbliższej bramki, Ciena zawróciła, kierując się z maksymalną prędkością w stronę najodleglejszego celu.

Nie była jednak całkiem sama. Kilku innych kadetów przyjęło podobną strategię – i oczywiście jednym z nich był Thane. Nachylając się nad kierownicą, zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się, po czym odbił gwałtownie w bok.

Ciena roześmiała się na głos. Znów było jak dawniej: zapowiadała się świetna zabawa.

Cała trudność w tym wyścigu nie polegała na manewrowaniu skuterem – lekki pojazd dobrze reagował na ruchy pilota. Wyzwaniem był natomiast wybór najlepszej trasy. Aby zapewnić odpowiednią równowagę, skutery repulsorowe należało utrzymywać nie więcej niż dwadzieścia metrów nad ziemią, ewentualnie jakąś inną płaską powierzchnią, taką jak duży statek, maszyna – lub budynek. Ciena wjechała na najbliższą ogromną budowlę i balansując skuterem nad jej lśniąca powierzchnią, pomknęła pionowo w górę z taką prędkością, jakby grawitacja na nią nie działała. Świecące okna przemykały pod nią falami niczym słońce odbijające się w wodzie.

„Zmiana!”. Ciena poprowadziła skuter po spirali, ponad przetykaną tunelami otchłanią, aż znalazła się w odległości kilku metrów od innego, wyższego budynku, który mogła wykorzystać do utrzymania równowagi. To pozwoliło jej lecieć wyżej i szybciej, a wiatr smagał ją po twarzy. „Dobrze, że mam gogle” – pomyślała...

...a potem zakłęta w duchu, widząc obok siebie inny skuter, który

oczywiście należał do Thane'a.

– Będzie ostro! – krzyknął do niej, ledwie przekrzykując świst powietrza i szum silników.

– Za ostro dla ciebie! – odkrzyknęła, po czym zaśmiała się, pokonując pod ostrym kątem górną krawędź budynku. Przed sobą zobaczyła pierwszą bramkę świecącą jasnym żółtym światłem, unoszącą się nieco ponad dachem. Przyspieszyła, celując w sam środek bramki, i... wydała stłumiony okrzyk, gdy skutery jej i Thane'a się zderzyły.

Nie zrobił tego celowo. Ona też nie. Oboje byli tak bardzo skupieni na celu, że przestali obserwować siebie nawzajem. Samo zderzenie nie stanowiło wielkiego problemu – skutery repulsorowe były tak skonstruowane, by znosić takie czy nawet gorsze kolizje – ale ku swojemu przerażeniu Ciena zauważyła, że przednie łopatki kierunkowe ich skuterów się szczyły.

– Odbij! – krzyknął Thane, rozpaczliwie szarpiąc swoim skuterem w prawo. Ona próbowała szarpnąć w lewo, ale zdołali jedynie zakołysać pojazdami. Nie dało się ich rozdzielić w locie. Musieli się zatrzymać i wylądować, tracąc szansę na zwycięstwo.

Ciena zachłysnęła się, widząc, jak blisko byli Bramki Reitgena. Zbyt blisko, żeby ją ominąć – byli o włos od zderzenia, przed którym nawet pole repulsorowe nie mogło ich ochronić.

Instynktownie wycelowwała w sam środek bramki; obok Thane zrobił dokładnie to samo w dokładnie tej samej chwili. Przemknęli przez bramkę, mając niecałe pół metra zapasu po obu stronach.

Jej pierwszą myślą było to, że mają szczęście, że jeszcze żyją. Ale potem zdała sobie sprawę, że o ile szczipione łopatki utrudniały sterowanie, o tyle nie wpływały na równowagę ani prędkość.

Gdyby znalazła się w tej sytuacji z jakimkolwiek innym kadetem, zatrzymałaby się i wycofała z wyścigu. Ale z Thane'em... wiedziała, jakim jest dobrym pilotem, wiedziała, jak lata. Czy mieli odwagę, żeby spróbować?

– Zróbmy to! – krzyknęła.

– Jak? Tak? – Thane zbliżył jedną rękę do włącznika zasilania, ale zawahał się, rozważając ten pomysł. Znów zobaczyła na jego twarzy

uśmiech. – Dobra, lecimy!

Ciena skierowała się w stronę następnej bramki, tak samo jak Thane. Równocześnie przyspieszali, równocześnie zmieniali kierunek i kąt. Nawet gdyby to ćwiczili, nie mogliby tego zrobić sprawniej. Wyglądało to tak, jakby dwa skutery stały się jednym.

Druga bramka wymagała przecięnięcia się wąskim przejściem między budynkami, ciasnym nawet dla jednego skutera, nie mówiąc o dwóch. Razem przechylili się tak, że ich skutery balansowały na budynku po lewej (skąd oboje wiedzieli, że to ma być ten po lewej?), mijając po drodze jednego z kadetów, który chwilowo wysunął się na czoło, a potem zanurkowali w kierunku świecącego żółtego kręgu, który wyznaczał ich cel.

Wspólnie zaliczyli trzecią bramkę, położoną tuż nad ziemią, przedarli się przez gąszcz kładek do czwartej bramki, pomknęli naokoło spiralnego wieżowca, by dotrzeć do piątej. Każdy kolejny cel wydawał się bardziej nierealny od poprzedniego, a jednak latanie przychodziło im coraz łatwiej, bo ona i Thane mieli to coś.

Zrozumiała, że tylko dwoje ludzi, którzy spędzili lata na wspólnej nauce latania, mogło tak idealnie ze sobą współpracować. To, jak ona reagowała na ruchy Thane'a – a on na jej – nie wymagało myślenia. To był instynkt, coś głęboko w nich zakorzenionego. Te niezliczone dni, które spędzili, szybując nad dolinami Jelucana, nauczyły ich rozumieć się bez słów.

Więzy, jakie wtedy ich połączyły, tak łatwo nie słabły.

Kiedy przelecieli przez dziesiątą bramkę, na szczycie samej akademii, natychmiast przechylili skutery i popędzili prosto w dół ściany budynku. Ciena obejrzała się przez ramię i zobaczyła migające światła innych kadetów, zmierzające w stronę hangaru niczym chmary świetlików. Byli blisko, ale nie dość blisko. Thane i Ciena dotarli do hangaru pierwsi, całe czterdzieści sekund przed następnym z zawodników.

Lądowanie złączonymi skuterami okazało się w tym wszystkim najtrudniejsze. Gdy posadzili je w końcu na ziemi, wokół nich zaczęły się pojawiać inne skutery i usłyszeli krzyk Veda Foslo:

– Dyskwalifikacja!

– Nieprawda! – odparowała Ciena, zdejmując kask i przesuując gogle na czoło. – Nie było żadnych zasad odnośnie do tego, co się dzieje, kiedy dwa skutery się szepią!

– Pilotowanie w tej sytuacji byłoby raczej trudniejsze, a nie łatwiejsze – zauważyła Jude, wciąż w pełnym ekwipunku pilota. Doleciała tuż za nimi, z jeszcze mniejszą stratą niż Ved. – Dlatego też karanie ich wydaje się niesprawiedliwe.

Złocista cera Veda zarumieniała się teraz ze złości.

– Mamy się nauczyć prawidłowo prowadzić skuter repulsorowy. To chyba nie jest właściwa procedura?

– Takie sytuacje mogą się zdarzyć w czasie bitwy. Czy nie powinniśmy umieć sobie w nich radzić? – Cienie zbierało się niemal na wymioty. Przecież nie złamała żadnych reguł, w każdym razie nie miała takiego zamiaru, a tutaj Ved Foslo podważa jej honor. Czy on oskarżał ją o to, że zrobiła to celowo? O oszustwo?

Zebrał się już mały tłumek, ale teraz kadeci rozstąpili się, żeby przepuścić wykładowcę.

– To było... coś nowego – powiedział tylko komandor.

Thane oparł się o swój skuter, przybierając swobodną pozę.

– Chciałbym jedynie zauważyć, że nie było mowy o tym, że tylko jedna osoba może wygrać. Powiedział pan, że pięćdziesiąt punktów dostanie ten, kto skończy pierwszy. Oboje skończyliśmy pierwsi.

– Szukasz luk w instrukcjach od przełożonego? To niedobry zwyczaj, Kyrell. – Komandor pokręcił głową, jakby z irytacją. – Ale nie mam zamiaru karać za latanie na takim poziomie. Razem wykonaliście zadanie, więc podzielicie się nagrodą. Po dwadzieścia pięć punktów dla Ree i Kyrella.

Ved Foslo rzucił ze złością kaskiem, ale większość kadetów wiwatowała. Thane chwycił dłoń Cieny i uniósł do góry. Roześmiała się z czystej radości.

„Pierwsza na roku. Zdałam do Akademii Imperialnej na Coruscant i jeszcze jestem pierwsza na roku!”. Dwadzieścia pięć punktów gwarantowało pozycję liderki. Ale potem Ciena zdała sobie sprawę, że pewnie będzie musiała podzielić się tym zaszczytem z Thane'em.

Stwierdziła, że nie ma nic przeciwko dzieleniu się. Nie z nim.

Thane opuścił jej rękę, ale nie wypuścił jej od razu z dłoni.
Ciena nie puściła go także.

Rozdział 5

Nie zmieniło się nic. Aż do czasu zajęć z budowy działka laserowego kilka miesięcy później.

Nawet w najlepiej zaplanowanej bitwie jako żołnierz narażasz życie i w każdej chwili możesz znaleźć się sam i w niebezpieczeństwie, pozbawiony pomocy swojego oddziału. Twój blaster może się zepsuć albo może nie wystarczyć do obrony przed statkiem wroga. Gdybyś jednak umiał szybko zbudować większą broń, mógłbyś kontynuować walkę na własną rękę – być może tak długo, aż nadejdzie pomoc, a z pewnością wystarczająco długo, żeby odpłacić wrogowi. Działko laserowe można zbudować ze standardowych części, jeśli tylko wie się jak.

Thane uwielbiał latanie i strzelanie, ale nie lubił prac technicznych. Zależało mu jednak, żeby dobrze wypaść w tym projekcie. On i Ciena utrzymywali się jak dotąd na pierwszych miejscach w rankingu; jedyną kwestią pozostawało to, które z nich zakończy semestr jako lider. Gdyby Ciena go pokonała, pierwszy pospieszyłby z gratulacjami... ale miał nadzieję, że to ona pogratuluje jemu.

– Patrzcie na ten uśmiech – powiedział Nash, który leżał pod własnym działkiem laserowym w budowie kilka metrów dalej w ogromnym warsztacie. – Myślisz o naszym dniu wolnym? Szykujesz się do poznawania nocnego życia Coruscant?

Thane wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od hełmu szturmowca, który właśnie rozbierał na części, żeby wymontować z niego ogniwo energetyczne.

– Pracuję nad swoim działkiem laserowym i ty też powinienes. Skup się, Nash.

– Jak mam się skupić, skoro szykuje się wyjście do klubów, kantyn i setki innych miejsc, gdzie w końcu będziemy mogli spotkać dziewczyny? – zaprotestował Nash. – Dziewczyny, które nie są zakazane, tak jak nasze koleżanki. Dziewczyny, które można dotykać. Można całować.

– Rozumiem, okej? Ale próbuję się skoncentrować, żeby utrzymać miejsce w rankingu. Niektórzy ludzie spędzili nad tym mnóstwo czasu. – Thane wskazał na resztę warsztatu, aby podkreślić swoje słowa.

Wokół nich stało kilkadziesiąt innych działek laserowych, chronionych przez niewielkie skrzące się półkule niskoenergetycznych pól siłowych. Każda z tych maszyn mogła zostać skonstruowana bardziej pomysłowo niż jego, z bardziej twórczym wykorzystaniem przypadkowych części zamiennych, jakie można znaleźć w obcych portach kosmicznych. Każda z nich stanowiła dla niego konkurencję.

Nash odsunął się od swojego stołu, żeby rzucić Thane'owi miażdżące spojrzenie.

– Pracujemy już od kilku minut. Nie możemy porozmawiać o tym jednym dniu prawdziwej zabawy, jaki będziemy mieli przed początkiem nowego semestru?

– Chyba możemy.

– Wydawałeś się podekscytowany, kiedy Ved opowiadał nam, które kluby warto odwiedzić.

– I byłem. To znaczy jestem. Jestem podekscytowany, naprawdę.

Na te słowa Nash wstał i spojrzał na Thane'a znad zbieraniny części zamiennych rozłożonych na jego stole.

– Jakoś wcale nie wyglądasz na podekscytowanego, przynajmniej jeśli chodzi o poznawanie dziewczyn. To może oznaczać dwie rzeczy. Albo interesują cię faceci, w co wątpię, sądząc po twojej reakcji na ten nieprzyzwoity holofilm Veda...

Przekleństwem ludzi o jasnej karnacji jest to, że widać u nich nawet najlżejszy rumieniec. Thane próbował udawać, że cały czas patrzy na hełm szturmowca.

– ...albo jest dziewczyna, którą już jesteś zainteresowany. Dziewczyna, którą już znasz. – Nash nachylił się nad stołem, podpierając rękami podbródek, z niewinną miną. – Czyżby nazwisko tej dziewczyny rymowało się ze słowami: gaj-hiena-gry?

– To nie tak – upierał się Thane. – Między nami nigdy tak nie było.

Nash uśmiechnął się szelmowsko.

– Ale podejrzewam, że będzie.

Ten temat drażnił Thane'a bardziej, niż powinien. Wciąż nie wiedział, co myśleć o tym, jak zmieniają się jego relacje ze Cieną, i nie chciał, żeby Nash wściubiał w to swój długi nos. Poza tym nawet jeśli Nash nie miał złych intencji, jego znaczący ton przypominał mu to, jak Dalven dokuczał mu, mówiąc, że dziewczyna z dolin nadaje się tylko do jednego.

Mówienie w ten sposób o Cienie obrażało ją. I sprawiało, że Thane za dużo myślał o rzeczach, których nie mógł zmienić, dopóki nie skończy akademii.

– My na Jelucanie podchodzimy do tych spraw poważniej niż większość ludzi – powiedział, nie mijając się zbytnio z prawdą. – Takie spekulacje są... niestosowne.

– I to mówi facet, który obejrzał ten holofilm pięć razy! – Nash roześmiał się głośno. – Poza tym miałeś przestać być Jelucańczykiem i stać się obywatelem Imperium, zapomniałeś? A spekulacje są zabawne.

– Posłuchaj mnie. – Thane odłożył narzędzia i spojrzał Nashowi prosto w oczy. – Ten temat jest zamknięty raz na zawsze. Między mną i Cieną nic nie ma. Jesteśmy tylko...

– ...dobrymi przyjaciółmi – powiedziała Ciena, wychodząc z sali ćwiczeń sztuk walki cała obolała. – Zawsze tak było i zawsze będzie. To wszystko.

Jude pokiwała głową, a potem się skrzywiła; pewnie jeszcze bolała ją głowa po tym, jak Kendy rzuciła nią o matę.

– Bardzo rozsądnie. Biorąc pod uwagę zakaz chodzenia z innymi kadetami, ani ty, ani Thane nie chcielibyście narażać własnej kariery przez złamanie tak ważnej zasady.

Kendy – rozpromieniona, spocona i triumfująca – tylko się roześmiała.

– Ja bym złamała zasady dla takiego przystojniaka.

Ciena poczuła ukłucie zazdrości. Wcale jej nie chciała, a jednak to uczucie żarzyło się w niej jak węgielek, który nie chciał zgasnąć.

Ale Kendy już zmieniła temat.

– To co robimy z naszym dniem wolnym?

– Mnie jest wszystko jedno – powiedziała Ciena – pod warunkiem że będziemy jeść prawdziwe żarcie.

Na imperialnych okrętach oficerowie zachęcani byli do picia napojów odżywczych zamiast spożywania jedzenia; było to bardziej wydajne rozwiązanie, zarówno jeśli chodzi o zasoby statku, jak i czas oficerów, a lekarze twierdzili, że napoje są też zdrowsze. Nie smakowały one źle – ale dobrze też nie. Kantyna w akademii serwowała napoje odżywcze i podobnie jak większość studentów, Ciena posłusznie je piła, żeby się do nich przyzwycząić. Ale jeśli miała okazję zjeść prawdziwy, pyszny posiłek bez wyrzutów sumienia, to miała zamiar sobie pofolgować.

– Sądzę, że będziemy w stanie znaleźć zadowalające jedzenie w praktycznie każdym potencjalnym miejscu docelowym – powiedziała Jude, a następnie po chwili wahania zaproponowała: – Ktoś jeszcze byłby chętny na wizytę w Muzeum Nauk Wielorasowych?

Kendy jęknęła, ale Ciena rzuciła jej karcące spojrzenie. Ich trzecia współlokatorka była łagodna, cierpliwa i uczynna; zasługiwała na to, żeby czasami zrobiły to, na co ona ma ochotę.

– Może mogłybyśmy pójść do muzeum z samego rana. Ale po południu wolałabym porobić coś mniej... nudnego? ...edukacyjnego. I tak ciężko pracujemy. Chciałabym spróbować czegoś nowego... Może nurkowania w morzu?

– Nurkowanie. Tak. – Kendy od razu się ożywiła. Jako urodzona na tropikalnym świecie Iloh, szybciej się pewnie nauczyła pływać niż chodzić. – Nie wierzę, że już od pół roku nie byłam w wodzie! I nie, Jude, pływanie w basenie się nie liczy.

Jude, pogrążona w myślach, nic nie odpowiedziała. Weszły do windy.

– Nurkowanie byłoby fascynującym wyzwaniem. Bepin jest gazowym gigantem, a to znaczy, że nie mamy oceanów ani jezior. Baseny są rzadkim luksusem. Dlatego też moje doświadczenia z wodą są ograniczone. Okazja do podniesienia moich umiejętności i obserwowania życia morskiego byłaby niezwykle przyjemna.

Winda zatrzymała się na ich piętrze, a Ciena pokręciła głową z uśmiechem.

– Jude, dla ciebie wszystko jest projektem naukowym.

– Nauka to badanie całego materialnego wszechświata. Dlatego wszystko jest nauką, nawet jeśli tego nie dostrzegasz. – Tylko delikatny uśmiech na wąskich ustach Jude zdradzał, że się z nimi droczy.

Ciena nie wspominała o tym, co mogłyby robić tego dnia. W głębi duszy miała nadzieję, że będą świętować fakt, iż zakończyła semestr na pierwszym miejscu na roku, ale nawet mówienie o tym na głos wydawało jej się zarozumiałstwem. Jedynym jej konkurentem do pierwszego miejsca był oczywiście Thane – i gdyby wygrał, chyba potrafiłaby się cieszyć z jego sukcesu.

Może świętowałyby z nim, oblewała jego sukces. Wolałaby wprawdzie, żeby to on oblewał jej, ale...

– Cieno? – Kendy spojrzała na nią, gdy szły do swojego pokoju. – Przez chwilę byłaś myślami gdzieś na orbicie.

– Wybacz, chyba trochę mi się jeszcze kręci w głowie po tym, jak mną rzuciłaś. – Ciena zaczęła odpinać pas od swojego stroju do walki, gdy drzwi pokoju się przed nimi otworzyły. – Pokażesz mi, jak to się robi?

– Nie ma mowy – odparła ze śmiechem Kendy. – To jedna z niewielu rzeczy, w których jestem lepsza od ciebie.

Następnego ranka odbyła się inspekcja działek laserowych.

Ciena stała na baczność przy swoim idealnie złożonym działku. Specjalnie użyła najbardziej niezgrabnych części, żeby wykładowcy widzieli, że potrafi zbudować je nawet w najtrudniejszych okolicznościach. Intuicja podpowiadała jej, że Thane może nie zadać sobie aż tyle trudu. Przeczuwała szansę na zdobycie przewagi.

Komandor Harn przechadzał się wzdłuż rzędów działek laserowych – przy każdym stał na baczność jeden z kadetów. Chociaż warsztat był z natury miejscem, gdzie trzeba się było urobić po łokcie, na szarych gumowanych ścianach i podłogach nie pozostało nawet wspomnienie smaru czy przypaleń. Imperialna dyscyplina wymagała idealnej czystości, usunięcia wszelkich śladów pracy zaraz po jej zakończeniu. Jedynie na działku kadeta Windridera widać było jakiegokolwiek smugi

– jak zwykle.

Harn pokiwał z aprobatą głową, gdy Kendy włączyła swoje działko. Otworzył jej panel sterowania, po czym pokiwał znów głową, zadowolony z jej doboru nowych części. Nie uśmiechał się jednak, ani wtedy, ani przy kilku następnych działkach – chociaż mruknął „innovacyjne”, oglądając pracę Veda. Ved uśmiechnął się z takim samozadowoleniem, że Ciena omal nie jęknęła z irytacji.

Zaczekała na swoją kolej, włączyła silnik i patrzyła, jak Harn sprawdza wskaźniki wydajności i ogólną moc. Nic nie powiedział, ale popatrzył jej w oczy, tak jakby oceniał ją na nowo – i oceniał dobrze. Zaimponowała mu. Zdołała jakoś zachować kamienną twarz, nawet kiedy Kendy powiedziała bezgłośnie „brawo” nad ramieniem komandora.

Kiedy Harn podszedł do działka Thane’a i wyciągnął rękę w stronę rozrusznika, Ciena wstrzymała oddech...

...ale działko laserowe się nie włączyło.

W ogóle.

Twarz Thane’a pobladła. Ciena także nie czuła się z tym dobrze. Chciała go pokonać, ale nie żeby zupełnie to zawałił.

„Jak to w ogóle możliwe? – zastanawiała się, ściskając ręce za plecami. – Thane nie jest urodzonym mechanikiem, ale ciężko pracuje i jest dokładny. Na pewno sprawdzał działko dziesiątki razy. To niemożliwe”.

– To do ciebie niepodobne, Kyrell – powiedział Harn, notując coś na tablecie, który trzymał w jednej ręce. – Zobaczmy, gdzie popełniłeś błąd.

Harn otworzył panel sterowania działka laserowego Thane’a, po czym zamarł, a jego ostre rysy twarzy stężały, zdradzając niezadowolenie, a nawet gniew.

Cokolwiek to było, Thane też to zobaczył i zaklął głośno – stojąc na baczność tuż przy komandorze. Parę osób zachłysnęło się ze zdumienia.

Ale Harn nie zganił Thane’a, tylko dał wszystkim znak „spocznij”. Kadeci podeszli bliżej, zasłaniając Cienie widok, ale ona przepchnęła się przez tłum, aż zobaczyła otwarty panel działka

Thane'a i zrozumiała, dlaczego wszyscy zaczęli mamrotać i rozglądać się podejrzliwie.

Przewody w środku były przecięte. Wyraźne, gładkie cięcie – ślady nie pozostawiały wątpliwości, że to nie wypadek czy kwestia wadliwej instalacji. Ktoś zrobił to celowo.

Sabotaż. Rywalizacja w akademii bywała zacięta, ale do tej pory wszyscy grali uczciwie. Na samą myśl o tym Cienę przeszedł dreszcz. Jak ktokolwiek, a tym bardziej imperialny kadet, mógł być tak pozbawiony honoru? Jej oburzenie dorównywało niemal współczuciu dla Thane'a.

– Zaraz to wyjaśnimy – zapewnił Harn głosem ostrym i zimnym jak szpikulec do lodu. – Ktokolwiek chciał poprawić w ten sposób swoją pozycję w rankingu, gorzko tego pożałuje. – Podszedł do panelu przy głównych drzwiach, przyłożył do niego rękę i powiedział: – Ilu kadetów miało dostęp do tego pomieszczenia w pojedynkę między ostatnią wizytą kadeta Kyrella a tą inspekcją?

– Jeden – odpowiedział monotony syntetyzowany głos.

– Kto to był? – warknął Harn.

– L-P-Osiem-Osiem-Osiem.

Ciena chyba się przesłyszała. Musiała się przesłyszeć.

Ale potem komputer dokończył odpowiedź:

– Kadet Ciena Ree.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła – przysięgła Ciena w gabinecie komendanta Deenlarka, stojąc na baczność przed jego długim obsydianowym biurkiem. – Nikomu, a zwłaszcza Thane'owi.

– Niby dlaczego? Był twoim jedynym rywalem w walce o pierwsze miejsce na roku, prawda?

– Ale... to mój przyjaciel.

– Przyjaźń rzadko wygrywa z ambicją.

Żołądek podszedł jej do gardła tak gwałtownie, że omal nie zwymiotowała na podłogę. To był jakiś koszmar. Nie dość że widziała wyraz szoku na twarzy Thane'a, nie dość że wszyscy patrzyli na nią gniewnie, kiedy pospiesznie wyprowadzono ją z warsztatu, to jeszcze – co najgorsze – jej honor został splamiony i nie wiedziała, czy zdoła

go odzyskać.

„Co będzie, jeśli wyrzucą mnie z akademii? – W głowie miała mętlik, ale na zewnątrz starała się zachować pozory opanowania. – Nigdy nie zostanę imperialnym oficerem. Może mogłabym dostać pracę jako pilot, ale nie mogłabym wrócić na Jelucana, już nigdy. Moi rodzice nie mogliby mnie nawet wpuścić do domu, żeby nie zostali odtrąceni przez resztę społeczności”.

Nie. Nie mogła narażać rodziców na coś takiego. Gdyby została wydalona, musiałaby udać się na jakąś kompletnie nieznaną planetę i zacząć wszystko od nowa zupełnie sama.

Drzwi gabinetu Deenlarka nagle się rozsunęły.

– Jeszcze nie skończyliśmy – warknął komendant.

– Tak jest. – Harn stanął szybko na baczność. – Ale inna kadetka zgłosiła się z ważną informacją.

Przerażenie i nadzieja, które ją ogarnęły, sprawiły, że Ciena nie mogła wydusić z siebie słowa, nawet gdy Jude weszła do środka z tabletem w dłoniach. Kiedy komendant Deenlark dał jej znak niecierpliwym gestem, Jude zaczęła mówić spokojnym, równym głosem, jakby odczytywała spis części maszyny.

– Sir. Melduje się kadetka Jude Edivon z Bospina, T-I-Osiem-Zero-Trzy. Dogłębna analiza danych wykazała, że w czasie, kiedy kadetka Ree miała rzekomo wejść do warsztatu, żeby uszkodzić pojazd kadeta Kyrella, była w rzeczywistości razem ze mną i swoją drugą współlokatorką, kadetką Idele, w naszym pokoju. Sprawdziłam rejestr danych, z którego wynika, że wyszła z sali sztuk walki, weszła do windy, a potem do naszego pokoju i nie ma śladu, żeby w tym czasie wychodziła.

Ciena poczuła taką ulgę, że zrobiło jej się niemal słabo, ale Deenlark wciąż miał marsową minę.

– Przy rejestrze danych też ktoś mógł majstrować, kadetko Edivon.

Jude pokiwała głową.

– Sądzę, że ktoś nie tylko uszkodził pojazd kadeta Kyrella, ale włamał się też do komputera w warsztacie, żeby stworzyć pozory, że to kadetka Ree jest winna. Krótko mówiąc, podejrzewam, że została wrobiona.

– Twoje podejrzenia nic nie znaczą, kadetko Edivon – powiedział komendant. Ciena nie liczyła, że zeznania Jude i Kendy wystarczą do oczyszczenia jej z podejrzeń. Gdyby tak było, pewnie już by o tym wspomniał.

– Sir... waham się, czy ujawnić osobę, która wydaje się odpowiedzialna za ten sabotaż, bo chociaż dane są jednoznaczne, nie jest to absolutny dowód. – Jude zacisnęła palce na tablecie, tak jakby się obawiała, że ktoś wyrwie jej te informacje z rąk.

„Dlaczego to ukrywasz? – chciała krzyknąć Ciena. – Kto mi to zrobił?”.

Komendant Deenlark wstał – był tak wysoki, że górował nawet nad patykowatą Jude.

– Mów, co ustaliłaś.

Jude rzuciła Cienie przeproszające spojrzenie.

– Sir, wygląda na to, że osobą odpowiedzialną za wrobienie kadetki Ree był... sam kadet Thane Kyrell.

Nie. Ciena nie chciała w to uwierzyć. Musiało być inne wyjaśnienie, Jude musiała źle odczytać dane.

Ale nikt nie znał się na komputerach lepiej od Jude. Thane był jej jedynym rywalem w walce o pierwsze miejsce, a mechanika była jedną z jego największych słabości. Jeśli kiepsko mu poszło z tym zadaniem i obawiał się, że je obleje, mógł przeciąć przewody we własnej maszynie, żeby ukryć fakt, iż nie potrafi jej naprawić. Wrabiając Cienę w sabotaż, nie tylko uniknąłby złej oceny za niezaliczenie pracy, ale też ściągnąłby ją w dół na tyle, że nie miałyby szans na pierwsze miejsce.

„Ale tu nie chodzi tylko o miejsce w rankingu. Mogliby mnie za to wywalić! Thane by mi tego nie zrobił, nigdy”.

A jednak Jude stała tam z dowodem w rękach.

Rozdział 6

Co powiedział komendant? – spytał Thane’a Nash.

– Tylko, żebym przyszedł do gabinetu. – Thane zapiął kurtkę od munduru, szykując się na rozmowę.

– Myślisz, że da ci jeszcze jedną szansę z działkiem laserowym? – Ved leżał na swojej koi, specjalnie nawet nie udając, że przejmuje się pozycją Thane’a w rankingu.

W tej chwili Thane jeszcze mniej przejmował się własną pozycją niż Ved.

– Myślę, że powie mi, co się naprawdę stało.

Nash uniósł brew.

– Nadal myślisz, że to nie Ciena majstrowała przy twoim silniku? Mimo że jest dowód?

– To do niej niepodobne – stwierdził krótko Thane, kierując się w stronę drzwi.

Nie miał stuprocentowej pewności, że Ciena jest niewinna – w końcu dane wskazywały na nią, a Thane musiał przyznać, że dane w komputerach akademii niełatwo było sfalszować. Mimo to ufał jej w co najmniej dziewięćdziesięciu pięciu procentach. Nie tylko jej ufał, ale też wiedział, jakim jest człowiekiem i skąd pochodzi. Jasne, wielu kadetów w akademii posunęłoby się do oszustwa, żeby odnieść sukces. Ale Ciena, dziewczyna z jelucańskich dolin – ona wolałaby umrzeć niż postąpić niehonorowo. Z pewnością nikogo by nie zdradziła, a tym bardziej jego. Zbyt wiele dla siebie znaczyli.

Mimo wszystko pozostawiał sobie te pięć procent niepewności, a nigdy wcześniej nie wątpił w Cienę, nawet przez sekundę.

Kiedy wszedł do gabinetu komendanta Deenlarka, zdziwił się, widząc Cienę stojącą tam na baczność. W pierwszej chwili się ucieszył – „dobrze, będziemy mogli to wyjaśnić i o wszystkim zapomnieć” – ale potem zauważył, że ona unika jego wzroku. Czy to wynikało z dyscypliny, czy z poczucia winy?

– Kadecie Kyrell. Kadetko Ree. Mamy tutaj zagadkę. – Komendant,

nie ruszając się z fotela, przyglądał im się stojącym prosto ramie w ramie. – Jeden zbiór danych wskazuje, że jedynym możliwym sprawcą wykrytego dzisiaj sabotażu jest kadetka Ree. Jednak drugi zbiór danych sugeruje, że kadet Kyrell sam uszkodził swoje działko laserowe i wrobił w to kadetkę Ree.

Thane do tej pory nie wiedział, że można poczuć krew odpływającą z twarzy. Zupełnie jakby stracił w niej czucie z zimna.

– Sir! Absolutnie nie... nigdy bym...

– Oszczędź mi tych protestów, kadecie Kyrell. – Deenlark wydawał się już tym wszystkim znudzony. – Konsultowałem się z naszymi specjalistami, którzy poinformowali mnie, że każdy z tych zbiorów danych może być sfalszowany. Jedno z was dopuściło się sabotażu względem drugiego i zatarło ślady, nie dość dobrze, by ukryć je całkowicie, ale na tyle, że nie możemy mieć pewności, które z was jest winne. Dlatego nie mamy innego wyjścia, jak tylko ukarać was oboje.

Mimo że był dobrym pilotem, Thane'owi zdarzało się czasami „rozbić” w symulatorze lotu. Kiedy ekrany ukazywały płomienie i powierzchnię planety pędzącą ku niemu, by szczepić go na atomy, zastanawiał się, jakie to uczucie, roztrzaskać się i spłonąć naprawdę.

Zapewne podobne do tego, co czuł teraz.

Komendant Deenlark uśmiechnął się blado.

– Żadne z was nie zaliczyło zadania z działka laserowego. To oczywiście odbije się na waszych pozycjach w rankingu.

Ich pozycje były na tyle wysokie, że nawet taka wpadka nie spychała ich niżej niż do drugiej ćwiartki. Ale i tak to bolało.

– Normalnie – ciągnął komendant – złamanie kodeksu honorowego wiązałoby się z przesłuchaniem dyscyplinarnym i potencjalnym wydaleniem. Jednak jako że i tak nie możemy dojść do prawdy, nie miałyoby to większego sensu. I chociaż ukarałem was oboje, nie jestem skłonny wyrzucać dwojga utalentowanych pilotów na podstawie tak mglistych informacji. Oboje zachowacie status kadetów. Zapewniam was jednak, że w przypadku podobnego incydentu wydalenie będzie natychmiastowe i nieodwołalne. Zrozumiano?

– Tak jest – odpowiedzieli jednym głosem Thane i Ciena. Jej głos

brzmiał równie głucho jak jego.

Wyszli w milczeniu z gabinetu Deenlarka. Stamtąd – z jednego z najwyższych pięter gmachu akademii – przez barwione na zielono okna rozciągał się widok na, jak się wydawało, połowę Coruscant. Było tam ustawionych kilka ławek i foteli dla młodszych oficerów, studentów i gości, tak aby widząc rozpościerające się przed nimi miasto, zdali sobie sprawę z rangi komendanta. Tego wieczora jednak nie było żadnych gości; Thane i Ciena byli sami.

Podeszli oboje do okien, tak jakby to wcześniej przećwiczyli, po czym odwrócili się ku sobie nawzajem. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Ciena odetchnęła z najgłębszą ulgą.

– Nie zrobiłeś tego.

– Ty też nie. – Powinien był to wiedzieć od początku. Uśmiechnęli się; odzyskali zaufanie do siebie, ale problem pozostawał nierozwiązany. Thane oparł się o jedną z metalowych kolumn między oknami. – Więc kto, do cholery?

– Ktoś, komu zależało na dobrej ocenie. – Ciena się nachmurzyła. – Pewnie ta żmija Ved Foslo.

– Nie byłbym taki pewien. Ved ma smykałkę do mechaniki; byłby wysoko nawet bez oszukiwania, więc po co miałby sobie zadawać tyle trudu? A poza tym on ma fioła na punkcie zasad, nawet jeśli działają przeciwko niemu.

– Więc kto wrobiłby nas oboje i kto chciałby nas skłócić? – Ciena miała strapioną minę. – Ten, kto uszkodził działko i sfalszował dane, nie chciał tylko awansować w klasyfikacji. Chciał nam zaszkodzić.

Kto na roku chował urazę do nich obojga? Z tego, co wiedział Thane, nikt nie pałał do nich szczególną niechęcią, ale może nie wiedział wszystkiego.

– Pewnie to dlatego, że oboje jesteście najlepsi na roku.

– Chyba byliśmy – jęknęła Ciena. – To nas spycha mocno w dół...

– Tylko na razie. – Thane zdał sobie sprawę, że zacisnął ręce w pięści. – Musimy ustalić, kto naprawdę to zrobił. Kiedy ujawnimy sprawcę, odzyskamy swoją pozycję, a tego palanta wywalą z akademii.

– Ktoś, kto dopuścił się czegoś takiego, nie zasługuje, żeby być

imperialnym oficerem – powiedziała Ciena, unosząc podbródek. – Masz rację. Odkryjemy prawdę i doprowadzimy do ukarania winnego.

Thane pokiwał głową. Na zewnątrz statki i skutery repulsorowe śmigły nad miastem na tle mglistego zachodu słońca.

– No dobra, to od czego zaczniemy?

Jude zgodziła się im pomóc, choć gdy siedzieli tego wieczora przy jednym z wolnych stanowisk do analizy danych, ostrzegła:

– Moja wcześniejsza analiza błędnie wskazywała na Thane’a. Zatem moje zdolności należy podać w wątpliwość.

– Nie mów tak. – Ciena położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Znalazłaś niewłaściwe rozwiązanie, bo ktoś ci je podsunął. Teraz, gdy wiesz, że trzeba poszukać głębiej, na pewno błyskawicznie znajdziesz odpowiedź. Prawda, Thane? – Spojrzała na niego, a on pokiwał głową, tak jakby jeszcze niedawno nie mówił czegoś zupełnie przeciwnego na temat zdolności Jude.

Ale Ciena wierzyła w swoją przyjaciółkę. Jeśli mieli dotrzeć do prawdy, Jude była dla nich najlepszym przewodnikiem.

Gdy Jude pracowała przez kilka minut przy swoim terminalu, nikt się nie odzywał, nikt się prawie nie ruszał. W ogromnej sali analizy danych słychać było tylko ciche stukanie palców Jude w klawisze; jedyne światło dochodziło z dziesiątek wolnych o tej później porze terminali, które dawały lekką niebieską poświatę. Ciena zerknęła na Thane’a i zobaczyła, że on także na nią patrzy. Gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, odwrócił głowę zmieszany.

Z jakiegoś powodu zarumieniły jej się policzki.

Postanowiła skupić uwagę na tym, kto może być najbardziej prawdopodobnym winowajcą. Każdy mógł chcieć strącić ich z czołowych miejsc w rankingu, ale próbować napuścić ich na siebie nawzajem mógł tylko ktoś, komu zależało, żeby zadać im ból.

„Przechytrzyliśmy go” – pomyślała. Jej serce pęczniało z dumy i innych emocji, trudniejszych do nazwania. Zerknęła znów kątem oka na Thane’a. „Nie tak łatwo nas rozdzielić”.

– Hmm. – Jude zmarszczyła swój długi piegowaty nos. – Sabotażysta obrał dosyć okreźną drogę. Prześledziłam informacje na

temat Thane'a i wygląda to tak, jakby ktoś chciał skierować podejrzenia na jednego z wyższych rangą pracowników akademii.

Ciena pokręciła głową.

– Same kłamstwa. Gdy tylko dowiem się, kto to zrobił, zapytam go, czy naprawdę liczył, że uda mu się zrobić wykładowcę i że ujdzie mu to płazem.

– Nie wykładowcę. Kogoś z Biura Wyników – sprostowała Jude.

I co z tego? Wykładowca, pracownik administracyjny, nieważne – i tak było to głupie posunięcie. Ale Thane wyprostował się na krześle z wyrazem nagłego olśnienia na twarzy.

– Wiecie, czym się zajmuje Biuro Wyników?

Ciena nigdy nawet o nim nie słyszała.

– Nadzorują postępy studentów i sugerują wykładowcom metody, które pozwolą osiągnąć jak najlepsze rezultaty – odpowiedziała Jude, a potem wzruszyła ramionami i dodała: – Ale nie mam pojęcia, jak dokładnie to robią.

– Najwyraźniej robią to, mącąc nam w głowach! – Thane odsunął się od terminala wściekły jak nigdy.

Ktoś musiał zachować trzeźwość umysłu.

– Thane – powiedziała Ciena – zastanów się, co mówisz. Dlaczego ktoś z pracowników akademii chciałby nas zrobić?

– Bo nie chcą, żeby dwójka kadetów z prowincjonalnego świata wyprzedziła wszystkie bachory wojskowych. Bo generał Foslo albo admirał Jasten, albo ktoś taki kazał im nas uwalić, żeby ich synalek mógł zająć pierwsze miejsce. – Thane wstał z nachmurzoną miną.

Mimo że rozumiała zdenerwowanie Thane'a, poczuła irytację.

– Dlaczego robisz z tego jakąś wielką teorię spiskową?

– To jest swego rodzaju spisec – wtrąciła Jude, która do tej pory siedziała cicho przy terminalu. – Pytanie tylko, kto za niego odpowiada.

– Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby próbować zrobić pracownika akademii – grzmiał Thane. – A przynajmniej nikt, kto jest dostatecznie inteligentny, żeby w ogóle coś takiego zaplanować. To znaczy, że musieli to zrobić ludzie z Biura Wyników.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Ciena poczuła wzbierający w niej

lęk. Thane przekraczał granice zrozumiałego gniewu i zapuszczał się na niebezpieczne obszary. Jak można podważać metody akademii?

– Owszem, mówię. Wzięli łapówkę albo coś. Jak myślisz, ile kredytów potrzeba, żeby kupić swojemu dzieciakowi pierwsze miejsce na roku? Ile by to nie było, według akademii tyle właśnie jesteśmy warci.

– Zdajesz sobie sprawę, że to poważne oskarżenie? – spytała Ciena.

– A co, doniesiesz na mnie? – odparował.

Jude siedziała nieruchomo przy swoim terminalu, wodząc wzrokiem między nimi. Ciena wiedziała, że powinni trochę się hamować, przynajmniej dopóki nie zostaną sami, ale była zbyt wściekła, podobnie jak Thane.

– Nie doniosę na ciebie. Ale powinieneś pamiętać, po co tu jesteśmy i komu służymy.

– Tobie się wydaje, że wszystko, co robią akademie i Imperium, jest doskonałe!

– A tobie, że każdy, kto ma władzę, jest zły jak twój ojciec!

Thane zrobił wielkie oczy i Ciena wiedziała, że go zraniła. Przynajmniej się bliżej niej.

– Nigdy więcej nie wspominaj przy mnie o moim ojcu. To nie twoja sprawa, rozumiesz?

Nigdy wcześniej nie mówił jej, że coś nie jest jej sprawą. Wiedzieli o sobie wszystko, nie mieli przed sobą żadnych tajemnic. A teraz Thane postawił barierę w miejscu, gdzie nigdy jej nie było, kamienny mur, a Ciena poczuła się, jakby wpadła na niego z maksymalną prędkością.

– Rozumiesz chyba, że musimy poruszyć tę sprawę? – ciągnął, bo najwyraźniej wściekłość odebrała mu zmysły.

– Chcesz oskarżyć pracowników akademii o nieuczciwość?

– Tak! Chcę, żeby przyznali się do tego, co zrobili, i żeby to naprawili! Tylko w ten sposób możemy odzyskać swoje pozycje...

– Nie przywrócą nam pozycji po czymś takim! Wywalą nas tak szybko, że nie zdążymy się nawet spakować.

– Nie chcesz nawet spróbować? Wolisz udawać, że pada deszcz, kiedy plują ci w twarz?

Ciena miała ochotę nim potrząsnąć.

– Tylko byśmy pogorszyli sprawę, Thane.

– Więc chcesz, żebym po prostu to zaakceptował. Pogodził się z tym, że cały mój pierwszy semestr w akademii poszedł na marne.

Tak jakby wszystko, czego się nauczyli, wszystko, co zrobili, co widzieli, zostało zmarnowane z powodu głupiej pozycji w rankingu.

– Tak, chcę! – odparowała z wściekłością. – Musisz o tym zapomnieć, dorosnąć i nauczyć się z tym żyć.

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, z pogardą w oczach, a potem powiedział:

– Nigdy nie myślałem, że jesteś tchórzem.

To zabolalo.

– A ja nigdy nie myślałam, że nie nadajesz się do służby dla Imperium. Ale teraz? Muszę się zastanowić.

– Daruj sobie te analizy, co? Nie mamy o czym rozmawiać.

To mówiąc, odwrócił się, żeby wyjść. Ciena z jednej strony chciała, żeby zszedł jej z oczu, a z drugiej nie zamierzała tego tak zostawiać.

– Nie chcesz zobaczyć, co jeszcze odkryje Jude? – zawołała za nim.

– Niczego więcej nie odkryje. Mamy już odpowiedź. Tylko ty jesteś zbyt naiwna, żeby w nią uwierzyć. – Głos Thane'a ociekał pogardą. To dotknęło ją do żywego. Nie powiedziała nic więcej, gdy wychodził.

To było jak wybuch bomby. Ciena czuła, że ten incydent to tylko zapalnik – że od dawna zanosilo się na jakieś dramatyczne zmiany między nimi. Nigdy jednak nie sądziła, że dojdzie do tak paskudnej konfrontacji. W ich przyjaźni powstała szczelina, a Thane stał po drugiej stronie. Nie mogła już wierzyć w to, że on kocha Imperium tak samo jak ona; nie mogła liczyć na jego zrozumienie i wsparcie. W jakiś sposób Ciena już wiedziała, że między nimi coś się skończyło.

– No cóż. – Jude wydawała się zakłopotana. – Szukałam dalej i wygląda na to, że trop urywa się w Biurze Wyników. To nie znaczy, że są winni. Biuro mogło być wygodną przykrywką dla sabotażysty. Oczywiście reszta danych z warsztatu została wymazana. Obawiam się, że moje poszukiwania na tym się kończą.

Ciena pokiwała głową. Terminale rozmyły jej się przed oczami. Otarła dłonią gorące łzy.

– Powinniśmy skupić nasze wysiłki na poprawie waszych wyników w przyszłości, żebyście mogli nadrobić tę stratę... – ciągnęła Jude. Nagle wstała, mniej sztywna niż zwykle, i przytuliła mocno Cienę. I wtedy Ciena w końcu poczuła, że wolno jej się rozpłakać.

Rozdział 7

Dla kadetów akademii następne dwa lata zarazem ciągnęły się w nieskończoność i przemknęły w mgnieniu oka. W miarę jak egzaminy stawały się coraz bardziej wymagające, loty coraz trudniejsze, a dyscyplina coraz bardziej rygorystyczna, pokoje pustoszały. Szeregi formacji się przerzedzały. Korytarze zdawały się coraz mniej zatłoczone, w miarę jak kolejni studenci wylatywali lub po prostu rezygnowali.

Thane Kyrell i Ciena Ree byli jednak na to za twardzi. Oboje wciąż mierzyli w pierwsze miejsce na roku, w każdym semestrze – co oznaczało, że ścierali się ze sobą raz za razem.

Na zajęciach z kultury klasycznej Światów Jądra:

– Kto mi powie, jaka jest najbardziej znana opera kompozytora Igera?

Ciena podniosła rękę, a kiedy profesor skinął na nią, odpowiedziała:

– *Kielich i ołtarz*.

– Bardzo dobrze, kadetko Ree. A czy możesz mi powiedzieć, jakie tematy porusza ta opera?

Ups. Potrafiła zanucić kilka melodii z *Kielicha i ołtarza*, ale nie przepadała za muzyką operową. Przez to trudno jej było połączyć melodię z fabułą.

Po krótkiej chwili profesor się odwrócił.

– Uczysz się na pamięć, kadetko Ree? Niedobrze. Ktoś wie?

Głos Thane'a zza jej pleców przeszył ją niczym nóż wbity między łopatki.

– Opera mówi o moralności poświęcenia i tłumieniu żądy.

– Doskonale, kadecie Kyrell.

Ciena miała wrażenie, że czuje, jak pyszałkowaty uśmiech Thane'a wypala jej dziurę w plecach. Zacisnęła zęby i postanowiła codziennie słuchać opery aż do następnego egzaminu z kultury. Kendy i Jude będą musiały to jakoś wytrzymać.

Na zajęciach z dowodzenia okrętami klasy niszczyciela:

– Wszystkie inne środki zawiodły – mówił monotonnym głosem profesor z atrapy fotela kapitańskiego w symulatorze gwiazdowego niszczyciela. – Wróg wdarł się na okręt, walki trwają na wszystkich pokładach i nie możemy dopuścić do opanowania statku przez nieprzyjaciela. Musimy zatem dokonać samozniszczenia. Którą z trzech metod samozniszczenia powinniśmy wybrać?

Thane obrócił się w fotelu przy konsolocie.

– Powinniśmy uruchomić automatyczną procedurę samozniszczenia przy użyciu kodów przekazanych trzem najwyższym stopniem oficerom. Automatyczne samozniszczenie daje nam więcej czasu przed detonacją, co oznacza, że więcej naszych żołnierzy zdoła dotrzeć do kapsuł ratunkowych.

Profesor złożył dłonie w piramidkę.

– Ciekawy wybór. Czy ktoś widzi jakieś mankamenty w rozwiązaniu kadeta Kyrella?

Ciena uniosła głowę znad swojego monitora.

– Tak, sir. Jeśli statek został w tak dużym stopniu opanowany przez nieprzyjaciela, nie ma żadnej gwarancji, że tych trzech oficerów jest na mostku, ani nawet że żyją. Poza tym więcej czasu przed detonacją daje także większe szanse na ucieczkę naszym wrogom.

– Bardzo dobrze, kadetko Ree. Co zatem byś zaproponowała?

– Nie procedurę głównego silnika, która wymaga łatwego dostępu do maszynowni, co również jest niepewne w czasie walk na pokładzie. Zamiast tego powinniśmy wybrać metodę na słowo kapitana. Kapitan daje sygnał do opuszczenia okrętu, zamyka się na mostku za pomocą sobie tylko znanego hasła i stamtąd ostrzeliwuje statki nieprzyjaciela, zapewniając osłonę kapsułom ratunkowym. Następnie kieruje statek w najbliższy obiekt planetarny, gwiazdę lub osobliwość. – Ciena uniosła podbródek z ledwo skrywaną dumą.

– To oznacza, że kapitan musi zginąć razem z okrętem – zauważył wykładowca.

– Tak jest – odparła Ciena. – Ale każdy imperialny oficer powinien być gotowy poświęcić życie, pełniąc służbę.

– Doskonale, kadetko Ree. – Wykładowca uśmiechnął się do niej.

Ten stary zgred nigdy do nikogo się nie uśmiechał. – Twoja odpowiedź jest tą, którą uważam za idealną w sensie taktycznym, a także moralnym.

Thane zacisnął dłonie na brzegu pulpitu sterowniczego, żeby powstrzymać się od wykonania gestu, który na większości światów uznawany był za wyjątkowo niegrzeczny.

„Moralnym”. Co moralnego jest w wysadzeniu się, jeśli można z łatwością uciec, by kontynuować walkę? Thane wściekał się o to przez resztę popołudnia, w tym na zajęciach z walki wręcz, gdzie napędzany gniewem za mocno pobił Veda. W konsekwencji nie tylko dostał upomnienie, ale musiał też obiecać Vedowi, że przez tydzień będzie oddawał mu swoje kredyty na deser, żeby mu to wynagrodzić.

Thane wiedział, że na treningu nawalił z własnej winy. Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że wpakował się w kłopoty przez Cienę.

Być może ona wciąż wierzyła w ideę Imperium jako państwa doskonałego, na cześć którego mieszkańcy każdej planety nieustannie wygłaszają peany. Thane jednak wiedział swoje. Wprawdzie oficjalne kanały informacyjne mówiły o projektach budowlanych, o udanych negocjacjach handlowych i niekończącej się dobrej koniunkturze, jednak on rozumiał, że to w dużej mierze propaganda. Imperium budowało nowe bazy dla umocnienia swojej władzy. „Negocjacje handlowe” zawsze zdawały się kończyć tym, że Imperium dostawało wszystko, co chciało, na warunkach całkowicie niekorzystnych dla danej planety. A jeśli chodzi o nastroje społeczne, to nawet oficjalne kanały informacyjne zaczęły pluć jadem, wspominając o grupce terrorystów, którzy spiskowali przeciwko Imperium i nazywali siebie rebeliantami.

Thane gardził terrorystami, ale rozumiał też, że takie dysydenckie frakcje zwykle nie biorą się z niczego. Pojawiały się w reakcji na wzmożoną kontrolę ze strony Imperium – przesadnej reakcji, bez wątplenia, ale pokazującej, że nie wszyscy akceptowali rządy Imperatora.

Pomimo swojego rozczarowania Thane nie miał zamiaru rezygnować ze służby dla Imperium. Gdzie indziej miałby szansę latać najwspanialszymi statkami w galaktyce? Zresztą mniejsi pracodawcy

także mogli okazać się skorumpowani, a praca byłaby mniej pewna. W imperialnej flocie Thane mógł liczyć na przyzwoitą płacę, dostęp do najlepszych statków i regularne awanse. A co najlepsze, mógł już nigdy nie wracać na Jelucana.

Dlatego nie czuł zazdrości, kiedy zobaczył, że Ciena Ree została przydzielona do grupy o specjalizacji dowództwo. Jego własna specjalizacja – elitarne lotnictwo – znacznie bardziej mu odpowiadała. Ucieszył się nawet z tego, że po podziale na grupy mieli mniej zajęć razem. Czuł ulgę, że nie musi już codziennie oglądać Cieny. Czasami nawet patrzenie na nią bolało...

Nie. Drażniło go. Złościło. Nie bolało.

A przynajmniej tak sobie wmawiał. Thane wiedział tylko, że od czasu ich sporu o ten sfigowany sabotaż, czyli od dwóch lat, nie udało im się w pełni naprawić sytuacji. Upokorzenie, jakie poczuł, kiedy wspomniała o jego ojcu – sugestia, że cokolwiek, co robi, wynika z wpływu ojca – wciąż bolało za każdym razem, kiedy widział Jude Edivon. (Jude od tamtej historii była dla niego zawsze bardzo miła, co tylko pogarszało sprawę). W jego relacjach z Cieną powiało chłodem, dziewczyna przestała mu się zwierzać. Zastanawiał się, czy tak fanatycznie podchodziła do swojej służby dla Imperium, że potraktowała jego nieufność do metod akademii jako osobistą zniewagę. Przecież to by była głupota. Nie mógł też zapomnieć, że nie chciała wysunąć zarzutów wobec oficerów przełożonych, przez co jego pozycja w rankingu mocno ucierpiała.

Nie to, żeby nienawidził Cieny, ani też nie sądził, żeby ona nienawidziła jego. Ale nie kibicowali już sobie nawzajem w wyścigach ani nie gratulowali po wygranych turniejach. Nie spędzali ze sobą nielicznych wolnych chwil, na jakie pozwalała dyscyplina w akademii.

Ale czasami – w najmniej odpowiednich chwilach – łącząca ich więź dawała o sobie znać. Popiół zamieniała w rozżarzone węgle.

Pewnego dnia, zaledwie parę miesięcy przed ukończeniem akademii, Thane szedł do magazynu z mundurami, jak co najmniej raz w semestrze. W końcu przestał rosnać, co przyjął z ulgą, bo był już trzecim najwyższym na roku, tuż za Nashem. Ale teraz jego ciało

nabierało masy mięśniowej, rozrastał się w ramionach i klatce piersiowej, co oznaczało, że potrzebował nowych kurtek. Myślał tylko o tym, jak ciasna i niewygodna jest jego kurtka, kiedy skręcił za róg i zobaczył Cienę stojącą w głębi korytarza, w jej luźnych czarnych szortach i szarej koszulce do zajęć z WiS-u. Nie miała swojej typowej dumnej postawy, tylko stała oparta o ścianę, z jedną ręką przy twarzy. Nawet nie widząc jej miny, Thane wiedział, że jest zdenerwowana.

W tym momencie przypomniał sobie nagle coś, o czym nie myślał od lat – dzień, w którym poznał Cienę, tak dawno temu. Kiedy inni chłopcy naśmiewali się z niej, gdy stała w hangarze w swojej prostej brązowej sukience, Thane'owi przypominała jesienny liść, opadły i kruchy.

Wiedział już, że Ciena Ree z całą pewnością nie była krucha. Jednak teraz znów pomyślał o jesiennym liściu.

– Hej – powiedział. Po chwili wahania podszedł bliżej. – Nic ci nie jest?

Zaskoczona Ciena wyprostowała się, próbując się opanować. Nie płakała, ale Thane dostrzegł w jej oczach błysk niewylanych łez.

– Wszystko w porządku – odparła ochryplym głosem. – Dzięki.

„Zapytałeś. Wszystko gra. Obowiązek spełniony. Spadaj stąd”. Thane się zawahał. Już miał się odwrócić i odejść, ale jakoś nie mógł.

– Nie wyglądasz w porządku.

Wydała jakiś dziwny odgłos – ni to śmiech, ni to szloch.

– To głupie.

– Co takiego?

– ...dostałam wiadomość od rodziców. Muunyak zdechł.

– Ten, na którym przyjeżdżałaś czasem do Fortecy, kiedy byliśmy mali? – Thane od lat nie mówił o Fortecy.

Ciena pokiwała głową.

– Tak. On. Był już dość stary i wiedziałam, kiedy tu przyleciałam, że pewnie już nigdy go nie zobaczę, ale i tak... – Przewróciła oczami, jakby kpiąc z własnych emocji. – To głupie tak się rozklejać, co?

– Wcale nie. Ten muunyak był świetny.

Thane też parę razy na nim jechał. Pamiętał z dzieciństwa, jak

siedział na szerokim, włochatym grzbiecie zwierzęcia, obejmując Cienę w pasie; oboje śmiali się z mieszanką zachwyty i strachu, gdy muunyak szedł zwinnie po wąskiej grani.

Uśmiechnęła się. Thane już dawno nie widział jej uśmiechu skierowanego do niego.

– No, był. Prawda?

– Tak.

Ich spojrzenia się spotkały i przez chwilę było tak, jakby ostatnie parę lat odeszło w zapomnienie...

Ale potem twarz Cieny z powrotem spochmurniała, dziewczyna stanęła w usztywnionej pozie.

– Dziękuję za troskę – powiedziała formalnym tonem. – Wybacz, ale muszę się przebrać na zajęcia z taktyki operacji wodno-lądowych.

Thane się cofnął.

– Wybaczam.

Zawsze tak robiła – stawała się chłodna i znów się przed nim zamykała. Wmawiał sobie, że już się do tego przyzwyczaił, że już dawno przestał się tym przejmować. Jednak przez całą drogę do magazynu Thane nie mógł przestać myśleć o Fortecy, którą razem stworzyli, i jak przesiadywał w niej, czekając na swoją jedyną prawdziwą przyjaciółkę.

Zawsze tak robił – zachowywał się miło, tak że Ciena zapominała, jak na nią wtedy naskoczył. Zaczynała mu się zwierzać, tak jak kiedyś, by potem się opamiętać, kiedy przypominała sobie, jak bardzo Thane się od niej odsunął.

Siedząc na zajęciach i oglądając holofilmy przedstawiające historyczne inwazje wodno-lądowe, Ciena rozmyślała nad dziwnym spotkaniem z Thane'em. Żałowała, że tak chłodno się z nim pożegnała, ale miała wrażenie, że za każdym razem, kiedy próbowała przy nim być sobą, on się od niej odwracał.

Co takiego straszego zrobiła? To on zaczął wariować po tej głupiej historii z działkiem laserowym dwa i pół roku wcześniej, uznając, że za wszystkim stoi jakiś potężny spisek. To on chciał wszcząć

postępowanie administracyjne, nie mając żadnych dowodów, co zakończyłoby się ich natychmiastowym wydaleniem. A czasami wydawał się taki urażony, kiedy pokonała go na teście czy w zawodach, jakby nie mógł uwierzyć, że przegrał z kimś gorszym od siebie. Czyżby wciąż uważał ją za małą przybłędę z doliny?

Może zawsze postrzegał ich przyjaźń jako akt miłosierdzia. Te wszystkie loty treningowe, te wszystkie sesje naukowe z CZ-1 – może nie chodziło o wspólne doświadczenia przyjaciół, tylko jałmużnę bogatego chłopca dla małej dziewczynki, która miała go za to wielbić.

To była przesada i Ciena o tym wiedziała. Naprawdę przyjaźnili się z Thane'em i na pewnym poziomie nic się nie zmieniło – ale ten poziom był już dla niej nieosiągalny.

Wykładowca wciąż mówił. Ciena słyszała go, ale nie słuchała. Myślała o tym, jak ona i Thane przesiadywali godzinami w Fortecy, dzieląc się sekretami i marząc o gwiazdach.

Parę tygodni przed zakończeniem nauki komendant ogłosił, że garstka najlepszych kadetów będzie zaproszona na przyjęcie i bal w Pałacu Imperialnym. Na samą myśl o tym Cienie zapierało dech. Oczywiście szansa na to, że imprezę uświetni swoją obecnością sam Imperator, była niewielka. Jednak Pałac Imperialny należał do najbardziej okazałych i wytwornych budowli na całej planecie; podobno dawniej mieściła się tam jakaś świątynia. Pojawić się tam miały setki wysokich stopniem oficerów armii, nie mówiąc o licznych członkach Senatu Imperialnego. Dla kadetów zaproszenie było czymś więcej niż nagrodą za dobre wyniki; było przejawem specjalnych względów, inwestycją w przyszłych oficerów. Szansą poznania wysoko postawionych ludzi z wojska i ze świata polityki, którzy mogli zmienić bieg ich karier.

Kiedy więc Ciena zobaczyła na liście swoje nazwisko, miała ochotę krzyczeć z radości. Dopiero znacznie później zorientowała się, kto jeszcze jest zaproszony.

– Thane Kyrell i Ved Foslo – powiedziała, rzucając się na koję. – Ze wszystkich facetów na roku musieli zaprosić tych dwóch?

– Każda logiczna analiza wyników wskazywałaby ich jako

prawdopodobnych kandydatów. – Jude nawet na chwilę nie podniosła wzroku znad konsoly komputera, przy której kończyła swoją pracę na zajęcia z informatyki. – Nie mogli ich nie zaprosić, podobnie jak nas.

– Niepotrzebnie się tym zadrezczasz – rzuciła pogodnie Kendy ze swojej koi. Teraz, gdy do końca nauki zostało tak niewiele i wszyscy mieli niemal zagwarantowane przydziały, w akademii wyczuwało się spokój. Zażarta rywalizacja dobiegała końca i można było się... może nie całkiem odprężyć, ale przestać martwić tym, co tu i teraz, a zacząć spoglądać z nadzieją w przyszłość. – Tylko nie mów mi, że chcesz pójść w mundurze.

Ciena się zawahała.

– No... cóż, mundur galowy jest odpowiedni na wszystkie oficjalne uroczystości.

– Niemniej nie jest wymagany przy wydarzeniach o charakterze cywilnym, takich jak bal – stwierdziła z werwą Jude. – Bez wątpienia chcesz założyć mundur galowy, bo nie masz wystarczająco dużo kredytów na zakup odpowiedniego cywilnego stroju.

Całe szczęście, że miała dostatecznie ciemną skórę, by nikt nie dostrzegł jej rumieńca.

– Mundur będzie odpowiedni – odparła Ciena, siląc się na stanowczy ton.

Jude westchnęła i w końcu spojrzała na Cienę.

– Twoja duma jest zwykle silnym czynnikiem motywującym, ale czasami tylko przeszkadza. Pozwól mi, proszę, kupić ci strój na imprezę.

– Nie mogę – zaprotestowała Ciena oburzona. Wychowano ją w poczuciu dumy ze swoich łachmanów; szczyliła się nimi bardziej niż drugofalowcy swoimi jedwabiami, nawet jeśli podobały jej się jedwabie.

– Jesteśmy przyjaciółkami – powiedziała Jude łagodniej. – Ogromnie mi pomogłaś w trakcie naszego pobytu tutaj. Moja matka ma patenty na liczne urządzenia wykorzystywane przez technologię górniczą na Bepinie. W konsekwencji nasz majątek znacznie przekracza nasze potrzeby. Dlaczego nie miałabym ci kupić sukienki?

– Moja kultura nie...

– Ja też mam kulturę – przerwała jej Jude, zupełnie nie w swoim stylu. – My cenimy sobie szczodrość i taktowne przyjmowanie darów.

Ciena szukała słów, by zaprotestować, ale... skoro to było częścią kultury Jude...

– No...

Jude spojrzała na nią z nadzieją.

– Nie muszę mieć sukienki na własność, ale... może pomogłabyś mi ją wypożyczyć?

I tym sposobem poszła na wielki bal w swoim pierwszym stroju wieczorowym w życiu. Niewątpliwie buzująca w niej radość była podszyta próżnością, ale nie mogła na to nic poradzić. Miękki fioletowo-niebieski materiał mienił się delikatnie, a krótka peleryna i długa spódnica powiewały wokół niej jak na niewidocznym wietrze.

Wiele spośród obecnych kobiet – ale też sporo mężczyzn – było znacznie bardziej wystrojonych: w gęsto wysadzone klejnotami bransoletki lub diademy, czy też stroje z haftowanego jedwabiu i aksamitu. Jednak Ciena wiedziała, że wygląda równie elegancko co inni. Zrezygnowała ze swoich warkoczy i rozpuściła włosy, zmiękczając je lekko wonnym olejkiem. Kendy pożyczyła jej opalizujące spinki zrobione z muszli z Iloh, którymi Ciena zaczesła włosy na skroniach, a także proste perłowe kolczyki. Ciena wyglądała stosownie do okazji, ale jednocześnie czuła się sobą, a nie jak przebieraniec – tak z pewnością czułaby się w jednej z tych wytwornych, misternie kloszowanych sukni, które widziała u innych.

– No, jesteś – powiedziała Jude. Ciena odwróciła się, żeby się z nią przywitać, i wytrzeszczyła oczy.

Ponieważ Jude nic nie mówiła o własnej sukni, Ciena zakładała, że jej wybór stroju podyktowany będzie pragmatyzmem – założy coś szarego lub kremowego, o prostym kroju, pasującego do każdej okazji. Tymczasem Jude stała tam odziana w obcisły pomarańczowy materiał – nie licząc kilku strategicznych wycięć, które odsłaniały jej płaski brzuch i smukłe plecy. Jej krótka wojskowa fryzura była ułożona w kolce, a z uszu zwisały jej złote kolczyki, które ocierały się o jej ramiona, co wyglądało, szczerze mówiąc, seksownie.

Podczas gdy Ciena gapiała się na nią, Jude zmarszczyła brwi z wyraźną konsternacją.

– Co się stało?

– Eee... świetnie wyglądasz.

Jude się rozpromieniła.

– Ty też, Cieno.

Weszły razem z eleganckim tłumem do holu, z pewnością jednej z najbardziej okazałych przestrzeni publicznych w całym Pałacu Imperialnym. Szeroki korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a po obu jego stronach wznosiły się masywne kolumny. Z sufitu zwisały jaskrawoczerwone sztandary, obciążone na brzegach, tak że nie poruszał nimi żaden podmuch wiatru. Lśniące, wypolerowane droidy krążyły z tacami pełnymi drinków i przystawek, lawirując z łatwością wśród tłumu. Nawet powietrze wypełniał zapach perfum, chociaż Ciena początkowo trochę kasłała od ciężkiego aromatu. Na cokółach stały iskrzące się krystaliczne rzeźby, które zmieniały płynnie kształty, przeobrażając się z abstrakcyjnych form w doskonałe symbole Imperium. Rzeźby były podświetlane tak, by mieniły się najjaśniej dokładnie w chwili przemiany.

– To nadzwyczajne – powiedziała Jude. – Pomyśl, ile to wymagało pracy.

– I pieniędzy – dodała Ciena. Za to, co wydano tylko na ten wieczór, można by pewnie odbudować rafinerię rudy na Jelucanie...

Znów myślała jak prowincjuszka. Każdy świat musiał się odbudować własnymi siłami. Owszem, Imperium miało pomagać i zarządzać, ale koniec końców Jelucan i podobne mu światy musiały same rosnać w siłę.

Już miała powiedzieć o tym Jude, ale wtedy zauważyła Veda i Thane'a.

Ved skorzystał z okazji, żeby ubrać się zgodnie z coruscancką modą – długa peleryna, jedwabista koszula z szerokim wycięciem na piersi i tak dalej. Jednak Ciena nie wierzyła, żeby ktokolwiek mógł patrzeć na Veda, gdy obok stał Thane. On miał na sobie swój mundur galowy, podobnie jak co najmniej ze dwustu innych mężczyzn, ale cała reszta wyglądała przy nim... blado. I chociaż Ciena przez ostatnie dwa lata

obserwowała, jak Thane dorasta, dopiero w tej chwili dostrzegła w nim mężczyznę.

Jej własna reakcja zbiła ją z tropu, ale jeszcze bardziej zmieszała się, gdy zauważyła, że Thane ją rozpoznał, a jej widok zrobił na nim równie silne wrażenie. Zdawał się pożerać ją wzrokiem...

– Patrz – szepnęła Jude, odciągając Cienę w najlepszym albo w najgorszym momencie. – To ta młoda senatorka z Alderaana, księżniczka Leia Organa!

Ciena stanęła na palcach, podekscytowana tym, że może zobaczyć kogoś tak sławnego. Zdołała dojrzeć przelotnie księżniczkę, która miała na sobie wąską białą togę, a włosy splecione w misterne warkocze. Po chwili liczny tłum znów otoczył senator Organe, zasłaniając ją przed wzrokiem przejętych kobiet.

– Dasz wiarę? – spytała Jude, gdy dołączyły do pochodu zmierzającego w stronę sali balowej.

– Nie ma w tym nic dziwnego, że tu jest. – Ciena czuła się jednak onieśmielona faktem, że dziewczyna niemal dokładnie w jej wieku może już zasiadać w Senacie Imperialnym, może być tak pewna siebie, obyta i ważna.

– Jednak to zaskakujące, że zdecydowała się przyjść na jakąkolwiek oficjalną uroczystość po swoim wczorajszym przemówieniu w Senacie.

Wtedy Ciena sobie przypomniała: księżniczka Leia ogłosiła w imieniu swojego ojca zbliżające się „misje humanitarne” na planety, które według Organów odczuły negatywne skutki imperialnej polityki.

– To niedorzeczność – mruknęła. – Zagranie pod publiczność. Takie misje nie są konieczne, Imperium samo pomogłoby swoim obywatelom. Od tego właśnie jest!

Jude pokiwała głową, ale powiedziała:

– Powinniśmy być wspaniałomyślni. Nawet jeśli Organowie się mylą, zapewne działają w dobrej wierze.

Może i tak, ale Ciena nie mogła pojąć arogancji, jaką musiał odznaczać się każdy, kto uważał się za mądrzejszego od całego Imperium.

Taniec z partnerem należał do zwyczajów, które Ciena przed przybyciem na Coruscant uważała za przejawy dekadencji drugiej fali. Owszem, w dolinach także się tańczyło, ale tańce wykonywano w grupie, jako część pewnych ważnych rytuałów. Jednak na zajęciach z kultury Światów Jądra nauczyła się postrzegać taniec jako cywilizowany zwyczaj – nawet taniec w parach, służący wyłącznie przyjemności. Teraz cieszyła się, że miała szansę nauczyć się kroków najczęściej wykonywanych formalnych tańców. Tłum skrzący się w tej ogromnej, pokrytej ozdobnymi płytkami i lustrami sali nie onieśmiał jej; pewnym krokiem przeszła na swoje miejsce i zaczęła, aż komputer przydzieli jej pierwszego partnera.

Oczywiście to musiał być Thane.

Stał przed nią wśród mieszających i łączących się par, nie patrząc jej prosto w oczy.

– Chyba chcieli, żeby kadeci zaczęli razem – powiedział krótko.

– Chyba tak. – Ciena odwróciła głowę, próbując patrzeć w innym kierunku, ale to, co zobaczyła, sprawiło, że musiała się uśmiechnąć. – Wierz lub nie, ale my i tak mamy szczęście.

Obok nich Ved patrzył gniewnie na Jude, która przewyższała go o głowę. Jude starała się wyglądać dostojnie, ale Ciena знаła ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

Thane musiał zobaczyć to samo, bo usłyszała jego stłumiony chichot.

– Masz rację.

A potem orkiestra zagrała pierwsze takty. „Kalenada” – pomyślała Ciena, rozpoznając taniec. Znała właściwą pozycję wyjściową i uniosła nawet ręce, ale nie była przygotowana na ten moment, w którym Thane objął ją w talii swoją szeroką dłońią.

Ich spojrzenia się spotkały i zaczął się taniec.

Wszyscy z tysięcy ludzi na sali znali właściwe kroki i poruszali się jak jeden organizm; jaskrawe kolory wirowały, nieustannie się przemieszczając, ale zawsze według określonych schematów niczym kawałki szkła w kalejdoskopie. Nikt nie postawił nawet jednego palca u stopy nie tam, gdzie trzeba. Ciena wyobrażała ich sobie jako

klejnoty błyszczące w swojej oprawie, osadzone ciasno w metalu, który był prawie niewidoczny za tym blaskiem.

– Myślałem, że uważasz taniec za... jak to określiłaś? – spytał Thane. – Rozwiązły? Nieprzyzwoity? Wiodący do grzechu?

Kiedyś tak było, zanim zajęcia z kultury Światów Jądra poszerzyły jej horyzonty. Teraz drażniło ją, że Thane przypomina o jej prowincjonalnym sposobie myślenia.

– Coś ci się chyba przyśniło.

Thane się roześmiał – ale z pogardy czy zaskoczenia?

– Wydajesz się pewna siebie.

– Bo jestem.

Przekomarzali się, nie kłócili, ale coś się zmieniło w tym momencie. Ciena dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wypowiadając te słowa, uznała swoją urodę i atrakcyjność. Thane mógł to wykorzystać do okrutnego ataku...

Tymczasem on powiedział cicho:

– I słusznie.

Ich spojrzenia znowu się spotkały i Ciena ze zdwojoną mocą poczuła ciepło ręki Thane'a obejmującej jej dłoń, dotyk jego palców na swoich plecach. Od bardzo dawna nie byli ze sobą tak blisko. Każdy ruch w kalenadzie wymagał, by on prowadził, a ona mu się poddawała, co nadawało tej chwili jeszcze większej intymności. Jaskrawy korowód tancerzy wokół nich zacierał się, aż w końcu miała wrażenie, że są tam tylko we dwoje.

Rozchyliła usta, żeby coś powiedzieć, chociaż sama nie wiedziała co – ale wtedy muzyka się skończyła. Zatrzymali się w pół kroku, ale stali tak jeszcze w objęciach przez parę chwil, gdy wszyscy inni zaczęli bić brawo. A potem nadeszła pora na zmianę partnerów i Thane odszedł bez słowa.

Przez następną godzinę Ciena dalej odgrywała swoją rolę w tańcu, śmiejąc się i uśmiechając razem ze wszystkimi, ale nie potrafiłaby powtórzyć ani słowa z tego, co do niej mówiono. Nie umiałaby powiedzieć, co tańczyła, do jakich utworów ani z kim. W głowie miała mętlik, cały czas rozmyślała o rozłamie między nią a Thane'em, próbując jakoś to sobie wytłumaczyć.

W czasie przerwy w tańcach Ciena podeszła pospiesznie do droida kelnera. Sięgnęła ponad licznymi kieliszkami wina po szklaneczkę zimnej wody. Opróżniając ją łąpczywie, usłyszała:

– Tu jesteś.

Ciena nie odwróciła się w stronę Thane'a. Czowała, że stoi bardzo blisko.

– Jestem.

– Słuchaj, już dawno powinniśmy byli o tym porozmawiać i może to nie jest odpowiedni czas ani miejsce...

Wtedy się odwróciła.

– Masz zamiar mnie przeprosić?

– Przeprosić? – Oczywiście Thane'a płonęły niebieskim ogniem. – Za co? Za to, że chciałem się bronić?

– Za to, że mnie odtrąciłeś!

– To ty mnie...

Nagle ktoś wepchnął się chwiejnie pomiędzy nich – Ved Foslo, już mocno pijany. Roześmiał się głośno.

– Ale wy jesteście głupi.

– Słucham? – Ciena cofnęła się, marszcząc nos. Ved cuchnął koreliańską brandy, której nawet nie podawano na przyjęciu, musiał mieć buteleczkę ukrytą w kieszeni płaszcza.

– Głupi. Ty. Thane. Oboje. Strasznie głupi. – Ved wymachiwał palcem, jakby byli niesfornymi dziećmi. – Ciągłe kłóćcie się o tę historię z działkiem laserowym. Kogo to obchodzi? Zresztą oboje nic z tego nie załapaliście.

W pierwszej chwili jego słowa wydawały się pozbawione sensu, ale potem Ciena doznała nagłego olśnienia. Poczwała niemal obezwładniający szok i gniew.

– To byłeś ty?

Ved uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie! Ja? Dlaczego ja miałbym to zrobić? Ciągłe nie łapiecie, co? Kmiotki ze skały na końcu galaktyki... oczywiście, że nie wiecie, jak naprawdę działa akademia i imperialna flota...

Thane położył jedną dłoń na piersi Veda. Chociaż mogło to wyglądać tak, jakby trzeźwy podtrzymywał swojego pijanego kolegę,

Ciena wyczuwała ukrytą groźbę. Sądząc po tym, jak uśmiech zamarł na ustach Veda, on też to zrozumiał.

– Może nam wytłumaczysz? – powiedział cicho Thane.

Ved zrobił kilka kroków do tyłu, tak by Thane nie mógł go dosięgnąć, i dopiero wtedy odpowiedział.

– Uczęszczamy do akademii, żeby stać się obywatelami Imperium. Wykładowcy nie lubią, gdy kadeci z tej samej planety trzymają się razem. To wzmacnia waszą więź z ojczystym światem. I osłabia oddanie dla Imperium.

– Nieprawda! – zaprotestowała Ciena, ale on nie słuchał.

– Wrobili was. – Ved roześmiał się znowu. – Napuścili was na siebie, żebyście się znienawidzili, a wy połknęliście haczyk.

Thane zmrużył oczy.

– Kiedy my oblaliśmy to zadanie, ty wskoczyłeś na pierwsze miejsce. Przynajmniej dopóki Jude Edivon cię nie wyprzedziła dwa tygodnie później.

– Ciągłe myślicie, że to moja robota? Nie ma szans. Nie umiałbym się włamać do ich systemu. Nawet Jude nie dałaby rady. Tylko wykładowcy mają takie możliwości. A poza tym gdybym chciał kogoś w coś zrobić, to na pewno nie wybrałbym Biura Wyników. Mój ojciec mi o nich opowiadał. – Uśmiech Veda był zarazem niedbały i pełen samozadowolenia. – Że mogli przy okazji podciągnąć w rankingu syna generała? Pewnie była to dodatkowa zachęta. Ale zrobili to głównie po to, żebyście przestali trzymać się razem. A wy, jelucańskie głupki, zareagowaliście dokładnie tak, jak chcieli. Tyle że jeszcze pogorszyliście sprawę. Im zależało, żebyście się tylko posprzeczali. A nie... – Ved wykonał falujący ruch ręką. – Wy się nie wkurzyliście. Wy praktycznie się znienawidziliście. Więc chyba jesteście doskonałymi kadetami akademii. Znowu.

Nagle jakby stracił zainteresowanie nimi i ruszył chwiejnym krokiem w stronę droida kelnera po następnego drinka. Ciena miała wrażenie, jakby cały wstyd, jaki powinien czuć Ved, przeszedł na nią.

Ale zasłużyła na wstyd. Napadła wtedy na Thane'a za oskarżanie akademii – a on od samego początku miał rację. Kierowano się tutaj innymi pobudkami, ale co do zasady Thane się nie mylił. A ona

pozwoliła, żeby to oddaliło ją od osoby, której nigdy nie powinna wypuścić z rąk.

Thane nie wiedział, od czego zacząć.

– Cieno...

Pokręciła głową, ale nie wiedział, na co Ciena się nie zgadza: na to, co mówił Ved, na obarczanie winą akademii, na to, żeby Thane przemówił pierwszy, na wszystko? Położył rękę na jej ramieniu, ale ona wzdrygnęła się, jakby jego dotyk sprawiał jej ból. Co mógł powiedzieć albo zrobić?

I wtedy oczywiście cholerna orkiestra zaczęła znów stroić instrumenty i Ciena odeszła szybko, żeby zająć swoje miejsce przed następnym tańcem. Nawet nie spojrzała na Thane'a.

Nie miał większego wyboru, więc także dołączył do tańczących, ale przez resztę balu nie mógł myśleć o niczym innym. Chwilami miał ochotę wrócić do akademii i obejść wszystkie korytarze na wszystkich piętrach, aż znalazłby Biuro Wyników, a potem spojrzeć w oczy tym, którzy tam pracowali, i sprać ich po pyskach. Kiedy indziej wolał znaleźć wehikuł czasu, żeby cofnąć się do przeszłości i powiedzieć młodszemu sobie, żeby nie był takim kompletnym idiotą. Zastanawiał się też nad tym, co taki wybieg ze strony akademii mówi o Imperium i jego podejściu do oficerów.

Przede wszystkim jednak chciał porozmawiać z Cieną w cztery oczy.

Kiedy bal wreszcie się skończył, Thane zaczął przepychać się przez tłum, szukając wzrokiem burzy ciemnych włosów Cieny lub niezwykłego fioletowo-niebieskiego odcienia jej stroju. Ciężko było jednak kogokolwiek znaleźć wśród tych wszystkich nadskakujących dyplomatów, roześmianych dworzan i ubranych na czarno oficerów... Dlaczego ciągle zapominał, że jest jednym z nich?

Najpierw zobaczył Jude. Była o głowę wyższa od większości osób na sali, a jej jaskrawopomarańczowa suknia rzucała się w oczy.

Kiedy podszedł bliżej, usłyszał, jak mówi:

– Jako że dzisiaj nie obowiązuje nas capstrzyk, a na jutro nie mamy wyznaczonych żadnych zadań, jest to idealna okazja do poznania

słynnego życia nocnego w tej części Coruscant. Zawsze ciekawiły mnie tutejsze kluby, zwłaszcza Wschodząca Gwiazda...

„Tylko Jude Edivon może mówić o całonocnej imprezie jak o eksperymencie naukowym”. Thane uśmiechnął się mimowolnie na tę myśl, ale potem zobaczył Cienę i wszystko inne zeszło na dalszy plan.

– Właściwie, Jude – powiedział, chcąc wykorzystać swoją szansę – miałem nadzieję, że Ciena i ja spędzimy, eee, trochę czasu na osobności.

Jude uniosła brew, patrząc to na nią, to na niego.

Ciena wzięła głęboki oddech.

– Thane i ja powinniśmy porozmawiać. Jeśli nie masz nic przeciwko, Jude.

– Ależ skąd. Będę razem z innymi. – Jude wskazała na grupkę młodych oficerów, kilku facetów i parę dziewcząt, którzy najwyraźniej na nią czekali.

– Z którym z nich ona idzie? – spytał Thane, kiedy Jude znalazła się poza zasięgiem głosu.

– Możliwe, że ze wszystkimi. – Ciena odwróciła się twarzą do niego z rękami splecionymi przed sobą w geście, który Thane znał z dolin; nie był pewien, co on oznacza, ale wiedział, że jest ważny i ma formalny charakter. – Thane, nie wierzyłam w winę akademii i spierałam się o to z tobą, tym samym kwestionując twój honor. Takie uchybienie...

– Nie. Nie musisz tego robić. To nie twoja wina, Ciena, a w każdym razie nie bardziej niż moja. Chyba oboje wyszliśmy na idiotów. Ale prawdziwym winowajcą jest ten drań z Biura Wyników, ktokolwiek nim jest, który nam to zrobił.

Ciena zamrugwała powiekami, jakby w szoku.

– Oni nie zaplanowali tego, że między nami aż tak się popsuje. Sami sobie to zrobiliśmy.

Jakkolwiek nieprzyjemnie to zabrzmiało, Ciena miała rację.

– A poza tym zastanów się, Thane – ciągnęła. – Generał Foslo pewnie przekupił kogoś, żeby to zrobił, a Ved kłamie, żeby kryć ojca.

To... wydawało się możliwe, chociaż Thane nie był przekonany.

W tej chwili nie miało to znaczenia.

– W każdym razie miałaś rację odnośnie do oskarżania wykładowców akademii. – To było nieprzyjemne uczucie, przyznać, jak bardzo się mylił, ale ta świadomość kiełkowała w nim w ciągu ostatnich paru lat i była już najwyższa pora, żeby przyznać się do tego przed Cieną i samym sobą. – Wyrzuciliby nas, bez wątpienia. Nie powinienem być na ciebie napadać z tego powodu.

– A ja powinnam była zrozumieć, że jesteś zdenerwowany.

Ciena koniecznie chciała go przeproszać, ale Thane nie miał zamiaru tego słuchać.

– Rzecz w tym, że żadne z nas nie zrobiło nic złego. Mam już dość gniewania się na ciebie. Nie możemy w końcu o tym zapomnieć?

Wyprostowała się, znów taka oficjalna.

– Jestem skłonna odnowić naszą przyjaźń.

Ta deklaracja zabrzmiała tak, jakby miał po niej nastąpić jakiś skomplikowany rytuał pojednania, ale Thane nie wiedział ani też nie dbał o to, jak by to miało wyglądać.

– Nie możemy po prostu porozmawiać? Daj spokój, Cieno. Nie obchodzi mnie, kto powinien być mądrzejszy ani dlaczego akademii to zrobiła. Chcę po prostu odzyskać przyjaciółkę. Reszta się nie liczy.

Wiedział, że nie będzie jej łatwo o tym zapomnieć, ale kiedy wspomniał o odzyskaniu jej, dostrzegł u niej cień uśmiechu.

– Od czego zaczniemy?

– Od dzisiejszego wieczoru.

Chodzenie po nocnych klubach oznaczałoby konieczność przekrzykiwania muzyki, nie mówiąc o przeganianiu niezliczonych facetów, którzy najprawdopodobniej kręciliby się wokół tak ubranej Cieny. Powrót do akademii też nie gwarantował idealnego wolnego wieczoru. Ani Thane, ani Ciena nie mieli pojęcia, co jeszcze można robić w tej okolicy, więc zamiast czegoś szukać usiedli na patio obok sali balowej, na niskiej kamiennej ławce przy fontannie. Spędzili tak długie godziny, podczas gdy wokół nich krążyły droidy sprzątające.

Zaczęli od rozmowy o samym balu, o tym, co i kogo widzieli.

– Tańczyłem nawet z księżniczką z Alderaana – pochwalił się Thane. – Nash zzielenieje z zazdrości, gdy mu o tym powiem.

Podkochał się w niej, odkąd skończył dziewięć lat.

– Z księżniczką Leią? Jaka ona jest?

– Niższa nawet od ciebie – odparł Thane, za co dostał niezbyt mocnego kopniaka w kostkę. Udał, że zwija się z bólu, ale ciągnął już poważniej: – Nie wiem. To był tylko taniec, a ona nie wydawała się nim zbytnio zainteresowana. Nie była nieuprzejma; raczej rozkojarzona. Ktoś taki jak ona ma pewnie mnóstwo rzeczy na głowie.

Kiedy rozmawiali o swoich przyszłych zadaniach, Ciena otworzyła się bardziej.

– Przydział do specjalizacji dowództwo to zaszczyt. Czasami myślę o tym, że kiedyś mogłabym mieć własny statek i po prostu... – Zadrżała i chyba naprawdę podnieciła ją ta myśl, bo Thane zauważył gęsią skórę na jej rękach. – Ale to oznacza, że nie będę miała zbyt wielu okazji, żeby polatać myśliwcami, przynajmniej przez pierwszych parę lat.

– To karygodne – powiedział Thane. Nieopodal złocisty droid kelner zmiatał odłamki rozbitego kieliszka, wykorzystując swoje pięć ramion. – Jesteś fenomenalną pilotką, Cieno. Zawsze powinnaś latać.

Zapomniał już, jak chytry potrafi być jej uśmiech.

– I będę. Tylko większym statkiem.

Zanim nadszedł świt, znów zwiertali się sobie ze wszystkiego. Ciena pokazała mu mały woreczek, w którym trzymała skórzaną bransoletkę, wciąż przypominającą jej o siostrze.

– Zawsze się nad tym zastanawiałem – powiedział cicho Thane, patrząc na miękką, wytartą plecionkę. – Nie mogłaś jej nosić ze względu na regulamin, a ty nigdy byś go nie złamała, ale wiedziałem też, że byś się jej nie pozbyła.

– Nie. – Ciena zacisnęła delikatnie palce wokół woreczka; sądząc po jego grubej tkaninie, Thane podejrzewał, że mogła go zrobić z kawałka materiału przywiezionego z domu. – Nigdy.

Niebo zaczęło różowieć. Ruch powietrzny nie ustawał nawet w nocy, ale teraz statków było więcej i poruszały się szybciej. Bose stopy Cieny spoczywały na kamiennej ławeczce, jej mieniące się buty leżały na posadzce. Droidy podały ostatnie kieliszki wina, zanim udały się do swoich stacji ładowania, a Thane wychylając ostatni łyk,

patrzył na ziewającą Cienę. Mimo że było tak późno, a oboje byli wycieńczeni, wciąż wyglądała pięknie.

Nie chciał jednak posuwać się dalej. Może w ogóle nie posunie się dalej, biorąc pod uwagę, że za parę miesięcy zostaną pewnie wysłani na dwa różne końce galaktyki. Poza tym ich pojednanie było zbyt świeże, by prosić o coś więcej. „Później” – zdecydował Thane. Później pomyśli o Cienie i ich przyszłości. Już i tak miał dość wrażeń jak na jedną noc.

– Powinniśmy wracać – powiedział, wstając. – Chodź.

Gdy Ciena założyła z powrotem buty, Thane podał jej rękę, pomagając jej się podnieść. Biorąc pod uwagę ich zmęczenie, nie spodziewał się niczego poza pogawędką o tym, jak długo albo jak krótko będą spać. Tymczasem Ciena powiedziała cichutko:

– Bardzo się cieszę, że cię odzyskałam.

„Później” – upomniał się w myślach.

– Ja też.

Rozdział 8

Dzisiejszy dzień wyznacza nie tylko koniec, ale też początek. Wszystko, co robiliście przez te trzy lata w akademii, i w pewnym sensie wszystko, co robiliście przez całe życie, miało na celu jedno: uczynić z was jak najlepszych oficerów Imperium. Zawsze byliście jego obywatelami, ale dziś stajecie się jego częścią w sposób, którego żaden cywil w pełni nie zrozumie. Mundury, które teraz nosicie, są symbolem potęgi Imperium, a wasza służba pozwala tę potęgę umacniać coraz bardziej.

Serce Cieny pęczniało z dumy, gdy stała tak wśród szeregów kadetów... nie, nowych oficerów. Miała na sobie szaro-czarny mundur oficera, a nowe insygnia lśniły pod jej obojczykiem. Dostała przydział tego ranka, tuż przed rozpoczęciem ceremonii. Słońce świeciło jasno na bladym coruscancskim niebie, ogromne czerwone sztandary powiewały lekko na wietrze i Ciena czuła się tak, jakby jej przyszłość została rozłożona przed nią niczym aksamitny dywan, miękki i pluszowy, wyraźnie wyznaczający ścieżkę jej życia i kariery.

Kilka rzędów dalej absolwenci z grupy elitarnego lotnictwa stali w czarnych kombinezonach pilotów myśliwców TIE. Thane'owi wydawało się to idiotyczne. Skafander był ciężki i było w nim gorąco; był przeznaczony do użytku w górnej atmosferze czy w przestrzeni kosmicznej, a nie na powierzchni planety w słoneczny dzień. A ten hełm, który wydawał się tak niezbędny – i tak kozacki – podczas lotu... na ziemi wyglądał śmiesznie. Mimo wszystko bardziej niż strój irytował go mówca. „Gada tak, jakby Imperium połknęło nas w całości. Kiedy on skończy? Czy mógłby się wreszcie zamknąć, żebym mógł pójść się przebrać?”.

Najlepszą częścią ceremonii był według niego koniec, kiedy nareszcie mógł odszukać w tłumie Cienę. Gdy tylko ściągnął hełm, rzuciła mu się na szyję, żeby go uściskać; Thane ledwo to poczuł ze względu na napierśnik, ale i tak się uśmiechnął.

– I gdzie cię wysyłają?

– Na gwiazdny niszczyciel. Na „Devastatora”.

– Łaa. To jeden z najlepszych statków w całej flocie. – Thane cieszył się z jej sukcesu, ale nie był zaskoczony. Nigdy nie wątpił, że Ciena zajdzie daleko.

W jej oczach błyszczała radość i nadzieja.

– A ty? Gdzie dostałeś przydział?

– Przydzielili mnie do floty obronnej stacji kosmicznej.

– Której?

– To jest właśnie najdziwniejsze: nie wiem. Podobno to jakaś nowa stacja, i na razie *utajniona*.

– Fajnie – powiedziała. – I pewnie jest duża szansa, że „Devastator” będzie wizytował tę nową stację.

– No, możliwe. – Thane także na to liczył. Gdyby zostali wysłani na przeciwległe krańce Zewnętrznych Rubieży, musiałby się pogodzić z tym, że ich ścieżki nigdy się nie przetną, przynajmniej nie na służbie. Ale ona będzie na jednym z najważniejszych statków we flocie, a on zdążył się już zorientować, że ta nowa stacja to obiekt najwyższej klasy, jeden z takich, w których dokowały ważne statki, co oznaczało, że wkrótce mogli się znów zobaczyć. A kiedy ponownie się spotkają, już nie jako towarzysze zabaw czy kadeci, ale jako oficerowie i dorośli... co wtedy?

Thane nie wiedział, ale miał ochotę się przekonać.

– Dawaj znać, co u ciebie, dobra?

– Ty też wysyłaj wiadomości i holozdjęcia. Cały czas. – Ciena siliła się na żartobliwy ton, ale Thane słyszał w jej głosie autentyczną nadzieję. – I może nawet zobaczymy się w domu.

– Jasne. – Nachylił się szybko i pocałował ją w policzek. Pełne usta Cieny rozchyliły się z zaskoczenia, ale i zadowolenia. Thane zdał sobie sprawę, że już dawno powinien był to zrobić. Chciał coś powiedzieć, ale nie umiał znaleźć właściwych słów. Ograniczył się więc do podstaw: – Gratulacje, porucznik Ree.

– Wzajemnie, poruczniku Kyrell. – Uniosła rękę, zbierając się do odejścia, ale rzuciła mu jeszcze przeciągłe spojrzenie, zanim weszła w tłum.

Thane odprowadził ją wzrokiem. Nawet wśród setek studentów

ubranych w różne wersje tego samego munduru Ciena wydawała mu się wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju. Dopiero kiedy zniknęła mu z oczu, odwrócił się w drugą stronę.

„W domu” – pomyślał.

Wprawdzie miał nadzieję zobaczyć Cienę przed ich następną przepustką, jednak podobała mu się myśl o powrocie na Jelucana razem z nią. Wcześniej miał zamiar odkładać wizytę w domu najdłużej, jak się dało, a najchętniej w nieskończoność; teraz jednak stwierdził, że chętnie by wrócił, chociaż raz. Byłoby inaczej, gdyby odbyli tę podróż razem z Cieną. Może nawet mogliby odwiedzić Fortecę. Ich kryjówkę w jaskini pewnie pokrył kurz, ale nie trzeba by dużo pracy, żeby znów było tam przytulnie. Albo mogliby wybrać się razem do Valentii, tak jak zawsze sobie obiecywali, ale nigdy tego nie zrealizowali...

Po trzech tygodniach służby na pokładzie „Devastatora” Ciena w końcu przestała czuć się jak kadet i weszła w rolę prawdziwego imperialnego oficera. Przełom nastąpił w dniu, kiedy po raz pierwszy brała udział w akcji przeciwko rebeliantom.

„Oni do nas strzelają?”. Nie mogła w to uwierzyć. Małeńki łamacz blokady próbował atakować gwiazdny niszczyciel. To wydawało się więcej niż beznadziejne – to zakrawało na szaleństwo.

Ale z drugiej strony: czy wszyscy rebelianci nie byli szaleni?

– Podlecieć bliżej – rozkazał dowódca mostka. – Ich zasoby energii powinny się już wyczerpywać. Wciągnijmy ich do hangaru i zakończmy sprawę.

Ciena włączyła promień ściągający, a potem podniosła wzrok znad lśniącej czarnej konsoli, żeby zobaczyć to na własne oczy. Drobną białą sylwetką statku na tle gwiazdnego krajobrazu wyglądała jak okruch przy widocznej w dole pustynnej planecie. Na monitorach mogła zobaczyć znacznie więcej, ale było coś przyjemnego w bezpośrednim obserwowaniu pogromu rebelianckiego statku.

Dawniej uważałyby tę porażkę za oczywistość. Rebelianci byli rozwydrzoną bandą malkontentów, zmuszoną uciekać się do aktów terroru, ponieważ nie mieli wystarczającego poparcia ani militarnej

potęgi – a przynajmniej tak się wydawało do niedawna, kiedy zaatakowali z ukrytej bazy. Wstyd przyznać, ale rebelianci wygrali wówczas tę potyczkę, a Imperium nie tylko musiało przełknąć gorzki niepojętej klęski, ale też straciło ważne informacje strategiczne. Mimo że szczegółów nie ujawniono publicznie, Ciena dowiedziała się, że dotyczyły one planów utworzenia nowej tajnej stacji kosmicznej Imperium.

To musiała być ta baza, do której przydzielili Thane'a. Gdyby pokonani właśnie rebelianci zdołali uciec, czy zaatakowałiby tę stację, narażając życie Thane'a na niebezpieczeństwo?

Ciena zmrużyła oczy, wpatrując się w rebeliancki statek. „Naprawdę sądziliście, że możecie nas bezkarnie zaatakować? – pomyślała. – Teraz już chyba będziecie mądrzejsi, co?”

Łamacz blokady w dalszym ciągu nadawał swoje protesty, utrzymując, że leci z „misją dyplomatyczną”, ale Ciena nie zwracała na to uwagi, podobnie jak wszyscy na mostku. Z satysfakcją zobaczyła, jak statek znika z pola widzenia, stając się jedynie zielonym punktem na monitorze.

– Sir, Lord Vader wydał rozkaz wejścia na pokład „Tantive IV” – odezwał się jeden z oficerów w pobliżu.

Kapitan pokiwał głową.

– Doskonale. Aresztują księżniczkę w mgnieniu oka. Odwołać stan pogotowia dla głównych dział laserowych.

Ciena bez słowa wypełniła rozkazy dowódcy. Musiała ukrywać swój szok na myśl, że księżniczka Leia z Alderaana jest rebeliantką, terrorystką i zdrajczynią. Choć jej ojciec już dawno dał się poznać w Senacie Imperialnym jako wichrzyciel, który myli znaczenie swojej planety z własnym – mimo wszystko szkoda, że córka musiała odziedziczyć po nim tę arogancję.

Dzisiaj pokażą jej i wszystkim innym rebeliantom, że nie mogą bezkarnie przeciwstawiać się Imperium.

Tymczasem z „Tantive IV” wystrzelono jedną z kapsuł ratunkowych; odczyty wskazywały na obecność w nich czterech żywych istot, które próbowały uciec na pustynną planetę w dole. Kapsuła została z łatwością zestrzelona.

„Co oni sobie myśleli? – zastanawiała się Ciena, przesyłając szybko meldunki od oddziałów abordażowych. – Jakim cudem chcieli uciec przed gwiazdnym niszczycielem, skoro byli już uwięzieni w jego hangarze?

Pewnie strach odebrał im trzeźwość myślenia. Zasłużyli sobie na wszystko, co ich spotkało, ale nie dziwię się, że byli przerażeni...”.

Z zamyślenia wyrwał ją widok kolejnej kapsuły wylatującej ze statku.

– Następna leci – mruknął oficer obok Cieny.

Kapitan sprawiał wrażenie znudzonego.

– Wstrzymać ogień. Nie ma żywych istot na pokładzie. Musiało dojść do zvarcia. – Po paru chwilach kapsuła ratunkowa zniknęła na tle żółtych piasków planety w dole.

Niedługo potem Ciena miała osobiście dostarczyć kopie plików danych z mostka pomocniczego oficerowi z wydziału spraw wewnętrznych IBB; Imperialne Biuro Bezpieczeństwa lubiło monitorować wszelkie kontakty potencjalnych rebelianckich celów, żeby upewnić się, że nikt nie dopuszcza się nielojalności wobec Imperium mową ani czynem. Po drodze, przy drzwiach windy na główny mostek, wpadła na Nasha Windridera. Jako jeden z nielicznych absolwentów z jej roku dostał przydział na „Devastatora” – i chociaż wcześniej nie utrzymywali bliskich kontaktów ze względu na ten głupi konflikt między nią i Thane’em, znali się na tyle dobrze, że teraz mogli uchodzić za przyjaciół. Nash wciąż miał długie włosy, chociaż nosił je ciasno splecione z tyłu, zgodnie z wymogami regulaminu.

– Niech zgadnę – powiedział teatralnym szeptem, gdy drzwi windy się rozsunęły i weszli do środka. – Biegasz na posyłki, żeby czasem nie wysłali cię na tę rozgrzaną kupę piasku.

– Tatoonie – udała, że go poprawia. Winda pomknęła do góry i przez szklane panele w drzwiach ujrzeli przelatujące poziomo ogromnego gwiazdowego niszczyciela. – Rozumiem, że ty się tam wybierasz?

– Na całe szczęście nie. Zejść tam w zbroi szturmowca to jak dać się upiec żywcem.

Winda za parę chwil miała dotrzeć na główny mostek, więc Ciena skorzystała z okazji, żeby powiedzieć coś, co musiała powiedzieć Nashowi na osobności.

– Chciałam ci powiedzieć, że przykro mi z powodu waszej księżniczki – zaczęła delikatnie. – Musisz się czuć taki... zdradzony.

Uśmiech Nasha przygasł. Wyprostował się i splótł ręce za plecami.

– Księżniczka Leia została zapewne wprowadzona w błąd przez swoich dworzan. Jestem pewien, że rzetelne dochodzenie oczyści ją z jakichkolwiek realnych zarzutów.

– Oczywiście. Powinam była o tym pomyśleć. – Ciena nie do końca dawała wiarę tak prostemu wytłumaczeniu, ale Nash wiedział więcej na temat księżniczki niż ona. Być może miał rację.

Drzwi windy się otworzyły i Nash wysiadł.

– Na razie – powiedział, kierując się w stronę swojego stanowiska. Ciena żałowała, że wspomniała o księżniczce. To nie wina Nasha, że jeden z senatorów z jego planety okazał się zdrajcą. Miała nadzieję, że oficer z wydziału spraw wewnętrznych będzie podobnego zdania.

Ciena do tej pory była tylko raz na głównym mostku, w czasie krótkiego oprowadzania po statku pierwszego dnia, więc ten widok wciąż robił na niej wrażenie: niewiarygodnie długi korytarz, ogromny iluminator, niezliczone monitory migoczące na dolnym poziomie, gdzie starsi stopniem członkowie załogi pracowali w pocie czoła przy analizie danych. Było to serce „Devastatora”, dusza maszyny.

Jednak jej uwagę przykuł od razu kapitan Ronnadam, który siedział na swoim stanowisku w charakterystycznej białej kurtce oficera IBB.

– Sir, pakiety danych, o które pan prosił.

Ronnadam odebrał materiały, nawet na niego nie patrząc, skupiony całkowicie na długich liniijkach tekstu, które przesuwają się po jego monitorze. Ciena, czekając na dalsze rozkazy, wciąż stała na baczność.

– Nie przejmujesz się zbyt protokołami, Ronnadam – odezwał się oschły, rzeczowy głos za jej plecami. – Na szczęście ta młoda porucznik przestrzega procedur. I ma lepsze maniery.

Ciena odwróciła się i zobaczyła samego wielkiego moffa Tarkina –

w postaci hologramu migoczącego w szarzielonym świetle. Popatrzył na Cienę z pewnym zaciekawieniem.

– Zdaje się, że pani mnie zna, pani porucznik. Ale nie sądzę, żebyśmy mieli okazję służyć razem. Kim pani jest?

– Porucznik Ciena Ree, L-P-Osiem-Osiem-Osiem, tegoroczna absolwentka Królewskiej Akademii, z Jelucana, sir.

„Niech no tylko Thane usłyszy, że znowu widziałam Tarkina!”.

Wielki moff pokiwał uprzejmie głową.

– Jelucan. Na Zewnętrznych Rubieżach, tak? Byłem tam przy okazji jego przyłączenia do Imperium.

Nie musiała odpowiadać, ale nie musiała też milczeć, a Ciena nie mogła się oprzeć.

– To prawda, sir. Spotkałam pana tego dnia, tuż po ceremonii. Byłam wtedy małą dziewczynką.

Tarkin przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym, ku jej zdumieniu, powiedział:

– Dwoje dzieci kręcących się przy promach. Czyżby była pani jednym z nich?

Słyszała wprawdzie opowieści o doskonałej pamięci Tarkina – że nigdy nie zapomina przysługi ani zniewagi – ale aż się uśmiechnęła na jego słowa.

– Tak jest. Spytał mnie pan wtedy, czy chciałabym służyć Imperium, kiedy dorosnę, i oto jestem.

– Proszę, proszę. – Tarkin złożył ręce za plecami, wyraźnie zadowolony z siebie i z niej. – Siła dyplomacji w działaniu.

– Chłopiec, który był wtedy ze mną, także ukończył właśnie akademię, jako najlepszy na specjalizacji elitarnie lotnictwo. Teraz to porucznik Thane Kyrell.

Tarkin uśmiechnął się pod nosem.

– Chyba powinienem częściej rekrutować na Jelucanie. Będę miał was oboje na oku.

Ciena starała się panować nad emocjami, jak przystało na oficera, chociaż nie potrafiła ukryć satysfakcji. Wielki moff Tarkin jednak najwyraźniej nie miał jej tego za złe. Gdy hologram zanikał, skinął jej głową – na tyle życzliwie, na ile starszy rangą oficer mógł

potraktować zwykłego porucznika. Skoro pamiętał tamten incydent z promem typu Lambda sprzed tylu lat, to na pewno będzie pamiętał, żeby zajrzeć do jej akt, i Thane'a także. Być może Tarkin, który zainspirował ich do wstąpienia do imperialnej floty, zostanie ich mentorem.

Schwytanie rebelianckiego statku i pochwała od wielkiego moffa jeszcze przed obiadem? Ciena uśmiechnęła się promiennie. Ten dzień zapowiadał się fantastycznie.

Thane nie zdawał sobie sprawy, jak ogromna jest Gwiazda Śmierci, dopóki nie poleciał swoim myśliwcem TIE na patrol. Od razu musiał skorygować ustawienia silników manewrowych, tak jakby startował w atmosferze planetarnej, a nie ze stacji kosmicznej, ponieważ rozmiar Gwiazdy Śmierci dawał jej potężną siłę przyciągania.

Na samą myśl o tym Thane uśmiechnął się szeroko. Nie wyobrażał sobie dotąd, że można zbudować coś tak ogromnego. Teraz ta stacja kosmiczna stała się jego domem i już obawiał się dnia, kiedy dostanie przydział gdzieś indziej. Gwiazda Śmierci miała funkcjonować jako niezależny świat, co wiązało się z wygodami, jakich większość placówek wojskowych była pozbawiona: porządne jedzenie, pomieszczenia rekreacyjne, kantyny z najnowszymi modelami droidów barmanów, sklepy z towarami luksusowymi, choć za wygórowaną cenę. Wprawdzie Thane mieszkał w zwykłych koszarach, jednak dysponowały one tyloma prywatnymi pokojami, że większość osób powinna dostać swój w ciągu trzech do sześciu miesięcy. Zwykle trzeba było być co najmniej komandorem porucznikiem, żeby cieszyć się takim luksusem. Mieszkać w tak komfortowych warunkach i móc codziennie latać w przestrzeni kosmicznej – to przechodziło najśmielsze oczekiwania Thane'a.

Podobnie jak wiadomość, którą otrzymał tego ranka.

– Przylatujesz dzisiaj? – powtórzył, spoglądając na twarz Cieny na niewielkim ekranie. – Teraz?

– Widzisz, że nie ma żadnych opóźnień na łączach? „Devastator” powinien zadokować w ciągu godziny. – Jej radość aż biła z ekranu; Thane podejrzewał, że od niego też. – Będziesz miał trochę wolnego

czasu?

– Tak. Na pewno. Skończyłem już patrol na dziś. – A jeśli chodziło o następny dzień... cóż, można było wymieniać się zmianami, trzeba było tylko uzyskać wcześniej zgodę. Weźmie każdą zmianę, jeśli dzięki temu ma szansę spędzić cały dzień ze Cieną. – Moglibyśmy pójść do jednej z kantyn. Pogadać.

– Nash też się nie może doczekać, żeby się z tobą zobaczyć – dodała.

– Tak. Jasne.

Nash był jednym z jego najlepszych kumpli, ale Thane nie miał najmniejszej ochoty spędzać z nim zbyt wiele czasu. Na szczęście Nash wiedział, kiedy się zmyć. Przynajmniej Thane miał taką nadzieję.

– I chciałabym się zobaczyć z Jude – ciągnęła Ciena. – Jest na pokładzie, prawda?

– Tak, Jude Edivon dostała przydział na Gwiazdę Śmierci, ale jeszcze jej nie spotkałem. Ta stacja jest wielkości księżycy, a Jude może stacjonować na drugim jej krańcu. – Widząc, że Ciena posmutniała, Thane dodał pospiesznie: – Ale jeśli jej powiesz, że przylatujesz, na pewno znajdzie sposób, żeby się z tobą spotkać. Możesz na to liczyć.

– Ty też, tak?

– No jasne – powiedział, uśmiechając się jak głupek.

„A może nie wyglądałem jak skończony głupek” – pocieszał się w myślach Thane kilka godzin później, wypełniając dodatkową służbę jako mechanik. Każdy pilot musiał umieć konserwować i naprawiać wszystkie jedno- i dwuosobowe statki, a Thane znał już budowę podwójnych silników jonowych na pamięć. Mógł więc wykonywać kolejne czynności, błądząc myślami gdzie indziej. „Ona też się uśmiechała. To chyba dobry znak”.

Nie zastanawiał się, co to dokładnie oznacza. Podniecenie, jakie czuł na myśl o spotkaniu z Cieną, pozostawało czymś, czego wolał zbyttnio nie analizować. Wiedział tylko, że wcześniej nawet nie marzył, że tak szybko się z nią zobaczy, a teraz nawet jeden dzień

czekania wydawał mu się nie do zniesienia.

„Devastator” już tu jest. Ciena jest na Gwieździe Śmierci. „Po co wziąłem tę głupią zmianę? Zamieniłem się, żeby jutro mieć cały dzień wolny, ale co, jeśli Ciena wtedy nie będzie mieć czasu?”.

Thane postanowił się tym nie zadrećzać. Wziął głęboki oddech i zabrał się z powrotem do pracy nad stojącym przed nim myśliwcem TIE. Musiał wymienić instalację w pulpicie sterowniczym, co było na tyle skomplikowaną operacją, że zajęło trochę czasu. Akurat kiedy zakładał z powrotem obudowę pulpitu na miejsce, usłyszał komunikat:

– Wszyscy w sektorze cztery-siedemnaście do pomocniczych wrót dokujących.

To był jego sektor. Na szczęście Thane miał niedaleko, dzięki czemu zjawił się niemal natychmiast i mógł zająć miejsce w pierwszym rzędzie. Jego kombinezon mechanika szpeciło kilka plam smaru, ale nie było to nic niestosownego w środku zmiany. Niemniej czuł się niechlujnie, widząc wokół siebie wielu oficerów albo w mundurach, albo w lśniących zbrojach szturmowców. Ale dowódca pewnie niczego nie zauważy.

– Dziś Gwiazda Śmierci uzyskała pełną gotowość bojową – oznajmił dowódca, krocząc wzdłuż szyku – i zgodnie z wolą Imperatora mamy zademonstrować jej siłę całej galaktyce!

Z grupy dobiegło kilka wiwatów. Thane zaklaskał parę razy. Podejrzewał, że zaprowadzą stację na orbitę planetarną, na tyle blisko, żeby ludność mogła ją zobaczyć; to by na wszystkich zrobiło wrażenie. Czuł już wcześniej, że główne silniki pracują, więc niewątpliwie stacja zmierzała w jakieś ważne miejsce, może nad Coruscant...

Wrota hangaru się rozsunęły. Mimo że Thane w pełni rozumiał, jak działa pole siłowe, które zatrzymywało w środku atmosferę i nie wpuszczało kosmicznego chłodu, i tak poczuł niepokój, patrząc w bezkresny mrok. Powoli, w miarę jak wrota się otwierały, wyłaniał się za nimi świat. Błękitna kula zdawała się świecić własnym światłem, a Thane jak zawsze zamyślił się nad tym, jak piękne, a jednocześnie kruche wydają się planety z takiej odległości.

– Oto planeta Alderaan – powiedział dowódca.

Dom Nasha! Thane uśmiechnął się mimowolnie. Co za fart, że znaleźli się akurat w pobliżu tego świata, kiedy „Devastator” wizytował stację. Nash tyle razy obiecywał, że pokaże mu wszystkie widoki. Wtedy wydawało się to odległym marzeniem, ale teraz Thane mógłby faktycznie zobaczyć Alderaana na własne oczy, gdyby dostał trochę wolnego czasu. Przypominał sobie wszystkie opowieści kumpla o miejscach, które warto odwiedzić, o nieprawdopodobnym pięknie przyrody, z której słynął jego świat. „Dokąd najpierw powinniśmy się wybrać? Wodospady Chmurzaste? Lasy deszczowe Isatabith?”.

– Jak niektórzy z was wiedzą – mówił dowódca – Alderaan jest reprezentowany w Senacie Imperialnym przez członkinię panującego rodu Organa. Okazało się jednak, że senator, jej ojciec i jak podejrzewamy, cała elita alderaanańskiego rządu potajemnie finansują i wspierają Sojusz Rebeliantów.

Dopiero po chwili te słowa dotarły do Thane’a. Czy aby się nie przesłyszał? Jak alderańska rodzina królewska mogła być zamieszana w terroryzm? Jego cyniczna natura podpowiadała mu, że nikt nie jest zbyt czysty czy szlachetny, by dać się skorumpować – ale mówiła mu też, że ci, którzy czerpią korzyści z aktualnej sytuacji, rzadko dążą do zmian.

– Ta stacja została wybrana, by wysłać wiadomość do całej galaktyki. Pokażemy raz na zawsze, że potęga Imperium nie ma sobie równych. Niech żyje Imperator!

– Niech żyje Imperator! – krzyknęli wszyscy stojący na baczność oficerowie, łącznie z Thane’em. Nie zwracał zbytnej uwagi na słowa, które znał na pamięć. Jego myśli wciąż skupiały się na tym, co przed chwilą usłyszał.

A potem pokład zadrżał od głębokiej wibracji, innej i silniejszej od tych, które Thane czuł wcześniej, bo pochodzącej gdzieś z głębi. Włosy stanęły mu dęba, chociaż nie wiedział, czy to ze strachu, czy od jonizacji atmosfery.

„Co się dzieje?” – pomyślał i...

...i nagle Gwiazda Śmierci wystrzeliła w Alderaana, a cały świat eksplodował na jego oczach.

Rozdział 9

Patrz moimi oczami” – pomyślała zszokowana, niemal otepiąca Ciena.

Miała pokazywać Wynnet nie tylko rzeczy piękne, ale też potworności. A więc musiała jej pokazać również to.

Na ekranie fragmenty planety Alderaan – świecące żarem zagłady – rozsypywały się we wszystkie strony. Ciena myślała o miliardach istot, które zginęły właśnie na jej oczach, i czuła, że zaraz się rozplacze – ale wzięła się w garść, gdy zobaczyła oficera siedzącego obok niej na stanowisku zadań pomocniczych.

Nash Windrider pobladł tak bardzo, że obawiała się, czy nie zemdleje. Pochodził przecież właśnie z Alderaan. Cała jego rodzina, wszystkie miejsca, w których kiedykolwiek był, jego dom zostały właśnie unicestwione na jego oczach – za nielojalność.

Ciena nagle zdała sobie sprawę, że gdyby faktycznie zemdłał albo się rozplakał, albo zdradził jakiejkolwiek emocje, zostałoby to odczytane jako protest. Byłby uznany za winnego zdrady, tak samo jak Organowie, i mógłby zostać wtrącony do aresztu albo z miejsca pozbawiony stopnia oficerskiego.

Nie mogła pomóc nikomu innemu, więc postanowiła pomóc Nashowi. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, próbując go uspokoić. W odpowiedzi ścisnął jej palce tak mocno, że poczuła ból, ale nie cofnęła dłoni. Patrzyła tylko, jak Nash stara się oddychać głęboko, równo, trzymając ją za rękę, jakby to była lina holownicza, która może doprowadzić go do brzegu...

„Do domu” – pomyślała Ciena, ale zaraz się zreflektowała.

Odprowadziła Nasha do windy, która miała go zabrać na pokład „Devastatora”, żeby mógł wrócić do swojej kajuty i może pobyć sam. Nash przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Przed wejściem do windy nawet nie spojrzął Cienie w oczy. Zanim drzwi się zamknęły, zobaczyła jeszcze, jak Nash opiera się ciężko o ścianę, jakby rozpaczliwie potrzebował podpory.

Pocieszała się myślami o paru wolnych godzinach na pozbieranie

się i o bliskiej osobie, z którą mogła o wszystkim porozmawiać. Nie, nie była to ta bliska osoba, z którą najbardziej chciała się zobaczyć, ale mimo wszystko znajoma twarz.

– Naturalnie zdawałam sobie sprawę z możliwości działa – powiedziała Jude, siedząc ze Cieną na jednym z tarasów widokowych przed długim rzędem okien. – Superlaser jest zasilany przez ogromne kryształy kyber, które dają mu prawie nieograniczoną moc. Ale sądziłam, że będzie wykorzystywany do rozbijania asteroid w celach wydobywczych. Albo niezamieszkanym światów. Nie do tego.

Ciena rozejrzała się, żeby upewnić się, czy nikt ich nie słyszy.

– Jude, czy myślisz... To, co dzisiaj widzieliśmy, co zrobiła Gwiazda Śmierci... Czy jest dla tego jakieś wytłumaczenie?

Jude nie odpowiedziała od razu, tylko siedziała zupełnie nieruchomo, zamyślona. Ciena zawsze lubiła to w swojej przyjaciółce – to spokojne, racjonalne podejście do życia. Kiedy były młodymi kadetkami, jej powaga prowokowała nieraz współlokatorki do żartów, ale teraz Ciena naprawdę ją doceniła.

– Wprawdzie jestem w czynnej służbie dopiero od paru tygodni – powiedziała w końcu Jude – jednak już zdążyłam się zorientować, że Sojusz Rebeliantów to znacznie większa i bardziej niebezpieczna organizacja, niż wskazywałyby na to oficjalne przekazy. Nie działamy więc jak podczas pokoju. Nasze przygotowania pasują bardziej do czasu wojny.

Ciena po części sama już to wyczuwała, ale kiedy Jude ubrała jej podejrzenia w słowa, wszystko się skryształizowało. Zagrożenie ze strony Sojuszu Rebeliantów stało się bardzo realne.

– Organowie dopuścili się zdrady – ciągnęła Jude – ale większość obywateli nie.

„Przynajmniej szybko się to odbyło” – pomyślała Ciena, ale nawet w jej głowie to usprawiedliwienie brzmiało słabo. Wyobraziła sobie siebie jako dziecko, które patrzy w górę i widząc, jak popielate niebo robi się czerwone, na krótką, potworną chwilę zdaje sobie sprawę, że to koniec. Strach, jakiego musiały zaznać dzieci Alderaanu... groza...

– Ale błędem byłoby myślenie o tym, co stało się z Alderaanem, jako o karze dla jego populacji – powiedziała Jude, odzyskując

animusz. – Jedynym usprawiedliwieniem tak drastycznego działania jest fakt, że może ono zażegnać jeszcze poważniejsze zagrożenie. Rebelianci wykazują się lekkomyślnością, a nawet głupotą, porywając się na całą imperialną flotę. Jak więc można przemówić im do rozsądku? Uświadomić im ich własne ograniczenia i nieuchronność zwycięstwa Imperium? Można tego dokonać jedynie przez demonstrację na taką skalę. Z pewnością teraz zrozumieją, że ich cele są nierealne, a taktyka nierozsądna. Teraz już nie zagrozi nam wojna. Miliardy istot, które dziś zginęły, mogły poprzez swoją ofiarę ocalić niezliczone istnienia.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Żadna organizacja terrorystyczna w galaktyce, jakkolwiek zdeterminowana czy żądna krwi, nie mogła teraz wierzyć, że jest zdolna do pokonania Imperium. Tylko że nikt nie zapytał mieszkańców Alderaana, czy są gotowi ponieść taką ofiarę.

Jude westchnęła, wpatrując się przez dłuższą chwilę w swojego drinka. Z jakiegoś powodu – przez to, jak padało światło, czy przez wyraz zagubienia na jej twarzy – wydawała się Cienie młodsza, jak dziewczyna, którą była, kiedy się poznały trzy lata wcześniej. Jej idealnie skrojony i wyprasowany mundur wyglądał jak kostium dla dziecka na bal przebierańców. Może ona także czuła się zbyt młoda, zbyt nieopierzona, by iść na wojnę.

Z pewnością każdy się tak czuł na początku.

– Więc to, co się dziś stało... – podjęła Ciena – ile istnień zginęło... to nic w porównaniu z tym, ile zginęłoby w galaktycznej wojnie.

– Właśnie. – Jude pokiwała głową. – Pomyśl o miliardach, które zginęły w wojnach klonów.

– Zatem kładąc kres wojnie, zanim na dobre się rozpoczęła, Gwiazda Śmierci ratuje więcej istnień, niż zabrała. – Niełatwo było o tym myśleć. Ciena miała dotąd nadzieję, że nigdy nie będzie musiała dokonywać podobnych rachunków poza zajęciami z etyki dowodzenia. Teraz jednak musiała się z tym zmierzyć i wypełnić swój obowiązek.

Gdyby tylko Imperium nie zostało zmuszone do podjęcia tak drastycznych działań. Gdyby tylko Sojusz Rebeliantów nigdy się nie

zrodził z tej mieszanki niezadowolenia i arogancji, jaka napędzała jego przywódców. Ci terroryści liczyli na to, że Imperium nie odpowie na atak. Teraz wreszcie zostali wyprowadzeni z błędu – ale Ciena zastanawiała się, czy ich przywódcy kiedykolwiek wezmą odpowiedzialność za straszliwe środki, jakie okazały się niezbędne, by powstrzymać tę rebelię – tę wojnę. Zapewne nie.

To Rebelia to wszystko zaczęła. Sprowokowała to.

Ciena poczuła się lepiej, wiedząc, kogo należy winić.

Z głośników dobiegło obwieszczenie:

– Uwaga: „Devastator” opuszcza stację z początkiem następnej zmiany. Cały personel ma czekać na pokładzie na nowe rozkazy.

– O nie. – Ciena nie chciała rozstawać się z Jude teraz, gdy jej przyjaciółka pomagała jej odnaleźć w tym wszystkim sens. Poza tym Nash potrzebował raczej czasu, żeby się pozbierać, a nie kolejnej ciężkiej zmiany. No i nawet nie widziała się jeszcze z Thane’em, nie mówiąc o...

– Wątpię, żeby „Devastator” odleciał na długo – powiedziała Jude.

– Podobno Lord Vader zamierza tu zostać do czasu rozwiązania obecnego kryzysu. „Devastator” to jego okręt flagowy, więc raczej nie zlecą wam zbyt wielu misji bez niego.

No tak. Ciena trochę się rozchmurzyła. Jakakolwiek misja czekała na „Devastatora”, nie powinna potrwać dłużej niż parę tygodni, nie bez Dartha Vadera na pokładzie.

– Czyli wkrótce znowu się zobaczymy.

Uścisnęły się na pożegnanie i Ciena wyszła pospiesznie na korytarz. Prawie nie zwracała uwagi na to, co się dzieje wokół niej, ogrom stacji nie robił już na niej wrażenia. Skupiła się już na przyszłości: na tym, jak pomóc Nashowi przetrwać najbliższe parę dni, oraz na tym, że powinni wrócić po Lorda Vadera. A „Devastator” będzie często odwiedzał tę stację, więc trafi się wiele okazji, żeby zobaczyć się z Jude. Ciena wróci spotkać się z Thane’em tak szybko, jakby w ogóle nie wyjeżdżała.

Thane wpatrywał się w ekran monitora łączności w nadziei, że rozświetli go odpowiedź od Cieny. Ale przed sobą widział tylko czerń.

Wiedział, że Ciena jest prawdopodobnie na „Devastatorze”, być może na służbie. Jak ktokolwiek mógł dalej pełnić służbę po tym, gdy zobaczył zagładę całej planety? Jednak Thane także stał dalej na baczność razem z innymi, co z każdą chwilą coraz bardziej go zdumiewało.

„Zabiliśmy miliardy istot. Wymordowaliśmy miliardy, a po wszystkim mieliśmy jeszcze bić brawo”.

Alderaan był ojczystym światem Nasha. Jeśli Thane’a to, co właśnie zobaczył, napawało odrazą, to jak musiał się czuć Nash? Facet musiał być na skraju załamania nerwowego. Thane nie wysłał mu jednak żadnej wiadomości. Wiedział, że oficer wydziału spraw wewnętrznych może przeglądać zapisy rozmów, a każda wiadomość do lub od Alderaanianina od razu budziłaby podejrzenia. Thane nie obawiał się o siebie. Potrafił ostrożnie dobierać słowa, tak aby rozmówca usłyszał to, co pozostało niewypowiedziane; była to umiejętność doskonała przez większość kadetów w akademii. Ale Nash w gniewie i żalu mógł powiedzieć coś, co by go obciążało.

Nie, Thane musiał odłożyć rozmowę z Nashem na później, kiedy emocje opadną. Zresztą i tak chciał przede wszystkim pogadać ze Cieną. Ona zawsze była jego opoką. Gdyby była przy nim, może nie czułby takiego obrzydzenia i wściekłości. Może mógłby znów oddychać normalnie...

Ku radości Thane’a monitor rozświetlił się. Niestety, wiadomość nie pochodziła od Cieny, tylko od dowódcy kompanii, który wydał rozkaz bezzwłocznego stawienia się na służbę.

– Dantooine? – powtórzył do jednej z koleżanek, gdy wchodzili na pokład transportowca. – To kompletne odludzie. – Ta planeta była niemal równie zapomniana jak Jelucan.

– I o to chodzi – odparła oficer, wchodząc po rampie. – Gdzie niby mieliby się ukrywać rebelianci?

„Lepiej, żeby się ukrywali” – pomyślał. Teraz, gdy galaktyka przekonała się, co potrafi ta stacja, z pewnością nikt już nie będzie się przeciwstawiał Imperium.

Udało mu się zyskać parę chwil przed zakończeniem zaokrętowania, żeby nagrać wiadomość dla Cieny, którą ta mogłaby

odstłuchać, gdy tylko skończy służbę:

– Zła wiadomość: wypadł mi nagły patrol. To tylko dzień albo dwa, ale nie wiem, jak długo „Devastator” zostanie na stacji.

Słowa „Gwiazda Śmierci” nie mogły mu jakoś przejść przez gardło, odkąd ta śmierć stała się tak realna.

– Mam nadzieję, że zdążę się z tobą zobaczyć – dodał, starając się wyrazić, jak bardzo mu na tym zależy. – Jeśli nie... następnym razem na Jelucanie. Obiecuję. Więc ty też musisz obiecać, dobra? Bez odbioru.

Zapewne powinien też wysłać wiadomość do Nasha, ale w dalszym ciągu nie wiedział, co powiedzieć. W czasie lotu na Dantooine Thane cały czas zastanawiał się nad tym, co mógłby zrobić dla Nasha, ale nie przyszło mu do głowy nic lepszego niż posiedzieć z przyjacielem przy butelce koreliańskiej brandy.

Gdy dotarli na planetę, skanery dość szybko natrafiły na ślad bazy rebeliantów. Zanim jednak Thane zdążył założyć swoją zbroję, okazało się, że baza jest opuszczona. Mieli ją przeczesać w poszukiwaniu cennych informacji, ale nic ponadto. Wydawało się więc, że przelecieli taki kawał drogi na próżno.

Kiedy jednak transportowiec dotarł do opuszczonej bazy w sercu pęsnych pustkowi Dantooine, Thane ujrzał nie jakiś rozpadający się hangar czy zapuszczoną melinę przemytników, ale ślady organizacji militarnej z prawdziwego zdarzenia.

„W samej tej bazie mogli trzymać dziesiątki małych myśliwców” – pomyślał, rozglądając się po rozległym terenie. Z danych przesuwających się po ekranie jego monitora wynikało, że w obiekcie znajduje się także kilkadziesiąt stanowisk ładowania droidów, zaawansowana technologia komunikacyjna pozwalająca na niemal natychmiastowy przesył informacji na drugi koniec galaktyki, a także miejsca sypialne dla kilkuset rebeliantów. I wyglądało na to, że jest tam przynajmniej z tuzin podobnych budowli. Dodatkowo znaleźli ślady drążenia rozległych podziemnych tuneli, więc rebelianci najwyraźniej planowali w swoim czasie rozbudowę bazy.

To nie była mała grupka malkontentów. Sojusz Rebeliantów to była prawdziwa armia.

Nie, ich siły nie mogły równać się z potęgą Imperium. Jednak Thane odbył wystarczająco dużo zajęć z taktyki w akademii, by wiedzieć, że wróg nie musi dysponować takim samym potencjałem; wystarczy, że jego siły osiągną pewną masę krytyczną, żeby mogły wyrządzić realne szkody. Wyglądało na to, że Rebelia jest już tego bliska.

Myśli Thane'a podążyły utartym szlakiem: „To są terroryści, bandyci. Imperium ma swoje wady, ale to samo można było powiedzieć o Republice, którą oni wielbią. Nie można ufać władzy, choćby nie wiem co. Nieważne, kto ją sprawuje”.

Wydawało mu się, że jest taki mądry i doświadczony życiowo. Teraz – wciąż mając przed oczami ogień zagłady Alderaana – Thane wiedział, jak płytkie były te jego tłumaczenia. Terroryzm nigdy nie był rozwiązaniem, ale od tego dnia Imperium ponosiło winę za akty terroru w stopniu równym co Sojusz Rebeliantów, o ile nie większym.

Okres jego służby od ukończenia akademii wynosił pięć lat. Potem teoretycznie Thane mógł złożyć rezygnację i podjąć jakąkolwiek inną pracę, ale większość imperialnych oficerów pozostawała na służbie do czasu obowiązkowej emerytury lub do śmierci, zależnie od tego, co nastąpiło wcześniej. Thane zawsze widział się w wojsku do końca życia. Teraz miał wrażenie, że nie może nosić tego munduru ani chwili dłużej.

Ile razy mówił, że zostanie w imperialnej flocie tylko po to, żeby móc latać najlepszymi statkami w galaktyce? Teraz te słowa brzmiały tak niedojrzale. Dziecinnie.

„Wcale nie chcesz odejść – mówił sobie Thane, cały czas sprawdzając odczyty z celowo beznamiętnym wyrazem twarzy. – To, co dzisiaj widziałeś, dowodzi, że znajdujemy się na krawędzi galaktycznej wojny. Oni cię potrzebują”.

Ale kiedy myślał o nich, nie wyobrażał sobie potrzebujących go Imperatora i jego admirałów. Wyobrażał sobie innych żołnierzy, ludzi wokół niego, których zaczął już postrzegać jako przyjaciół. I Nasha.

I Cienę.

Mimo że „Devastator” opuścił już Gwiazdę Śmierci, załoga

gwiazdnego niszczyciela dostała polecenie, by utrzymywać połączenie z kanałami danych stacji. Przeznaczone do tego monitory znajdowały się na lewo od stanowiska Cieny, więc kątem oka widziała rozgrzaną powierzchnię Yavina, ogromnego gazowego giganta. Na innych ekranach widać było jeden z jego księżyców, Yavina 4, gdzie podobno faktycznie mieściła się baza rebeliantów.

A zatem wysłali Thane'a na Dantooine na podstawie fałszywych informacji. Na darmo. Chciała porozmawiać z nim o potwornych wydarzeniach ostatnich dni. Rozmowa z Jude uspokoiła nieco Cienę, ale nadal nie mogła spać. Przed oczami wciąż miała obraz eksplodującego Alderaana.

A teraz prawdopodobnie będzie świadkiem zagłady następnego świata.

„Ale to jest cel wojskowy – tłumaczyła sobie. – Nie ucierpią żadni cywile”.

To wytłumaczenie z czasem powinno do niej trafić. Na razie jednak robiło jej się niedobrze na myśl o oglądaniu zagłady kolejnej planety. Za mało czasu minęło od zniszczenia Alderaana; rany były zbyt świeże.

Rebelianci zdawali sobie sprawę z nadciągającej zagłady i próbowali stawiać opór – ale w zupełnie absurdalny sposób.

– Niewiarygodne – mruknął komandor stojący w pobliżu jej stanowiska. – Wysłali garstkę myśliwców na Gwiazdę Śmierci? To śmieszne powstanie musi robić bokami, jeśli to wszystko, na co ich stać.

„Jest niezamieszkały – powtarzała sobie. – Są tam tylko członkowie Rebelii, którzy próbują wywołać wojnę. Sami obrali taką ścieżkę. Na tym właśnie polega wojna”.

Jednak myślała też o żyjących tam zwierzętach, małych, niewinnych stworzeniach, a nawet drzewach...

Na jednym z monitorów widać było myśliwce typu X-wing pędzące wzdłuż rowu i ścigające je myśliwce TIE. Zastanawiała się, po co w ogóle wysłali TIE do obrony przed tak żalosnym atakiem. Ale z drugiej strony nawet drobne uszkodzenia stacji wymagałyby naprawy. Statki pędziły z taką prędkością, że po paru chwilach

zniknęły z pola widzenia. Może inna kamera je uchwyci.

Niedługo potem zobaczyła X-winga i zdezelowany stary frachtowiec zmierzające w stronę Yavina 4 z maksymalną prędkością podświetlną.

– Sir, statki rebeliantów oddalają się od Gwiazdy Śmierci – zameldowała Ciena.

– Śledzić je – rozkazał dowódca. – Będziemy chcieli przekazać jak najpełniejszy raport wielkiemu Moffowi Tarkinowi.

Dalej więc zapisywała każdy pakiet danych pochodzący z Gwiazdy Śmierci, ważny lub mniej ważny. Na mostku pomocniczym wciąż panowało poruszenie, ale głosy przycichły, a tempo pracy spadło. Ciena wiedziała, że wszyscy czekają na tę chwilę, kiedy Yavin 4 wybuchnie. Czując wzbierające w niej mdłości, próbowała przygotować się na nagły błysk światła, gdy nagle wszystkie ekrany połączone z Gwiazdą Śmierci zrobiły się czarne.

W jednej chwili. Wszystkie naraz. Ciena zdała sobie sprawę, że napływ danych ze stacji także ustał.

– Siadły obwody? – zastanawiał się ktoś, sprawdzając monitory. Myślał, że to wina samych ekranów. Ona jednak wiedziała, że przyczyna jest inna.

– Gwiazda Śmierci zamilkła, sir – zameldowała. – Przerwała nadawanie.

Na twarzy dowódcy odmalowały się zmieszanie i wściekłość.

– To niemożliwe, poruczniku. Rebelianci wywołali jakieś zakłócenia albo te myśliwce zostały wysłane, żeby uszkodzić aparaturę komunikacyjną stacji.

Myśliwce X-wing nie mogłyby chyba tego zrobić stacji kosmicznej wielkości Gwiazdy Śmierci. Prawda?

Ale jedyne inne wytłumaczenie było... nie do pomyślenia.

Rozdział 10

To wszystko? Nic więcej nie wiedzą?

– Spróbuj jeszcze raz połączyć się z Coruscant.

– Wszystkie sieci komunikacyjne są całkowicie zablokowane...

Głosy odbijały się echem w opuszczonej bazie rebeliantów na Dantooine, która chwilowo pełniła funkcję prowizorycznej stacji imperialnej. Wokoło krążyły grupki oficerów – niektórzy wciąż w pełnym rynsztunku, ale większość miała już na sobie tylko części zbroi. Mimo że ich dowódca cały czas trwał na posterunku, od paru godzin nikt poza łącznościowcami nie dostawał żadnych rozkazów. Nie mieli zatem nic do roboty poza pełnym napięciem czekaniem.

Thane przechadzał się po hali, która wyglądała na wykutą w litej skale, przez co miał niejasne wrażenie, jakby schronili się w jaskini. Strzępki informacji, jakie do nich docierały, były sprzeczne, mętne i złowieszcze. Niektórzy twierdzili, że Gwiazda Śmierci została zniszczona; inni utrzymywali, że została uszkodzona i utraciła łączność; jeszcze inni mówili, że informacje muszą być fałszywe – że to wybieg mający wywabić rebeliantów z ukrycia, żeby można było ich szybciej wybić.

Większość żołnierzy w hali zdawała się wierzyć w tę ostatnią wersję, co wywołało złorzeczenia i narzekania, że gdyby to oni dowodzili, nigdy nie zorganizowaliby podobnej akcji bez poinformowania i przygotowania podwładnych. Niektórzy protestowali, mówiąc, że wszędzie mogą być szpiedzy. Skoro nawet tak znamienity członek Senatu Imperialnego jak księżniczka Leia Organa mógł się okazać zdrajcą, to każdy mógł nim być. Dlatego tak szeroko zakrojony fortel musiał być utrzymywany w tajemnicy do ostatniej chwili.

Nie przekonywało to jednak wszystkich. Thane wymienił spojrzenia z garstką innych, którzy stali wciąż w milczeniu i napięciu.

„Gwiazda Śmierci nie mogła zostać zniszczona. Potrzeba by kilkunastu gwiazdnych niszczycieli i krążowników uderzeniowych,

żeby wyrządzić jakąkolwiek szkodę stacji tej wielkości. Sojusz Rebeliantów najwyraźniej jest o wiele potężniejszy, niż mówili nam przełożeni, ale gdyby mieli tak dużą flotę, to już by doprowadzili do bezpośredniego starcia”. Ta część jego analizy wydawała mu się niepodważalna; reszta jednak była mniej pewna. „Jeśli Gwiazda Śmierci została uszkodzona, to jak poważnie? Przecież jest wielkości całego księżyca, więc jak mogły paść wszystkie systemy łączności? I dlaczego zadokowane na niej statki także nie odpowiadają?”.

Gdyby rebelianci zaatakowali Gwiazdę Śmierci flotą zdolną do wyrządzenia poważnych szkód, z pewnością wysłano by do boju wielkie imperialne okręty.

Thane z manierką pożywnego mleka w ręku oparł się o grubo ciosaną kamienną ścianę rebelianckiej bazy. Pomyślał o „Devastatorze” w całym jego potężnym majestacie i wyobraził sobie, jak jego działa laserowe rozwalają rebeliancką flotę na strzępy. Odtwarzał ten obraz w głowie raz za razem – kawałki metalu, wirujące szczątki, krótkie wybuchy ognia gaszone błyskawicznie przez próżnię kosmosu.

Dzięki temu, że wyobrażał sobie zwycięskiego „Devastatora”, nie musiał zastanawiać się, co innego mogłoby się stać w czasie bitwy – ze statkiem, z Nashem Windriderem albo Cieną.

Po paru godzinach na posterunku Cienie dzwoniło w uszach od pisków nieoczyszczonych z zakłóceń transmisji. Kręciło jej się w głowie od nieskończonej ilości danych, które musiała przetwarzać, i to szybko. Na razie musiała dawać z siebie wszystko dla swojego statku i swojego Imperium.

Starsi stopniem oficerowie „Devastatora” zebrali się na naradzie. Wydawało się, że siedzą tam już od paru godzin. Jeśli którykolwiek z nich znał powód nagłej, przerażającej ciszy Gwiazdy Śmierci, to nie zdradził go jak dotąd załodze.

Na razie Ciena mogła jedynie przeglądać dalej niezliczone pakiety danych wysłane z Gwiazdy Śmierci, zanim ta zamilkła. Większość z nich nie zawierała żadnych przydatnych informacji, ale dopóki nie znali całej prawdy, nie mogła niczego lekceważyć.

Kiedy zobaczyła numer Jude na jednym z pakietów, od razu go otworzyła. Nie obchodziło ją, czy to coś ważnego, czy nie. Ciena musiała wiedzieć, co Jude robiła, zanim Gwiazda Śmierci... została uszkodzona, zinfiltrowana czy cokolwiek złego się z nią stało.

Ale dane Jude okazały się ważne. Ciena przeczytała raport Jude Edivon skierowany do jej przełożonego i wszystkich lokalnych dowódców, w którym Jude wyjaśniała, że według jej analizy atak rebeliantów przy użyciu małych myśliwców w istocie stanowił zagrożenie dla Gwiazdy Śmierci. Znalazła bowiem wadę, której nikt inny nie dostrzegł – coś związanego z otworem wentylacyjnym – i wyczuła słabość tam, gdzie wszyscy inni jej nie dostrzegali.

„Wprawdzie prawdopodobieństwo bezpośredniego trafienia jest niewielkie – pisała Jude – jednak konsekwencje mogą być bardzo poważne, nawet zabójcze”.

Jeśli ktokolwiek wysłał odpowiedź na ostrzeżenie Jude, to Ciena jeszcze jej nie znalazła.

Zabójcza dla stacji? Dla Gwiazdy Śmierci? Nie. Jude musiało chodzić o to, że ktoś mógł zginąć w wyniku jakiejś niewielkiej eksplozji. To brzmiało znacznie bardziej sensownie niż to, że myśliwiec X-wing miałby zniszczyć obiekt wielkości księżyca.

A jednak wciąż panowały ciemność i cisza.

Niedługo po tym, jak Ciena wysłała tę informację do dowództwa, dostała wiadomość, by zgłosić się do hangaru czterdziestego siódmego. Nash spojrział na nią, gdy wychodziła, niewątpliwie równie ciekawy jak ona, co też się może wydarzyć. Miała nadzieję, że wkrótce przyniesie jakieś informacje.

Tymczasem dowiedziała się, że ma nowe zadanie.

– Porucznik Ree, porucznik Sai – zwrócił się do niej i do drugiej pilotki komandor o kamiennej twarzy – polecicie transportowcem typu Gozanti do systemu Yavina po Lorda Vadera i przywieziecie go na „Devastatora”.

Miała wrażenie, jakby stalowe obręcze, które się zaciskały wokół niej, nagle się rozluźniły. Ciena z trudem się powstrzymała, by nie odetchnąć głośno. „Darth Vader żyje. Udało mu się skontaktować z naszym statkiem. A więc cokolwiek stało się na Gwieździe Śmierci,

nie zrealizował się najgorszy scenariusz”. Wciąż nie chciała się zastanawiać nad detalami tego „najgorszego scenariusza”.

– Nie wolno wam ujawniać szczegółów waszej misji ani w jej trakcie, ani później – ciągnął komandor. – Nie wolno wam się z nikim kontaktować, chyba że otrzymacie taki rozkaz od Lorda Vadera lub... gdyby wasze spotkanie z jakiegoś powodu nie doszło do skutku.

„Co to miało znaczyć?”. Ciena zerknęła kątem oka na drugą pilotkę, której twarz wyglądała jak wyryta w kamieniu.

Kiedy jednak znalazły się w kabinie transportowca, porucznik Sai nie zachowywała już takiej powściągliwości.

– Co my mamy zrobić? – powiedziała tuż po tym, jak ich statek wszedł w nadprzestrzeń. – Podlecieć do zupełnie głuchej Gwiazdy Śmierci, o nic ich nie pytając? Nie prosząc nawet o zgodę na dokowanie?

– Gdy będziemy na miejscu, wszystko zrobi się jaśniejsze – powiedziała Ciena.

– Skąd ta pewność?

– Bo mniej jasne niż teraz już nie może być.

Porucznik Sai się roześmiała.

– Fakt. A tak w ogóle to jestem Berisse.

– Ciena.

Berisse, jak się okazało, ukończyła akademię na Lothalu rok wcześniej. Jej promienny uśmiech kontrastował z ciemną skórą. Była dość tęga – na tyle, na ile pozwalały na to przepisy – i miała ciemne, lśniące włosy, które nosiła splecione jeszcze ciaśniej niż Ciena. Kiedy dowiedziała się, że Ciena służy na „Devastatorze” zaledwie od paru tygodni, obiecała ją oprowadzić i wyraziła nawet nieco współczucia wobec Nasha.

– Ciężka sprawa – powiedziała. – Wyobraź sobie, jak mógł się poczuć, dowiadując się, że cała jego planeta to zdrajcy.

„Nawet to nie może być tak straszne, jak zobaczyć jej całkowitą zagładę” – omal nie powiedziała Ciena, ale wtedy zadźwięczały sensory.

– Yavin – oznajmiła, odwracając się w stronę przyrządów. – Wychodzimy z nadprzestrzeni.

– Wychodzimy z nadprzestrzeni – potwierdziła Berisse. Ona też przeszła z powrotem w tryb oficjalny.

Lęk, który Ciena odganiała od siebie, rozmawiając z Berisse, powrócił teraz ze zdwojoną siłą. Powtarzała sobie, że przynajmniej dowie się, jak zła jest sytuacja. Nie będzie musiała się już dłużej martwić o Jude. To lepsze niż niewiedza.

Transportowiec wyszedł z nadprzestrzeni i znalazł się w piekle.

Berisse wydała stłumiony okrzyk. Ciena nie mogła nawet złapać tchu. Znajdowały się na obrzeżach ogromnego rumowiska; powykrzywiany metal dryfował we wszystkich kierunkach. Niektóre kawałki były olbrzymie – wielkości lekkiego krążownika – ale inne fragmenty były mniejsze nawet od ludzkiej głowy. Odłamki przyczepiały się do okien transportowca, tworząc wzory przypominające mróz lub pęknięcia.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała drżącym głosem Berisse. – Nie ma jej. Po prostu jej nie ma.

Gwiazda Śmierci została zniszczona.

W głowie Cieny rozbrzmiewało ostrzeżenie Jude. „Zabójcze”. Teraz wiedziała, że Jude nie żyje.

Kilkoro innych kolegów i koleżanek z roku także stacjonowało na Gwieździe Śmierci; co najmniej tuzin osób, które Ciena знаła, zostało zamordowanych. Tysiące żołnierzy, z których większość nie była nawet na stanowiskach bojowych – w tym czasie spali, jedli, zamawiali drinka w jednej z kantyn i nie mieli pojęcia, że ta chwila jest dla nich jedną z ostatnich. Ale Jude zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Czy się bała? Czy w tych strasznych ostatnich chwilach Jude wiedziała, że to koniec? Na myśl o tym Ciena poczuła ściskanie w gardle, a do oczu napłynęły jej łzy.

– Sygnał Lorda Vadera. – Berisse otrząsnęła się z szoku i zabrała się do pracy. – Lećmy.

Odrętwiała Ciena poprowadziła transportowiec wzdłuż brzegu rumowiska. Chciało jej się płakać, chciało jej się krzyczeć. Dowództwo musiało wiedzieć, co się stało. Dlaczego nie poinformowali floty? Całej galaktyki? Ale może wydawało im się to tak samo niemożliwe jak jej. Dopiero teraz Ciena zorientowała się, że

celem jej misji nie było jedynie przywiezienie Dartha Vadera, ale też potwierdzenie, że doszło do najgorszego. Wysłali ją, żeby zaświadczyła o kolejnej masakrze.

Żal po stracie Jude wypełniał jej umysł, aż w końcu nic już nie czuła. Gdy zbliżały się do uszkodzonego myśliwca TIE Lorda Vadera, działała automatycznie, doceniając szkolenie, które nauczyło ją właściwie reagować nawet w chwilach załamania.

Statek Vadera powoli wyłaniał się z ciemności. Najpierw zobaczyła kilka odłamków, które obracały się w dziwny sposób, tak jakby odpychane przez promienie repulsorowe. Następnie dostrzegła kształt myśliwca TIE z zakrzywionymi skrzydłami. Vader dryfował tuż za stale rozszerzającym się rumowiskiem.

– Rozpocznam sekwencję służby powietrznej – powiedziała Ciena. Cieszyła się, że Berisse nie zna jej jeszcze zbyt dobrze, więc nie zauważy, jak nienaturalnie brzmi jej głos. – Trzy, dwa, jeden.

Berisse wcisnęła przełączniki, wypuszczając ze statku jeden z czterech przewodów dokujących. Ostrożnie poprowadziły rurę w kierunku kulistego kokpitu myśliwca TIE.

– Poznałaś już Lorda Vadera? – spytała beztróska Berisse.

– Eee... nie. – Ciena ledwo się mogła skupić.

– Pozwolę ci pójść go powitać.

Zwykle imperialni oficerowie chcieli pierwsi rozmawiać z kimś o wyższym stopniu. Była to okazja, żeby się wyróżnić z tłumu. Cienie w tym momencie zupełnie nie zależało na awansie. Miała ponadto wrażenie, że Berisse wcale nie wyświadcza jej przysługi.

„Mówi się, że to wielki człowiek – przypomniała sobie, stojąc przy służbie powietrznej w oczekiwaniu na sygnał do wejścia. – Że cieszy się zaufaniem Imperatora. Mówi się też, że potrafi naginać samą Moc do swojej woli”. Wprawdzie Ciena wierzyła w Moc, jednak wątpiła, by ktokolwiek umiał nad nią panować. Zastanawiała się, czy będzie musiała zmienić zdanie.

Ciena potrzebowała przełożonego, który wzbudzałby jej szacunek. Kogoś, kto potrafiłby wziąć sprawy w swoje ręce, kogoś, w kim mogłaby pokładać zaufanie. Weszła do służby powietrznej w chwili, gdy drzwi ciśnieniowe otworzyły się z sykiem. Zrobiła krok naprzód...

...a potem cofnęła się, gdy po raz pierwszy zobaczyła Vadera.

Czarna zbroja zakrywała go całkowicie. Nie był to jednak strój pilota TIE; Ciena rozpoznała skafander podtrzymujący życie, bardziej zaawansowany, niż kiedykolwiek widziała lub mogła sobie wyobrazić. Ani skrawek skóry czy twarzy Vadera nie wystawał spod lśniącego pancerza, a czarna peleryna okrywała go od ramion do samej podłogi. Gdy podszedł bliżej, zdała sobie sprawę, jaki jest wysoki – wyższy niż jakikolwiek człowiek, którego spotkała w życiu. W ciasnym korytarzu jego postura onieśmiała ją jeszcze bardziej. Ale najgorszy ze wszystkiego był jego oddech. Głośne chrypienie respiratora odbijało się echem, tak że zdawało się wypełniać całą przestrzeń.

„Kim on jest?” – zastanawiała się Ciena. Jej rozchwiany umysł nie chciał przyjąć do wiadomości, że Lord Vader jest człowiekiem. Przypominał raczej jakąś koszmarną wizję albo stworzenie z przerażających historii, które jej mama opowiadała przy ognisku. Ciena miała wrażenie, że sączyło się z niego zło, które zbierało się w korytarzu, aż zaczynało brakować powietrza. Kołnierzyk jej munduru zrobił się nagle za ciasny.

Zaledwie parę chwil wcześniej była zdeterminowana, by powitać swojego przełożonego z godnością. Teraz miała jedynie nadzieję, że nie zemdleje.

Darth Vader podszedł bliżej i po raz pierwszy usłyszała jego głęboki metaliczny głos:

– Jesteś tu z rozkazu Imperatora?

– Otrzymaliśmy rozkazy od dowództwa „Devastatora”, sir – zdołała odpowiedzieć Ciena. Musiała stłumić w sobie odruchową chęć odsunięcia się od Vadera. – Nie mam żadnych informacji odnośnie do ich kontaktów z Imperatorem.

Vader zdawał się analizować to bardzo długo. Niepokój Cieny rósł, aż w końcu Vader rozkazał:

– Ty i drugi pilot pozostaniecie w ładowni przez resztę podróży. Przejmuję dowodzenie nad transportowcem do czasu powrotu na „Devastatora”.

– Tak jest.

Cienie nie przeszkadzało to, że wróci na swój okręt w charakterze ładunku. Z ulgą usiadła na podłodze, oparła głowę na kolanach i wzięła kilka głębokich oddechów. Przynajmniej nie musiała nic robić. Nawet myśleć. Starła się zapomnieć o spotkaniu z Darthem Vaderem i prawie jej się udało. Umęczony umysł nie mógł się skupić na niczym poza sceną spustoszenia, której była świadkiem, i żalem po stracie Jude.

Setki wspomnień o przyjaciółce jaśniały w pamięci Cieny niczym świece: chwile, kiedy śmiały się i rozmawiały do późna w nocy, leżąc w swoich kojach, to, jak Jude stanęła w jej obronie, kiedy Ciena została oskarżona o uszkodzenie działka laserowego Thane'a, a potem pocieszała ją po ich kłótni, nawet to, jak olśniewająco Jude wyglądała na przyjęciu. Jedna z najlepszych przyjaciółek, jakie miała w życiu, została unicestwiona. Rozbita na atomy.

Berisse wydawała się nieco skruszona, kiedy dołączyła do Cieny.

– Lord Vader może być trochę onieśmielający przy pierwszym spotkaniu.

– Tak – powiedziała cicho Ciena.

– Nie czułam się na siłach. Co nie znaczy, że dla ciebie to było łatwiejsze. Przepraszam. – Berisse oparła się o ścianę jak marionetka, której ktoś podciął sznurki. – Wiem, że to tylko skafander podtrzymujący życie i że to głupie bać się kogoś, kto ma inne potrzeby, prawda? Ale ten respirator...

– Może nas teraz obserwować – zauważyła Ciena.

Berisse umilkła.

Kiedy wrócili na „Devastatora”, Ciena ucieszyła się, że nareszcie może skończyć służbę. Poszła na pokład, gdzie znajdowały się kwatery załogi. Odświeżyła się. Spędziła kilka minut, płacząc w ręcznik. Potem wzięła się w garść i ruszyła w stronę swojej kajuty, ale zatrzymała się, gdy zobaczyła innego oficera zmierzającego w kierunku mostka pomocniczego.

– Nash?

Nash Windrider pokiwał głową. Wciąż poruszał się powoli, trochę jak lunatyk, ale mundur miał przepisowo schludny, a głos spokojny.

- Wszystkie ręce na pokład.
- Na pewno jesteś gotowy?
- Muszę być – powiedział po prostu.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Jesteś pewien? Wiele ostatnio przeszedłeś. – To było mało powiedziane. Cała jego planeta została zniszczona w nadziei, że położy to kres wojnie, jednak ta nadzieja okazała się płonna. Nash musiał być zupełnie zdruzgotany.

– Imperium to wszystko, co mi zostało – powiedział cicho. – Muszę być przydatny. Chcę służyć.

Ciena w dalszym ciągu zastanawiała się, czy Nash sobie poradzi, ale postanowiła dłużej z nim nie walczyć. Zasługiwał, by spróbować.

– Dobrze. Odprowadzę cię.

Nash pokiwał głową. Jego milczenie było, być może, cichym przyznaniem, że znajduje się na skraju załamania.

Zauważyła, że ściął włosy; długie warkocze związane na karku, które nosił przez cały okres studiów w akademii, były całkowicie zgolone. Być może warkocze miały jakieś znaczenie na Alderaanie, a może ta zmiana miała dla niego wymiar symboliczny – może był to rodzaj pożegnania. Tak czy inaczej Ciena wiedziała, że lepiej nie dopytywać.

Na korytarzach „Devastatora” panowała niesamowita cisza; po podłogach z metalowej siatki chodziło jedynie kilka droidów kurierskich i garstka strażników. Bez panującego zwykle zgiełku nieliczne dźwięki brzmiały donośniej, dając dziwny efekt: echo ich kroków, nawet cichy syk systemu wentylacyjnego statku. Pomimo swojego przygnębienia i wściekłości Ciena zdała sobie sprawę, że w głębi duszy czuje niewielką... otuchę.

„Gwiazda Śmierci już nigdy nie zniszczy żadnego świata”.

Wiedziała, że zawsze będzie opłakiwać Jude i innych, którzy zginęli na pokładzie stacji, zawsze będzie uważać jej zniszczenie za akt terroru. A jednak czerpała pewną pociechę z faktu, że żadna inna planeta nie podzieli losu Alderaanu. Jego zagłada była ze strony Imperatora rozpaczliwą próbą zakończenia krwawej wojny, zanim się rozpoczęła; ta próba się nie powiodła. Wojna musiała wybuchnąć.

Pociągnie za sobą z pewnością straszliwe zniszczenia, a stan gotowości bojowej potrwa przez długi czas. Ciena będzie musiała zabijać i ryzykować własne życie.

Ale na tym polegała wojna. Jej uczestnikami byli żołnierze przygotowani do walki. To potrafiła zaakceptować.

– Ciena? – odezwał się Nash, kiedy zbliżali się do mostka pomocniczego.

– Chcesz, żeby cię zastąpić? – Mimo wycieńczenia była gotowa popracować jeszcze parę godzin za Nasha, jeśli to miało mu pomóc.

– Nie, tylko... przed wyjściem z kajuty myślałem o Thanie. Chciałem z nim pogadać, więc zacząłem szukać informacji o transportowcu wysłanym na Dantooine. – Nash zawahał się chwilę, zanim dokończył. – Dostali rozkaz powrotu na Gwiazdę Śmierci.

To zmroziło jej krew w żyłach. Ciena stała nieruchomo w korytarzu, nie potrafiąc zrobić ani kroku dalej. Przełknęła ślinę.

– A Thane?

– Pewnie był na pokładzie. Nie wiesz, czy transportowiec zdążył zadokować przed wybuchem?

– Nie.

Przez cały ten czas Cienę utrzymywała przy życiu myśl, że wkrótce porozmawia o wszystkim z Thane'em i że przynajmniej jej najlepszy przyjaciel zdołał uciec.

A jeśli nie? Co, jeśli Thane także zginął?

Minął prawie tydzień – najdłuższy i najcięższy w jego życiu – zanim statek Thane'a otrzymał nowe, konkretne rozkazy. Transportowiec, przeznaczony do krótkich lotów, nie był dostatecznie zaopatrzony, więc mieli zarekwirować artykuły żywnościowe z najbliższego miasta. Na statku wprawdzie znajdowały się koje, jednak nadawały się raczej dla rannych, a nie do spania. Thane i kilkunastu innych oficerów zajęli więc kwatery opuszczone przez rebeliantów.

Dziwne uczucie – leżeć na łóżku wroga, patrzeć na prosty obrazek X-winga, który ktoś narysował na ścianie, wiedząc, że taki właśnie X-wing zniszczył Gwiazdę Śmierci – i być może Cienę wraz z nią.

Thane powinien więc poczuć ulgę, wracając na swój statek

w pełnym rynsztunku i z blasterem przy boku. „Najgorsza jest niewiedza” – powtarzał sobie. Kiedy dołączą do floty imperialnej, wreszcie się dowie, co stało się ze wszystkimi jego przyjaciółmi.

Ale kiedy próbował sobie wyobrazić, co zrobi, jeśli powiedzą mu, że Ciena nie żyje, w głowie miał tylko pustkę. Tak jakby jego umysł nie chciał mu pokazać, co stanie się potem.

– Kyrell – zwrócił się do niego dowódca, kiedy przygotowywali się do skoku w nadświetlną. – Nie wysłałeś do rodziny wiadomości, że żyjesz? Jesteś oznaczony jako „tak”, ale nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi.

– I nie dostaniecie – powiedział Thane bez większych emocji. Nie sądził, żeby rodzina chciała jego śmierci – chociaż może Dalven nie miałby nic przeciwko – ale przecież i tak nie chciało im się tracić energii na odpisywanie.

„Co ja im takiego zrobiłem poza tym, że się urodziłem?” – zastanawiał się po raz tysięczny.

Jednak myśl o krewnych sprawiała, że miał ochotę porozmawiać z Cieną, jedyną osobą, która naprawdę rozumiała, jak popieprzona była jego rodzina. Znów zaczął wzbierać w nim lęk i przez całą drogę nie odezwał się prawie słowem.

Kiedy transportowiec wyszedł z nadprzestrzeni, ktoś zagwizdał cicho ze zdumienia, a parę osób zamruczało coś pod nosem. Wokoło znajdowało się więcej statków, niż Thane kiedykolwiek widział w jednym miejscu, nawet na Coruscant. Myśliwce TIE roily się jak komary nad powierzchnią każdego większego okrętu. Niezliczone transportowce i mniejsze statki ustawiły się w luźny szyk wokół kilkunastu gwiazdnych niszczycieli, które tworzyły rdzeń imperialnej floty gwiazdnej.

Czy jednym z tych niszczycieli był „Devastator”? Z zewnątrz statki wyglądały identycznie, niczym kawałki tego samego placka.

Podczas gdy transportowiec dokował w głównym hangarze, ich dowódca wykrzykiwał nowe rozkazy:

– N-O-Siedem-Jeden-Osiem, zgłosisz się natychmiast na pokład gwiazdowego niszczyciela „Eliminator” do komandora porucznika Cherika. N-Y-Jeden-Jeden-Dwa, takie same rozkazy. A-V-Pięć-Cztery-

Siedem...

Thane uniósł głowę.

– Zostajesz przeniesiony na okręt „Strażnica” i wysłany na Kerev Doi.

Wysyłali go na świat słynący z wydobycia przyprawy? Przez chwilę ten rozkaz wydawał się Thane’owi absurdalny, ale potem zaczął łączyć fakty w jedną całość. Wszędzie, gdzie dostępna była przyprawa, w grę wchodziły ciemne interesy. Gdyby ktoś chciał ukryć duże sumy pieniędzy – takie, za które można by finansować całą rebeliancką armię – to Kerev Doi było jednym z niewielu miejsc w galaktyce, jakie się do tego nadawały. Wysyłali ich tam, żeby przetrzasnęli okolicę i ewentualnie odcięli Rebelię od źródła finansowania. To miało sens. Potem jednak zaczął myśleć o Kerev Doi w zupełnie innym świetle. Światy bogate w złoża przyprawy były odwiedzane przez liczne statki, zarówno te legalne, jak i przestępcze. Nawet te działające legalnie często nie prowadziły szczegółowych rejestrów lotów. W każdym opowiadaniu czy holofilmie o ucieczce z domu pojawiał się jeden z tych światów oraz barwne obrazy egzotycznych statków i handlarzy, do których mógł dołączyć każdy, kto chciał zerwać ze swoim dotychczasowym życiem.

Kerev Doi było miejscem, w którym mógłby się zgubić.

Thane się pohamował. Nie planował przecież odchodzić z imperialnej floty, przynajmniej na razie. Przynajmniej dopóki nie dowie się, co stało się z Cieną, Nashem i resztą, a może nigdy. Ale teraz... rozważał taki pomysł. Oswajał się z nim.

Jeśli Ciena zginęła, co go tu trzymało? Nic.

– Sir? – zwrócił się do swojego przełożonego, który wyglądał na poirytowanego tym, że ktoś mu zawraca głowę. – Który to jest niszczyciel?

– Czy to ważne, poruczniku?

– Dla mnie tak, sir.

Na jego przełożonym nie robiły wrażenia żadne przejawy niezależności.

– Jesteś na „Devastatorze”. Ale jeśli w ciągu godziny nie znajdziesz się na „Strażnicy”, wylecisz z floty.

„Devastator”. Thane odetchnął. „Dobrze, czyli z Cieną zapewne wszystko w porządku. Przez cały czas była bezpieczna na pokładzie swojego statku”.

„Chyba że została na Gwieździe Śmierci, bo przydzielono jej jakieś zadanie – albo odwiedzała Jude i nie zdążyła wrócić na »Devastatora«...”.

Wysiadł tylko z naręcznym komunikatorem, żeby móc odnaleźć miejsce dokowania „Strażnicy”. Wyglądało na to, że nie ma za wiele czasu, ale może wystarczająco, żeby zatrzymać się przy panelu łączności. Gdyby chociaż system poinformował go, że Ciena jest na służbie, byłby to dowód, że żyje. Jak mógłby wsiąść na inny statek i odlecieć, nawet tego nie wiedząc?

– Thane!

Odwrócił się i zobaczył Cienę stojącą pośrodku zatłoczonego hangaru i poczuł się, jakby otaczająca go twarda skorupa nagle pękła i się rozsypała. Zapomniał o Kerev Doi, o ucieczce. Nie potrafił myśleć o niczym innym niż to, że widzi ją całą i zdrową.

– Ciena!

Zaczął przeciskać się przez tłum, odpychając zarówno szturmowców, jak i starszych stopniem oficerów. Liczyło się tylko to, żeby do niej dotrzeć.

Zarzuciła Thane’owi ręce na szyję, a on objął ją tak mocno, że ledwo mogła oddychać, ale nie przeszkadzało jej to. Nie w tej chwili.

– Żyjesz – powiedziała łamiącym się głosem. – Żyjesz. Nie wiedzieliśmy, czy twój transportowiec wrócił na Gwiazdę Śmierci...

– A ja nie wiedziałem, czy „Devastator” się uratował, i nikt nie wie, co, do cholery, się dzieje...

– To straszne...

– Czy ty...?

Umilkli i przez chwilę śmiali się po prostu z czystej radości. Ciena popatrzyła na Thane’a i zobaczyła mężczyznę, jakim się stał, mężczyznę, którego w pewnym sensie zaczynała dopiero poznawać – a który był jednocześnie częścią niej, jak jej krew i kości.

– Mam się w ciągu godziny zgłosić na „Strażnicę” – powiedział Thane. – Jesteś wolna?

Ciena jęknęła. Była już spóźniona na następną zmianę, ale zobaczyła, jak z boku Berisse macha do niej, wyraźnie dając do zrozumienia: „Idź! Ja się tym zajmę!” Ciena odwróciła się z powrotem w stronę Thane’a.

– Mam parę minut.

Przeszli przez ruchliwy hangar i skęcili w boczny korytarz, który prowadził do strefy rekreacyjnej, w związku z czym świecił teraz pustkami. Choć cały czas dobiegał do nich zgiełk, tam mogli być niemal całkiem sami.

– Nic ci nie jest? – Thane odgarnął kosmyk włosów z jej policzka i objął jej twarz dłońmi.

Ciena wiedziała, że nie chodziło mu o fizyczne urazy.

– Nash Windrider jest cały i zdrowy. Mocno przeżył to, co się stało z Alderaanem. – Trudno było wypowiedzieć nazwę planety. Thane wzdrygnął się na jej dźwięk. – Ale wciąż jest na służbie. Ale Jude zginęła na Gwieździe Śmierci.

– Przykro mi. – Objął ją ramionami, a ona oparła głowę na jego piersi.

Nigdy wcześniej nie dotykali się nawzajem w taki sposób; bez wątpienia Thane zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze jak ona. A jednak wydawało się to naturalne. Właściwe.

– Naprawdę myślałam, że cię straciłam – wyszeptwała. – Wszystko inne mogłam wytrzymać, bo musiałam, ale kiedy zdałam sobie sprawę, że mogłeś zginąć... wiedziałam, że tego bym nie zniosła. Nigdy.

Ciena spodziewała się, że Thane powie coś w rodzaju: „Oczywiście, że byś zniosła; jesteś silna” albo „Nie martw się o mnie”. Tymczasem on objął ją mocniej.

– Przez cały ten tydzień nie wiedziałem, czy żyjesz, czy nie. Imperium zostało postawione na głowie, a my szykowaliśmy się do wojny, ale to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia. Mogłem myśleć tylko o tobie.

Ciena stanęła na palcach, żeby przytulić go mocniej. Thane powiódł palcami po jej podbródku, a jego usta otarły się o jej czoło, następnie odchylił jej głowę do tyłu. Ale to Ciena dotknęła ustami jego warg

w ich pierwszym pocałunku.

„Tu nie chodzi o to, czy on jest moim przyjacielem, czy kimś, kogo kocham – pomyślała, gdy oboje rozchylili usta. – Jest jednym i drugim. Zawsze tak było, od samego początku”.

To nie był początek czegoś nowego, to było ich odkrycie, przyznanie się do czegoś, co działo się między nimi od bardzo dawna.

Kiedy się w końcu rozdzielili, Thane wziął głęboki oddech.

– To było... bardzo...

– Tak. – Oboje się roześmieli, tym razem łagodniej, a on pocałował ją znów w czoło.

Zsunęła dłonie z jego ramion, żeby wziąć go za ręce. Jego krzywy uśmiech sprawił, że poczuła się, jakby rozpływała się w środku. Dlaczego to nie mogło się zdarzyć w chwili, kiedy mogli być naprawdę sami?

Ale mieli tylko te parę skradzionych minut w zgiełkowym hangarze i Ciena nie zamierzała ich marnować.

– Posłuchaj – powiedziała. – Cokolwiek by się działo, będziemy znów razem. Nie wiem, gdzie i kiedy, ale to się stanie.

– Tak – odparł Thane rozpromieniony. – Znajdę cię, choćby nie wiem co.

Dziwnie to zabrzmiało. Po tym chwilowym zamieszaniu nie powinni mieć problemów z odnalezieniem się w imperialnych rejestrach. Ale do oszołomionej Cieny nie bardzo to docierało; już się nie mogła doczekać następnego spotkania, chociaż jeszcze się nawet nie pożegnali.

– Jak to możliwe, że już za tobą tęsknię, skoro wciąż tu jesteś?

– Bo ja też już za tobą tęsknię. Ale nie rozstajemy się na zawsze. Nawet nie na długo.

Thane pocałował ją znowu i po tylu dniach tłumienia w sobie żalu, uczucia pustki i przerażenia Ciena pozwoliła sobie na chwilę szczęścia.

Następnie odprowadziła go do transportowca, pocałowała go jeszcze raz przy rampie, co kilku oficerów w środku skwitowało gwizdami, i w końcu popędziła na swoje stanowisko.

Kiedy dotarła do swojej konsoly, Berisse odsunęła się z gestem

kelnera podającego deser.

– Jestem ci winna przysługę – wyszeptała Ciena, próbując się uspokoić.

– I to niejedną – odparła Berisse.

Ciena zerknęła na nią kątem oka; obie zaczęły się uśmiechać na myśl o tym całym szaleństwie. Niesamowite, jak w takich sytuacjach można się zaprzyjaźnić zaledwie w parę dni. Ciena wróciła do pracy, ale na jednym monitorze włączyła obraz z kamery w hangarze, żeby zobaczyć, jak „Strażnica” odlatuje w bezmiar kosmosu, zabierając ze sobą Thane’a.

Rozdział 11

W opowiadaniach przygodowych i awanturniczych holoserialach, które Thane oglądał w dzieciństwie, światy obfitujące w złoża przyprawy przedstawiane były jako egzotyczne krainy pełne pięknych tancerek, dowcipnych gangsterów i odważnych pilotów, którzy latali podrasowanymi statkami, uciekając przed parszywymi siepaczami Starej Republiki.

Wszystkie te opowieści sugerowały, że przemytnicy przyprawy marzą o czasach, w których mogliby legalnie handlować swoim towarem – i że Imperium wybawiło ich od tej niebezpiecznej, choć barwnej przeszłości. Thane nie wierzył już, że Imperium może kogokolwiek zbawić, i zdawał sobie sprawę, że dowiedział się tego wszystkiego z historyjek dla dzieci; mimo to romantyczna wizja tych światów tkwiła mu w głowie do chwili, gdy wylądował na Kerev Doi.

Nie wiedział, czego się spodziewał, ale z całą pewnością nie tego.

Różowe niebo nie rozpościerało się już nad rozległym otwartym terenem, lecz pociemniało i wisiało nad ponurą, rozgoryczoną ludnością. Mieszkańcy nie nosili fantastycznych strojów i nie wymieniali dowcipnych uwag; skrywali się pod ciężkimi płaszczami i prawie się nie odzywali. Krajobraz zdominowany był przez farmy przyprawy. Wszystko, co nie było pospolite, było głęboko przygnębiające.

„Dobra, czyli twoje wyobrażenia z dzieciństwa się nie sprawdziły – powiedział sobie szorstko Thane. – Nie ma się co rozklejać. Taka jest rzeczywistość”.

Jego służba byłaby łatwiejsza, gdyby miał więcej do roboty na Kerev Doi, ale rola „Strażnicy” polegała głównie na przewożeniu urzędników przeprowadzających kontrolę skorumpowanego systemu bankowego planety oraz na demonstracji siły. Tak więc zadania Thane’a ograniczały się do codziennego przelotu myśliwcem TIE nad obszarami, którym trzeba było przypomnieć o potędze i zasięgu Imperium.

Kiedyś Thane'a być może bawiłoby to, jak mieszkańcy pierzchają przed nim, gdy przelatuje im nad głowami. Ale po Alderaanie widok ludzi drżących przed Imperium... cóż, nie widział w tym już nic zabawnego.

W wolny wieczór wybrał się do Błękitnego Konwora, miejscowego klubu nocnego, znanego z wielu holofilmów. To tam bohaterowie spotykali się, wymieniali tęskne spojrzenia nad szklaneczkami z drinkami, które świeciły luminescencyjnym światłem, i opracowywali plany, które miały im przynieść niewyobrażalną fortunę. Thane nie obiecywał sobie zbyt wiele po tym miejscu. W najgorszym razie byłoby równie obskurne i zapuszczone jak większość tego, co widział do tej pory na Kerev Doi; w najlepszym – mogło być wabikiem na turystów.

O dziwo jednak Błękitny Konwor okazał się w miarę odpowiadać wyobrażeniom Thane'a. Atmosfera była kameralna (do czego przyczyniło się wprowadzenie zasady, że tylko imperialni oficerowie mogą wносить blastery). Na niskich kanapach zalegały pomarańczowe i różowe poduszki, a nad głowami wisały rośliny o bujnych kwiatach. Lewitujące droidy kandelabrowe oświetlały jedynie najbliższe otoczenie, resztę pomieszczenia pozostawiając w przyjemnym cieniu. Muzyka była znakomita – zmysłowe rytmy wygrywane na okrągłym syntetyzatorze przez faceta o długim ryjku. Drinka, którego zamówił Thane, podano mu w wysokiej szklance i okazał się wystarczająco mocny, by zapomnieć przy nim o wszelkich niedogodnościach.

„Opowiem o tym Cieniu w następnej wiadomości – pomyślał. – Ona też lubiła te holofilmy. Ucieszy się, że chociaż jedna rzecz na Kerev Doi pasuje do naszych wyobrażeń”.

Thane uśmiechnął się mimowolnie. Próbował przestać, ale nie mógł. Ostatnio na samą myśl o Cieniu robiło mu się gorąco.

Od tamtego dnia na Podniebnej Pętli, kiedy Thane po raz pierwszy dostrzegł nowe możliwości w swoich relacjach z Cienią, opierał się tej myśli. Nawet kiedy nie był na nią zły z powodu tego idiotycznego incydentu z działkiem laserowym, obawiał się tego, co może się wydarzyć, gdyby łącząca ich więź została nadwreżona.

Ale nic się nie zmieniło. To było najbardziej niesamowite. Zawsze

należeli do siebie nawzajem w sposób trudny do zdefiniowania; Thane miał wrażenie, że po prostu przyjęli do wiadomości oczywisty od dawna fakt.

I ona też rozważała odejście z imperialnej floty.

Oczywiście to było logiczne. Dla Cieny najważniejszy był honor, a to, co Imperium zrobiło z Alderaanem, nie miało nic wspólnego z honorem. Inna rzecz, że Sojusz Rebeliantów nie był wcale lepszy; wysadził przecież Gwiazdę Śmierci z prawie dwoma milionami ludzi na pokładzie. Ale nie można było usprawiedliwiać zła innym złem. Pewnie myślała o porzuceniu służby jeszcze wcześniej niż on.

Thane po raz kolejny odtwarzał w myślach te kilka niewiarygodnych minut – ten jeden jedyny raz, kiedy mógł trzymać Cienę w ramionach i ją całować. „Będziemy znów razem – powiedziała wtedy. – Nie wiem, gdzie i kiedy”.

Nie powiedziałyby tak, gdyby zakładała, że oboje pozostaną w imperialnej flocie, bo wtedy mogliby bez trudu odnaleźć się nawzajem w bazie danych. Najwyraźniej ona też chciała odejść.

Ale chcieć odejść a odejść to były dwie różne rzeczy. Co właściwie miałyby zrobić, gdyby porzucił służbę? Automatycznie stałby się poszukiwanym przestępcą. Może nie najpilniej poszukiwanym – zwłaszcza w obliczu zagrożenia ze strony rebeliantów – ale i tak groziło mu aresztowanie, gdy tylko któryś z imperialnych oficerów zorientuje się, że zdezerterował. W dodatku Cienie bardzo trudno byłoby złamać przysięgę na wierność Imperium. Dla niej przysięga i honor były świętościami. Ale co, jeśli one stały ze sobą w sprzeczności?

„Chyba będziemy musieli poczekać – pomyślał ze znużeniem. – Odsłużyć te pięć lat. Postarać się o przydział na tej samej stacji albo statku. Może stłumić tę cholerną rebelię i pomścić Jude, zanim skończymy służbę. Wtedy będziemy mogli spokojnie odejść”.

A potem... Thane nie wiedział, co potem. Nie wróćą na Jelucana, na pewno. Ale galaktyka była duża, a możliwości nieograniczone. Musieli tylko poszukać wspólnej przyszłości.

Sącył swojego drinka, wyobrażając sobie ten wieczór jako scenę z jednego z holofilmów. Był teraz butnym, czarującym piratem. Ciena

mogłaby wejść ubrana jak jedna z tych klasycznych femme fatale – w ciemnoczerwoną obcisłą suknię – i wyszeptać do niego, że potrzebuje pomocy mężczyzny, który nie boi się niczego.

„To ja” – wyszeptał w myślach do Cieny. Wyobraził sobie, jak ją całuje, a dalsza część jego fantazji wypełniła mu czas potrzebny, by zapłacić za drinka, wyjść z klubu i wrócić do swojego pokoju.

Pięcioletni plan Thane’a legł w gruzach osiem dni później, kiedy leciał nad Prowincją Morza Dolnego.

Kilka razy zanurkował dramatycznie dla lepszego efektu. Charakterystyczny ryk silników myśliwca TIE odbijał się echem w kanionach. Nikt, kto go usłyszał, nie mógł mieć wątpliwości, że Imperium jest wciąż silne i wszechobecne w całej galaktyce. Kiedy wylądował w miejscowym garnizonie, żeby zjeść południowy posiłek, Thane był całkiem zadowolony z siebie.

Ale kiedy zmierzał w stronę kwatery głównej, jego uśmiech przygasł.

Sznur robotników szedł, powłócząc nogami, ścieżką prowadzącą z kopalni. W większości kopalni przyprawy, jakie Thane dotąd widział, główną siłę roboczą stanowiły droidy i mniejsze automaty. Tu jednak pracowały wyłącznie istoty rozumne. Rozpoznał nawet rasę: były to bladokóre gady zwane Bodach’i. Ich planeta nieustannie sprzeciwiała się imperialnym przepisom – wszyscy o tym wiedzieli, ponieważ Bodach’i nie kryli się ze swoim nieposłuszeństwem – ale kilka miesięcy wcześniej ogłoszono, że przywrócony został porządek i wprowadzono nowe sankcje.

Thane sądził, że „sankcje” oznaczają grzywny albo embargo handlowe. Nie zdawał sobie sprawy, że chodzi o niewolnictwo.

Bodach’i mieli na sobie obroże i bransoletki ograniczające ruchy. Same w sobie kajdany były tylko ciężkie i nieporęczne; jednak jakiegokolwiek odstępstwo od zaprogramowanych zadań czy zboczenie z wyznaczonych tras skutkowało porażeniem prądem lub nawet wbiciem metalowych kolców w ciało.

„Sądziłem, że te kajdany są dla groźnych przestępców, a nie dla... zwykłych obywateli” – pomyślał oszołomiony Thane, idąc powoli

wzdłuż ogrodzenia imperialnej placówki. Po drugiej stronie Bodach'i uginali się pod swoimi ciężarami, nie mogąc nawet na chwilę przystanąć, żeby odpocząć. Pilnowali ich imperialni szturmowcy, którzy stali w kilkudziesięciometrowych odstępach wzdłuż niekończącego się rzędu robotników. Kilkoro mieszkańców miasta przyglądało się temu ze strachem lub z całkowitą obojętnością – Thane nie potrafił stwierdzić.

Robiło mu się niedobrze, gdy patrzył na męczarnie Bodach'ich. Większość z nich nie nadawała się nawet do pracy fizycznej. Byli tam młodociani Bodach'i, którzy ledwo mogli udźwignąć ciężary, jakie im wciskano, a także starcy o zmatowiałych ze starości łuskach.

To było niesprawiedliwe. Gorzej niż niesprawiedliwe – podłe. Jeśli jacyś Bodach'i sprzeciwiali się Imperatorowi, powinny dotknąć ich sankcje. Ale tylko ich. Nic nie usprawiedliwiało karania całej rasy w ten sposób.

Zniewolenia jej.

„Dlaczego nikt im nie pomoże? – zastanawiał się Thane, obserwując obojętne twarze miejscowych. – Można by im w nocy zdjąć te obroże, pomóc w ucieczce...”.

I nagle zrozumiał.

Nikt nie pomagał Bodach'im, bo wszyscy bali się Imperium. A kiedy Thane przelatował, popisując się swoim myśliwcem TIE, tak żeby ludność słyszała ryk jego silników, wzbudzał w nich jeszcze większy strach.

Przygniótł go przytłaczający ciężar tej prawdy i przez chwilę czuł się, jakby nie mógł oddychać.

Jedno z miejscowych dzieci zaczęło szydzić z Bodach'ich.

– Macie za swoje! Myślicie, że możecie tak pogrywać z Imperatorem? No to wam pokazał!

Jeden ze szturmowców pokiwał głową z aprobatą, po czym pogłaskał dziecko po głowie.

Ten chłopak mógł mieć nie więcej niż siedem, osiem lat – tyle, ile miał Thane, kiedy postanowił zaciągnąć się do imperialnej floty. Oto jak zło rosło w siłę: kiełkowało w młodych i wzrastało wraz z nimi. Każde pokolenie osiągało wyższy poziom deprawacji.

„Uczymy dzieci akceptować niewolnictwo. Uczymy je, że okrucieństwo jest cnotą”.

Ale najgorsze było to, że Thane sam był kiedyś tym chłopakiem. Siedział w fotelu pilota promu i czuł dumę. Czuł się wielki – tylko dlatego, że mógł w przyszłości stać się częścią Imperium. Podążył wówczas tą ścieżką i dokąd go to zaprowadziło? Teraz latał statkami tylko po to, żeby straszyć ludzi w imię Imperium, które niszczyło całe światy. Gdyby mógł cofnąć czas, czy znalazłby w sobie siłę, żeby wybrać inną drogę?

„Czy mam siłę, żeby teraz to zrobić?”.

Inny szturmowiec trzepnął jedną z Bodach'ich, która zatoczyła się na bok. Brakowało jej licznych łusek, a jej ogon ciągnął się po piasku, chociaż nierówny teren musiał go już pokaleczyć i posiniaczyć niezliczoną ilość razy. Niedola tej istoty poruszyła Thane'a, tym bardziej że nic nie mógł zrobić. Zupełnie nic. Nie przy całym garnizonie szturmowców. Mógł tylko stać i patrzeć, wiedząc, że jest częścią tego zła, które widzi.

Tego wieczora wydał niebotyczną sumę kredytów potrzebną do wysłania wiadomości przez HoloNet. Gdyby Ciena nie odebrała w porę sygnału albo była zajęta, musiałby spróbować ponownie następnego dnia, ale na szczęście zgłosiła się niemal od razu. Thane usiadł w ciemnej holokabinie i poczuł ciepłe wiązki światła skanujące jego twarz i ciało...

...a po chwili przed nim pojawiła się Ciena.

Jej hologram był niemal naturalnej wielkości. Łagodne błękitne światło odwzorowywało każdy aspekt jej ciała: na wpół rozpuszczone loki, opadające na kark, jej pełne usta, jej uśmiech.

– Nie spodziewałam się tego – powiedziała nieco tylko zniekształconym przez transmisję głosem. Miała na sobie spodnie od munduru, ale od góry rozebrała się do podkoszulka, odsłaniając ramiona i ręce. – Nie wierzę, że szarpnąłeś się na HoloNet, ale cieszę się, że to zrobiłeś! Bardzo miło cię widzieć.

– Ciebie jeszcze bardziej. – Jej widok nie stracił nic ze swojej mocy w porównaniu z tą pierwszą chwilą, kiedy zobaczył ją na

„Devastatorze”. Thane wciąż czuł taką samą pokorną wdzięczność na samą myśl o tym, że ona żyje. – Musiałem z tobą porozmawiać. Chyba cię nie obudziłem?

– Nie. Właśnie skończyłam zmianę, a mojej współlokatorce nie ma. Jedno słowo go w tym zastanowiło.

– Współlokatorce? W liczbie pojedynczej?

Uśmiech Cieny promieniował w ciemnej kabinie holotransmisyjnej.

– Rozmawiasz z komandor porucznik Ree, od wczoraj.

– To fantastycznie. – Mimo że żadnemu z nich nie zależało w tym momencie na awansie, Thane potrafił zrozumieć, co on znaczy dla Cieny. Dowodził, że doskonale wypełniała swoje obowiązki. – Chociaż nie jest to żadna niespodzianka. Nie dla kogoś tak dobrego jak ty.

Te słowa jednak zasmuciły Cienę.

– Nie chodzi tylko o moje zdolności. Ani nawet nie głównie o nie. Dostałam awans, bo Imperium straciło masę ludzi na Gwieździe Śmierci.

No tak. Na stacji znajdowało się wielu wysokich rangą oficerów floty wraz ze swoimi sztabami, których trzeba było zastąpić.

– Wszystko się zmieniło – powiedział ostrożnie.

Ciena pokiwała głową. Jedno ramięczko jej podkoszulka się zsunęło, a iluzja hologramu była tak silna, że Thane miał ochotę nachylić się, żeby je poprawić – albo może zsunąć też drugie. Ale musiał zachować koncentrację. Rozmowy przez HoloNet nie były bezpośrednio monitorowane, ale istniały programy, które analizowały ich treść w poszukiwaniu podejrzanych słów czy zdań.

Zatem Thane nie mógł tak po prostu powiedzieć, o czym myśli. Ona też nie. Ale być może mogli się jakoś porozumieć.

Ciena siedziała na brzegu swojej koi, napawając się widokiem hologramu Thane’a przed sobą. W ciemności mogła niemal udawać, że naprawdę tam jest.

– Wszystko w porządku? – spytała cicho, mówiąc prosto do holonadajnika. – Bardzo się cieszę, że mogę z tobą porozmawiać, ale wiem, że nie zrobiłbyś mi takiej niespodzianki bez powodu.

Twarz Thane’a migotała w złotym świetle, jaśniejsza tylko o odcień od jego rudych włosów. Widziała w niej głęboki niepokój i żal.

– Ciężko wrócić do normalnego życia po takiej tragedii – powiedział.

Ciena pomyślała znów o Jude i musiała zamrunąć, żeby powstrzymać łzy.

– Ja też nie potrafię o tym zapomnieć. Tak jakby ta eksplozja rozgrywała się w mojej głowie ciągle na nowo, a ja chcę ich ocalić, ale nie mogę. Po prostu... nie mogę.

– Myślisz, że powinniśmy poczekać i zobaczyć, jak się potoczy ta wojna? – spytał Thane, patrząc jej w oczy tak głęboko, że miała wrażenie, jakby naprawdę był przy niej. – Czy może powinniśmy przemyśleć, co dalej?

Serce pękało jej na myśl o tym, jak on, na drugim końcu galaktyki, na próżno stara się wymyślić właściwą strategię, która dałaby im szybkie zwycięstwo i zapobiegła dalszemu rozlewowi krwi. Te marzenia, choć najzupełniej naturalne, nie mogły być niczym więcej jak tylko marzeniami.

– Nie możemy tak po prostu stać z założonymi rękami – przypomniała mu Ciena. – Zwłaszcza że mamy możliwości, żeby coś zmienić. Niezależnie od tego, co będziemy musieli zrobić, jak wiele poświęcić, stawimy temu czoła. Razem.

– Razem – powtórzył Thane i uśmiechnął się tak smutno, że odczuła jego ból, i własny, wyraźnie i dotkliwie niczym ranę.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć hologramu, Thane zrobił to samo i migoczące światło jego palców przeszło jej prawdziwą dłoń.

– Brakuje mi ciebie – powiedziała raz jeszcze. To wyznanie, tak nieporadne, nie mogło wyrazić tego, co czuła.

– Już niedługo znowu będziemy razem – obiecał Thane z przekonaniem, tak że musiała mu uwierzyć. W zasadzie wydawał się tego tak pewien, że Ciena zastanawiała się, czy otrzymał już nowe rozkazy i czy wie coś, czego ona nie wie.

Thane spojrzał na jej rękę wyrzeźbioną z migającego błękitnego światła, wyciągniętą ku niemu.

– Mam nadzieję, że masz rację – powiedziała Ciena. Jej głos odbijał się lekkim echem w kabinie. – Chciałabym, żeby to było za parę dni. Nie, skoro już mówimy o tym, czego bym chciała, to chciałabym,

żebyś był ze mną w tej chwili.

– Ja też. – Licznik zaczął migać, sygnalizując, że czas im się kończy. Thane chciał wrzucić więcej kredytów i dokupić jeszcze parę minut, ale powiedzieli już wszystko, co mogli, a teraz bardziej niż kiedykolwiek musiał oszczędzać pieniądze na ważniejsze sprawy. – Muszę kończyć. Przepraszam, że tak krótko, Cieno...

– Nie szkodzi! Bardzo się cieszę, że mogłam cię zobaczyć. – Pocałowała końce swoich palców, a potem wyciągnęła je tak, że zdawały się dotykać jego ust; Thane wyobraził sobie, że czuje energię światła, elektryczną i ciepłą. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – powiedział w ostatniej chwili, zanim jej obraz zamrugnął i zniknął.

W drodze z holokabiny do koszar Thane odtwarzał w głowie ich rozmowę, nie mogąc się nadziwić, jak zdołali powiedzieć sobie wszystko, nie mówiąc nic. Ciena zgadzała się z nim w sprawie tragedii Alderaana i czuła to samo rozpaczliwe, beznadziejne pragnienie ocalenia zabitych. Co więcej, zgadzała się z nim, że nie mogą dalej służyć Imperium i robić tego, co im każą. Musieli jak najszybciej podjąć jakieś działania.

Thane wiedział już, jaką drogę musi obrać, ale teraz, gdy przekonał się, że Ciena jest z nim, nic nie mogło go powstrzymać.

Następnego dnia wykonał jak zwykle swój poranny lot, a potem udało mu się zamienić popołudniowy lot na nocny. Wykorzystał wolne popołudnie, by pobrać z konta jak najwięcej kredytów, wymienić je na przyprawę, a następnie przyprawę na nieoznakowane kredyty. Za te pieniądze kupił cywilne ubranie – granatową kurtkę, czarne spodnie i buty oraz szarą koszulę, które nie wyróżniałyby się na żadnym świecie w galaktyce.

Dopiero wtedy udał się do kosmoportu i poszukał prywatnego frachtowca.

– Chcę się dostać na najbliższy świat węzłowy – powiedział Thane, starając się sprawiać wrażenie tak pewnego siebie jak bohaterowie tych starych holofilmów. – Nic więcej nie musisz wiedzieć. Nie zadawaj pytań, a dostaniesz dwie trzecie zapłaty z góry i resztę po wylądowaniu.

Podobny do gada pilot z rasy Falleen się roześmiał.

– Niemądry człowiek. I tak nie zadaję pytań. Jesteś gotowy? Za godzinę startujemy.

Thane zawahał się chwilę, myśląc o Cienie. Czy zorientuje się, gdzie go szukać?

„Oczywiście, że tak. Może nawet opuściła Imperium przede mną i dotarła tam wcześniej. Oboje zmierzamy w tym samym kierunku. Nic w galaktyce nas nie powstrzyma”.

– Tak – powiedział Thane. – Jestem gotowy.

– Myślisz, że powinniśmy zrobić coś dla Nasha? – wyszeptała Ciena parę dni później, leżąc w nocy na swojej koi.

– Ech. – Głos Berisse był zachrypnięty od snu. – Zdajesz sobie sprawę, że mamy środek nocy?

– Przepraszam. Po prostu się o niego martwię. Nash cały czas wygląda, jakby lunatykował. Jak półżywy.

– Nic dziwnego po tym, co się stało. – Berisse wychyliła się z górnej koi; jej długie czarne włosy opadały wokół zwieszanej głowy. – Myślisz o Nashu głównie dlatego, że tylko to ci pozwala zapomnieć na chwilę o Thanie, co?

– Nieprawda! – Ciena obróciła się na bok, zrzucając szary koc, żeby móc gestykulować. – Na służbie prawie w ogóle o nim nie myślę. Wczoraj nawet pozwolili mi obsługiwać pomocniczą nawigację.

– Nie mówiłam, że w czasie pracy. Na stanowisku jesteś bezbłędna. Jedynie przez resztę czasu nie myślisz o niczym innym.

– Docinasz mi, bo ostatnio nie mogłam przestać mówić o jego holowiadomości.

– Właśnie. Więc przymknij się i daj mi spać. – Twarz Berisse zniknęła, a Ciena usłyszała nad sobą szelest pościeli i materaca.

Ale Berisse i tak jeszcze nie spała.

– Naprawdę powinniśmy zrobić coś dla Nasha. Mówię serio. On strasznie cierpi, chociaż się do tego nie przyzna.

– I tak dobrze sobie radzi. Bierze dodatkowe zmiany, żeby mieć zajęcie. To jest dla niego najlepsze.

Pewnie miała rację.

– Mimo wszystko mogłybyśmy pomyśleć, jak jeszcze wypełnić mu czas. Może zaproponować mu wspólne wyjście na siłownię albo pograć z nim w grav-ball. Coś w tym stylu.

– Jasne. Spróbuj – wybełkotała Berisse. Była już mocno śpiąca, ledwo przytomna. Z pewnością nie miała nawet pojęcia, o czym Ciena mówiła.

Grav-ball. Ta propozycja była tak banalna, że aż żenująca. Co to za pocieszenie po utracie ojczystego świata? Ale z drugiej strony nic nie mogło go pocieszyć. Nash musiał odbudowywać swoje życie dzień po dniu, godzina po godzinie. Na razie Ciena, jako jego przyjaciółka, mogła jedynie pomóc mu wypełnić część tych godzin.

Odwróciła się na drugi bok i przytuliła do poduszki, próbując się uspokoić. Wciąż jednak martwiła się o Nasha, czuła się dotknięta oskarżeniem Berisse, że myśli tylko o Thanie...

...i szczęśliwa, mogąc myśleć cały czas o Thanie.

Ale to był odpowiedni czas na rozmyślanie o nim. Nie miała żadnych obowiązków, nic nie zaprzętało jej uwagi, tylko wspomnienie tej niezwykłej holowiadomości sprzed paru dni. Ciena uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie o tym, jak wiele potrafili sobie powiedzieć w tak niewielu słowach. Thane zgadzał się z nią co do tego, że muszą dalej wykonywać swoje obowiązki, dokładając wszelkich starań, by wygrać wojnę, i szukając okazji, by być razem tak często, jak pozwoli im na to służba.

Do snu utuliła ją wizja, która była na wpół nadzieją, na wpół marzeniem – Thane przeniesiony na „Devastatora” jako pilot myśliwca TIE, by latać u boku samego Lorda Vadera, wracający do niej codziennie po służbie. Ten sen towarzyszył jej przez całą noc, dlatego nowiny, które usłyszała następnego ranka, były dla niej takim szokiem.

– To musi być jakaś pomyłka – powiedziała Ciena, wpatrując się w Nasha. – Pomyliłeś nazwiska.

– Mieszkałem z nim przez trzy lata. Uwierz mi, wiem, jak się nazywa. – Nash odwrócił nawet tablet, żeby sama mogła zobaczyć. Stali przed kantyną, wokół nie było nikogo poza kilkoma

półprzytomnymi pilotami, którzy przywlekli się tam na śniadanie i kaf. – Porucznik Thane Kyrell, numer A-V-Pięć-Cztery-Siedem, zdezerterował trzy dni temu.

Ciena złapała Nasha za rękaw munduru.

– On by nie zdezerterował. Może jego statek się rozbił... albo został pojmany przez jakichś miejscowych zbirów czy coś w tym stylu.

– Myślisz, że jego przełożeni by tego nie sprawdzili? Ale może masz rację. To do niego niepodobne. – Nash przysunął się bliżej i zniżył głos. – Nie mówię ci o tym, żeby cię straszyć. Jeden z oficerów IBB wypytywał mnie dziś rano o Thane'a, jego lojalność, poglądy polityczne i takie rzeczy. Zapewniałem ich, że Thane nie jest żadnym rebeliantem, ale widziałem, że to ich nie satysfakcjonuje.

Ciena już rozumiała. Ona również zostanie przesłuchana.

Poszła więc prosto do gabinetu najstarszego stopniem oficera IBB na pokładzie, kapitana Ronnadama, i poprosiła o rozmowę. Stała przed nim na baczność i powiedziała:

– Przyszłam powiedzieć, co wiem na temat porucznika Kyrella, sir.

– Nasz włóczęga na Kerev Doi. Albo do niedawna na Kerev Doi. – Ronnadam popatrzył na nią, mrużąc oczy. – Myśli pani, że jest zdrajcą czy po prostu dezertorem?

– Nie jest żadnym zdrajcą – odpowiedziała z mocą. Zależało jej, żeby dać wyraźnie do zrozumienia, że są po tej samej stronie; wszyscy troje. – Thane... porucznik Kyrell wiele razy określał rebeliantów jako terrorystów. W naszej ostatniej rozmowie wyrażał głęboki żal i ból w związku ze zniszczeniem Gwiazdy Śmierci.

– Dlaczego zatem, pani komandor porucznik, opuścił posterunek?

– Mogę się tylko domyślać, że jest... w rozpacz. Załamany po stracie tak wielu przyjaciół. – Ciena się zawahała. Była o krok od zdradzenia sekretów Thane'a, a już raz prawie to zrobiła, kiedy wspomniała o jego problemach z ojcem przy Jude. Ale musiała ratować Thane'a i jego karierę w armii za wszelką cenę. – Porucznik Kyrell dorastał w wyjątkowo ciężkich warunkach. Jego rodzina nie udziela mu żadnego wsparcia. Dlatego inni oficerowie... jesteśmy dla niego jak rodzina. To wszystko, co ma. Ta strata głęboko nim wstrząsnęła.

– Nie tylko on stracił przyjaciół – warknął Ronnadam, ale potem się zamyślił. – I nie jest pierwszym oficerem, który się załamał. Te same wykroczenia, za które dwa lata temu z miejsca wylatywało się ze służby, teraz są rozpatrywane indywidualnie... na razie. Oczywiście kara musi być, ale jeśli porucznik Kyrell w niedługim czasie wróci do jednostki, będzie mógł kontynuować karierę bez niepotrzebnych trudności.

Ciena odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie było jeszcze za późno, żeby uratować Thane'a przed popełnieniem straszliwego błędu.

– Wie pani, gdzie on jest? Jeśli tak, to chyba zdaje pani sobie sprawę, że musi ujawnić tę informację.

– Nie, sir. Nie znam obecnego położenia porucznika Kyrella. Ale wiem, gdzie należy szukać takiej informacji: na naszym ojczystym świecie, Jelucanie.

– Doskonale, pani komandor porucznik. Uda się pani następnym lotem na Jelucana.

Ciena wytrzeszczyła oczy.

– Ja, sir?

– Czy to zadanie poniżej pani ambicji? – warknął Ronnadam.

– Ależ skąd! Po prostu myślałam, że funkcjonariusz IBB...

– Nasi agenci są teraz bardziej zapracowani niż kiedykolwiek w naszej historii. Pani zna już te okolice, więc wysłanie pani oznacza lepsze wykorzystanie zasobów ludzkich. – Przybrał nagle groźny ton. – Chyba że ma pani lepsze pomysły?

Ciena niemal się ucieszyła z tego nieporozumienia; lepiej żeby Ronnadam nie wiedział, jak bardzo zależało jej na tym, żeby to ona mogła odnaleźć Thane'a.

– Nie, sir. Bezwzględnie wyruszę na Jelucana.

– Proszę szukać wszędzie i korzystać z wszelkich dostępnych środków. – Ronnadam zmrużył oczy. – A jeśli usłyszysz pani choćby plotkę na temat powiązań Kyrella z Rebelią, ma pani podążać tym tropem, dokądkolwiek będzie prowadził, i o wszystkim zameldować. Rozumiemy się?

Ciena miała szansę ocalić Thane'a, ponieważ Imperium zamierzało ją wykorzystać jako szpiega. Nigdy nie chciała na nikogo donosić,

z jakiegokolwiek powodu. Służba wymagała lojalności, ale obowiązywała ją lojalność zarówno wobec przełożonych, jak i przyjaciół. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, z jak trudnymi zadaniami może się mierzyć w czasie tej wojny.

Ale taka była cena odnalezienia Thane'a.

– Tak jest – powiedziała, dodając w myślach: „Jeśli będzie trzeba”.

Rozdział 12

Dopiero czwarty i ostatni lot frachtowcem dał się Thane'owi we znaki.

Do tej pory siedział cicho, nie wychylał się i bez większych trudności opuścił Kerev Doi. Kolejne loty także przebiegały bez przygód. Na statku pasażerskim musiałby się liczyć z przesadnym zainteresowaniem załogi i trudno byłoby o prywatność. Na frachtowcu jednak było kilka dodatkowych koi, które sprzedawano robotnikom szukającym taniego transportu bez wygod. Thane nie musiał się obawiać, że ktoś go tam zauważy.

Jednak kiedy ostatni frachtowiec wyszedł z nadprzestrzeni w pobliżu Jelucana, Thane wziął swoją torbę i ruszył do strefy rozładunku. Długie metalowe ławy przytwierdzone do ścian wyposażone były w kilka uprząży dla tych, którzy obawiali się twardego lądowania. Thane przypiął się i czekał. Inny pasażer zrobił to samo – a potem kolejny i jeszcze jeden.

Żaden z nich nie zachowywał się wyraźnie inaczej od Thane'a. Mieli na sobie nijakie ubrania, jakie można kupić na niemal każdym świecie. Nie okazywali zbytniego zainteresowania otoczeniem.

A jednak każdy z nich mógł być imperialnym szpiegiem.

Ta myśl tak mocno utkwiała mu w głowie, że ledwo oddychał. Kobieta o długim, przyprószonym siwizną warkoczem – czy ona właśnie na niego zerknęła? Otteganin z szeroko rozstawionymi oczami – kto wie na co może patrzeć? Albo ten Volpai, który stukał wszystkimi palcami wszystkich czterech rąk w swój datapad – czy nie donosił właśnie na Thane'a do władz?

W każdym innym miejscu miałyby po swojej stronie element zaskoczenia. Imperium nie mogło przewidzieć jego wcześniejszych ruchów, ale mogli się domyślić, że wróci na Jelucana. Zatem ktoś mógł odszukać go na pokładzie tego frachtowca. Albo w hangarze mógł czekać na niego cały pluton szturmowców.

Tymczasem statek wylądował bez przygód. Pozostali czterej

pasażerowie rozeszli się, nawet nie patrząc na Thane'a. Zarzucając torbę na ramię, zaśmiał się z własnej paranoi. „Jesteś teraz na znajomym terenie. Wkrótce znowu poczujesz się sobą”.

A jednak tak się nie stało.

Z początku Thane sądził, że przeżywa odwrotny szok kulturowy, że po tak długim okresie nieobecności jego dom wydaje się obcy. Po trzech latach spędzonych na Coruscant Valentia, wielkie miasto, które podziwiał jako chłopiec, wydawała się mała i prowincjonalna. Jeśli ludzie sprawiali wrażenie ostrożnych i mniej przyjaznych, to pewnie dlatego, że zestawiał ich zachowanie wobec małego chłopca, jakim był kiedyś, z bardziej powściągliwym przyjęciem, z którym spotykał się jako dorosły. I wciąż był spięty. Jego niepokój pogłębiał tylko wątpliwości.

Ale im dłużej się rozglądał, tym większą miał pewność. Jego świat się zmienił. Imperium go zmieniło.

Budynek senacki, z którego wszyscy byli tak dumni w dniu, kiedy Jelucan wstąpił do Imperium, został zajęty przez wojsko. Thane nie podchodził za blisko, ale widać było, że nie jest to tymczasowe rozwiązanie. Wojska inżynieryjne budowały już dookoła wysoki mur, a kiedy przez szare niebo przebijało się słońce, nad budynkiem połyskiwało pole siłowe.

Valentia nigdy nie mogła się równać z Coruscant, jeśli chodzi o splendor i wyrafinowanie, ale była gwarnym, tętniącym życiem miastem. Teraz wydawała się zarazem bardziej zatłoczona i pusta. Obok starszych, wykutych z kamienia budynków powstały rozpadające się, prowizoryczne budy, służące zapewne jako kwatery dla robotników przybyłych z gór w poszukiwaniu nowych możliwości, które wcale się nie pojawiły.

A może ci ludzie zostali wygnani? Thane nie był pewien. Ich stroje zdradzały, że wśród tej nowej wędrowniej populacji są zarówno ludzie z dolin, jak i drugofalowcy. Jednak teraz obie grupy nie różniły się już tak bardzo od siebie. Zarówno błyszczące jedwabie, jak i ręcznie tkane materiały ustąpiły miejsca tanim, produkowanym masowo ubraniom. Świat opanowała nieznośna, otepiająca jednolitość.

Nawet rozrywka się zmieniła. Wynajęty przez Thane'a pokój

znajdował się na jednym z górnych pięter budynku, w którym na parterze mieściła się kantyna. Kiedy był mały, jego ojciec zabierał go czasem do takich lokali, obiecując, że wypije „tylko jednego drinka”. I tak Thane spędzał długie godziny, siedząc w kącie i oglądając wyścigi ścigaczy lub holofilmy o przemytnikach przyprawy, które tak lubił.

Kantyny wydawały się teraz bardziej obskurne – przypominały raczej speluny niż lokalne knajpki. Większość klienteli nie pochodziła stąd; wyglądało na to, że przybysze z innych światów wyparli miejscowych. Thane, sącząc piwo, wpatrywał się z niedowierzaniem w ekrany. Wszystkie programy serwowały imperialną propagandę – dokument o rzekomo doskonale rozwijających się imperialnych „projektach budowlanych” na Małej Thurhannie (w rzeczywistości były to ogromne elektrownie, które szpeciły piękny kiedyś krajobraz) przerywały obwieszczenia o rekrutacji do szturmowców („Przeżyj przygodę, służąc Imperium!”) lub informacje o Imperatorze Palpatinie, który przyjmował gości, kiwając z uśmiechem głową. Najgorsza ze wszystkiego była jednak zapowiedź specjalnego raportu, który miał być wkrótce nadany, odsłaniającego „całą prawdę o aktach zdrady na planecie Alderaan!”.

Thane sądził, że wszyscy będą mówić o Alderaanie. Ale nikt nie zająknął się o nim ani słowem. Milczenie na temat zagłady całej planety należącej do Światów Jądra powiedziało Thane’owi więcej, niż dowiedziałby się z jakichkolwiek plotek. A przecież wszyscy o tym myśleli. Wszyscy się bali. Jeśli Imperium mogło unicestwić tak ważny i bogaty świat jak Alderaan... to żadne miejsce w galaktyce nie pozostawało bezpieczne.

Imperialne przekazy mówiły bardzo ogólnikowo o zniszczeniu Gwiazdy Śmierci, wspominając jedynie o „bezprzykładnym ataku Sojuszu Rebeliantów”. Thane sądził, że Imperium będzie chciało to rozdmuchać, żeby pokazać okrucieństwo rebeliantów, ale potem zdał sobie sprawę, że ważniejsze jest, by ludność wierzyła, że Imperium może w każdej chwili zniszczyć kolejny świat.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, drażnił go nawet kolor nieba. Atmosfera Jelucana zwykle miała odcień bardziej szary niż błękitny,

ale powietrze było zawsze czyste i rześkie, a szarość miała połysk minerału. Teraz niebo wydawało się ciemniejsze, nawet gdy było bezchmurne, tak jakby cały czas nadciągała burza. Czyżby przemysł wydobywczy zaczął niszczyć środowisko?

Czy powinien skontaktować się po przylocie ze swoją rodziną? Thane spierał się o to sam ze sobą. Mimo że ojciec nie przejmował się zbytnio jego losem, a matka chętnie nadskakiwała imperialnym, nie wierzył, że mogliby go wydać. Nawet gdyby nie chcieli go chronić, woleliby uniknąć wstydu. Zatrzymując się w domu, mógłby zaoszczędzić kredyty i poczekać spokojnie na Cienę.

Mógłby zjechać po swojej starej linii do Fortecy, posprzątać ją, żeby było ładnie. Miło byłoby spotkać się tam znów z Cieną...

Ostatecznie Thane postanowił nie kontaktować się z rodzicami. Nie miał ochoty znosić pijackiej pogardy ojca ani wybuchów złości matki; a nade wszystko nie miał ochoty wysłuchiwać, jak radzi sobie Dalven. (Biorąc pod uwagę braki kadrowe w imperialnej armii, nawet taki gamoń jak Dalven dostał już pewnie awans. I był na tyle głupi, żeby się nim chełpić).

Wraz z upływem kolejnych dni Thane stopniowo podupadał na duchu. Ciena wciąż się nie zjawiała. A jeśli próbowała zdezerterować, ale została schwytana? Na myśl o niej w więzieniu, w poczuciu wstydu i beznadziei, robiło mu się słabo. Próbował nie poddawać się rozpacz; Ciena była zbyt sprytna, zbyt sprawna, by łatwo dać się złapać. Zaczekałaby na odpowiedni moment, ale ten moment mógł tak szybko nie nadejść.

Skromne fundusze, które Thane zdołał zgromadzić przed ucieczką, wydał w większości na opłacenie lotów. Czynniki za jego maleńki pokój i tak wydawał się zbyt wysoki, a on żywił się wyłącznie jedzeniem z ulicznych stoisk – cienkimi kawałkami mięsa podejrzanego pochodzenia, gotowanego na prowizorycznych kuchenkach przed budami, lub rzadkim „gulaszem”, zagęszczanym mielonym ziarnem.

Podobnie jak większość kadetów Thane zawsze marzył o paru dniach wolnego, żeby móc spać do późna, nie dbać o wojskową dyscyplinę i robić to, na co miał ochotę. Jednak bez sztywnych ram, w których żył przez ostatnie kilka lat, czuł się zagubiony –

skonsternowany i rozdrażniony wolnością, z którą nie wiedział, co zrobić. Zamiast wypełniać wyznaczone zadania o określonej porze... nie robił nic. Na jego twarzy pojawiła się szczecina, bo skończył mu się inhibitor zarostu, a szkoda było mu kredytów na nowy. Co noc miał koszmary: o Alderaanie, o Gwieździe Śmierci, o ojcu albo o Cieniu w niebezpieczeństwie. Jediną rzeczą, jaka odróżniała go od otaczających go lumpów, było to, że Thane nie wydawał wszystkich pieniędzy na piwo, chociaż rozumiał już, dlaczego niektórzy tak robią. Z każdym dniem coraz bardziej pogrążał się w melancholii.

Początkowo myślał, że łatwo będzie znaleźć jakieś zajęcie; dla pilotów, nawet tych bez licencji, zawsze znajdowała się jakaś praca. Potem jednak zdał sobie sprawę, że nie może tego robić na Jelucanie. Imperium działało tu zbyt intensywnie, żeby dezerters mógł szwendać się po portach, wpytując o pracę. Z pewnością mógłby się najać jako pracownik kontraktowy na jednym z podrzędnych frachtowców odwiedzających planetę – tam nigdy nie zadawali żadnych pytań – ale to było niewiele lepsze od niewolnictwa.

Mało co wydawało się jeszcze warte zachodu. Miał wrażenie, jakby całe jego życie zamarło w oczekiwaniu na Cień. Nie wiedział, co by się z nim stało, gdyby ona nigdy się nie zjawiała, i zbytnio o to nie dbał.

Jakieś dwa tygodnie po przylocie, pewnej nocy, gdy leżał wyciągnięty na łóżku w tunice i spodniach do spania – Thane dotarł do kresu wytrzymałości. Jasne ściany jego pokoju były gołe, narzuta na łóżku jasnobeżowa, bez żadnego wzoru. Za tę cenę lokum było zaskakująco wygodne, ale Thane miał wrażenie, jakby drażniło się z nim swoją pustką.

Na zajęciach z procedur bezpieczeństwa i technik przesłuchania w akademii uczyli ich, że jedną z najskuteczniejszych metod na złamanie więźnia jest zmuszenie go do patrzenia na pustą ścianę bez chwili snu. Pozbawienie snu i nuda potrafiły zdziałać to, czego nie mogły zapewnić ból i groźby. Umysł więźnia otwierał się, ujawniając każde ukryte w nim słowo, byle tylko zakończyć tę wyczerpującą monotonię. Thane nigdy nie rozumiał, jak to działa – aż do teraz.

Poderwał się, słysząc jakiś hałas na zewnątrz. Brzmiało to tak,

jakby uliczni sprzedawcy zwijali w pośpiechu swoje nie całkiem legalne towary. Thane podszedł do jedyne go, niewielkiego okna w swoim pokoju i odsunął zasłonę. Na zewnątrz, kilka pięter niżej, zobaczył imperialny pojazd patrolowy, który najwyraźniej właśnie się tam zatrzymał.

Po chwili usłyszał kroki na schodach. Ktoś szedł po niego.

„Dobra, myśl szybko. To jednoosobowy pojazd. Przysłali tylko jednego gościa. Możesz go załatwić”. Ale nie bez broni. Rozejrzał się w poszukiwaniu czegośkolwiek, co mógłby wykorzystać. Niestety nieliczne przedmioty znajdujące się w pokoju były albo za duże, żeby je unieść, albo za małe, żeby zrobić nimi jakąkolwiek krzywdę.

„Może wcale nie idzie po ciebie. W okolicy są przecież handlarze przyprawy. Prostytutki. Przemycnicy. Mnóstwo ludzi, których można aresztować”. Ale wtedy przysłaliby kogoś z miejscowej organizacji paramilitarnej, a nie imperialnego oficera.

Thane wziął głęboki oddech, przeczesując dłońmi swoje krótkie włosy. Będzie musiał spróbować jakoś się z tego wyłgać. Jeśli zaprzeczy, że nazywa się Thane Kyrell, i będzie udawał całkowicie zaskoczony, to może uda mu się zbić faceta na chwilę z tropu – wystarczająco długo, żeby wyrwać mu blaster.

Ale czy mógł zastrzelić kogoś tylko za to, że wykonuje swoją robotę? Kogoś, kto był oficerem, tak samo jak on jeszcze kilkanaście dni wcześniej.

Rozległo się walenie pięścią w drzwi pokoju. Thane skotłował pościel, żeby wyglądała tak, jakby dopiero się obudził, następnie podszedł do drzwi i powiedział jakby półprzytomnym głosem:

– Mhm. Tak? Kto tam?

– Jestem tutaj służbowo.

Znał ten głos.

Thane od razu otworzył drzwi i zobaczył Cienę stojącą w mundurze. Jej widok był jak pierwszy oddech zaczerpnięty po latach.

– Dotarłaś. – Wciągnął ją do pokoju, zamknął za nią drzwi i przytulił mocno. Wdychając zapach jej skóry, nie mógł wyjść z podziwu dla jej błyskotliwości. Ciena nie zdezerterowała,

przyleciała tutaj z oficjalną misją, dzięki czemu Imperium opłaciło jej podróż, a ona mogła opóźnić w ten sposób ewentualny pościg. – Jesteś genialna, wiesz? Ciągle czekałem i już myślałem, że mogli cię zatrzymać, ale oto jesteś. Jesteś.

A potem Thane ją pocałował, długo i namiętnie. Ten cholerny szary mundur był zbyt sztywny w dotyku, ale mogli się tym zająć później. Ciena odpowiedziała równie żarliwym pocałunkiem, ale kiedy ich usta w końcu się rozłączyły, wyglądała na tak zatroskaną, że zastanawiał się, czy zrobił coś nie tak.

A może ona martwiła się o ich bezpieczeństwo.

– Czy Imperium przysłało kogoś jeszcze?

– Nie. Byli pewni, że polecisz gdzieś indziej. Wiedziałam, że się tego domyślisz, więc oczywiście przylecisz tutaj...

Thane się uśmiechnął. Tak dobrze go znała.

Ale Ciena wyglądała na jeszcze bardziej zaniepokojoną niż wcześniej.

– Thane, coś ty zrobił?

I wtedy w końcu zaczął zdawać sobie sprawę, jak daleko są wciąż od siebie.

Godzinę później Ciena siedziała z Thane'em w kantynie na dole. Obawiała się, że ktoś może ich podsłuchać, rozpoznać, może nawet wydać, ale Thane pokręcił głową.

– Zaufaj mi – powiedział. – Ci, którzy tutaj przychodzą, omijają imperialnych oficerów z daleka. Nikogo znajomego tu nie spotkamy.

– Nie warto ryzykować – odparła.

Ale Thane zacisnął zęby w sposób, który mógł oznaczać tylko absolutną determinację albo zwyczajny upór.

– Jeśli nie wyjdę z tego pokoju, to zwariuję. Zaufaj mi. Będziemy bezpieczni.

Rzeczywiście mieli cały kąt lokalu tylko dla siebie. Większość gości stanowili przybysze, nie tubylcy, i tłoczyli się z przodu, przy ekranach. Ona i Thane siedzieli sami przy małym stoliku. Parę lat temu czułaby się nieswojo w takiej obskurnej kantynie – teraz zresztą też, gdyby nie była tak pochłonięta próbami odwiedzenia Thane'a od

popęnienia największego błędu w życiu.

– Możesz wrócić – powtarzała. – Wiem, myślisz, że cię aresztują, i w innych okolicznościach tak by było, ale po tym, co się stało, bardzo potrzebują wykwalifikowanych oficerów.

– Nie chcę wracać – powiedział, nie po raz pierwszy.

Ciena wciąż nie mogła w to uwierzyć.

– Trzy lata w akademii... tyle pracy, tyle starań i to wszystko na nic?

– Myślisz, że mnie to cieszy? Wcale nie. Ale po tym, co widziałem, co Imperium zrobiło z Bodach'imi... po Alderaanie... nie mogę dłużej nosić tego munduru. – Thane pochylił się nad swoim kuflem piwa, podpierając ręką czoło, jakby bolała go głowa. – Myślałem, że się zgadzamy co do tego.

– A ja myślałam, że zgadzamy się, że po tym, co spotkało tylu naszych przyjaciół na pokładzie Gwiazdy Śmierci, musimy trzymać się razem. Rebelianci zabili tysiące oficerów takich jak my. Zabili wielkiego moffa Tarkina.

– Tarkin był dla nas miły – przyznał Thane. – Spotkanie z nim odmieniło nasze życie.

– ...i zabili Jude – ciągnęła Ciena. – Godzisz się na to?

– Cieno, nie przyłączę się do tej przeklętej Rebelii. Nie godzę się na to, co stało się z Gwiazdą Śmierci, ani na to, co stało się z Alderaanem. A ty się godzisz? To niemożliwe. Nie możesz myśleć, że zniszczenie całego świata było słuszne.

Pokręciła ze smutkiem głową.

– Nie. Rozumiem myślenie, które doprowadziło do ataku na Alderaan... ale nie godzę się na to. Tyle że nie muszę. – Ciena nachyliła się bliżej i popatrzyła w błękitne oczy Thane'a, chcąc, by ją dobrze zrozumiał. – Imperator i moffowie uświadomią sobie teraz, że zniszczenie Alderaanu nic nie dało. Nie powstrzymało Rebelii; jeśli już, to sprawiło, że rebelianci stali się jeszcze bardziej zdesperowani.

– A więc dwa miliardy istot zginęły na darmo – powiedział Thane.

– I prawie milion na pokładzie Gwiazdy Śmierci. – Ciena nie mogła zapomnieć o śmierci Jude. Wciąż męczyły ją koszmary, w których biegła korytarzami stacji, krzycząc do Jude, żeby wsiadała na prom,

ale nie mogła znaleźć swojej przyjaciółki. – Gwiazdy Śmierci już nie ma. Nawet gdyby Imperator chciał znowu zrobić coś tak drastycznego, to nie może. A poza tym... zaatakowano Alderaana wyłącznie dlatego, by nie dopuścić do jeszcze bardziej niszczycielskiej wojny. Ale wojna i tak wybuchła. Jest za późno, żeby uchronić przed nią galaktykę. Jedyne, co mogę zrobić, to walczyć na rzecz prawa, porządku i stabilności.

Śmiech Thane'a zabrzmiał szorstko.

– Wszystko się rozpada, Cieno. Nasi rodzice byli świadkami samozniszczenia Republiki. Imperium może przetrwać jeszcze rok albo dziesięć lat, ale prędzej czy później zapanuje nowy porządek i nowe prawo. I komu wtedy będziesz służyć?

– Nie musisz być okrutny tylko dlatego, że nie chcę... nie mogę porzucić służby. – Nie mogła się nawet wściekać na Thane'a; zbyt wielki czuła żal. Oczywiście, że buntował się przeciwko zagładzie Alderaana, ale to nie musiało zmieniać wszystkiego. I oczywiście, że nienawidził niewolnictwa; ona też, ale przecież nie Imperium je wynalazło. To, co się teraz liczyło, było ważniejsze niż pojedynczy incydent. To kwestia fundamentalnych zasad. – Ślubowaliśmy służyć Imperium. Złożyliśmy przysięgę. Nie możemy jej złamać, przenigdy.

Thane pokręcił głową. Bursztynowe światła w kantine nadawały jego włosom ciemnorudy odcień i rzucały cienie na jego twarz, która zdradzała, jak bardzo się męczy.

– Ty wciąż jesteś dziewczyną z dolin. Nie złamiesz danego słowa, nawet jeśli przyrzekałaś dowódcy i flocie, którzy na ciebie nie zasługują.

– A ty wciąż jesteś drugofalowcem. Łatwiej ci jest złamać obietnicę niż ją dotrzymać. – Ciena zawstydzila się swoich słów, gdy tylko je wypowiedziała. Przemawiały przez nią uprzedzenia ojca i jej własny lęk przed utratą Thane'a.

Nie obraził się.

– Nie jest mi łatwo cię opuścić – wyszeptał. – To najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić.

Odwróciła wzrok. Nie potrafiła na niego dłużej patrzeć.

Thane pomyślał chyba, że jej reakcja wynikała raczej z gniewu,

a nie z żalu, bo przybrał bardziej formalny ton.

– Doniesiesz na mnie?

– Nie... – Co mogła powiedzieć albo zrobić? Była rozdarta między lojalnością wobec Thane'a a lojalnością wobec Imperium. Mimo że była wściekła na Thane'a za dezercję, nie wyobrażała sobie, że mogłaby posłać go do więzienia. Jak mogłaby zrobić coś takiego osobie, którą kochała? – Nie wiem.

– Nie wiesz. Świetnie. – Przechesał dłonią włosy. – Wiesz chociaż, czy doniesiesz na mnie dzisiaj?

Coś w niej pękło.

– Oczywiście, że nie.

Głos Thane'a stał się oschły, kąśliwy.

– To nie będzie złamanie przysięgi? Nie stracisz swojego drogiego honoru?

– Czasami jesteśmy lojalni wobec różnych rzeczy. Kiedy następuje konflikt, musimy wybrać, komu dochować wierności. – Ciena zadrżała, czuła się rozdarta. – Nie wiem, co zrobię jutro. Ale dziś, teraz, wybieram lojalność wobec ciebie.

W tym momencie cały gniew z Thane'a uleciał. Ujął dłonią jej twarz i Ciena nie potrafiła się już dłużej pohamować. Przysunęła się bliżej i uczepiła się jego kurtki, żeby jej nie uciekł. Chciała jedynie, żeby z nią został, dzisiaj, tak długo, jak to było możliwe. Chciała wierzyć, że nie odejdzie.

Thane pocałował ją znowu, namiętniej niż wcześniej. Ciena zamknęła oczy i objęła go, wyobrażając sobie, że może zatrzymać czas. Ta chwila miała pozostać z nią na zawsze, utrwalona w jej pamięci – jego klatka piersiowa przyciśnięta do jej, delikatne drapanie jego zarostu o policzki, cichy, chrapliwy odgłos, który wydał, gdy jego ręka odnalazła krzywiznę jej talii.

Kiedy w końcu oderwali się od siebie, dysząc ciężko, oparła się czołem o jego czoło i szepnęła:

– Na górę.

Thane odetchnął jeszcze parę razy, zanim odpowiedział.

– Jesteś pewna?

W tym momencie czuła, że niczego nie może być pewna. Thane –

jeden z niewielu stałych elementów jej życia, jej gwiazda polarna – odchodził na zawsze. Jej świat wywrócił się do góry nogami i podejrzewała, że nigdy już nie uda jej się go w pełni poukładać.

Ale właśnie dlatego była zdecydowana wykorzystać w pełni tę chwilę, tę noc z Thane'em. Zatrzymać czas.

– Tak – szepnęła z ustami przy jego ustach. – Tak.

Thane nie mógł spać.

Był środek nocy, a on czuł się wykończony, ale to nie miało znaczenia. Mógł tylko patrzeć na Cienę.

Leżała wsparta na jego ramieniu, pogrążona w półśnie. Jej mocno kręcone włosy, rozpuszczone, rozsypały się wokół jej głowy na poduszce niczym ciemna aureola. Pełne usta obrzękły od pocałunków. I chociaż spędził większą część ostatnich trzech godzin, poznając każdy skrawek jej ciała, wciąż nie mógł się nacieszyć jej widokiem, leżącej obok niego, odzianej jedynie w rąbek prześcieradła.

Leżąc przy niej, Thane – po raz pierwszy – zaczął się zastanawiać, czy mógłby zrobić to, o co prosiła go Ciena. Czy mógłby wrócić do bazy, przyznać się do chwili słabości i wrócić do służby? Pewnie Ciena miała rację co do tego, że w obliczu obecnego kryzysu odpuszczano wiele win. To, co jeszcze rok temu oznaczałoby miesiące w więzieniu, teraz zapisałoby się zaledwie skazą na życiorysie.

Gdyby wrócił teraz, mógłby zostać ze Cieną...

Ale nie mógł wrócić. Nie po tym, co widział. Przez całe dzieciństwo cierpiał z powodu okrucieństwa jednego hipokryty; nie chciał zadawać cierpienia w imieniu innego, nawet jeśli był to Imperator.

Co innego Ciena... Gdy raz przysięgła komuś wierność, musiała jej dochować. Imperium nie zasługiwało na nią, a jednak znalazła się w jego szponach na wieki. Pozostawała trybikiem w maszynie Imperatora nie z powodu swojej ambicji czy nieuczciwości. Przeciwnie, Imperium potrafiło wykorzystać jej honor przeciwko niej samej. To siła charakteru kazała jej pozostawać w służbie zła.

Miał wrażenie, jakby już stracił ją na zawsze, mimo że wciąż czuł jej delikatny oddech na ramieniu. Przytulił ją mocniej, skrywając twarz w zagłębieniu jej obojczyka. Ciena westchnęła cichutko,

odzyskując świadomość; objęła go w pasie, wzmacniając ich uścisk.

– Nie śpisz? – szepnął.

– Mmm. – Potem poruszyła się znowu i odpowiedziała bardziej wiarygodnie. – Już nie.

– Kocham cię. – Nie mógł uwierzyć, że nigdy wcześniej tego nie mówił. To było jak stwierdzenie, że nad nimi jest niebo: tak oczywiste, tak fundamentalnie prawdziwe, że wypowiedzianie go wydawało się niepotrzebne.

Ciena zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Ja ciebie też. Zawsze cię kochałam. W taki czy inny sposób.

– Kocham cię w każdy sposób.

– Tak. – Ciena się uśmiechnęła, ale jej uśmiech był tak smutny, że zabolał Thane'a, dosłownie: poczuł ból pośrodku klatki piersiowej. – W każdy sposób.

– Gdybym cię błagał, żebyś ze mną została, to by nic nie zmieniło, prawda?

Pokręciła głową.

– Gdybym cię błagała, żebyś wszedł na najbliższy statek na Coruscant, nie zrobiłbyś tego, prawda?

Nie musiał nic mówić. Oboje znali odpowiedź.

– A więc to koniec. – Jego słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzał, ale wierzył, że Ciena zrozumie, że nie gniewa się na nią. – Imperium rozdzieli nas na zawsze.

– Gdyby nie Imperium, w ogóle byśmy się nie poznali. Zastanów się. Czy inaczej zaprzyjaźniłbyś się z dziewczyną z dolin?

Kiedy Jelucan został przyłączony do Imperium, Thane był tak mały, że niewiele pamiętał z wcześniejszego okresu. W pewnym sensie wydawało mu się, że jego życie tak naprawdę rozpoczęło się tamtego dnia, od marzenia o lataniu w imperialnej flocie i od Cieny.

– Chyba nie.

Ciena podniosła się, jakby chciała wstać z łóżka, ale Thane pociągnął ją z powrotem. Nie chciała już patrzeć mu w twarz.

– Muszę iść.

– Zostań.

– Jeśli zostanę, jeszcze trudniej będzie mi odejść.

– A czy teraz będzie łatwiej? Naprawdę?
– Nie. – Ciena w końcu spojrzała mu w oczy. – Thane, musisz opuścić Jelucana w ciągu tygodnia. Bo później na ciebie doniosę.
Thane poczuł się, jakby został ugodzony nożem między zębra.
– A co z twoim wyborem, komu dochować wierności?
– Dzisiaj wybrałam ciebie. Chciałabym zawsze móc wybrać ciebie. Ale gdybym kryła cię w nieskończoność, sprzeniewierzyłabym się mojej przysiędze na wierność Imperium. To jest tylko jeden jedyny raz, rozumiesz? – Głos zaczął jej drżeć. – To jest pierwszy i ostatni raz.

Do tej pory w głębi duszy Thane wciąż wierzył, że jeszcze zobaczy Cienę. Chciał wierzyć, że zdołają się odnaleźć wbrew wszystkiemu. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że było to naiwne, jak dziecięce marzenie.

– Rozumiesz? – powtórzyła Ciena.
– ...tak. – To słowo miało gorzki smak. – A więc wtrąciłabyś mnie do wojskowego więzienia nawet po tym. – Thane wskazał na zmiętą pościel i ich ubrania porzucane na podłodze. Jej plakietka z insygniami połyskiwała w słabym świetle.
– Właśnie cię lojalnie ostrzegłam! A poza tym i tak będziesz musiał uciekać prędzej czy później. Ile czasu już tu zmarnowałeś?
– Zmarnowałem? Czekałem na ciebie. – Nie wiedział, że może być na kogoś tak wściekły i wciąż go kochać. – Ale chyba jednak masz rację, że zmarnowałem.

Ciena się skrzywiła, jednak mówiła dalej:
– Nie możesz szukać pracy na Jelucanie. Poleć najbliższemu frachtowcem na któryś z niezależnych światów. I nawet nie myśl o tym, żeby się zatrudnić jako pracownik kontraktowy, dobra? Znajdź sobie pracę gdzieś indziej na Zewnętrznych Rubieżach, gdzie nie będą cię szukać.
– Nie potrzebuję twoich rad...
– Czyichś potrzebujesz. Inaczej zostaniesz tutaj, w Valentii, rozczulając się nad sobą.

To zabolalo, ale Thane zaczął zdawać sobie sprawę, że Ciena ma trochę racji.

– Dobra, w porządku. Niedługo stąd wyjadę.

– W ciągu tygodnia.

Bo po tygodniu na niego doniesie. Kobieta, którą kochał, doniesie na niego imperialnym.

– Tak – powiedział beznamietnie. – W ciągu tygodnia.

Ciena wzięła głęboki oddech.

– A więc nie pozostaje nic więcej do powiedzenia.

Ale nie spieszyła się do wyjścia. Zamiast tego pogładziła go dłonią po twarzy; przesunęła kciukiem po kości policzkowej.

Powinien kazać jej się wynosić. Powiedzieć jej, że nie ma ochoty dzielić łóżka z kimś, komu bardziej zależało na Imperium niż na nim. Jego umysł podsuwał mu podłe słowa, takie, jakich używali jego ojciec i Dalven, tak jakby okrucieństwo, którego od nich zaznał, było w nim głęboko ukryte i czekało, żeby się ujawnić: „Dostałem już od ciebie wszystko, co chciałem. Łatwo poszło, co?”.

Ale nie powiedział nic takiego. Zamiast tego zadał sobie pytanie, czego będzie żałował bardziej: jeśli ją teraz zostawi czy jeśli pójdzie z nią jeszcze raz do łóżka. Wiedział, że tak czy inaczej będzie cierpiał.

Ich spojrzenia się spotkały, a kiedy nachyliła się bliżej, objął ją dłonią za kark, przyciągnął do siebie i pocałował.

Pozostały im zaledwie godziny. Nie zamierzali tracić tego czasu.

Ronnadam patrzył gniewnie na jej raport na ekranie.

– Jest pani pewna co do tego, pani komandor porucznik?

– Na tyle, na ile można być pewnym bez odnalezienia ciała. A szczeliny lodowe trudno przeszukać nawet przy użyciu droidów skanujących. W przypadku podniebnego pogrzebu ciało zmarłego przepada w ciągu kilku dni.

– Podniebny pogrzeb?

Ciena żałowała, że nie może cofnąć tych słów; za bardzo błędziła myślami wokół Jelucana i tego wszystkiego, co tam pozostawiła.

– Na Jelucanie układamy zmarłych na kopcach, wysoko w górach. Ptaki pożerają zwłoki, zabierając zarówno ciało, jak i duszę zmarłego na zawsze do nieba.

– Barbarzyństwo – prychnął Ronnadam. Ciena zdołała zachować

kamienną twarz. – Ale pewnie tak samo byłoby przy wypadku czy samobójstwie, z którym, jak rozumiem, mamy tutaj do czynienia.

Ciena pokiwała głową.

– Porucznik Kyrell był przepelniony żalem po stracie tylu przyjaciół i innych oficerów na pokładzie Gwiazdy Śmierci. Na podstawie rozmów, jakie przeprowadziłam na Jelucanie, sędzę, że pierwotnie zdezerterował i wrócił na swój ojczysty świat, próbując odzyskać wolę życia, ale mu się nie udało. Skoczył z jednego z wyższych urwisk w naszej rodzinnej prowincji, zostawiając swój graniolaz na chodzie.

Niepotrzebnie to dodała. Kłamstwa powinny być jak najprostsze, a przynajmniej tak Ciena słyszała. Ale tak rzadko kłamała w swoim życiu. Nieuczciwość pozostawiła jej w ustach nieprzyjemny posmak.

Po rozstaniu z Thane'em Ciena miała zamiar dotrzymać słowa i po tygodniu zameldować o jego dezercji. Tydzień powinien mu wystarczyć, żeby wziąć się w garść, uciec na jakiś mało znany świat i zniknąć z jej życia na zawsze.

Ona zaś miała czas, żeby odwiedzić rodziców, którzy ucieszyli się i zdziwili na jej widok – i z pewnością jeszcze bardziej się zdziwili, kiedy wybuchła płaczem na progu. Mimo że szybko się uspokoiła i nie wspomniała rodzicom ani słowem o Thanie, musieli wyczuć, że nie wpadła tu ze zwykłą wizytą. Mama siedziała z nią do późna w nocy, nie zadając jej wścibskich pytań, tylko zaplatając jej warkocze, tak jak to robiła, gdy Ciena była małą dziewczynką. Dotyk matki był kojący, ale nic nie mogło uśmierzyć bólu, jaki czuła na myśl o wydaniu Thane'a.

Ostatecznie nie potrafiła tego zrobić. Gdyby Imperium poczyniło jakieś starania, choćby rutynowe, żeby go namierzyć, nie można byłoby wykluczyć, że go odnajdą i postawią przed sądem.

Tak więc jeszcze raz wybrała lojalność wobec niego i postanowiła go chronić, kłamiąc najlepiej jak potrafiła.

– No dobrze. – Ronnadam zatwierdził jej raport, nie czytając go nawet do końca. Ciena zdała sobie sprawę, że gdyby Thane zdezerterował w mniej rozpaczliwej dla imperialnej floty sytuacji, jej raport zostałby przeanalizowany znacznie uważniej. Teraz jednak Ronnadam chciał to mieć po prostu z głowy. – Dobra robota, pani

komandor porucznik.

Jego pochwała ciążyła jej tak, jakby ktoś włożył jej na plecy kamienie. Ciena płonęła ze wstydu na myśl o tym, że została pochwalona przez przełożonego za złamanie przysięgi wierności.

„Nigdy więcej” – przyrzekła sobie. Od tej pory jej służba Imperium będzie dla niej czymś więcej niż obowiązkiem – będzie jej zadośćuczynieniem za to, że umiłowała kogoś bardziej niż swój honor.

Rozdział 13

Siedem miesięcy po bitwie o Yavin

Thane zmniejszył błękitno-biały płomień spawarki, zsunął gogle i popatrzył z marsową miną na splątany kawałek metalu, który próbował naprawić. Prywatny frachtowiec „Zod” był już stary przed jego narodzinami, ale trzymał się jakoś dzięki serii prowizorycznych przeróbek dokonywanych przez dziesiątki lat. W tej chwili Thane próbował zamontować sześćdziesięcioletnie ogniwo energetyczne w dwudziestoletnim procesorze – bez większych sukcesów.

Przeklinając pod nosem, wyłączył spawarkę i ruszył korytarzami „Zoda” w kierunku mostka. Nie było to ciemne, kanciaste pomieszczenie, do jakich Thane przywykł na imperialnych okrętach, ale mała, jasno oświetlona kabina z pulpitemi konsol, które świeciły w pięciu różnych kolorach, wskazujących na ich zupełnie różne pochodzenie. Wszystko na tym statku sklecone było z różnych części z myślą o bardzo konkretnych potrzebach „ZOD”, czy też – ściśle rzecz biorąc – statku, który wszyscy na pokładzie nazywali zwykle „Zod”. Był to skrót jego pełnej nazwy – „Zagłada Ogromnych Dębów” – która dla Wookieeów, takich jak ich kapitan, brzmiała rzekomo znacznie bardziej zawadiacko.

– Cały czas ładuje się tylko do sześćdziesięciu procent – zameldował Lohgarrze Thane. – Po wylądowaniu na Zeitooine musimy poszukać lepszego ogniwa.

Lohgarra warknęła, pytając, skąd mają wziąć kredyty na nowe ogniwo energetyczne.

– Wiem, że jesteśmy splukani. – Teoretycznie Thane był tylko wynajętym drugim pilotem i nawigatorem, ale Lohgarra traktowała swoją załogę z szacunkiem, jak członków zespołu. Mógł zgłaszać zastrzeżenia; mógł mówić „my”. – Ale nie musimy mieć koniecznie całkiem nowego ogniwa. Wystarczy, że nie będzie aż tak stare.

Lohgarra zapytała, czy według Thane’a wszystko, co stare, należy

wyrzucać. Był to żart z niej samej; Lohgarra była stara, nawet jak na długowiecznych Wookieech, a jej futro już niemal całkiem pokryła siwizna.

Thane oparł się z uśmiechem o ścianę.

– Większość rzeczy nie starzeje się tak dobrze jak ty, Lohgarro.

Lohgarra zbyła go machnięciem ręki. Zgodziła się dać mu pewną sumę na nową baterię do rufowego zestawu sensorów, ale ostrzegła go, że Zeitooine może nie być najtańszym miejscem na takie zakupy.

– Wiem. Ale w tej okolicy dużo lepiej nie trafimy. Coś tańszego moglibyśmy znaleźć na Zewnętrznych Rubieżach.

Thane nie czuł się komfortowo na Środkowych Rubieżach. Zatrudnił się na „ZOD” właśnie dlatego, że Lohgarra i jej załoga trzymali się głównie Zewnętrznych Rubieży i Obszaru Ekspansji. Praca dla niej wydawała się dobrą okazją, by się przyczaić na pewien czas. Lohgarra przewoziła tylko legalne towary, ale działała na peryferiach, gdzie imperialny nadzór rzadko nastęrczał problemów. Wprawdzie Thane nie powiedział jej wprost, że jest imperialnym dezertorem, jednak podejrzewał, że od razu się domyśliła i nie przeszkadzało jej to. Mimo że jej granatowe oczy zmętniały nieco z wiekiem, wzrok i umysł wciąż miała bystre.

Lohgarra wybierała do załogi osoby nie tylko kompetentne, ale też niekonfliktowe – nieowładnięte żądzą zysku za wszelką cenę. Zlecenia, jakie przyjmowali, wynikały bardziej z charakteru Lohgarry niż z pogoni za bogactwem; po intratnym przewozie towarów luksusowych podejmowała się często dostawy generatorów awaryjnych po kosztach do targanych konfliktami rejonów. Lohgarra mówiła, że potrzebuje wokół siebie osób, którym może zaufać; osobiście Thane uważał, że jest nieco zbyt otwarta, ale to był jej statek i jej interes. Latała frachtowcem przez kilkaset lat bez jego pomocy, więc pewnie potrafiła dobrać sobie współpracowników. Kiedy nauczył się lepiej rozumieć shyriiwook, zdał sobie sprawę, jak inteligentna jest jego kapitan. A gdy Lohgarra brała któregoś z członków załogi pod swoje skrzydła – tak jak zrobiła z Thane’em – potrafiła być naprawdę serdeczna, do tego stopnia, że przejawiała matczyne odruchy. Wyglądało to trochę śmiesznie, ale Thane’owi nie

przeszkadzało. Przynajmniej pracował dla kogoś, kogo mógł darzyć szacunkiem.

Jak zawsze przenikliwa, Lohgarra najwyraźniej wyczuła jego nerwowość. Przypomniała mu z werwą, że Zeitooine to lesista planeta z zaledwie garstką dużych miast i bez czynnego ośrodka handlowego.

– Tak, wiem – przyznał Thane. – Nic nam nie będzie. – Ale mimo to czuł się nieswojo i tak też pewnie wyglądał.

Jedynym „członkiem załogi” na mostku poza nimi był w tej chwili ich droid astromechaniczny, fioletowo-czarny model JJH2. Thane cieszył się, że nikt inny nie może zauważyć jego niepokoju na myśl o lądowaniu na świecie, gdzie stacjonują siły imperialne. Wolał, żeby Lohgarra pozostała jedyną osobą, która go przejrzała.

Lohgarra nachyliła się bliżej i popatrzyła z troską na Thane’a, mrużąc swoje niebieskie oczy, po czym stwierdziła, że za bardzo schudł, i spytała, czy się dobrze odżywia.

Z trudem powstrzymał się od przewracania oczami.

– Tak, jem.

Jednak Lohgarra знаła nie od dziś problemy ze znalezieniem racji żywnościowych zapewniających odpowiednie wartości odżywcze dla przedstawicieli różnych ras na pokładzie...

– Zapewniam, że nic mi nie jest. Nie martw się, dobrze? – Thane odwrócił się, żeby wyjść.

Gdy drzwi mostka się rozsunęły, Lohgarra zawyła strofująco.

Wychodząc, Thane zaśmiał się z irytacją i zawołał:

– Moja sierść jest bardzo lśniąca!

„Właśnie nazwałem swoje włosy sierścią – pomyślał, idąc korytarzem. – Muszę zacząć spędzać więcej czasu z innymi ludźmi”.

Mimo wszystko nie brał pod uwagę powrotu na Jelucana. Nie miał po co. Co jakiś czas oglądał holowiadomości z domu, ale nigdy z nostalgii, tylko żeby poczuć się lepiej na myśl, że nie musi tam nigdy wracać. Jego rodzina z pewnością cieszyła się, że ma go z głowy, a Ciena... – musiał zamknąć na chwilę oczy, kiedy o niej myślał – jej także by tam nie zastał. Zwłaszcza w obliczu nasilającej się wojny między Imperium a Sojuszem Rebeliantów. Wątpliwe, żeby dostała chociaż ze trzy dni wolnego z rzędu od czasu ich ostatniego

spotkania.

Gdyby Thane kiedykolwiek wrócił na Jelucana, wyobrażałby sobie Cienę jako małą dziewczynkę w jednym z małych stateczków sunących po niebie. Górskie szlaki przypominałyby mu o tym, jak znaleźli jaskinię, która stała się Fortecą. A Valentia już nigdy nie będzie dla niego zwykłym miastem; na zawsze pozostanie tym miejscem, gdzie zeszli się ze sobą na jedną noc i gdzie rozstali się na zawsze.

„Minęło już trochę czasu – powiedział sobie. – Powinieneś już się z tym pogodzić”.

Bzdura. Jak mógł pogodzić się z utratą swojej pierwszej miłości, swojego najlepszego przyjaciela? Ale Thane pocieszał się, że nie zawsze będzie bolało tak bardzo jak w ten ostatni, potworny poranek w Valentii.

Jak na razie się mylił.

Zeitooine był zimnym światem – nie jednym z tych, na których panowała wieczna zima, ale na tyle chłodnym, że kiedy Thane z resztą załogi zeszli na ląd, uderzyła ich fala mrozu. Port kosmiczny położony był na obrzeżach miasta, więc w oddali dostrzegli drzewa, wszystkie ogołoczone z liści. Oddech pozostawiał w powietrzu obłoczki pary.

– W takich chwilach dobrze mieć futro – powiedziała Brill, ich tarsuncka inżynier, która farbowała swoją długą grzywę na wściekle różowy kolor. – Nie wiem, jak wy, ludzie, to znosicie.

– Sam się nad tym zastanawiam. – Thane postawił kołnierzą płaszcz. – Załatwmy to jak najszybciej, dobra?

Odpowiedział mu głęboki pomruk poparcia ze strony Methwata Tanna, ithoriańskiego mechanika. Swoją ogromną, zakrzywioną głowę i szyję owinął szalikiem wydzierganym specjalnie dla niego przez Lohgarre, ale on także trząsał się z zimna.

Ich zadanie na Zeitooine było całkiem proste: dostarczyć kilka droidów budowlanych. Thane pomógł Methwatowi i Brill je rozładować, po czym pospieszył w głąb kosmoportu, żeby poszukać sprzedawcy używanych części. Zwykle jeden czy dwóch gdzieś się

kręciło. Po paru minutach bezowocnych poszukiwań odważył się w końcu zapytać kogoś, kto powiedział mu, że najbliższy punkt jest oddalony o dziesięć minut drogi piechotą. Thane zmarszczył brwi, spojrzał na chronometr i postanowił iść. Lepiej trochę się spóźnić i dostać po uszach niż męczyć się dalej z tym cholernym przestarzałym ogniwiem energetycznym.

Ruszył więc szybkim krokiem przez miasto, aż doszedł na zatłoczony plac – i tu się zatrzymał. Nikt się nie ruszał i Thane zorientował się dlaczego.

– Jesteście aresztowani – powiedział znudzonym głosem kapitan szturmowców. Kilkunastu jego ludzi stało wokół, odgradzając tłum za pomocą blasterów, podczas gdy z pobliskiego domu wywlekani byli ludzie. „Rodzina” – zdał sobie sprawę wstrząśnięty Thane. Córka mogła mieć nie więcej niż trzynaście lat i płakała, gdy szturmowiec ciągnął ją za sobą tak szybko, że ledwo mogła nadążyć; zaciśniętą pięścią trzymał ją za włosy.

– Proszę – mówiła matka, klęcząc przed kapitanem. – Proszę. Zapłacimy wszystkie kary... możecie sprzedać nasz dom, cały nasz majątek...

Kapitan szturmowców sprawiał wrażenie znudzonego.

– Wielokrotne łamanie zakazu niezależnych publikacji podlega karze bezterminowego więzienia.

Inny szturmowiec wyniósł jeszcze młodszą dziewczynkę, może pięcioletnią, na tyle małą, że trzymał ją pod pachą. Dziewczynka nie płakała, była zbyt przerażona. Patrzyła tylko szeroko otwartymi oczami na tłum, jakby szukając pomocy.

Nikt się nie ruszył. Spokój zapewniały blastery szturmowców.

„Niecały rok temu patrzyłem beczynnym, jak biją niewolników” – uzmysłowił sobie Thane. Znów przypomniał sobie, jak krążył po niebie w swoim myśliwcu TIE, żeby wzbudzić strach w mieszkańcach Kerev Doi.

– Tylko nie dzieci – błagała matka. – To my z mężem to zrobiliśmy. Dzieci są niewinne. Dlaczego mają...

Słowa ugrzęzły jej w gardle, gdy kapitan walnął ją kolbą karabinu w twarz. Kobieta upadła z płaczem na ziemię, a inny szturmowiec

schylił się, żeby ją skuć.

„Zrób coś!”. Ale Thane stał bezsilny. Nie mógł nic zdziałać przeciw tyłu uzbrojonym ludziom. Nie mógł nawet nic powiedzieć. Jako dezertier z imperialnej floty nie mógł zwracać na siebie uwagi czy zachowywać się niewłaściwie. Otaczała go niewidzialna klatka, którą sam sobie zbudował.

Odwrócił się z odrazą i ruszył z powrotem do kosmoportu. Gdy zmierzał w stronę „ZOD”, zauważyła go Brill.

– Hej! A gdzie nowe ogniwo energetyczne?

– Nie mieli nic na naszą kieszeń – warknął. – W porządku?

– Przepraszam, że spytałam – usłyszał za plecami.

To nie był najlepszy sposób na nawiązanie przyjaźni z innymi członkami załogi. Ale Thane nie szukał przyjaciół. Chciał zamknąć się w swojej kajucie, zgasić światła i spróbować zapomnieć o wszystkim, co widział i co robił.

Ciena wpatrywała się w sceny rozgrywające się przed nią na planecie Ivarujar i pomyślała, że tak musi wyglądać piekło.

W oddali wulkan wciąż wypluwał popiół tak wysoko, że przez lata nikt na tym świecie nie zobaczyłby nieba. Na horyzoncie żarzyła się złowieszcza pomarańczowa lawa; stolica była już przez nią całkowicie pochłonięta. Patrząc przez swoją quadlornetkę, Ciena dostrzegała kolejne budynki, które czerniały i rozpadały się, zamieniając się w popiół od samego żaru.

Jako najbliższy statek w sektorze „Devastator” wysłał kilka transportowców w celu ewakuacji imperialnych garnizonów na Ivarujarze. Ich własne statki zostały poważnie uszkodzone w wyniku pierwotnej erupcji, więc byli uwięzieni i gdyby pomoc nie nadeszła szybko, skazani na zagładę. Cienie powierzono dowodzenie transportowcem operującym najbliżej wulkanu. Było to niebezpieczne zadanie, ale dało jej przyływ energii. Nie to żeby nie lubiła pracy na mostku gwiazdnego niszczyciela... ale brakowało jej prawdziwej akcji.

– Pani komandor porucznik, mamy ich w polu widzenia – powiedział pilot szturmowiec. Odwróciła się od okna transportowca

i spojrziała na ekran, na którym widać było szturmowców stojących na dachu budynku. Trwali w równym szyku, czekając cierpliwie na pomoc, chociaż żar musiał być już nie do zniesienia.

– Dobra robota – powiedziała. – Schodzimy.

Pilot się zawahał, a potem spojrział jeszcze raz na tablicę przyrządów. Ciena rozumiała jego niepewność; ogromny żar wzniewał pożary i tworzył prądy powietrzne, które mogły zdestabilizować nawet większy statek niż ich transportowiec.

W górach zdarzały się czasem dziwne wiatry.

– Ja przejmę stery. – Ciena dała mu znak, żeby zwolnił fotel pilota.

– Potrafię poprowadzić...

– Wiem. Ale ty masz dość siły, żeby nosić rannych na statek, a ja nie. – No, w każdym razie nie więcej niż jednego czy dwóch.

Uspokojony, że nie będzie posądzony o tchórzostwo, pilot dołączył do innych szturmowców. Ciena poprowadziła transportowiec nisko, przez miejskie kaniony, gdzie ulicami płynęła lawa. Piekielna czerwona poświata z dołu kontrastowała z czarnym niebem. Podczas lotu mocno trzęsło, ale zdołała zapanować nad transportowcem.

„Niezgrabny kloc” – pomyślała, marząc przez chwilę o trochę zwinniejszym statku. Niemniej transportowiec był odporny na wysokie temperatury, a to było najważniejsze.

Posadziła statek na dachu budynku garnizonu i gdy tylko otworzyła wjazd, żołnierze zaczęli pchać się do środka. Ich zbroje poszarzały od wulkanicznego pyłu, a niektórzy kasłali i potykali się. Jeszcze pół godziny i zaczęliby mdleć albo umierać. Cienę rozsadzała duma, gdy przypomniawszy sobie, jak stali w szyku, do końca zachowując dyscyplinę.

– W porządku – powiedziała i miała już dodać: „wycofujemy się”, gdy zobaczyła w oddali jeszcze jeden budynek. Tam też ludzie stali stłoczeni na dachu; mieszkańcy Ivarujara, którzy nie zdążyli zapewne na cywilne transportowce. Albo nie wszyscy się zmieścili...

– Pani komandor porucznik? – Pilot wrócił do kabiny. – Jesteśmy gotowi do startu?

– Tak – powiedziała. – Zrobimy jeszcze jeden przystanek przed powrotem na „Devastatora”.

– Przystanek?

Rozkazy nie mówiły nic o tym, że ma ratować cywilów, ale też jej tego nie zabraniały.

– Zróbcie tam jak najwięcej miejsca. Zabierzemy więcej pasażerów.

Kiedy Ciena wystartowała ponownie, poczuła niestabilność prądów powietrznych wokół niej. Zagryzła wargę i poprowadziła transportowiec wyżej, tak żeby dopiero na samym końcu zanurkować w najgorszą zawieruchę. Wulkan zagrział ponownie, tak głośno, że wprawiał w drgania cały statek; ostrzegali ich przed możliwością erupcji wtórnej i wyglądało na to, że miało do niej dojść lada chwila.

„Nie masz prawa narażać życia tych, za których jesteś odpowiedzialna, żeby ratować tych, za których nie odpowiadasz” – pomyślała, przypominając sobie nauki z akademii. Po chwili jednak odegnała od siebie wątpliwości. Życie to życie – a poza tym potrafiła to zrobić.

Ponownie wylądowała na rogu budynku, po czym wysiadła z kabiny, żeby pomóc cywilom wejść na pokład. Kasłali jeszcze bardziej niż szturmowcy, ponieważ nie mieli hełmów z maskami wentylacyjnymi; kilkoro z nich było półprzytomnych. Ciena wzięła na ręce małe dziecko i wsadziła je na statek, a potem pomogła też jego ojcu. Wokoło szturmowcy robili to samo, jak zawsze biorąc przykład ze swojego dowódcy.

Zanim ostatnia osoba została wciągnięta na pokład, statek był wypełniony ponad swoją maksymalną ładowność. Ciena musiała przeciskać się do kabiny, gdzie pilot już nawet nie próbował siadać za sterami.

– Nie wiem, czy przy tym obciążeniu możemy... – powiedział, stojąc z boku.

– Możemy i zrobimy to – odparła Ciena z udawaną pewnością siebie. Transportowiec mógł unieść taki ciężar, ale odbijało się to na jego sterowności, co było bardzo ryzykowne przy tak silnych gorących wiatrach.

Ustawiała silniki na pełną moc i wzbiła się w powietrze. Początkowo statek zakołysał się pod nią tak gwałtownie, że omal nie spadła z fotela; z ładowni dobiegały do niej krzyki przestraszonych

Ivarujarian. W tym czasie budynki buchały płomieniami jak odpalone zapałki. Lada chwila mogła rozpętać się prawdziwa nawałnica ognia, a jej statek mógł znaleźć się w samym jej środku.

Ciena skierowała dziób prosto do góry. Wzbijali się wolniej, niż powinni, ale przynajmniej się ruszali...

Na horyzoncie zobaczyła, jak płomienie strzelają coraz wyżej, a potem zaczynają wirować, tworząc coś w rodzaju ognistego cyklonu. Gdyby ich transportowiec dostał się w jeden z tych wirów, nie mieliby szans.

Zachowała jednak spokój, zmagając się ze straszliwymi wiatrami centymetr po centymetrze, aż w końcu byli bezpieczni. Ciena odetchnęła z ulgą, a z tyłu transportowca dobiegły radosne okrzyki.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu – ale kto mógłby mieć jej to za złe?

Jak się okazało, kapitan Ronnadam.

– Miała pani ewakuować żołnierzy z tego garnizonu – zauważył Ronnadam, przechadzając się po swoim gabinecie, podczas gdy ona stała na baczność, ciągle w brudnym od sadzy mundurze. – A nie cywilów.

– Rozkazy tego nie zabraniały, sir.

Ronnadam zmrużył oczy.

– Szukamy luk w przepisach, Ree? Niebezpieczna cecha.

– Nie, sir! To znaczy... zareagowałam instynktownie i nie widziałam przeszkód.

– Zareagowała pani instynktownie – powtórzył szyderczo. – Innymi słowy, nie skonsultowała pani swoich planów z przełożonymi!

„Nie mieliśmy czasu” – chciała zaprotestować, ale wiedziała, że lepiej tego nie robić.

– Przepraszam, sir. Powinna była uzyskać zgodę przed podjęciem takich działań. Drugi raz nie popełnię tego błędu.

– Mam nadzieję. – Ronnadam zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, po czym dodał chłodno: – Nie ma pani innych przewinień na koncie, więc kara będzie łagodna: tylko pięć tygodni podwójnej zmiany. Jednak następnym razem nie okażę takiej pobłażliwości.

– Nie będzie następnego razu, sir. – Pięć tygodni dodatkowej służby to niewygórowana cena za czterdzieści istnień.

Gdy tylko wyszła z gabinetu kapitana, odetchnęła z ulgą. Początkowo była zła, że chcieli ją zganić za ratowanie cywilów – ale teraz rozumiała, że zirytowało ich wyłącznie to, że zignorowała hierarchię dowodzenia. Nie zrobiła nic złego, ratując tych ludzi. Imperium nigdy by się temu nie sprzeciwiło.

Poza tym to był jeden z jej najlepszych wyczynów w karierze pilota. Gdyby tylko mogła opowiedzieć o tym Thane'owi! Wyobrażała sobie jego minę, gdy mówi mu o ognistym cyklonie. Na pewno by jej tego zazdrościł.

Nawet rzeczy, z których była najbardziej dumna, wydawały się niewiele warte, kiedy nie mogła podzielić się nimi z Thane'em.

Rozdział 14

Osiemnaście miesięcy po bitwie o Yavin

Ładownie „Zod” wypełnione były lekami i sprzętem medycznym dla południowego półwyspu znajdującego się na pojedynczym megakontynencie planety Oulanne. Miesiąc wcześniej potężne trzęsienie ziemi zniszczyło tam praktycznie wszystkie budynki w promieniu wielu kilometrów. Imperium jednak nie wysłało pomocy medycznej – mało znacząca z ekonomicznego punktu widzenia planeta nie zasługiwała na takie względy. Wsparcie zaoferowało więc kilku zamożniejszych Oulannistów żyjących na innych światach. To, co przewoził frachtowiec, było kroplą w morzu potrzeb, ale i tak pomocną. Thane miał poważne podejrzenia, że Lohgarra zgodziła się wykonać ten lot za darmo.

Gdy weszli w górne warstwy atmosfery, sprawdził odczyty z sensorów klimatologicznych i zagwizdał.

– Niedobrze.

Lohgarra zapytała, co im grozi.

– Mamy tu potężną nawałnicę. Megahuragan obejmujący jedną czwartą ładu.

JJH2 potwierdził jego słowa, piszcząc ostrzegawczo. Methwat wydał wibrujący odgłos niepokoju.

– Tak jakby nie mieli tam wystarczająco dużo problemów – zauważyła Brill, kręcąc swoją różową, kudłatą głową.

– A teraz my też mamy problemy – dodał Thane. Zazwyczaj burze nie stanowiły zagrożenia dla statków kosmicznych; jeśli coś mogło wytrzymać trudy podróży w przestrzeni kosmicznej, powinno sobie poradzić z odrobiną deszczu i piorunów. Jednak statek towarowy tak obładowany jak obecnie „Zod” ryzykował utratą sterowności w atmosferze, a silne wiatry mogły zneutralizować stabilizatory. (Wprawdzie tylko na parę minut – ale to było wystarczająco dużo, by posłać statek w piach).

Mogli po prostu skierować się do najbliższego bezpiecznego portu. W tym wypadku jednak oznaczało to, że znaleźliby się tysiące kilometrów od miejsca katastrofy. A zaopatrzenie było zapewne tam potrzebne bardziej niż kiedykolwiek.

Kiedy więc Lohgarra spytała Thane'a, czy da radę wylądować w tych warunkach, odparł:

– Pewnie, że tak.

Methwat obejrzał się na niego z wyrazem niepokoju na twarzy; był zbyt uprzejmy, żeby kwestionować wprost czyjeś umiejętności, ale ewidentnie nie wyglądał na zachwyconego.

– Zaufajcie mi – powiedział Thane.

Zapiął pasy i poprowadził statek w dół.

Czerń kosmosu zamieniła się w błękit nieba – ale nie na długo. Pod nimi kłębiła się burza, złowieszcza spiralna chmura, rozciągnięta jak macki jakiegoś wielkiego morskiego stwora. Kadłub statku zatrzęsł się, miotany porywami wiatru.

Lohgarra warknęła, każąc wszystkim się trzymać. JJH2 szybko przekazał Thane'owi wszelkie możliwe dane na temat atmosfery.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Kyrell – mruknęła Brill.

– To jest nas dwoje.

Zanurkował w oko cyklonu – spokojne miejsce pośrodku nawałnicy. Szerokie, białe skrzydła „Zoda” rozciągały się nad wzburzonym morzem, zaś na monitorze wyświetlał się surrealistyczny obraz: słońce odbijające się w wodzie, podczas gdy oni pędzili w kierunku czarnych chmur i ściany deszczu tak gęstej, że przesłaniała Thane'owi cały świat.

Sensory powinny zapewnić mu wszystkie potrzebne informacje. Ustawił statek, zmniejszył prędkość i zszedł tak nisko, że widać było grzywy fal, a potem szczątki porozrzucane na skalistym wybrzeżu.

Statek przechylił się gwałtownie, jakby uderzony olbrzymią pięścią. „Cholera!”. Gradient wiatru był jeszcze gorszy, niż Thane się spodziewał.

– No, dalej – szepnął, ustawiając „ZOD” pod takim kątem, żeby prąd powietrza im pomagał zamiast ich zatopić. – Damy radę.

– Mówisz do statku czy do mnie? – spytała Brill.

– Wprowadziłaś do systemu współrzędne hangaru? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Różowe włosy Brill stanęły dęba.

– Chcesz lecieć na autonawigacji? – Lohgarra warknęła z niedowierzaniem ze swojego fotela kapitańskiego, a JJH2 zagwizdał przenikliwie, co u droida oznaczało panikę.

– Nie tylko na autonawigacji! – „Zod” trząsał się już tak bardzo, że Thane musiał przekrzykiwać stukanie i skrzypienie kadłuba. – Ta łajba jest tak stara, że ma systemy ściągnięte z tuzina różnych statków. Więc włączenie autonawigacji nie dezaktywuje ręcznej nawigacji. Będziemy korzystać z obu naraz.

Brill postukała w tablicę przyrządów, spełniając prośbę Thane’a.

– Zdasz sobie sprawę, że jeśli nie zsynchronizujesz swoich ruchów z autonawigacją, rozerwie nas na pół.

– Bez obaw.

Thane poczuł, jak włącza się autonawigacja. To było trochę tak, jakby inny pilot próbował odebrać mu kontrolę nad statkiem.

Jednak Thane spędził większą część swojego dzieciństwa, ucząc się latać z partnerem. Wiedział, że nie można walczyć o kontrolę; trzeba ją budować wspólnie.

Autonawigacja była zaprogramowana na cel, bez względu na ciężkie warunki pogodowe; Thane miał więc tylko przechylać i sterować statkiem w taki sposób, by opierał się wiatrom i pozostawał na właściwym kursie. W pewnym momencie brak koordynacji między nim a autopilotem sprawił, że statek szarpnął gwałtownie, rzucając wszystkimi tak mocno, że nawet dobroduszny Methwat krzyknął. Ale Thane wkrótce opanował sytuację.

Kiedy na horyzoncie pojawił się hangar, Thane w końcu mógł odetchnąć. Włączył tłumiki – wolny ciąg, swobodne opadanie – i „Zod” usiadł bezpiecznie na ziemi.

Brill i Methwat zaczęli klaskać, a Thane założył ręce za głowę, tak jakby nie martwił się nawet przez chwilę.

– Tak jest – powiedział. – Dobry jestem.

– Farciarz jesteś! – upierała się Brill, ale z szerokim uśmiechem.

– W porządku, farciarz. Ważne, że się udało.

„Nie uwierzyłybyś, gdybyś tu była – powiedział w myślach do Cieny. – Chociaż z drugiej strony gdybyś tu była, pewnie sama przejęłybyś stery i wylądowałybyś jeszcze płynniej”.

Thane zbierał anegdotki, żeby jej kiedyś wszystkie opowiedzieć, chociaż wiedział, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. Próbował dać sobie z tym spokój, ale nie potrafił.

Lohgarra powiedziała Thane’owi, że jest z niego bardzo, bardzo dumna, i objęła go swoimi wielkimi, kudłatymi łapami. A potem okazała mu najwyższe uznanie i sympatię w typowy dla Wookieeów sposób: zaczęła go czesać.

Thane westchnął, gdy na poważnie zabrała się za jego włosy. W Imperium to by nie przeszło.

Następnego dnia burza przesunęła się na tyle daleko, że mogli zacząć dostarczać zapasy. Ku zaskoczeniu Thane’a parę dni wcześniej wylądowała tam inna grupa pilotów z pokaźną dostawą sprzętu medycznego i żelaznych racji, więc pracowali ramię w ramię.

– To ty wylądowałeś wczoraj tym statkiem? – spytał ich dowódca, czarnowłosa mężczyzna, starszy od Thane’a o kilka lat. – Dobra robota.

– Dzięki.

– Często organizujecie takie loty? Z pomocą dla światów w potrzebie?

– Czasami. To zasługa Lohgarry – powiedział Thane, gdy obaj wylądowywali skrzynie. – Ale podoba mi się to, co robi.

– Mniej z tego pieniędzy.

– Nigdy nie zależało mi specjalnie na pieniądzach.

– Gdzie jeszcze latałeś?

Thane się zawahał. Gdyby ktoś podejrzewał go o nielojalność wobec Imperium, mógłby na niego donieść... ale nie potrafił mówić o swoich doświadczeniach z ostatnich miesięcy, nie zdradzając emocji.

Wiedział już wcześniej, że Imperium jest zepsute, ale nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko sięga ta zgnilizna. Ciężka doła Bodach’ich mocno go poruszyła, jednak teraz przekonał się, że to tylko jedna

z setek ras zmuszanych przez Imperium do pracy. Latał „ZOD” na światy wyeksploatowane tak doszczętnie, że w miejscu dawnych miast i pól uprawnych powstały nowe morza. Widział miasta zrównane z ziemią przez imperialne działka laserowe w odwecie za nawet drobne nieposłuszeństwo.

– Zeitooine – powiedział Thane. – Dinwa Prime i Arieli. A ostatnio Ivera X. – Mówił spokojnie, ale zdawał sobie sprawę, że miejsca, które wymienił, to właściwie lista zbrodni wojennych Imperium.

Mężczyzna popatrzył mu ze spokojem w oczy.

– To wiele widziałeś.

– Tak.

– Kiedy tu skończymy, powinniśmy pogadać. Ja też byłem na kilku z tych światów. Dobrze posłuchać opinii innych na temat tego, co należy zrobić.

„Czy on myśli o doniesieniu na mnie?” – Thane wiedział, że to możliwe, ale przeczucie mówiło mu, że nie. Pokiwał powoli głową.

– Jasne. Jestem Thane Kyrell, nawiasem mówiąc.

Czarnowłosa mężczyzna uśmiechnął się i podał mu rękę.

– Wedge Antilles.

Po skończonej robocie usiedli przy wrotach hangaru, dzieląc się racjami żywnościowymi. Najgorszy huragan już minął. Pozostała ciężka, srebrzysta ściana deszczu, ale wiatr osłabł na tyle, że palmy i drzewa tropikalne ledwo się kołysały. Szelest liści i bębnienie kropli o metalowy dach były dostatecznie głośne, żeby zagłuszyć ich rozmowę, w razie gdyby ktoś próbował podsłuchiwać.

– Wykazałeś się odwagą, odchodząc – powiedział Wedge.

Thane wzruszył ramionami.

– Wyprałem swoje kredyty i się wymknąłem. Żadna wielka odwaga.

– Sam jeden przeciwstawiłeś się Imperium. Wolałeś porzucić dotychczasowe życie i karierę niż złamać swoje zasady. Dla mnie to odwaga.

– Nie bierz mnie pod włos, tylko powiedz to, co chcesz powiedzieć.

Wedge popatrzył na niego przenikliwie – najwyraźniej nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś może podważać jego słowa. Być może Thane był niesprawiedliwy, ale co z tego? Musiał uważać, kogo

obdarza zaufaniem. Lohgarra i reszta załogi „ZOD” na to zasłużyli; wobec Cieny zawsze będzie w jakimś stopniu lojalny, nawet jeśli nigdy więcej jej nie zobaczy.

Ale ten facet? Niech mówi wprost, o co mu chodzi.

– Przydaliby nam się tacy piloci jak ty w Sojuszu Rebeliantów.

Rebelianci? Tutaj? Thane’owi nawet nie przyszłoby do głowy, że ośmielą się tu pokazać tylko po to, żeby pomóc planecie w potrzebie. Ale wiedział, że Wedge mówi prawdę.

– Nie. Wybacz.

– Nienawidzisz Imperium. Po tym, co widziałeś, nic dziwnego.

– Fakt – przyznał Thane. – Ale za waszą Rebelią też nie przepadam.

– Walczymy o wyzwolenie galaktyki.

– Rozpętaliście wojnę, przez którą zginie mnóstwo ludzi.

W ciemnych oczach Wedge’a pojawił się błysk.

– To Palpatine rozpoczął wojnę. My ją chcemy zakończyć.

Jego pewność siebie była nieco irytująca.

– Pokonać Imperium? Muszę przyznać: macie odwagę. Ale sami siebie oszukujecie, jeśli myślicie, że możecie się mierzyć z taką siłą jak imperialna flota.

– Przecież zniszczyliśmy Gwiazdę Śmierci. I wystarczyła nam do tego garstka jednoosobowych myśliwców! Brałem udział w tej misji i ciągle żyję. Czego nie można powiedzieć o wielu imperialnych oficerach.

– W tym paru moich przyjaciółach – powiedział cicho Thane. Nie był tak blisko z Jude Edivon, ale pamiętał jej życzliwość i bystrość. Zasługiwała na dłuższe życie i lepszą śmierć. A inni oficerowie, których ledwie zdążył poznać, młodzi ludzie, tacy jak on, którzy razem z nim zaczynali swoje kariery... czasami ich twarze stawały mu przed oczami w nocy, kiedy nie mógł usnąć. – Słuchaj, rozumiem, dlaczego to zrobiliście. Wiem, że Gwiazdę Śmierci należało powstrzymać. Ale nie oszukuj się. To była brudna robota.

– Wiem – przyznał cicho Wedge. – Jak powiedziałaś: Gwiazdę Śmierci należało powstrzymać. Tak samo trzeba zniszczyć Imperium. Jeśli mamy tego dokonać, niektórzy z nas będą musieli splamić ręce krwią. Musimy być gotowi zabijać i gotowi umierać. To nie jest łatwe

i nigdy nie będzie. Ale powiem ci jedno, Kyrell. To łatwiejsze niż stać beczynnym.

Thane przypomniał sobie tamten dzień na Zeitooine i rodzinę zabieraną do więzienia. Czuł się wtedy tak bezużyteczny, tak bezsilny. Wiedział, że jako uciekinier z Imperium nigdy nie zdoła postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem. Nigdy nie zdoła stanąć w czyjeś obronie.

Chyba że nie będzie działał sam.

Późno w nocy – po paru godzinach pracy, paru godzinach rozmowy z Wedge'em i paru koreliańskich piwach – Thane wrócił na „ZOD”. Poszedł cicho w stronę swojej kajuty, wiedząc, że Methwat i Brill pewnie już śpią, ale Lohgarra siedziała w kambuzie, przeżuując wielki kawał sera.

– Hej – powiedział. – Nie możesz spać?

Lohgarra przyznała, że obudziła się z głodu, po czym stwierdziła, że Thane wygląda na zmartwionego.

– „Zmartwiony” to nie jest właściwe słowo. – Thane mógłby policzyć na palcach jednej ręki, i to nie wszystkich, osoby, którym był skłonny się z tego zwierzyć, ale akurat Lohgarra była jedną z nich. – Komandor porucznik Antilles z tej... eee... niezależnej grupy, którą dziś spotkaliśmy... chce, żebym latał z nimi.

Lohgarra ryknęła z oburzeniem. Jak ten facet śmie podkradać jej najlepszemu pilotowi? To się nie mieściło w głowie, wykorzystywać kryzys w ten sposób. Obiecała, że Thane dostanie podwyżkę, żeby tylko został...

– Nie, nie, Lohgarro, nie rozumiesz. – Thane zniżył głos. – Oni są z Rebelii.

Lohgarra zamilkła. Czy to był szok czy dezaprobata?

Nachylił się do przodu, próbując ubrać swoje myśli w słowa, nie tylko ze względu na nią, ale też dla siebie.

– Nigdy nie myślałem o wstąpieniu do Rebelii. Wiesz, zdawałem sobie sprawę, że Imperium jest skorumpowane, ale uważałem, że tak samo było pod koniec ze Starą Republiką. I tak samo będzie z każdym kolejnym rządem. Mówiłem sobie, że to na jedno wychodzi. Ale to, co

widziałem przez ostatnie parę miesięcy... to coś więcej niż korupcja. Imperium rujnuje światy, zniewala całe rasy i ma gdzieś los swoich obywateli. Przecież Coruscant jest tak bogata... nie mogliby przysłać tutaj pomocy humanitarnej?

Lohgarra przyznała cicho, że potrzeby na Oulanne są wielkie.

– No właśnie. Imperium tu nie przyleciało, a rebelianci tak. Ci goście toczą wojnę, muszą się ukrywać, mimo to jednak podzielili się swoimi zapasami. – Thane nic z tego nie rozumiał. Większość ludzi nie postępowała właściwie, nawet kiedy nie groziło im żadne niebezpieczeństwo...

...ale Ciena pokazała mu, że jednak zdarzają się idealisci.

– Cie... moja znajoma uważa, że Imperium nigdy nie zniszczy już żadnej planety, jeśli tylko Rebelia zostanie pokonana – ciągnął Thane – ale ona jest tak dobra, że nie dostrzegłaby zła, nawet stojąc z nim twarzą w twarz. No bo po co Imperium włożyłoby tyle trudu w budowę stacji kosmicznej zdolnej do niszczenia planet, gdyby nie miało zamiaru jej użyć? A jeśli jest zdolne do tego, to nie cofnie się przed niczym. – Thane wyprostował się i wziął głęboki oddech. – Nie wiem, co przyjdzie po Imperium. Nie mogę zakładać, że ktokolwiek, kto przejmie władzę, okaże się lepszy... ale na pewno nie będzie gorszy. To niemożliwe. Jeśli mam szansę zrobić coś, co przyczyni się do obalenia Imperium, to czuję, że muszę to zrobić.

Po dłuższej chwili Lohgarra powiedziała cicho, że jej rasa także została zniewolona przez Imperium. Kashyyyk, tak piękny w czasach jej młodości, teraz zamienił się w piekło. Trudno jej było mówić o tragedii swojego ojczystego świata, ale cały czas o niej pamiętała.

Thane pomyślał o tym, jakiej brutalnej siły trzeba było, żeby ujarzmić tak potężną rasę jak Wookiee.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że ty też przyłączasz się do Rebelii?

Lohgarra pokręciła głową. „ZOD” ledwie się nadawał do przewożenia ładunku, a co dopiero do udziału w walce – a dla Brill i Methwata to był nie tylko statek, ale też dom. Decyzję o wstąpieniu do Rebelii musieliby podjąć jednomyślnie, a Lohgarra podejrzewała, że Thane wie tak samo dobrze jak ona, że nie są jeszcze do tego

gotowi.

Miała rację. Ale...

– Moglibyśmy się gdzieś zatrzymać, wyremontować statek. Porozmawiać z innymi. Nikt tutaj nie kocha Imperium. Założę się, że w ciągu miesiąca czy dwóch moglibyśmy ich przekonać.

– Pewnie tak – przyznała Lohgarra.

Po chwili zapytała go, czy nie zechce poczekać ze wstąpieniem do Rebelii, jeśli nie jest jeszcze gotowy.

Thane się zarumienił.

– Nie jestem tchórzem.

Lohgarra pogładziła go potężną ręką po głowie. Wiedziała, że jest odważny. Jednak podejrzewała też, że ma inne powody, by się wahać.

Przez tyle miesięcy Thane starał się zachować swoją przeszłość i swoje uczucia w tajemnicy. Powinien wiedzieć, że jego kapitan jest dość spostrzegawcza, by domyślać się prawdy.

– Chodzi o to, że sam służyłem kiedyś w imperialnej flocie. Wielu moich przyjaciół i kolegów z akademii ciągle jest w armii, w tym ktoś, kogo... kto dla mnie wiele znaczy. W pewnym sensie atakowanie Imperium to atak na nich.

Lohgarra zauważyła, że wszyscy wstępujący do floty – on i pozostali – zaakceptowali ryzyko związane z walką.

– Tak, wiem. – Rozsiadł się w skrzypiącym fotelu i wziął głęboki oddech. – Ale wstąpienie do Rebelii... Odejść z Imperium to jedno, ale chwycić za broń przeciwko niemu to co innego. Przyjaciele, z którymi wcześniej służyłem, nigdy by mi tego nie wybaczyli. Zwłaszcza ta kobieta, o której ci mówiłem, Ciena. Nigdy więcej by się do mnie nie odezwała, gdyby się o tym dowiedziała. Chociaż i tak pewnie nigdy się nie odezwie.

Lohgarra zawyła cicho, tłumacząc mu, że Moc ma swoje sposoby, by połączyć istoty ze sobą, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

„No świetnie, Moc. Mam liczyć na tę cudaczną magię, w którą ciągle wierzą starzy ludzie z dolin”. Ale Thane nic nie powiedział, wiedząc, że wierzenia Lohgarry są dla niej ważne. Zamiast tego zapytał:

– Chcesz przez to powiedzieć, że mogę przyłączyć się do Rebelii? Ponieważ *Moc* dopilnuje, żebyśmy się jeszcze spotkali?

W odpowiedzi przytuliła go z całej siły, okrywając swoim białym futrem. A gdy on także ją uścisnął, kazała mu obiecać, że będzie się dobrze odżywiać.

Roześmiał się.

– Obiecuję.

„Naprawdę to zrobię – pomyślał. Wciąż wydawało się to nierzeczywiste. Pójdę na wojnę przeciwko Imperium. Wstąpię do Sojuszu Rebeliantów”.

Rozdział 15

Twoją służbę w ciągu dwóch ostatnich lat można uznać za nienaganną, komandor porucznik Ree.

Ciena stała na baczność przed admirałem Ozzelem z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i przyciśniętymi przepisowo do boków. Młodszym oficerom podczas oceny przebiegu służby nie wolno było nawiązywać kontaktu wzrokowego z przełożonymi, więc wbijała spojrzenie w metalową ścianę za plecami admirała.

– Często brałaś dobrowolnie dodatkowe zmiany, aby pomagać młodszym oficerom podczas szkolenia z protokołów gwiazdnych niszczycieli. Poza tym nieszczęsnym incydentem na Ivarujarze... nie otrzymałaś żadnych kar ani nagan – a mojej uwagi nie umknął fakt, iż nigdy więcej od tamtej pory nie dopuściłaś się podobnego wykroczenia. Nigdy nie skarcono cię nawet za niedociągnięcie w kwestii stroju.

Skórzana bransoletka, symbolizująca jej hołd dla Wynnet, spoczywała bezpiecznie w miękkiej sakiewce w jej kieszeni. Żadne przepisy nie zakazywały noszenia przedmiotów w kieszeniach.

– Zostałaś przeniesiona z pokładu „Devastatora” na „Executora” na życzenie samego Lorda Vadera. To wielkie wyróżnienie.

Ciena nie odpowiedziała. Osobiście była zdania, że polecenie Vadera było czymś więcej niż tylko nagrodą. Widziała, jak dryfuje w przestrzeni kosmicznej niemal zupełnie bezradny. Wiedziała, że nie chciałby, by ktokolwiek myślał o nim w ten sposób – postanowił więc dopilnować, by Cienia nigdy nie zapomniała, iż jest zdana na jego łaskę... i niełaskę.

Ozzel tymczasem ciągnął:

– Chociaż jesteś zbyt wysoka stopniem, by powierzyć ci obowiązki pilota myśliwca TIE, powinnaś ćwiczyć na symulatorze, aby utrzymać formę.

Ciena uznała, że może się odezwać:

– Nigdy nie wiadomo, jakie zdolności przydadzą się w sytuacji

kryzysowej, sir.

Ciena po prostu uwielbiała latać; bywały noce, gdy śniła o mknęciu jelucańskimi kanionami z Thane'em u boku. Jednak zamiłowanie do tego, co się robiło – podobnie jak wspomnianie tego, co się utraciło – stało w sprzeczności z przepisami.

– Dobrze powiedziane – pochwalił ją Ozzel, a na jego twarzy pojawił się grymas najbliższy, z tego, co kiedykolwiek u niego widziała, uśmiechowi. – Podsumowując, komandor porucznik Ree, twoja służba na pokładzie „Executora” jest pod każdym względem ponadprzeciętna. Trzymaj tak dalej, a już wkrótce być może awansujesz na komandora.

Komandora... Ciena nie była już tak opętana obsesją awansu jak trzy lata temu, jednak mimo to cieszyła się, że jest doceniana. Nawet biorąc pod uwagę, że po zniszczeniu Gwiazdy Śmierci wiele karier gwałtownie przyspieszyło, dochrapanie się rangi komandora w ciągu niecałych pięciu lat po opuszczeniu progów akademii to nie byle co.

– Tak jest, sir – potwierdziła służbiście. – Dziękuję, sir.

Nieco później, przemierzając pogrążone w mroku metalowe korytarze „Executora”, rozmyślała o swoim rzekomo bliskim awansie. Powinna się z niego cieszyć – powinna dać natychmiast znać Nashowi i Berisse, zaprosić ich z tej okazji na szklaneczkę czy dwie czegoś mocniejszego... jednak pochwała od przełożonego przypomniawszy jej tylko boleśnie o tym, że zawiodła Imperium... że skłamała, żeby chronić przyjaciela.

Co gorsza, wiedziała, że gdyby ponownie przyszło jej dokonać wyboru, bez namysłu wybrałaby Thane'a.

Gdy mijała jeden z pokładów obserwacyjnych i spojrzała przelotnie na majaczące za iluminatorami gwiazdy, zaczęła się zastanawiać, gdzie mógł się teraz podziewać. Z pewnością opuścił Jelucan, tak jak mu kazała. Nie byłby bezpieczny na ich ojczystym świecie – wiedziała, że te gadziny, które nazywał swoją rodziną, wydałyby go za dwa marne kredyty. A mimo to nie mogła się opędzić od ponurych wizji, w których Thane wpadał w zasadzkę tam, gdzie ostatni raz go widziała – załamany, osaczony w ciasnym pokoju nad kantyną w Valentii, z przerażeniem w błękitnych oczach.

„Przestań! – upomniała się surowo. – Thane jest bystry. To świetlny pilot. Do tej pory z pewnością znalazł sobie już pracę i bezpieczną przystań. Na pewno jest szczęśliwy...”. Po chwili zaś zganiła się w duchu: „Chyba nie jesteś tak niegodziwa, by winić Thane’a za to, że ułożył sobie życie bez ciebie?”.

Wyprostowała się i wygładziła mundurową kurtkę. Z lśniącej tafli panelu widokowego na tle usianej gwiazdami kosmicznej czerni patrzyło na nią lekko rozmyte odbicie perfekcyjnej imperialnej pani oficer. Obowiązek wzorowej służby dawno temu wykroczył u niej poza kwestię wierności przysiędze – teraz postrzegala go także jako cenę za zapewnienie Thane’owi wolności. Nikt nigdy nie zarzuci jej, że nie zapłaciła za to odpowiednio.

Przyszło jej do głowy, że wiadomością o rychłym awansie powinna się podzielić z rodzicami. Większość imperialnych oficerów ograniczała kontakt z rodzinami do niezbędnego minimum, czyniąc z tego coś w rodzaju symbolu poświęcenia służbie, jednak Ciena stwierdziła, że znacznie łatwiej przychodzi to mieszkańcom Światów Jądra, którzy widywali swoich bliskich częściej niż raz na pięć lat. Ona sama wciąż kontaktowała się ze swoją rodziną co najmniej raz na dziesięć dni – opowiadając im o wszystkim: od relacjonowania rozgrywek w grav-balla, aż po powtarzanie dowcipów Berisse... to znaczy tych przyzwoitszych.

Jedynym tematem, jakiego nigdy z nimi nie poruszała, był Thane Kyrell. Nie chciała kłamać na jego temat, bo wiedziała, że natychmiast zorientowaliby się w jej krętactwach. Im mniej osób podejrzewało prawdę, tym lepiej.

Jej rodziców zawsze cieszyły wieści od niej – szczególnie mamę. Ostatnio jednak Ciena zaczęła odnosić wrażenie, że ich rozmowy w głównej mierze dotyczą jej życia, nie ich. Nie powtarzali jej już plotek z dolin – widocznie ich nie znali lub, co bardziej prawdopodobne, nie chcieli się nimi z nią dzielić. Czasami mama przebąkiwała coś o swojej pracy w kopalni, jednak na przestrzeni lat duma, z jaką mówiła o swojej pracy, ustępowała dziwnemu znużeniu. Może i było to naturalne, jednak Ciena nie mogła tego nie dostrzec – podobnie jak faktu, że jej ojciec rzadko kiedy wspominał o swoim

życiu czy w ogóle życiu w dolinie...

– Ach, tu jesteś! – wyrwał ją z zamyślenia uprzejmy męski głos. Gdy się odwróciła, zobaczyła idącego w jej stronę porucznika Nasha Windridera; po ustach błąkał mu się lekki uśmiezek. W ciągu tych trzech lat, które minęły od zniszczenia Alderaana, odzyskał nieco ze swojej dawnej werwy i temperamentu. Wiedziała, że już nigdy nie dojdzie w pełni do siebie, jednak pod jego oczami nie widziała już tamtych strasznych sińców, które tak ją początkowo przerażały. Zarówno on, jak i jej przyjaciółka Berisse Sai zostali przeniesieni z „Devastatora” na pokład „Executora”, kiedy Darth Vader wybrał go na swój nowy okręt flagowy; zostali też przypisani do tego samego kwadrantu, więc widywała ich dość często. – Szukałem cię, Cieno.

– Dlaczego? Czy to ma coś wspólnego z urodzinami Berisse? – Skrzyżowała ramiona na piersi i łypnęła na niego spode łba. – Chyba nie zepsułeś niespodzianki, co?

– Nie doceniasz mnie – odparł lekko urażony. – I to zarówno jeśli chodzi o moje doświadczenie w organizowaniu przyjęć niespodzianek, jak i wiedzę o tym, co jest dość ważne, by ściągnąć cię na mostek poza służbą.

Ciena poczuła, że jeżą jej się włoski na karku – z podekscytowania i niepokoju.

– Co się stało?

– Jedna z naszych sond zwiadowczych odebrała bardzo ciekawy sygnał, nadany z lodowego świata Hoth – oznajmił jej zadowolony z siebie Nash. – Możliwe, że w końcu namierzyliśmy bazę rebeliantów.

Zaczerpnęła gwałtownie tchu.

– I lecimy tam?

Nash uśmiechnął się do niej jeszcze szerzej.

– W asyście pięciu gwiazdnych niszczycieli typu Imperial.

Cienie stanęła przed oczami uśmiechnięta twarz Jude. Cóż, przynajmniej zyskają szansę na pomszczenie ludzi, którzy zginęli na pokładzie Gwiazdy Śmierci, i dokonanie odwetu na tych, którzy zamordowali jej najlepszą przyjaciółkę – oraz stłumienie Rebelii raz na zawsze.

Thane jęknął, gdy wrota do hangaru znów się otworzyły i do środka wpadł podmuch lodowatego powietrza.

– Odmrozę sobie jaja!

Chłopak, który go oprowadzał, Dak Ralter, roześmiał się, zeskakując z jednego z tauntaunów.

– Są łatwiejsze sposoby zmiany płci, wiesz?

– To znaczy, nie chodziło mi o ich utratę – sprostował Thane. – Tylko o to, że zamarzną mi na kamień. Tu jest tak... cholernie zimno! – Spędziwszy dzieciństwo w jelucańskich górach, Thane sądził, że wie o chłdzie wszystko, jednak Hoth... o, Hoth wynosiła pojęcie mrozu na zupełnie inne, nieznanne mu dotąd wyżyny.

– Zapomnij o tym. Najlepiej w ogóle przestań o tym myśleć – poradził mu Dak. – Po prostu podciągnij wyżej gacie i skup się na czym innym.

– Wiem, wiem – wymamrotał Thane. – Zadekowaliśmy się na tej zamarznętej skale, bo Imperium nigdy nie przyjdzie do głowy nas tu szukać. Kto przy zdrowych zmysłach zdecydowałby się tu osiedlić? – Wskazał szerokim gestem zlodowaciałe ściany. Siarczysty mróz przenikał aż do kości, a od odoru tauntaunów łzawiły oczy. – Chyba nikt nie ośmieliłby się twierdzić, że dołączył do Rebelii ze względu na te wątpliwe atrakcje.

– No raczej! – obruszył się Dak, jakby wziął słowa Thane'a serio. – Bo inaczej... Każdy, kto sądzi, że stawienie czoła Imperium nie jest...

– Spokojnie – zmitygował go Thane. – Tylko żartowałem.

Dak rzucił mu mimo to urażone spojrzenie, jakby chciał dać w ten sposób do zrozumienia, iż z wojny nie należy stroić sobie żartów. Cóż, niektórzy z nowych właśnie tak się zachowywali: byli tak wojowniczy i ideowi, że nie można było w ich obecności nawet niewinnie zażartować.

A przynajmniej tak twierdzili ci z większym stażem. Thane bawił tu o całe trzy tygodnie dłużej od Daka, jednak chociaż był od niego starszy zaledwie o dwa lata, miał wrażenie, że dzielą ich co najmniej dwie dekady. Nie był narwanym idealistą – o nie; przystał na propozycję Wedge'a Antillesa nie dlatego, że wierzył w nieskazitelną szlachetność Rebelii, ale dlatego, iż przekonał się, że Imperium to

czyste zło. I wciąż nie mógł przyzwycząić się do nowych warunków. Chociaż „Zod” był małym statkiem, każdy z członków jego załogi miał do dyspozycji własną kajutę; nawet podczas służby w Imperium Thane nigdy nie musiał dzielić przestrzeni z więcej niż siedmioma osobami. Dołączywszy do Rebelii, sypiał w przestronnym bunkrze w towarzystwie kilkuset ludzi... z których większość chrapała. Racje żywnościowe były skąpe, szanse na przetrwanie – marne, zaś ryzyko utraty życia większe, niż mógłby się spodziewać. Nie mówiąc już o tym, że jak dotąd nie mieli okazji wziąć udziału w żadnej z wielkich bitew, których się spodziewał. Zamiast tego miał okazję uczestniczyć w paru marnych wypadach po zaopatrzenie, podczas których z najwyższym trudem unikał kontroli granicznych Imperium. Pomagał w budowie Bazy Echo. A teraz miał być świadkiem jej likwidowania i wypuszczania na wolność ujarzmionych przez rebeliantów bestii tylko dlatego, że doszło do domniemanego odkrycia ich lokalizacji przez imperialną sondę zwiadowczą.

A przecież dopiero co osiedlili się na Hoth! Chętnie zapytałby dowództwo, jak w ogóle zamierzają wygrać tę wojnę, skoro Imperium jest w stanie namierzyć ich bazę w ciągu miesiąca.

Obejrzał się na rżącego niespokojnie tauntauna, a potem obrzucił wzrokiem resztę pomieszczenia. Technicy uwijali się jak w ukropie wokół myśliwców; błękitnobiałe płomienie ich spawarek rozświetlały panujący w hangarze serwisowym półmrok. Księżniczka Leia rozprawiała o czymś z ożywieniem z generałem Rieekanem – Thane przypomniał sobie, że mijali się dwukrotnie w korytarzach, jednak arystokratka najwyraźniej go nie zapamiętała. Droidy przemykały chyłkiem, oddelegowywane do rozmaitych zajęć, podczas gdy personel pędził do swoich środków transportu. Thane wiedział, że jego grupa, Eskadra Koron, nie jest jeszcze gotowa. Na razie musiał więc pilnować uwalniania cuchnących tauntaunów.

Z zamyślenia wyrwało go głędzenie Daka:

– Nie mogę uwierzyć, że mam zostać strzelcem Luke’a Skywalkera! Gościa, który zniszczył Gwiazdę Śmierci!

– Cóż, ktoś musi być jego strzelcem – stwierdził, czując ulgę, że ten zaszczyt nie przypadł w udziale jemu. – Czemu nie ty?

Fakt, Skywalker wykazał się wyjątkową odwagą, a jego imponujący strzał uczynił go bohaterem, jednak Thane wolał podziwiać podobne akty heroizmu z dystansu.

– Podobno ma zostać rycerzem Jedi, jak za starych, dobrych czasów! – fantazjował tymczasem Dak. – Wiedziałeś, że ma prawdziwy miecz świetlny? Chodzą słuchy, że uczył się władania Mocą od wielkiego generała Kenobiego, ostatniego z Jedi!

Thane z najwyższym trudem powstrzymał jęk: o nie, wszystko, tylko nie te bzdury o „Mocy”! Jego zdaniem rebelianccy żołnierze potrzebowali motywacji w formie brutalnych faktów dotyczących czynów, jakich dopuszczało się Imperium, nie jakichś wariackich wierzeń.

Nagle jednak usłyszał znów słowa Cieny – tak żywo, jakby szeptała mu je do ucha: „Wiara w coś ponad nas to nie szaleństwo! To raczej świadectwo naszej przytomności. Spójrz, jak wielka jest galaktyka. Czy nie sądzisz, że nie możemy zawładnąć nią całą?”.

Zapytała go o to pod koniec ich wspólnych dni na Jelucanie – nim opuścili planetę, wybierając się do akademii. Wyśmiała ją, kiedy zasugerowała, że być może Moc sprawi, iż trafią do tej samej szkoły na Coruscant, dzięki czemu pozostaną razem. Teraz jednak nawet ona musiałaby chyba przyznać, że przeznaczenie z nich zadrwiło.

Dlaczego więc wciąż miał wrażenie, że we wspomnieniach widzi ją wyraźniej niż osobę stojącą z nim twarzą w twarz?

– Załatwmy to, w porządku? – mruknął. – Chyba nie chcemy, żeby te maleństwa zostały tu i zagłodziły się na śmierć? – Poklepał jednego z tauntaunów po nosie, a potem go uwolnił. Śnieżny jaszczur pogalopował radośnie w poszukiwaniu stada i ciepła. – Rieekan twierdzi, że musimy się stąd wynieść w ciągu jednego dnia. Wolałbym nie utknąć tu tylko dlatego, że nie zdołaliśmy wypuścić na czas wszystkich tauntaunów...

– Wybacz – powiedział Dak tak szczerze, że Thane poczuł lekkie ukłucie winy.

Spytał więc nieco łagodniej:

– A tak przy okazji: chyba zrobiłeś na kimś niezłe wrażenie, skoro przydzielili cię do samego Skywalkera? Nie daliby mu byle kogo.

– Serio tak uważasz?

– Jak najbardziej.

Gdy spojrział na Daka, zobaczył, że młody szeroko się uśmiecha. Bez dalszych zbędnych dyskusji wypuścili z zagrody dwa ostatnie tauntauny. Kiedy pognały przed siebie, zostawiając tylko nikły smród... w bazie rozwyły się wszystkie syreny.

Ich jęk odbijał się echem od lodowych ścian. Słyszając ich dźwięk, Thane stanął jak wryty i wypuścił cugle z rąk.

– Co to ma znaczyć? – zaniepokoił się Dak.

Chociaż młody stażem, znał odpowiedź na własne pytanie, jednak wciąż nie potrafił jej zaakceptować.

– Imperium znalazło nas szybciej, niż się spodziewaliśmy. Namierzyl nas. – Słowa Thane’a wisały w mroźnym powietrzu przez długą chwilę.

Już cztery minuty po zakończeniu szybkiej odprawy poprowadzonej przez księżniczkę Leię Thane był gotów wskoczyć za stery swojego śmigacza śnieżnego. Okazało się jednak, że zajęło mu to stanowczo za długo.

– Ładuj tu swoje jelucańskie dupsko! – ponaglił go Yendor, twi’lekański drugi pilot i jego kolega z Eskadry Koron. Usadowiony w śmigaczu, zakładał już swój nietypowy hełm ze specjalnymi otworami na lekku, twi’lekańskie głowoogony. – Mamy sygnatury sporej liczby imperialnych maszyn kroczących.

– Ćwiczyłem na nich w akademii! – Thane zajął swoje miejsce. Ledwie założył hełm, owiewka kokpitu maszyny opadła. – Znam je aż za dobrze.

– Możesz mi o nich powiedzieć coś przydatnego? – Yendor aktywował kontrolki przygotowujące śmigacz do startu.

– To najmocniej opancerzone siły w armii Imperium.

– Czyli doskonale wiesz, w jak głębokie gówno wpadliśmy?

– No, mniej więcej – odmruknął Thane. – Spójrz na to w ten sposób: skoro udało się nam zniszczyć Gwiazdę Śmierci, Imperium nie ma nic, czego nie zdołalibyśmy rozwalić.

Yendor zwolnił klamry dokujące.

– Zaraz się o tym przekonamy.

Thane położył dłonie na kontrolkach i poczuł, jak systemy silników budzą się do życia.

– Do dzieła!

Ich śmigacz wyprysnął z bazy, szybko dołączając do innych, związujących wroga walką. Srebrzystobiałe niebo przecinały laserowe strzały, gdy rebelianckie statki rozproszyły się, by stawić czoła armii wroga... bo właśnie z tym musieli się zmierzyć: nie z oddziałem szturmowym, tylko czymś, co wyglądało na zmasowane siły naziemne Imperium. Thane zastanawiał się, ilu szturmowców śnieżnych rzucili do walki. Pewnie wyślą też do bazy oddziały ogniowe, żeby spaliły wszystko i wszystkich, którzy pozostali w środku. Najgorsze jednak w tym wszystkim było to, że widział na horyzoncie aż pięć maszyn kroczących typu AT-AT. Na pokładzie każdego z tych silnie uzbrojonych i opancerzonych molochów znajdowały się dziesiątki żołnierzy.

Thane powtórzył sobie w myśli, że nieważne, jak daleko zdołają dotrzeć imperialne kolosy, jeśli tylko rebeliantom uda się bezpiecznie wejść na pokłady transportowców. Zniszczenie któregoś z nich byłoby wówczas jedynie miłą premią.

– Czy w akademii uczyli was, jak radzić sobie z ich pancierzami? – spytał Yendor. – Bo nasze blastery nawet ich nie drasną.

Thane prowadził śmigacz szybko i nisko, wzbijając w powietrze pióropusze śniegu.

– Nie wszystko da się opancerzyć. Zastanów się tylko. Nogi są wrażliwe dokładnie w tych samych miejscach, w których byłyby u każdej innej istoty żywej.

– Łapię – odparł Yendor. – Brać na cel stawy.

Cały śmigacz aż wibrował od strzałów, którymi zasypali jedną z maszyn, szczególnie jej „kostki”. I chociaż ich blastery nie miały dość mocy, by przebić się przez gruby pancierz, to próbowali choć osłabić nieco sworznie i przysmażyć elektronikę...

„Możemy je wytrącić z równowagi – myślał gorączkowo Thane. – Spowolnić je. Zrobić cokolwiek, co pomoże transportowcom bezpiecznie odlecieć”.

Każdy ze statków miał pomieścić niemal stu rebelianckich żołnierzy; to one stanowiły serce ich floty. Gdyby Imperium dziś zwyciężyło... to byłby koniec Rebelii.

Jednak Yendor celował pewnie i spokojnie. Nieustannie bombardował te same punkty najniższych stawów AT-AT, potęgując uszkodzenia. Gdy Thane zerknął na ekran czujników, dotarło do niego, że jego strzelec ma szansę odstrzelić maszynę stopę – co skutecznie by ją unieruchomiło.

– Tak trzymaj! – krzyknął do niego. – Podprowadzę nas bliżej!

– Wiesz, że całkiem nieźle sobie radzę na dystans – zażartował Yendor, nateżając ostrzał.

Już wkrótce iluminator wypełniła dolna część AT-AT. Thane podniósł wzrok, żeby przyjrzeć się jej na własne oczy... i niemal natychmiast tego pożałował. Bestia sprawiała wrażenie wystarczająco wielkiej, gdy siedziało się w jej wnętrzu, jednak widziana z dołu... zdawała się przesłaniać całe niebo.

„Nie są tak wielkie, jak góry na Jelucanie – tłumaczył sobie Thane. – A przelatywałeś przez nie z palcem w nosie. Z tymi też dasz radę” – z tą myślą zaczął przyspieszać, dopóki śnieżny krajobraz nie zmienił się w rozmazaną smugę; podchodził do maszyny kroczącej tak szybko, jak zdołał, podczas gdy Yendor strzelał z maksymalną precyzją: każdemu trafieniu towarzyszył teraz obłoczek czarnego dymu lub snop iskier.

Byli dwieście metrów od maszyny...

Sto...

Thane podjął szybką decyzję: nie skręcił w ostatniej chwili, w której mógł to zrobić.

Nie przerywając ostrzału, Yendor krzyknął, podczas gdy Thane prowadził śmigacz wprost na stopę AT-AT. W ostatniej sekundzie przed zderzeniem skręcił ostro w bok, przechylając ich stateczek na burtę i prowadząc go pod brzuchem maszyny kroczącej, między jej nogami.

Gdy wynurzył się z drugiej strony, było już właściwie po sprawie – AT-AT podniósł jedną z nóg, jednak platforma stopy pozostała na ziemi. Koniec marszu.

– A więc nie próbowałeś nas zabić, he? – rzucił Yendor, a Thane roześmiał się, zawijając śmigaczem i szykując się do kolejnego przelotu.

– Na mojej ojczystej planecie codziennie ćwiczyłem takie przeloty bokiem między stalaktytami. Cały czas byłeś bezpieczny jak u niani na kolanach.

– Będę pamiętać, żeby nigdy nie zatrudniać cię jako opiekunki do dziecka.

Gdy Thane wrócił na pole walki, zorientował się, że komuś innemu także udało się unieruchomić skutecznie inną maszynę kroczącą, leżącą teraz bezradnie w śnieżnej zaspie. Na jego oczach jej głowa eksplodowała, szpecąc biały pejzaż kleksem czarnego dymu. Przez chwilę wyobrażał sobie samego siebie we wnętrzu maszyny. Tuż przed eksplozją musiał tam panować nieznośny żar – tak wielki, że żołnierze piekli się pewnie żywcem w swoich zbrojach...

„I dobrze – powtórzył sobie twardo. – Jesteśmy tu po to, by ich zabić, tak samo jak oni nas. Lepiej my niż oni”.

– Mamy wieści od komandora Skywalkera – zameldował Yendor. – Pętają im nogi linką.

– To szybszy sposób – zgodził się Thane. – I zaoszczędzimy dzięki niemu sporo energii.

– Nie mówiąc już o tym, że nie wymaga cholernych fikołków między nogami tych poczwara!

– Nie wyrażaj się tak lekceważąco o manewrze, który ocalił nam tyłki! – obruszył się półzartem Thane, lecąc wprost na kolejnego AT-AT. – I lepiej przygotuj linkę.

Gdy pędzili z powrotem w sam środek pola bitwy, Thane zobaczył, jak w górę mknie transportowiec, przygotowując się do skoku w nadprzestrzeń. Czyżby rzeczywiście mieli szansę wyjść z tego cało?

Cóż, niektórzy na pewno – jednak tu i ówdzie dało się dostrzec wraki śmigaczy śnieżnych, leżących pośród niesionych wiatrem rozżarzonych szczątków. Nieważne, ilu transportowcom uda się odlecieć – Sojusz będzie zmuszony zostawić na Hoth liczny sprzęt i sporo statków. Nie mówiąc już o tym, że cały trud, jaki włożyli w budowanie bazy, poszedł na marne. Teraz znów będą się musieli

włóczyć po galaktyce w poszukiwaniu jakiegoś miejsca jeszcze bardziej niegościnnego i odległego od Hoth... o ile taka planeta w ogóle istnieje. Może szefostwo Rebelii miało jakiś dalekosiężny plan, wobec którego dzisiejsza bitwa nie ma większego znaczenia, jednak na razie Imperium kazało sobie słono płacić za bunt.

Thane zacisnął zęby. Nie do niego należało opracowywanie rebelianckiej strategii. Miał inne zadanie: chronić transportowce.

Przez kolejną długą chwilę skupiał się bez reszty na celach – podlatywał najbliższym maszyn krocących, jak się dało, tak by każdy strzał Yendor był maksymalnie celny. Żołnierze pod ich śmigaczem wyglądali niemal jak cienie – ich białe zbroje śnieżne wtapiały się w smagany porywistym wiatrem krajobraz, czyniąc ich niemal niewidzialnymi. Kiedy ostatnia maszyna krocąca upadła w śnieg, rebelianci zaczęli wiwatować. Thane wpatrywał się w wiszące nisko chmury. Co rzucą przeciwko nim jako następne?

Jednak nic się nie wydarzyło. Nie spłynął na nich kolejny imperialny statek – a to oznaczało, że imperialni czekają na orbicie, by zdjąć rebelianckie myśliwce: jednego po drugim.

W chwili, gdy ostatni transportowiec wystrzelił w niebo, Thane i Yendor zawrócili w stronę bazy. Mieli tylko kilka minut na przesiadkę do swoich myśliwców.

Teraz musieli jedynie bezpiecznie opuścić atmosferę i skoczyć w nadprzestrzeń... ale najpierw czekał ich wyścig z myśliwcami TIE, które właśnie pojawiły się na horyzoncie.

Szlag! Gdyby Thane wystartował pięć minut wcześniej, byłby bezpieczny. Teraz jednak musiał wywalczyć sobie drogę na wolność.

Na szczęście TIE nie miały wytrzymałości maszyn krocących – za sterami myśliwców ich piloci byli niemal niechronieni, co zresztą stanowiło główny powód, dla którego cieszyli się w imperialnej flocie takim szacunkiem: latanie podobnymi zabawkami wymagało nerwów ze stali.

I chociaż świadomość tego faktu wcale nie ułatwiała Thane'owi rozprawiania się z nimi, zacisnął szczęki i zabrał się do dzieła. Kiedy strzały z jego działek trafiły w jeden z TIE-ów, powietrze wokół skrzydła rozświetlił fajerwerk zielonych iskier, a potem stateczek

zaczął opadać spiralnym torem w dół, ku zagładzie.

Thane przechodził przez to na symulatorach TIE-ów nie raz. Wiedział, jak to wygląda od wewnątrz.

Taka była wojna. Wybrali strony. I właśnie dlatego podniósł teraz dziób swojego X-winga i wyprysnął w górę, nie zawracając sobie głowy sprawdzaniem na ekranie czujników, w którym miejscu rozbiła się imperialna maszyna.

Gdy niebo za panelami widokowymi jego myśliwca poczerniało, a czujniki zasygnalizowały, że droga jest wolna, wpisał współrzędne punktu zbornego i przygotował się do osiągnięcia prędkości nadświatłowej. Dopiero w ostatniej chwili dostrzegł imperialną flotę, gromadzącą się daleko po jego prawej burcie – tak potężną, że jej rozmiary imponowały nawet na tle bezmiaru kosmicznej próżni. Nie miał jednak czasu przyjrzeć się jej uważniej – ledwie zdołał złowić okiem srebrny błysk, gwiazdy zastąpił lśniący tunel nadprzestrzeni.

Pierś przygniatał mu niewidzialny ciężar i miał wrażenie, że się dusi. Wiedział aż za dobrze, że w tym ułamku sekundy, nim aktywował się hipernapęd, dostrzegł... superniszczyciela.

„Gdy odchodziłem, Ciena dostała przydział na »Devastatora« – pomyślał półprzytomnie. – Nigdy nie miała już wrócić na jednostkę mniejszą od gwiazdnego niszczyciela. W tej chwili zapewne rzadko wysyłają ją na patrole w TIE-ach, ale to nie było wykluczone – a ona pewnie sama zgłaszała się do nich dla samej przyjemności latania...”

Zganił się w duchu za podobnie głupie myśli. Jakie były szanse, że spośród swoich wszystkich gwiazdnych niszczycieli Imperium rzuci do walki nad Hoth akurat ten jeden?

Cóż, choć nieskończenie małe, to istniały i do Thane’a dotarło poniewczasie, że za sterami myśliwca, który właśnie zestrzelił, mogła zasiadać Ciena. To mogła być ona równie dobrze, jak każdy inny pilot z imperialnej floty. A jeżeli jakimś koszmarowym zrzędzeniem losu tak się zdarzyło, on nawet nie pofatygował się, by przyjrzeć się jej śmierci.

Najbardziej w tym wszystkim wstrząsnęła nim myśl, że nigdy nie dowie się prawdy.

Rozdział 16

Mostek „Executora” rozbrzmiał metalicznym rżeniem oddechu Lorda Vadera. Ciena wiedziała, że nie powinna podnosić na niego wzroku ani w żaden inny sposób zdradzać, iż zauważyła jego obecność – stojącego nad nią, zaledwie kilka metrów wyżej. Chociaż nie dawała wiary w co bardziej niepokojące plotki na temat mściwości Dartha Vadera, teraz wiedziała już, że lepiej nie ściągać na siebie niepotrzebnie jego uwagi. Jego napady gniewu, gdy coś nie poszło po jego myśli, były legendarne.

W tej chwili zaś wszystko szło zdecydowanie nie tak.

Jakim cudem tak wielu rebelianckim transportowcom udało się uciec? Nawet zbyt wczesne wyjście z nadprzestrzeni nie powinno było całkowicie pokrzyżować planów ataku i sprawić, że zakończy się on klęską. Imperialna flota wysłała na planetę siły uderzeniowe, które powinny były bez trudu poradzić sobie z obroną wroga. Jednak zamiast zwycięstwa mieli trzy zniszczone AT-AT, jednego poważnie uszkodzonego, kilkadziesiąt zestrzelonych TIE-ów i kilkuset martwych szturmowców. Duża liczba ofiar pośród rebeliantów nie stanowiła żadnego pocieszenia.

Ciena postanowiła, że nieco później obejrzy nagrania z bitwy o Hoth i przestudiuje szczegółowo taktykę obroną przez rebeliantów. Imperium miało miażdżącą przewagę liczebną i siły ognia. Dziś powinni zadać Rebelii ostatni, decydujący cios, tymczasem trudno było w ogóle mówić o zwycięstwie. Skoro rebeliantom udało się uniknąć całkowitej porażki i rozgromienia przez imperialne siły z sześcioma gwiazdnymi niszczycielami na czele, przyczyn należało upatrywać w wybitnej – albo przynajmniej zaskakującej – taktyce. Jej głębsza analiza mogłaby dostarczyć Imperium informacji, których potrzebowali, by wreszcie zakończyć tę makabryczną wojnę.

W tej chwili jednak zarówno Ciena, jak i wszyscy pozostali członkowie załogi „Executora” mieli inne, ważniejsze zadanie: schwytać „Sokoła Millennium”.

Jeśli nawet ktoś na mostku miał mgliste pojęcie na temat tego, dlaczego zatrzymanie tej starej balii jest tak istotne, to słowem się z tym nie zdradził. Lord Vader życzył sobie ściągnięcia frachtowca na pokład niszczyciela i wzięcia pasażerów żywcem. Zamiast więc zwyczajnie zestrzelić „Sokoła” – czego można by dokonać w mgnieniu oka – byli bez reszty skupieni na próbach jego pochwycenia.

Na ich nieszczęście, ktokolwiek siedział za jego sterami, był cholernie dobrym pilotem. W tej chwili na przykład umknął przed nimi w pole asteroid, najwyraźniej wybierając samobójczą śmierć. Żaden mały statek nie miał szans wyjść z czegoś takiego cało. Rebeliancki frachtowiec przynajmniej miał osłony – TIE nie były w żaden sposób chronione, jednak i tak wysłano w pościg za nim cztery myśliwce. Ciena próbowała właśnie rozgryźć cel tej samobójczej misji, gdy z zamyślenia wyrwał ją głos kapitana Pietta:

– Ree? Dodatkowe wsparcie nawigacyjne.

Z ciężkim sercem potwierdziła:

– Tak jest, sir.

Ruszyła do stanowiska wsparcia pomocniczego; zerknęła na cztery ekrany z oznaczeniami i ze współrzędnymi czterech myśliwców TIE. Zdawała sobie sprawę, że niewiele tu wskóra, jednak zamierzała pomóc pilotom, jak zdoła – nawet jeśli nie będzie to zbyt dużo. Jej palce zatańczyły nad klawiaturą, gdy zaczęła dokonywać triangulacji na podstawie położenia myśliwców i „Sokoła Millennium”, a potem sięgnęła po słuchawki, zapewniające jej bezpośrednią łączność z pilotami.

– O-L-Siedem-Zero-Jeden, zmodyfikuj kurs o trzydzieści siedem stopni na prawą burtę i w dół – rzuciła do komunikatora, po czym wywołała chłopaka imieniem Penrie: – N-A-Osiem-Jeden-Jeden? Trzymaj kurs, ale poderwij maszynę lekko w górę...

Penrie ukończył akademię na Lothal, rozmawiała z nim kiedyś i pamiętała dotąd jego zaraźliwy śmiech. A ponieważ Penrie śmiał się właściwie ze wszystkiego, w jego towarzystwie trudno było o zachowanie powagi. I chociaż był od niej o kilka lat starszy, gdy przekazał jej potwierdzenie przyjęcia wytycznych, jego głos brzmiał niezwykle lekko.

- C-R-Dziewięć-Siedem-Osiem, poderwij. Poderwij...!
Za późno. Jeden z TIE-ów zniknął z siatki ekranu bez śladu.
Pierwsza ofiara śmiertelna na jej zmianie. „Proszę, oby ostatnia...”
– jęknęła w duchu.
- O-L-Siedem-Zero-Jeden, przesyłam do twojego komputera nawigacyjnego nową trajektorię...
- Przyjąłem.
- J-A-Jeden-Osiem-Dziewięć, nie mam sygnatury twojego komputera...
- Nie mo... – dobiegło ze słuchawek, a potem nastąpiła seria trzasków i szum, a symbol stateczku na siatce zaczął wirować w niekontrolowanym korkociągu. – Oberwałem w silnik! Straciłem kontrolę nad statkiem! Musicie mnie ścią... – słowa zagłuszyły głośniejsze trzaski i ikonka JA189 zniknęła z ekranu.
Ciena czuła, jak mokry od potu szary skafander klei jej się do skóry. Nie odrywała wzroku od siatki, starając się mówić tak spokojnie, jak zdołała, zważywszy na powagę sytuacji:
- O-L-Siedem-Zero-Jeden, N-A-Osiem-Jeden-Jeden, zbliżacie się niebezpiecznie do jednej z większych asteroid...
- Wygląda na to, że cel szuka kryjówki. Siedzimy mu na ogonie. – To był OL701. Na kanale NA811 Ciena słyszała tylko oddech – za szybki, zbyt płytki. Penrie był właśnie świadkiem śmierci dwóch innych pilotów, eksplozji ich maszyn.
- Sir? – zwróciła się do kapitana Pietta. – Gdyby „Sokół Millennium” wylądował na większej asteroidzie, moglibyśmy ją wziąć na cel i zestrzelić. Przy okazji wykurzymy „Sokoła”. Czy mam odwołać myśliwce TIE?
- Piett stał bez ruchu, najwyraźniej czekając na rozkazy Lorda Vadera. Ten jednak milczał – nawet się nie odwrócił. Wreszcie kapitan odezwał się:
– Doskonale, Ree. Wykonać.
- W jej sercu wezbrała nadzieja. Może ocali przynajmniej dwóch pilotów.
- N-A-Osiem-Jeden-Jeden, O-L-Siedem-Zero-Jeden? Przerwijcie pościg. Obierzcie najbezpieczniejszy kurs powrotny i...

– Jest w jednym z kanionów – wszedł jej w słowo OL701. – Prawie go mamy...

Ciena czekała na zgłoszenie Penriego, jednak zamiast tego usłyszała krzyk: przerażający wrzask, który niemal natychmiast ucichł, jak ucięty nożem. W tej samej chwili obydwie TIE zniknęły z jej ekranu, na powrót upiornie czarnego.

Czterej piloci martwi – i to po części z jej winy. Czy Piett udzieli jej nagany? Albo co gorsza sam Vader?

Co, jeśli plotki o tym, w jaki sposób Vader karał tych, którzy go rozdrażnili, były prawdziwe?

Nikt nie zwracał na nią jednak uwagi. Piett i Vader zachowywali się, jakby wcale nikogo nie zawiodła, jakby czterech lojalnych oficerów nie zginęło właśnie zupełnie po nic. Nie miała więc innego wyjścia, jak tylko wrócić do swojego standardowego stanowiska i zająć się z powrotem czuwaniem nad sytuacją.

Gdy to zrobiła, spytała szeptem komandora, który siedział przy sąsiednim stanowisku danych:

– Dlaczego nie strzelamy do asteroidy?

– Nie mamy czystej linii strzału – poinformował ją. – Równie dobrze cel mógł zmienić kurs. Zniknął z ekranów czujników wizualnych.

Ogarnęła ją fala mdłości. Ci czterej piloci myśliwców TIE zginęli na darmo. Nikt już nigdy nie usłyszy śmiechu Penriego. Na kursach w akademii uczono ich, by wystrzegali się myślenia o swoich kolegach jako o indywidualnych jednostkach, bo to prowadziło nieuchronnie do wahania, które tylko krok dzielił od klęski. Zapominając, że ich podopieczni są ludźmi, chronili ich; starali się postrzegać ich jako elementy dużej, skomplikowanej gry. To była jedyna część jej szkolenia, który sprawiła, że opadły ją wątpliwości. Wiedziała, że nigdy nie zdoła się na to zdobyć – nie zdoła zachowywać się tak jak Piett czy Vader.

A jednak ten ostatni nie mógł być tak do końca wyzwuty z emocji, bo nagle niespodziewanie polecił załodze skierować „Executora” w głąb pola.

Statkiem raz po raz targały lekkie wstrząsy, powodowane

zderzeniami z asteroidami. Ciena krzywiła się, jakby doznawała kolizji na własnej skórze. Bo chociaż gwiazdne niszczyciele były potężnymi okrętami, to brakowało im zwrotności – mieli dziś oberwać po wielokroć. Przekładało się to na zniszczenia rzędu do dwóch całych pokładów na każde kilka tysięcy metrów przemierzonych w głąb pola, a wraz z nimi wszystkich ludzi pełniących na nich służbę – zniszczenia klasyfikowane jako „drobne”. Kolejni oficerowie i szturmowcy zginą niepotrzebnie, a wszystko dlatego, że Lord Vader wziął się na jakiś stary, rozklekotany...

„Nie – zganiała się w myśli. – Każda śmierć, którą poniesiono tego dnia... głupie ryzyko i niepotrzebne uszkodzenia, do tego wszystkiego doszło z winy Sojuszu Rebeliantów. To oni rozpętali tę wojnę”.

Gdy jej zmiana dobiegła końca, Ciena wstała i skrzywiła się boleśnie. Podczas pilotowania myśliwców TIE przez pole asteroid była tak spięta, naprężała wszystkie mięśnie tak mocno, że teraz czuła się, jakby przebiegła ze trzydzieści kilometrów. Kiedy otworzyła drzwi z zamiarem opuszczenia mostka, z przerażeniem ujrzała w nich Pietta. Natychmiast stanęła na baczność, spodziewając się nagany, na którą bez dwóch zdań zasłużyła, jednak kapitan powiedział tylko:

– Dobra robota, komandor porucznik.

– Ale... – zająknęła się; czyżby pomylił ją z kimś innym? – Ale przeze mnie straciliśmy wszystkich czterech pilotów...

– Właściwie to i tak nie mieli szans wyjść z tego cało – odparł jakby nigdy nic. – Utrzymałaś ich przy życiu dłużej, niż gdyby radzili sobie na własną rękę.

Mówił jej... że dobrze się sprawiła. Jakaś część jej umysłu rozumiała, dlaczego ją chwali, jednak nie zmieniało to ani odrobinę faktu, że czuła się paskudnie. Nie mogła jednak odpowiedzieć na to inaczej niż:

– Dziękuję, kapitanie.

– Ach, właśnie. Nie było cię na mostku, kiedy... – Pieta wyprężył pierś. – Zostałem awansowany na admirała. Z efektem natychmiastowym, przejmując obowiązki admirała Ozzela.

Co się przydarzyło admirałowi Ozzelowi? Miała ochotę o to spytać,

jednak w porę ugryzła się w język. W imperialnej flocie czasem lepiej było nie znać odpowiedzi na pewne pytania.

– Rozumiem, panie admirale. Moje gratulacje.

Piett rzucił jej beznamiętne spojrzenie.

– To wszystko, Ree.

Wrócił na mostek i czarne drzwi zasunęły się za nim z sykiem.

Ciena czuła się zbyt zmęczona, by ruszyć ręką czy nogą – nie mówiąc już o wzięciu dodatkowych godzin. Mimo to, zamiast rzucić się na koję, powlokła się do wolnego boksu analitycznego i wyszukała wszystkie nagrania z bitwy o Hoth dostępne personelowi z jej uprawnieniami. Zamierzała przeglądać je wszystkie, dopóki nie dowie się, w jaki sposób banda słabo uzbrojonych, kiepsko zorganizowanych rebeliantów przechytryła największą militarną potęgę, jaką kiedykolwiek oglądała galaktyka.

Czy zachowywała się arogancko, sądząc, że zdoła znaleźć rozwiązanie, które wymykało się najtęższemu taktycznemu umysłom? Nie. Dotarło nagle do niej, że to kwestia jej desperacji. Chciała, żeby ta wojna się skończyła – musiała się skończyć, tak by nie trzeba było w niej już dłużej stosować okrutnych, krwawych metod. Bo chociaż Ciena obiecała sobie znieść wszystko, co przyniesie jej los, to wiedziała też, że nie wytrzyma psychicznie kolejnych lat wysyłania ludzi na bezsensowną, niepotrzebną śmierć.

„Nie żebyśmy się z Penriem przyjaźnili – myślała – ale był kimś więcej niż tylko numerkiem. Pamiętam, jak się śmiał. Pamiętam jego zamię. Nie mogę więc zapomnieć, że był człowiekiem – że gdzieś tam są jego matka i ojciec, którzy chcieli, by wrócił do domu. Gdy dowiedzą się, co się stało, będą zdruzgotani – podobnie jak zdruzgotani byłiby mama i tata, gdybym zginęła na służbie. A to tylko jedna z wielu takich małych tragedii. Gdyby pomnożyć je przez cierpienie i żal miliardów bliskich tych, którzy polegli w tej wojnie... dałoby to niewyobrażalnie wielkie pokłady cierpienia”.

Za każdym razem, kiedy Ciena wygłaszała podobne nieme monologi, wyobrażała sobie, że słucha jej jedna i ta sama osoba. Gdyby tylko mogła porozmawiać z Thane'em... O, Thane z pewnością wiedziałby, co jej poradzić, jak ją pocieszyć. A nawet gdyby nic nie

powiedział, przytuliłby ją po prostu mocno i trzymał w objęciach, dopóki nie minąłby najgorszy ból. Czasem nie mogła zasnąć, nie wróciwszy myślami do tej jednej nocy, którą spędzili razem – to znaczy nie do seksu (a przynajmniej nie tylko), ale do tego, jak było potem, gdy całował czule jej włosy i tulił ją w ramionach. Nigdy nie czuła się tak bezpieczna i kochana.

Przygryzła wargę i ból ściągnął ją na ziemię. Regularnie co kilka miesięcy obiecywała sobie, że przestanie myśleć o Thanie. Wybrał własną ścieżkę. Gdziekolwiek teraz był, miała nadzieję, że miewa się dobrze – i jest szczęśliwy. Wiedziała też jednak, że nigdy nie dowie się tego na pewno – i musiała się z tym pogodzić.

„Skup się na czekającym cię zadaniu – upomniała się w myśli i zabrała się do oglądania nagrań z Hoth, zapisując notatki w datapadzie. – Porzucone śmigacze śnieżne oznaczają, że gdy ich stamtąd wykurzyliśmy, utracili cenny sprzęt – analizowała. – Może po prostu powinniśmy ich ścigać, dopóki nie skończą im się środki? Prowadzić wojnę na wyczerpanie?”. Następne nagranie ukazywało rebelianckie działa laserowe. Uzbrojenie oczywiście nie umywało się do tego, czym dysponowało Imperium, jednak... „Wygląda na to, że standardem w rebelianckim wojsku są żałośnie niestosowne pancerze. Może postawić na broń miotającą szrapnele? Ostre jak brzytwa mikrodroidy?” – zastanawiała się.

Kolejny materiał przedstawiał sceny zniszczenia imperialnych maszyn kroczących. Ciena nieomal jęknęła, gdy zobaczyła, z jaką łatwością rebelianci powalali AT-AT za pomocą linek z kotwiczkami. Na pewno można było zrobić coś, by temu zaradzić. Wydawało się, że druga maszyna eksplodowała od wewnątrz, więc do wybuchu doszło raczej z winy Imperium niż rebeliantów. Jakaś mechaniczna usterka? A może sabotaż? Zanotowała swoje uwagi. A potem następna imperialna jednostka padła, unieszkodliwiona przez rebelianckiego pilota, który znalazł czuły punkt w jej pancerzu...

Nagle wszystko jakby przestało istnieć. Pikanie i szmer komputerów wokół niej zlały się w biały szum. Osłupienie i poczucie zdrady targnęły nią niczym trzęsienie ziemi. Pokręciła szybko głową, próbując oczyścić umysł. „Wyobraziłam to sobie – przekonywała

samą siebie. – Na pewno. Nie ma innej możliwości”.

Pospiesznie przewinęła nagranie i zaczęła je śledzić ponownie. Nie, nie miała omamów. Rebeliancki śmigacz śnieżny ostrzeliwał stawy „skokowe” maszyny kroczącej, gnając w samobójczym pędzie naprzód, aby w ostatniej chwili skrócić pionowo na burtę i przemknąć bezpiecznie między nogami imperialnego molocha.

Całkiem jak między stalaktytami na jej ojczystej planecie.

Ciena wiedziała, iż taki manewr mógł wykonać każdy biegły w swoim fachu pilot, jednak ta świadomość w żaden sposób nie zachwiała jej stuprocentowej pewności: Thane Kyrell dołączył do Rebelii.

Rozdział 17

Thane wykonywał poszczególne kroki sekwencji równie mechanicznie, co jego droid astromechaniczny: dotrzeć do punktu zbornego, wpisać kody zapewniające dostęp do współrzędnych kolejnego, skoczyć znowu w nadprzestrzeń i wreszcie dotrzeć do ich nowego statku bazy, kalamariańskiego krążownika „Liberty”.

Okręt był znacznie większy i bardziej skomplikowany od większości jednostek w ich flocie stanowiącej barwną zbieraninę statków. Został jednak zaprojektowany raczej z myślą o Kalamarianach, nie ludziach. Na pokładzie panowała temperatura zdecydowanie wyższa od tej, do której przywykł, a wilgotność powietrza była tak wysoka, że w ciągu paru minut od przybycia na statek jego skóra zrobiła się nieznośnie mokra.

Rozpaczliwie potrzebował czegoś, na czym mógłby się skupić. Nie mówiąc już o tym, że nie powinien teraz zostawać sam ze swoimi myślami. Przed oczami wciąż miał tamten zestrzelony myśliwiec TIE, a wyobrażenie, że za jego sterami siedzi Ciena, nie dawało mu spokoju. Musiał to jakoś przerwać.

Początkowo szukał pomocy u przyjaciół. Wedge klepnął go w plecy i wymienił gratulacje z okazji rozprawienia się z maszyną kroczącą. Thane zdobył się na wymuszony uśmiech. Kiedy jednak spytał o Daka Raltera, Wedge sposepniał.

– Dak zginął w bitwie – wyznał. – Ich śmigacz oberwał. Tylko Skywalker przeżył.

Zaledwie dzień wcześniej Thane robił Dakowi złośliwe uwagi na temat jego uwielbienia dla „bohaterskiego Luke’a Skywalkera”. A teraz Dak leżał martwy, porzucony na Hoth, zmiażdżony przez AT-AT.

Dzieciak nie miał nawet jeszcze dziewiętnastu lat.

– Jeśli cię to jakoś pocieszy – dodał Wedge na widok ponurej miny Thane’a – Luke twierdzi, że Dak zginął od strzału. Szybko.

– Pocieszy – wymamrotał Thane. – Jasne.

Wedge wyglądał, jakby chciał dodać coś jeszcze, jednak Thane nie miał ochoty go słuchać. Odwrócił się na pięcie i przeciął hangar, przyglądając się scenom rozgrywającym się wokół, jakby pierwszy raz widział coś podobnego na oczy. Piloci śmiali się i żartowali – w ten sposób radzili sobie z ciągłym zagrożeniem: udawali, że nie istnieje. Jedynie garstka rebeliantów kręcących się tu i ówdzie okazywała smutek czy sprawiała wrażenie wstrząśniętych.

Prawdopodobnie w głębi serc przeżywali raz po raz obrazy równie okropne, jak te, które rozpamiętywał on: Ciena i Dak, oboje martwi, ich zmasakrowane ciała pozostawione na mroźnej powierzchni Hoth. Wkrótce zasypie je śnieg – i wszelki słuch po nich zaginie.

– Hej! Wszystko w porządku? – spytał Yendor, doganiając go; błękitne lekku kołysały się w takt jego kroków.

– Tak, nic mi nie jest.

– Skoro tak wyglądasz, gdy *nic ci nie jest*, naprawdę wolałbym nie widzieć cię, kiedy *coś ci jest*.

– Dak Ralter zginął.

– Przykro mi to słyszeć – odparł Yendor. – Dobry był z niego dzieciak.

– Taa.

– Nie wiedziałem, że się kumplowaliście.

– Bo tak nie było – sprostował i pomyślał, że przecież nie o to chodzi. – Całkiem możliwe, że mogłem dziś zabić Cienę... I choć jestem niemal pewien, że to nie była ona... To równie dobrze mogła, a ja nigdy się tego nie dowiem. Nieważne zresztą.

Yendor był dość mądry, by wiedzieć, kiedy odpuścić.

– Jasne, nie ma sprawy. Może pomogłbyś mi z nowymi rekrutami, co ty na to? Kiedy nadeszły wieści o spodziewanym ataku, kilkadziesiąt osób było już w drodze na Hoth.

– W porządku – zgodził się Thane. Przynajmniej będzie miał coś do roboty.

Z miłym zaskoczeniem powitał widok znajomej twarzy podczas wydawania świeżakom hełmów, blasterów i komunikatorów.

– Patrzcie no tylko, co też gundark przywłókł! – zawołała na jego widok z szerokim uśmiechem Kendy Idele. Ciemnozielone, splecione

w długi warkocz włosy spływały jej na biały skafander; kilka niesfornych pasemek przykleiło się jej do czoła. – Thane Kyrell! Nigdy bym nie przepuszczała, że cię tu spotkam!

– Kendy! Sądziłem, że zostaniesz w imperialnej flocie do emerytury!

– Widać słabo mnie znasz. – Kendy roześmiała się w głos. Wydawała się cieszyć z tego spotkania bardziej od niego. Na swój sposób dobrze było znów ją widzieć; nie przyjaźnili się jakoś specjalnie w akademii, jednak zawsze ją podziwiał. Szczególnie dobrze pamiętał, z jaką śmiertelną powagą podchodziła do praktykowania celności – jak perfekcyjnie opanowała technikę zestrzeliwania z blastera kolejno trzech celów, jednego po drugim. Rebelia potrzebowała osób z tak dobrym okiem i pewną ręką.

Była też jednak jedną z najlepszych przyjaciółek Cieny i jej współlokatorką z akademii. Widząc ją, Thane podświadomie spodziewał się, że w pobliżu dostrzeże kręcącą się Cienę.

Do końca dnia spisywał nazwiska, inwentaryzował sprzęt i obficie pocił się w kalamariańskiej duchocie. Centrum dowodzenia Bazy Echo zostało zniszczone, co poskutkowało chaosem i dezorganizacją. Wyglądało na to, że brakuje paru prominentnych osób. W punkcie zbornym nie pokazał się nie tylko Luke Skywalker. Nie było też śladu po „Sokole Millennium”, który odleciał z księżniczką Leią Organą na pokładzie. Generał Rieekan zwołał starszych oficerów przypisanych do tej części floty na specjalną konferencję, w której udział wziął między innymi Wedge. W związku z tym reszta personelu została oddelegowana do napraw myśliwców, ładowania sprzętu zgodnie z czymś tylko odlegle przypominającym prowizoryczny plan, a także odesłana z poleceniem czekania na wieści dotyczące celu kolejnej wyprawy.

Nikt nie był więc zbyt zaskoczony, kiedy któryś z pilotów transportowców ogłosił, że upędzili w maszynowni nieco samogonu.

Produkcja „silnikowego bimbru” była jedną z rzeczy surowo zabronionych przez dowództwo, które jednak w praktyce przymykało na ten proceder oko – jak długo spożywanie takich dekoktów nie kolidowało z wypełnianiem przez załogę jej obowiązków. Przez

następny dzień czy dwa, nim przeniosą się w następne miejsce, byli tak bezpieczni, jak mogła być rebeliancka armia: gdyby imperialna flota miała choć blade pojęcie o ich punkcie zbornym, natychmiast zjawiałaby się w nim masowo, gotowa do działania. Każdy przyzwoity oficer zdawał sobie zaś sprawę z tego, że żołnierze potrzebują od czasu do czasu nieco luzu i odprężenia – a już szczególnie po dużej bitwie – więc gdy wśród ludzi zaczęły krążyć kubki z alkoholem, nikt nie pisał słówkiem.

Kyrell wyłopał pierwszą kolejkę tak szybko, że zaczęły mu łzawić oczy. Jakimkolwiek przymiotnikiem można by określić silnikowy biber, z pewnością nie był on „łagodny” – jednak gdy tylko Thane przestał kasłać, wyciągnął rękę po dolewkę.

– Widzę, że dajemy dziś ostro w palnik – zauważył Yendor; jedno niebieskie lekko drgało mu spazmatycznie.

– A czemu by nie? – burknął Thane, nie patrząc mu w oczy.

Nie żeby był abstynentem. Od czasu do czasu pozwalał sobie na kapkę czegoś mocniejszego. Nie miał też nic przeciwko wychyleniu *ale* czy dwóch. Jakiś czas temu zasmakował w andoańskim winie. Jednak chłanie na umór nigdy go nie kręciło – nawet gdy był jelucańskim gówniarzem, a jego rówieśnicy w szkole zalewali się w sztok podczas zakrapianych imprez.

Alkoholu spróbował pierwszy raz tej nocy, kiedy Ciena przesmugłowała do Fortecy butelkę wina z doliny. Mieli wówczas nie więcej niż czternaście lat. Ani jemu, ani jej nie smakował lepki, gęsty trunek i zabawa skończyła się tak, że większość wylali. Jej pełne wargi wciąż były ciemne od mocnego wina, gdy opróżniła flaszkę, ze śmiechem twierdząc, że nie zniesie dłużej jego zapachu.

Ciena. Znowu Ciena. Thane zachodził w głowę, czy w ogóle ma jakieś wspomnienia, z którymi nie miałyby związku. Czy zdołałby wypić dość, by wymazać ją z pamięci?

Cóż, chyba się na to nie zanosilo. Jednak nie zamierzał przestać próbować.

Nowa kolejka... a potem jeszcze jedna. Wieczór zaczynał się rozmazywać w dziwny, surrealistyczny ciąg wspomnień. Pamiętał, że Kendy opowiadała o tym, jak cały jej patrol zbuntował się na

Miriatinie – i jak tylko jedna trzecia jej ludzi uszła z życiem. Przypominał sobie grę w sabaka, jednak kompletnie nie pamiętał kart, którymi grał. Jak przez mgłę słyszał słowa wyśpiewywanej przez ekipę z Ord Mantell obscenicznej piosenki o niezwykłych rozkoszach dostarczanych w łóżku przez przedstawicieli różnych ras. W pewnym momencie Yendor zapytał go, czy przypadkiem nie chce się położyć, a on odwarknął mu, żeby pilnował własnego nosa. Kiedy wszystko wokół zaczęło wirować, po prostu przytulił się do burty najbliższego z X-wingów i zapadł w pijacki sen.

Obudził się o jakiejś nieludzkiej porze, wstał i z trudem zaczął się przedzierać chwiejnym krokiem przez labirynty nieznanej bazy, z całej siły skupiając się na tym, by nie paść na pysk.

– Spoko – mamrotał pod nosem. – Chyba trafisz do kajut, co nie? Pokazywali ci je wcześniej. – Jednak alkoholowe upojenie wyginało korytarze kalamariańskiego okrętu pod dziwnymi kątami. Ściany pojawiały się w miejscach, w których powinna być podłoga – i vice versa. Wreszcie Thane uznał, że najlepszym wyjściem będzie klapnięcie w miejscu, w którym stał – i przytulenie się do grodzi.

Gdy zjeżdżał plecami po ścianie, poczuł, jak żołądek wywraca mu się na lewą stronę w zapowiedzi nieuchronnego. Nigdy wcześniej nie upił się tak, by się porzygać – i wcale nie miał chęci tego doświadczać, jednak zanim fala mdłości podeszła mu do gardła, pomyślał jeszcze refleksyjnie: „Zawsze jest czas, by spróbować wszystkiego pierwszy raz”.

Pamiętał, że ktoś pomógł mu wstać: kobieta, której nigdy wcześniej nie widział (a przynajmniej tak mu się zdawało); wydawała się jednak całkiem miła, a gdy otoczyła go ramieniem, wydało mu się to równie dobrym pretekstem, jak każdy inny, by opowiedzieć jej historię swojego życia.

– Too znaczy, serio – bełkotał, gdy prowadziła go do najbliższej toalety. – Opowiem ci tylko to oo Cienie... Ale to właściwie całe moje życie. A przynajmniej jego lepsza część.

– Na to wygląda. Usiądź. – Posadziła go na krześle.

Głowa opadła mu na plecy, ale ciągnął niezrażony:

– To znaczy, wiem, że pewnie wcale jej dziś nie zestrzeliłem. Ale

mogłem to zrobić, co nie? Albo ktokolwiek z naszych – też mógł to zrobić, a przecież jesteśmy po tej samej stronie, nie? To moi przyjaciele i... wszyscy nienawidzimy Imperium, jednak gdybym kiedykolwiek się dowiedział, że któryś z nich zabił Cienę – aa to w sumie trochę głupie, bo, noo wiesz, ona wydała mnie Imperium... uwierzysz? Dała mi fory, ale mnie wydała! Gdy o tym myślę, jestem tak bardzo, bardzo zły... Ale i tak nie mógłbym znieść, gdyby przytrafiło jej się coś złego...

– Ciii! – Kobieta położyła mu na czole chłodny, wilgotny kompres. Rany, to była najlepsza rzecz, jaka istniała we wszechświecie! Thane uznał, że musiała być jakimś geniuszem.

Czyli że może mogłaby mu pomóc w rozgryzieniu tego wszystkiego.

– Co będzie... Co, jeśli pewnego dnia będę walczył z Imperium i wpadnę w stupor? Co, jeśli nie będę mógł strzelić, bo będę wiedział, że w jednym z tych TIE-ów siedzi Ciena? Co, jeśli wystrzelę, a ona będzie siedziała za sterami któregoś z nich? – Thane zorientował się, że lada chwila się rozklei, i spróbował wziąć się w garść. Może i się mazgał, bo był wstawiony, ale nie zamierzał się nad sobą uzalać. – Nie chcę jej zabić. I nie chcę, żeby ludzie ginęli tylko dlatego, że boję się skrzywdzić tę jedną, jedyną osobę w całej imperialnej flocie... którą kocham.

– Rozumiem – zapewniła go kobieta, wkładając mu w dłoń kubek. – Napij się wody. Podziękujesz mi później.

To, co działo się potem, zapamiętał jeszcze słabiej. W pewnym momencie musiał dowlec się jakoś do swojej kajuty, bo pamiętał jak przez mgłę, że gramolił się na łóżko w pełnym „opakowaniu”, łącznie z butami. I właśnie tak obudził się następnego ranka, serdecznie nienawidząc życia.

– I to jest właśnie ta chwila, w której ktoś podlejszy ode mnie powiedziałby: „A nie mówiłem?”. – Yendor wyszczerzył zęby w uśmiechu, podczas gdy Thane pochylił się nad stojącym w pobliżu wiadrem.

– Zamknij się, proszę.

– Zanim to zrobię, uprzedzę cię tylko, że nasza eskadra ma za pół

godziny odprawę prowadzoną przez samą górę.

Thane przewrócił oczami, przeklinając w duchu własną głupotę... i niemal natychmiast się skrzywił. Do tej pory nie miał pojęcia, że przewracanie oczami może boleć.

– Czy zanurzenie w zbiorniku z bactą pomaga na kaca?

Yendor rozważał przez chwilę w myśli jego słowa.

– Hm, wiesz, co? Brzmi niegłupio. Będziemy musieli któregoś dnia spróbować. Teraz jednak chyba nie mamy na to czasu.

– Super. Po prostu... Ekstra.

Jakimś nadludzkim wysiłkiem Thane'owi udało się wziąć prysznic i ubrać. Ciemne sińce pod oczami i ryża szczecina na podbródku... cóż, ludzie stawiali się na apelach, wyglądając znacznie gorzej od niego. Droid medyczny 2-1B zrobił mu zastrzyk, który miał ustabilizować jego stan w ciągu godziny czy dwóch do jakiegoś znośnego poziomu. Teraz Thane musiał tylko jakoś przetrwać odprawę.

Kiedy cała eskadra stanęła na baczność, do sali wszedł generał Rieekan – jednak nie był sam. Za nim szła skupiona kobieta w bieli, o kasztanowych włosach.

– Nie wierzę – wyszeptała Kendy.

– Ja też nie – mruknął Yendor, stojący u boku Thane'a z szerokim uśmiechem na ustach. – W końcu mamy zaszczyt spotkać osobiście samą Mon Mothmę!

Mon Mothma. Jedna z nielicznego grona senatorów, którzy śmieli otwarcie sprzeciwić się Palpatine'owi, gdy dochodził do władzy. Plasowała się na samym szczycie spisu osób poszukiwanych listem gończym przez imperialną flotę. Członkini ścisłego dowództwa Sojuszu Rebeliantów... I kobieta, która poprzednią noc spędziła, wysłuchując, jak się wywnętrzał – i to dosłownie.

Jak mógł jej nie rozpoznać? Cóż, najwidoczniej był bardziej pijany, niż sądził. Oczywiście bazy danych Imperium zawierały wizerunki Mon Mothmy sprzed kilku lat – od tamtego czasu pozostawała w ukryciu. A jednak Thane był zbyt wlany, żeby ją poznać, nawet gdy trzymała mu głowę nad umywalką, kiedy rzygał.

Cudownie. Lepiej być nie mogło. Gdyby tylko mógł się w tej chwili

zapaść pod ziemię i pozwolić, by ta się nad nim zamknęła, udawać, że nigdy nie istniał... Niestety w tej chwili pozostało mu tylko stać w miejscu i udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Witajcie – odezwała się Mothma głosem tak spokojnym i łagodnym jak ten, jakim przemawiała do niego poprzedniej nocy. – To dla mnie zaszczyt, móc spotkać kolejnych bojowników o wolność, którzy pomagają Sojuszowi Rebeliantów przetrwać w tych mrocznych czasach.

Pośród zgromadzonych przeszedł cichy szmer. Wszyscy poczuli się dumni, nawet Thane, mimo palącego wstydu. Kto by pomyślał, że przywódczyni całej Rebelii oświadczy im, iż czuje się zaszczycona możliwością ich spotkania? Thane szczerze wątpił, by Imperatorowi w ogóle przyszedł do głowy podobny pomysł.

Tymczasem Mothma ciągnęła:

– Wszyscy z pewnością rozumiecie, że niebawem czeka nas poważna mobilizacja. – Patrzyła w oczy po kolei każdemu z pilotów. Thane zastanawiał się, jak osoba o tak łagodnym głosie może mieć tak stalowy wzrok. – Jednak wy, Eskadro Koron, nie będziecie towarzyszyć reszcie floty w drodze do nowego punktu zbornego.

Piloci wymienili skonsternowane spojrzenia. Czyżby to była jakaś kara za ich wybryki z ubiegłej nocy? A może za jakieś inne, poważniejsze naruszenie? Jednak o ile Thane się orientował, nie zrobili dotąd nic, czym zasłużyliby sobie na taką karę, wręcz przeciwnie – byli jedną z najlepszych eskadr floty.

– Mamy dla was... – podjęła Mon Mothma – ważne zadanie.

W tym momencie wszystko stało się jasne – mówiła o wywiadzie. To oznaczało zaś niebezpieczeństwo, jednak Thane nie dołączył do Rebelii po to, by się przed nim uchylać.

– Zostaliście wybrani do tego zadania, chociaż wielu z was jest z nami od niedawna – zastrzegła Mothma. – Macie jednak odpowiednie zdolności, by je wypełnić. – Usiadła za jedynym biurkiem w pomieszczeniu, które choć ciasne, przez samą jej obecność zmieniło się w siedzibę władzy.

„Ona jest już zagrożeniem dla Imperatora sama w sobie – uświadomił sobie Thane – nawet jeśli on jeszcze o tym nie wie”.

– W najbliższej przyszłości – odezwał się generał Rieekan – Eskadra Koron będzie stacjonowała na pokładzie „Liberty”. W ciągu kilku kolejnych godzin otrzymacie stały przydział do kajut.

– A niech mnie – mruknął pod nosem Yendor. – Zawsze chciałem mieszkać w saunie.

Rieekan podniósł ciemną brew.

– Tak, szeregowy Yendor?

– Mówiłem tylko, że zawsze chciałem mieszkać w saunie, sir – powtórzył Twi’lek.

Reszta zgromadzonych roześmiała się z jego żartu – nawet Rieekan się uśmiechnął. Mon Mothma pozostała poważna, jednak nie wydawała się rozdrażniona. Za podobną uwagę oficer w służbie Imperium zostałby surowo ukarany. W rebelianckiej flocie dyscyplina współgrała jednak z wyrozumiałością.

– Zarówno podział na zespoły i indywidualne przydziały zostaną omówione, kiedy zajdzie taka konieczność – podjęła Mon Mothma, jakby wcale jej nie przerwano. – Jednak musicie wiedzieć, że z tą misją wiąże się wysokie ryzyko, wyższe nawet od tego, z którym do tej pory przyszło wam się mierzyć. Całkiem możliwe, że będziemy zmuszeni prosić was o podjęcie się zadań wymagających od was najwyższego poświęcenia – i że szanse, iż wrócicie, będą w najlepszym razie niewielkie. Może nawet... zerowe. Jeśli ktoś z was nie jest w stanie zmierzyć się z takim wyzwaniem, proszę, niech powie o tym otwarcie. Teraz. To żaden wstyd.

Nikt się nie odezwał – wszyscy słuchali jej w najwyższym skupieniu, gotowi podjąć się zadania, które im powierzano. Thane utkwiał wzrok w przestrzeni; nie patrzył na nikogo konkretnego, jednak czuł na sobie spojrzenie Mon Mothmy.

Kiedy cisza trwała wystarczająco długo, Rieekan kiwnął głową.

– W porządku. Póki co pilnujcie, by nasz nowy personel zaznajomił się z protokołami. – Temu stwierdzeniu towarzyszyło kiwnięcie głową w stronę Kendy, ich najnowszego „nabytku”. – I czekajcie na dalsze instrukcje.

– Dziękuję wam wszystkim za pełną poświęcenia służbę i odwagę – dodała Mon Mothma. – Możecie się rozejść.

Gdy wszyscy ruszyli do drzwi z zamiarem wyjścia, a Kendy odwróciła się do Thane'a, żeby go o coś zapytać, Mon Mothma dodała:

– Poruczniku Kyrell? Jeśli można, proszę na słówko.

A był już tak bliski wybrnięcia z tego z twarzą!

Kiedy zwrócił się w stronę przywódczyni Sojuszu, stając znów na baczność, kątem oka dostrzegł zdumioną twarz generała Rieekana. Cóż, dobre i tyle, uznał. Najwyraźniej Mothma nie podzieliła się z całym dowództwem opowieścią o jego niechlubnych wyczynach zeszłej nocy – a przynajmniej jeszcze nie.

Drzwi zamknęły się za ostatnim z oficerów i Thane został z nią sam na sam. W normalnych okolicznościach młodszy stopniem oficerowie odczekaliby, aż ich przełożony przemówi pierwszy, jednak tym razem Thane uznał, że to wyjątkowa sytuacja.

– Ma'am? Proszę mi wybaczyć moje... ee, niestosowne zachowanie ubiegłego wieczoru. Wygląda na to, że... ee, trochę się zagalopowałem podczas oblewania naszego sukcesu. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Mon Mothma opadła na oparcie swojego krzesła; po jej ustach błąkał się uśmiezek.

– Poruczniku Kyrell, gdybym zwalniała pilotów ze służby za każdym razem, kiedy jeden z nich zatankuje odrobinę zbyt wiele silnikowego bimbru... cóż, nie mielibyśmy Rebelii.

– Tak jest, ma'am – potwierdził służbiście. Dlaczego go jednak zatrzymała? Przypominał sobie co nieco z tego, o czym mówił jej ostatniego wieczoru, o „paraliżu na służbie”, i jego obawy tylko wzrosły. – Jeśli niepokoi panią, czy podołam tej misji, na którą wysyła pani Eskadrę Koron, to niepotrzebnie, ma'am – zapewnił ją pospiesznie.

– Mniejsza o moje niepokoje – odparła pewnym, spokojnym głosem. – Problem w tym, że nie wierzysz w samego siebie. Tego typu obawy ograniczają cię znacznie bardziej, niż gdybyś się bał. Słyszałam, że jesteś wybitnym pilotem, Kyrell. I jestem pewna, że świetnie się sprawisz – zapewniła go. – Jeśli jednak będziesz się załamywał po każdej większej potyczce, wkrótce się poddasz.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Miała rację.

Gdy uparcie milczał, Mon Mothma podjęła:

– Nie jesteś jedyną targaną rozterkami osobą w Rebelii.

Yendor miał w zwyczaju rozmawiać po cichu ze swoim synem imieniem Bizu, którego zostawił na Ryloth. Cała rodzina Kendy na Iloh była narażona na ryzyko z powodu jej dezercji. Wiedział o tym.

– Tak jest, ma'am, rozumiem.

Mon Mothma wstała i podeszła do niego; na jej twarzy malował się ten sam łagodny wyraz, który widział u niej poprzedniego wieczoru.

– Nie ma nic złego w tym, że kochasz kogoś walczącego po drugiej stronie barykady... dopóki większym uczuciem darzysz to, o co walczysz.

Thane nigdy nie myślał o tym, że „o coś walczy”. Dołączył do Sojuszu, by stawić opór Imperium – nie dla przywrócenia Republiki ani z innych, ważnych powodów, o których wspominali pozostali. Uznał, że gdy Imperium upadnie, cała reszta jakoś się ułoży. Teraz jednak musiał zadać sobie pytanie: co tak naprawdę znaczyła jego decyzja?

Walka z Imperium oznaczała walkę o galaktyczny rząd, który nad władzę przedkładał sprawiedliwość i wyższe wartości; który traktował swoich podwładnych z szacunkiem, zamiast zwodzić ich i nieustannie nimi manipulować. Walka ze zniewalaniem Bodach'ich i Wookieech oznaczała bój o to, by jednostki same mogły decydować o swoim losie. Walka z tymi, którzy tak bezlitośnie i brutalnie zniszczyli Alderaanu, przekładała się bezpośrednio na walkę o każdy zamieszkały świat galaktyki.

Thane wierzył w słuszność tej walki bez reszty, był gotów umrzeć za wyznawane przez siebie wartości... a jednak w głębi duszy wiedział, że nie o to walczy. Dołączył do Rebelii, by obalić Imperium, i nie dał się omamić wszystkim tym zwodniczo słodkim obietnicom dotyczącym panowania Nowej Republiki. Zapewnienia, że rządy nowej galaktycznej władzy okażą się lepsze od Imperium, nie przekonywały go. Koniec końców wszystko sprowadzało się do zainstalowania kolejnej biurokracji, rządów następnej władzy, która zdominuje Światy Jądra, podczas gdy Zewnętrzne Rubieże będą

zmuszone same borykać się z własnymi problemami.

Tak więc gdyby miał odpowiedzieć na pytanie Mon Mothmy, odpowiedziałby: nie. Nie darzył Rebelii miłością większą niż Cieny. Był jednak skłonny poświęcić życie, zginąć za jedną z tych wartości – i doskonale wiedział, co wybierze, nieważne, jak wiele bólu ten wybór go kosztował.

– Czy zdołasz wypełnić swój obowiązek, Kyrell? – spytała go Mon Mothma.

– Tak jest, ma'am – odparł, boleśnie czując ciężar każdego ze słów. Poprzysiągł właśnie zrobić wszystko, co będzie musiał – włącznie z pozbawieniem Cieny życia.

Wiedział jednak z niewzruszoną pewnością, że już nigdy podczas bitwy nie zawaha się przed oddaniem strzału.

Rozdział 18

Jude nigdy nie wspomniała jej o tym, że Bepin jest tak piękny.

Ciena wpatrywała się z niemym podziwem w smukłą sylwetkę dysku o obłych krawędziach i barwie gliny, dryfującego nad chmurami. To było jednak bardzo w stylu Jude: nie zająknąć się ani słowem o tym, jak cudowne barwy nadawało tutejszemu niebu zachodzące słońce, ani o elegancji i gracji, z jaką miasto rozpościerało swój parasol nad planetą, do której kotwiczyło za pomocą smukłej łądygi. Zamiast tego, gdy mówiła o swojej ojczyźnie, opowiadała o przyczynach geologicznych, dla których wydobywanie gazu tibanna było tak trudne, lub własnościach aerodynamicznych lotni, na których szybowała jako dziecko. Nieważne, o co szło – Jude zawsze była przede wszystkim naukowcem. Szukała prawdy z takim samym zacięciem, z jakim łowcy nagród poszukiwali jeszcze niedawno „Sokoła Millennium” (jakie to irytujące, że te szumowiny odniosły sukces tam, gdzie nie powiodło się Imperium! – jednak statek cywilny miał nad gwiazdym niszczycielem tę przewagę, że mógł niepostrzeżenie przemknąć przez przestrzeń, w przeciwieństwie do kosmicznego molocha).

Chociaż Ciena bardzo chciałaby móc zwiedzić Miasto w Chmurach – może nawet poznać rodziców Jude? – kazano jej zostać na pokładzie „Executora”. Zadanie schwywania załogi „Sokoła” powierzono zaledwie kilkusobowemu zespołowi szturmowemu, do którego należał Lord Vader, lubiący osobiście nadzorować przebieg operacji. Cokolwiek miało się wkrótce wydarzyć, tysiące członków załogi „Executora” nie miało do roboty nic poza czekaniem.

Ciena z chęcią przyjęłaby w tej chwili jakieś zadanie – jakiegokolwiek, nieważne, jak trudne czy czasochłonne. Wszystko, byleby tylko oderwać myśli od Thane’a Kyrella, na którego była bezgranicznie wściekła.

A Bepin wszystko jeszcze pogarszał, bo nierozzerwalnie kojarzył się z Jude. Sama myśl o utraconej przyjaciółce przypomniwała Cienie

o tym, jak Jude pomogła jej rozwiązać zagadkę sabotażu tamtego głupiego działka laserowego.

Ten incydent pokazał, że Ciena i Thane mogą się ze sobą nie zgadzać – i przypieczętował jego decyzję o opuszczeniu imperialnej floty. I chociaż Ciena była wściekła, kiedy zdezerterował, przynajmniej rozumiała jego wybór – nawet jeśli nigdy nie będzie mogła uznać go za słuszny.

Ale... dołączyć do Rebelii?

Jak Thane mógł zostać terrorystą? Od zawsze gardził Sojuszem Rebeliantów, podobnie jak ona. Kiedy to się zmieniło? I dlaczego? Czyżby wybaczył mu zniszczenie Gwiazdy Śmierci i setek tysięcy ludzi na jej pokładzie? Owszem, wcześniej stacja bojowa zniszczyła Alderaan w rozpaczliwej i nieudanej próbie zakończenia wojny, nim ta rozpoczęła się na dobre. Ale tu chodziło tylko o jedną stację kosmiczną, jedną planetę, jeden straszny dzień. A ataki na imperialne statki i bazy nie ustawały, jakby rebelianci nie mogli przelać dość krwi, by zaspokoić swoje żądze. Gdyby walczyli w jakimś konkretnym celu, a nie tylko z czystej nienawiści do Imperium, zaproponowaliby negocjacje albo spróbowali zdobyć niezależny układ, w którym mogliby sobie żyć pod własnym rządem, jakikolwiek by on nie był... Ale nie – zamiast tego zabijali raz za razem, bez umiaru. A chociaż Thane był silny i biegły w walce, nigdy nie posądziłaby go o brutalność czy agresję. Jak więc możliwe, że dołączył do grupy obrzydliwych zbrodniarzy?

„Może zrobił mu to jego ojciec?” – zastanawiała się Ciena, maszerując korytarzami Miasta w Chmurach. Minęło ją kilku pochrzających Ugnaughtów, jednak ledwie ich zauważyła. Przypomniała sobie, jak stała za Thane’em tego dnia, kiedy upadł podczas treningu wytrzymałości i sprawności i kiedy opatrywała mu później rany. Wówczas ślady ewidentnej przemocy, świadomość, że ojciec znęca się nad nim fizycznie i psychicznie, przyprawiła ją niemal o łzy – podobnie jak świadomość, jak dzielnie Thane znosił to wszystko bez słowa, dopóki nie upadł.

Czasami ci, nad którymi się znęcano, sami stawali się katami. Czy Thane karał teraz galaktykę za krzywdy wyrządzone mu przez ojca?

Nie. Zawsze powtarzał, że nigdy nie stanie się jak jego ojciec. A ona zawsze mu wierzyła. Teraz jednak... cóż, nie znajdowała innego wytłumaczenia.

– Nie wierzę – powiedział Nash Windrider.

Wyrwana z zamyślenia, spostrzegła, że dotarła do platformy lądowniczej, na której jej przyjaciel stał przed „Sokołem Millennium”. Ich ofiara przyleciała prosto na Bepin, tak jak spodziewał się Lord Vader. „Dlaczego więc zawracaliśmy sobie w ogóle głowę pościgiem przez pole asteroid?” – zastanawiała się. Przecież mogli przylecieć tutaj i zastawić pułapkę jeszcze wcześniej.

Weszła na platformę, na której stał Nash, z rękami wspartymi na biodrach przyglądający się pochwyconemu statkowi.

– Kiedy widziałem go podczas pościgu, nie mogłem zrozumieć, dlaczego ten rzech nie trafił jeszcze na złom. Teraz, z bliska, już to wiem: bo żadne złomowisko by go nie zechciało.

– To cud, że w ogóle jest na chodzie. – Na widok statku poczuła ukłucie niechętnego podziwu. Jako komuś, kto uczył się latać za sterami V-171, miewała sentyment do podobnych gruchotów. – Jakie mamy rozkazy?

– Unieruchomić hipernapęd.

– Po co sabotować jednostkę, którą już schwytaliśmy?

– Lord Vader ma swoje powody – stwierdził Nash, podnosząc brew, jakby chciał ją spytać: „Masz ochotę powiedzieć mu osobiście, że postępuje głupio?”.

Kiwnęła tylko głową.

– Jasne.

Wzięli się do roboty i przez jakiś czas pracowali w milczeniu. Chociaż w maszynowni „Sokoła” było dość ciasno, nie mogła się wyzbyć wrażenia, że Nash stoi stanowczo zbyt blisko niej. A może po prostu tylko sobie to wmawiała, bo tak bardzo chciała być sam na sam ze swoimi myślami o Thanie?

Unieruchomienie hipernapędu nie sprawiło im trudności i już wkrótce wraz z Nashem znaleźli się na pokładzie promu, który miał ich zabrać z powrotem na „Executora”; teraz nie musieli się już kryć z operacją, bo w Mieście w Chmurach wylądował właśnie inny

zwabiony w pułapkę pilot, którego szukał Darth Vader. W ciągu kilku minut będzie po wszystkim; pościg dobiegnie końca. Księżniczka Leia stanie przed sądem, a jej rebeliancy przyjaciele zostaną przykładnie ukarani. Może Rebelia zostanie ujawniona... a wraz z nią Thane.

Ciena poruszała się po statku jak na autopilocie. Zgłosiła się na dyżur na mostku, licząc na to, że najbliższe kilka godzin upłynie jej względnie spokojnie. Niestety jej nadzieje okazały się płonne – w przeciwieństwie do przypuszczeń Vadera. Oczywiście „Sokół Millennium” wystartował z platformy lądowniczej, niemal im uciekł... po czym z jakichś niewyjaśnionych przyczyn wrócił do Miasta w Chmurach, aby zatrzymać się pod nim na chwilę.

– Co oni wyprawiają? – Długie palce Nasha tańczyły nad klawiaturą, by skupić na frachtowcu wszystkie czujniki.

– A któż to może wiedzieć? – mruknęła; niemal było jej żal tych ludzi, zapewne przeświadczonych, że są wolni, podczas gdy w rzeczywistości Darth Vader wyprzedzał ich cały czas o krok.

Chociaż na mostku „Executora” zapanowało poruszenie, Ciena nie miała do roboty zbyt wiele poza obserwowaniem tych ostatnich chwil łowów. Wciąż czuła się dziwnie zdystansowana od rozgrywających się zdarzeń, nawet gdy na mostku zawitał sam Vader.

– Będą w zasięgu naszego promienia ściągniętego lada chwila, panie – zameldował admirał Piett.

– Czy twoi ludzie unieruchomili hipernapęd „Sokoła Millennium”? – spytał chrapliwym głosem Vader.

– Tak, panie.

– Doskonale – skwitował Vader. – Przygotujcie się do desantu i ustawcie broń na ogłuszanie.

W normalnych okolicznościach Cienę rozpierałaby dumą wywołana uznaniem dla jej pracy, jednak teraz czuła się tak, jakby stała z boku i przyglądała się tylko wydarzeniom rozgrywającym się z jej udziałem, jakby to były tylko próbne manewry, wspomnienie... aż do mrożącej krew w żyłach chwili, w której „Sokół” skoczył w nadprzestrzeń i zniknął bez śladu.

Jak, u licha, tego dokonali?

Nash wpatrywał się w instrumenty z niedowierzaniem. Ciena może

i podzielałaby jego zdumienie, gdyby nie dostrzegła wyrazu twarzy admirała Pietta. Zbladł jak ściana, a ona nawet ze swojego miejsca na dole widziała, jak grdyka drga mu gwałtownie, kiedy przełykał nerwowo ślinę.

„Zaraz zginiemy – uświadomiła sobie. – Admirał, ja i Nash... Vader zamorduje nas wszystkich. Wypełniłmy powierzone nam zadanie, jednak to bez znaczenia...”.

Przez wiele lat była wdzięczna za to, że nie miała okazji osobiście doświadczyć żadnego z aktów „eliminacji” dokonywanych przez Vadera. Cóż, wyglądało na to, że pierwszym z nich, którego będzie naocznym świadkiem, stanie się jej własna egzekucja.

Jednak Vader po prostu stał obok nich jeszcze przez jakiś czas w milczeniu, a potem odwrócił się na pięcie i opuścił mostek bez słowa. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Piett z jękiem padł na fotel, niczym ktoś, komu właśnie zdjęto z ramion ogromny ciężar – i kto czuł jeszcze na ramionach jego brzemię. Nash pochylił się nad swoimi monitorami, kryjąc twarz w dłoniach. Ciena liczyła na to, że poczuje ulgę, jednak – ku jej przerażeniu – strach pogłębił się tylko, jak gdyby przeniknął w głąb jej ciała.

Tego wieczoru siedzieli w kącie pokładowej kafejki nad pustymi talerzami. Ciena odezwała się pierwsza:

– Jak sądzicie, dlaczego ci wszyscy ludzie dołączają do Rebelii?

Berisse wzruszyła ramionami.

– Z tego samego powodu, dla którego inni dopuszczają się przestępstw albo układają się z Huttami: nie mogą się odnaleźć w normalnym społeczeństwie, więc nienawidzą tych, którym przychodzi to bez trudu.

Thane był w czołówce listy najlepszych pilotów. Ciena nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby pozostał na służbie, on także już wkrótce dochrapałby się rangi komandora. Musiało być jakieś inne wytłumaczenie.

– A ty co o tym myślisz, Nash? – spytała.

– A kogo obchodzi, jak się staczają podobne szumowiny? – prychnął zdecydowanie zbyt lekceważąco. – Mnie zależy jedynie na

tym, by się ich pozbyć.

– A dlaczego w ogóle pytasz? – Berisse upiła łyk swojego proteinowego koktajlu mlecznego. Chociaż w mesie były dostępne na żądanie bardziej „tradycyjne” posiłki, tylko starsi oficerowie pozwalali sobie na nie, nie obawiając się posądzenia o małostkowość. Ostatni raz Ciena jadła chleb ponad dwa lata temu.

Wzruszyła ramionami.

– Tak po prostu.

– Oho, ktoś tu jest dziś nie w sosie – zauważył Nash. Wpatrywał się w nią ciepłymi, brązowymi oczami. Odkąd ukończyli akademię, tak bardzo schudł – ze szczupłego stał się zasuszony i żyłasty, jednak jego oczy wciąż pozostały te same. – Co się dzieje?

Nie ośmieliłaby się powiedzieć mu całej prawdy, jednak jeżeli istniał ktoś, kto zdołałby jej wyjaśnić decyzję Thane’a, to tylko Nash.

– Ostatnio sporo myślałam o Thanie.

Berisse otoczyła ją ramieniem, a uśmiech Nasha znikł bez śladu, zastąpiony przez smutek.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – powiedział cicho. – Thane był ostatnią osobą, którą posądzałbym o skłonności samobójcze.

– Po całej tej historii z Gwiazdą Śmierci... żadne z nas nie było sobą – dodała Berisse, kręcąc głową.

– Ale przecież on miał tyle powodów, by cieszyć się życiem! Nowy przydział, świetne wyniki w pilotażu, zemsta na rebeliantach i... i miał ciebie, Cieno. – Ostatnie słowa przeszły Nashowi przez gardło z wyraźnym trudem, jednak zrobił, co mógł, by to ukryć. – To powinno wystarczyć każdemu mężczyźnie.

Nie patrzyła mu w oczy.

– Zastanawiam się, dlaczego czuł się taki... zrozpaczony.

Tylko ktoś zupełnie pozbawiony nadziei przeszedłby z Imperium do Rebelii. Czym innym było złamanie przez Thane’a przysięgi, jeśli czuł, że nie zdoła jej dotrzymać – ale dołączenie do bandy nihilistów zabawiających się w partyzantkę? Nie był idealistą, więc nie mógł łyknąć tej idiotycznej ideologicznej papki, którą serwowali, by przyciągnąć naiwniaków. Musiał przystać do nich tylko dla zasady, nic poza tym.

– Czy Thane miał na pokładzie Gwiazdy Śmierci bliskich przyjaciół? – spytała z wahaniem Berisse, wpinając niesforne pasemko jasnych włosów z powrotem do przepisowego koka. – Może kogoś, o kim nie wiedziałaś? Na przykład... jakąś dziewczynę z akademii? To znaczy taką, z którą był przed tobą! – dodała prędko. – Może wciąż jest rozżalony jej śmiercią?

– Gdy byliśmy w szkole, nikogo nie miał – pospieszył z odpowiedzią Nash. – Na Jelucanie chyba też nie, co?

– Nie. – Ciena co jakiś czas widywała go z dziewczynami, jednak nigdy dwa razy z tą samą.

– A może chodziło o coś, co wydarzyło się na waszej ojczystej planecie? – podsunęła Berisse. – Był wściekły po historii z Gwiazdą Śmierci i opuścił posterunek, jednak chciał tylko wrócić do domu, żeby dojść do siebie... i wówczas coś się wydarzyło?

– Zawsze miałem wrażenie, że jego stosunki z ojcem są w najlepszym razie napięte – dodał Nash. – A w najgorszym... cóż, dochodziło do przemocy. Och, nie rób takich wielkich oczu, Cieno – dodał na widok jej miny. – Mieszkałem z nim przez trzy lata w jednym pokoju. Myślisz, że nigdy nie widziałem blizn na jego plecach? – Stwardniały mu rysy. – Założę się, że jego ojciec zaatakował go w najgorszej możliwej chwili. I to przelało czarę goryczy.

– Nie zrzucałabym winy za to na ojca Thane'a – stwierdziła ostrożnie Ciena. Cóż, przynajmniej to było prawdą. Jednak wówczas zdała sobie sprawę, że Nash nie zna odpowiedzi na jej pytanie. Decyzja Thane'a, by dołączyć do Rebelii, pozostanie dla niej irytującą tajemnicą – niczym drzazga, której nie można wyciągnąć, a przez którą rana nigdy się nie zagoi.

Z zamyślenia otrząsnęła się dopiero, gdy Nash odprowadził ją niemal pod drzwi jej kajuty. Mieszkała na końcu najdłuższego korytarza koszar, więc byli z dala od wścibskich oczu i uszu, gdy położył jej dłoń na ramieniu.

– Idziesz już spać? – rzucił lekko, jednak nie mogła mieć żadnych wątpliwości co do intencji zawartych w tym pozornie niewinnym pytaniu.

Podejrzewała, że coś takiego może się prędzej czy później wydarzyć, jednak nie przyszłoby jej do głowy, że akurat dziś. Nic dziwnego, że Berisse znalazła sobie jakąś wymówkę, żeby opuścić ich wcześniej; Ciena powie jej coś do słuchu, gdy tylko znów ją zobaczy.

– Nash, to... nie jest dobry pomysł.

– Wręcz przeciwnie, to bardzo dobry pomysł – zapewnił ją; w oczach lśniły mu psotne ogniki... i nadzieja. – Nie sądzisz, że zasługujemy na odrobinę rozrywki?

– Mam wrażenie, że zależy ci na czymś więcej niż tylko rozrywka – odparła najdelikatniej jak zdołała. – A ja nie mogę ci tego dać.

Przechylił głowę na ramię; widziała, że nie zamierza się z nią kłócić, jednak nie dawał za wygraną.

– A czy zdołałbym cię może namówić na spędzanie ze mną nieco więcej wolnego czasu? Tak, żebyśmy mogli poznać się lepiej, bez Berisse i innych naszych przyjaciół kręcących się w pobliżu? Zdaję sobie sprawę z tego, że przestawienie się z trybu przyjaźni na... cóż, coś więcej, może być nieco... trudne, jednak sądzę, że warto spróbować. A na ciebie mogę czekać tak długo, jak trzeba.

Gdy cofnęła się od niego o krok, natrafiła plecami na ścianę. Jakże głupio się czuła, bezradna i niezdarna niczym uczennica!

– Nie mogę – powiedziała, siląc się na stanowczość.

Zrzedła mu mina i Ciena widziała wyraźnie, jak zalotny nastrój znika bez śladu, zastąpiony chmurnością.

– Ależ ze mnie idiota – westchnął. – Zaledwie godzinę temu rozmawialiśmy o Thanie. Powinienem był wiedzieć, że to nie jest najlepszy moment. Wybacz.

– Nic się nie stało, naprawdę.

– Wiesz, mnie też go brakuje. – Nash sprawiał wrażenie tak przybitego, że Ciena poczuła ukłucie winy. Kłamstwem dotyczącym samobójstwa Thane'a ocaliła mu życie, jednak i zraniła głęboko, już na zawsze, jego przyjaciół. – Nie chciałem cię urazić.

– Wiem. – Uśmiechnęła się z przymusem. – To chyba dobry moment, by powiedzieć sobie „dobranoc”.

Nash westchnął.

– Dobranoc. – Uścisnął przelotnie jej ramię, a potem odszedł.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi jej kajuty, opadła na koję, zmęczona tak bardzo, jakby odbębniła trzy zmiany pod rząd.

Powtórzyła sobie w myśli, że dała Nashowi kosza, bo nic do niego nie czuła – i wiedziała, że to prawda.

Nie mogła się jednak oszukiwać, że w głównej mierze za jej oziębłość odpowiadało uczucie, którym darzyła Thane'a Kyrella.

„Powinnam go nienawidzić – przekonywała samą siebie. – Muszę się nauczyć go nienawidzić”. Jednak... nie potrafiła. Nie mogłaby. Nigdy.

Niewielki komunikator w kącie jej kajuty zamigotał na niebiesko, sygnalizując nadejście wiadomości ze źródła innego niż imperialne. To mogło zaś znaczyć tylko jedno: wiadomość z domu. Już, już miała ją odtworzyć, kiedy w głowie zamigotało jej alarmowe światełko: „Czy powinnam ją teraz oglądać? Czy powinnam ją oglądać w ogóle?”.

Tęskniła za ojczystym Jelucanem. Każdego dnia, którego posilała się przetworzonymi racjami żywnościowymi w pokładowej kafejce, marzyła o kromce zwykłego chleba. Mimo oficjalnych instrukcji oficera spraw wewnętrznych, pozwalającego na rozmowy z bliskimi nie częściej niż co dwa miesiące, kontaktowała się ze swoją rodziną regularnie.

Wydobyła z kieszeni sakiewkę, w której trzymała skórzaną bransoletkę, pamiątkę po Wynnet. Już dawno nie prosiła siostry, by patrzyła jej oczami.

„Stanowczo zbyt długo – pomyślała z nieodpartym wrażeniem, że zaciska palce na sakiewce za mocno. – Nie muszę wybierać między byciem rodowitą Jelucanką a wzorową imperialną oficer. Mogę dobrze wypełniać obie te role jednocześnie”.

Aktywowała wiadomość i z uśmiechem na ustach powitała widok błękitnawej holograficznej twarzy swojego ojca. Nim jednak zdołała wysłuchać do końca, co miał jej do powiedzenia, uśmiech znikł bez śladu, a serce ścisnęło jej się z bólu.

Ronnadam podniósł siwe brwi tak wysoko, że niemal sięgnęły linii jego postępującej łysiny.

– A więc chcesz lecieć na swoją ojczystą planetę na... czas nieokreślony?

– W tej chwili przysługuje mi siedem tygodni wolnego, sir. Szczerze wątpię, czy zdołam wykorzystać cały ten czas.

Perfekcyjni imperialni oficerowie nie brali wolnego – chyba że byli zmuszeni pójść na zwolnienie wywołane koniecznością rekonwalescencji. Ciena nigdy nie prosiła o przepustkę, aż do dziś.

Ronnadam wstał zza biurka i splótł dłonie za plecami. Zielone oczy miał dziwnie zamglone, jakby wpatrywał się w niejasną przeszłość.

– Sama zdecydujesz, jak wykorzystać swój wolny czas. Nie kwestionuję jednak długości twojej nieobecności, tylko motywację, która skłania cię do powrotu na ojczystą planetę.

– Moja matka stanie przed sądem za sprzeniewierzenie funduszy lokalnej kopalni, w której pełniła funkcję nadzorcy. – Wypowiedziane na głos fakty wydawały się dziwnie abstrakcyjnie. Jej matka złodziejka?! Niemożliwe. Nigdy nie była zachłanna: zadowalała się tymi kilkoma nielicznymi przedmiotami, które posiadała, a jej awans napełnił wszystkich taką dumą! – W jelucańskich dolinach kwestionowanie czyjegoś honoru to najpoważniejsza zniewaga, jaka istnieje, sir. Ci, którzy wierzą w jej niewinność, muszą wówczas stanąć u jej boku, to nasz święty obowiązek.

– Zaprawdę, święty. – W ustach Ronnadama słowo zabrzmiało jak drwina. – Komandor porucznik Ree, z pewnością zdajesz sobie sprawę z tego, że zarzuty wobec twojej matki zostały wysunięte przez władze imperialne. Czyżbyś chciała podważyć osąd podwładnych Imperatora?

– Oczywiście, że nie, sir – zapewniła go szybko. – Jednak moja matka mogła zostać umyślnie uwikłana w tę intrygę przez... osoby trzecie. Mogło też dojść do jakiejś pomyłki, która doprowadziła do nieporozumienia.

Ronnadam zasznurował wargi i zrobił zatroskaną minę, jednak nie po to, by okazać jej współczucie, ale raczej żeby z niej zakpić.

– Czy słyszysz własne usprawiedliwienia, Ree?

– Nie chciałabym po prostu wysuwać zbyt pochopnych wniosków na podstawie niepełnych informacji, sir – odparła. – Muszę sama

wszystko sprawdzić. – Jakimś cudem zdołała spojrzeć mu w oczy. – Nieważne, jaka będzie prawda, godnie stawię jej czoła.

Niechętnie kiwnął głową.

– Owszem. To może być dla ciebie cenna lekcja. – Zaczął się przechadzać w tę i w tę, stawiając kroki wolno, z rozmysłem. – Wróć na ojczystą planetę, komandor porucznik. Weź udział w rozprawie matki.

Ciena spróbowała wyobrazić sobie swoją matkę przed sądem, skutą, bezsilną. Bezskutecznie.

Usta Ronnadama rozciągnął arogancki uśmiech.

– A kiedy wrócisz, zgłosisz się niezwłocznie do mnie i poinformujesz mnie o orzeczeniu winy lub niewinności... oraz czy twoim zdaniem ten wyrok jest słuszny.

Ciena wiedziała, że nieważne, co orzeknie sąd, oczekiwano od niej poparcia jego decyzji, nawet gdyby miała ona oznaczać zesłanie jej matki do obozu pracy...

„O nie – pomyślała spłoszona. – To się nie wydarzy. Sędzia wyda sprawiedliwy wyrok”.

Przynajmniej tak sobie wmawiała. Chciała w to wierzyć.

Jednak pierwszy raz od wielu miesięcy wiara w Imperium nie dawała jej pokrzepienia. Nie mogła już dłużej bronić się przed uczuciem, którego nie dopuszczała do siebie przez ostatnie trzy lata, które odsuwała na skraj świadomości: przed zwątpieniem.

Rozdział 19

Thane sprowadzał swojego X-winga coraz niżej, dopóki maszyna niemal nie szorowała brzuchem po koronach porastających D'Qar drzew. Choć już zmierzchało, widział pod kadłubami innych statków liście mierzwiłone silnym podmuchem, trzepoczące niczym podczas wichury. Jeśli tam w dole ktoś był, obecność Eskadry Koron zostanie wykryta w ciągu kilku minut.

„Nie zabawimy tu aż tyle” – upomniał się w myśli i otworzył bezpieczny kanał.

– Korono Pięć? Tu Korona Cztery. Odbiór!

– Potwierdzam! – odparła Kendy. – Mam negatywne odczyty. Nie wykrywam żadnych sztucznych źródeł zasilania.

– U mnie to samo.

Eskadra Koron została wysłana, by sprawdzić D'Qar pod kątem ewentualnych sygnałów obecności Imperium. Z informacji dostarczonych przez supertajnych szpiegów z Coruscant wynikało, że imperialna flota zaopatrywała się ostatnio w dużą ilość sprzętu; nikt nie wiedział, do czego służył, ale chodziły słuchy o nowych, dużych zleceniach stocznioowych...

Jeśli jednak Imperium zaczęło budowę nowych gwiazdnych niszczycieli lub jakichś innych superbroni, nie robiło tego z całą pewnością tutaj, na D'Qar. Przeprowadzili skany obydwu półkul, przeszukali skrzętnie orbity planetarne i solarne – i nic nie znaleźli.

Thane z pewnym zdziwieniem zdał sobie sprawę, że wolałby, by było inaczej. Gdyby wiedzieli, co planuje Imperium, mogliby przynajmniej podjąć odpowiednie kroki: sabotować fabryki, wysłać droidy szpiegowskie do kluczowych lokalizacji i tak dalej. Na razie musieli się jednak uzbroić w cierpliwość.

– Korono Dwa – rzucił do mikrofonu komunikatora. – Czy ty także potwierdzasz negatywne odczyty?

– Potwierdzam – nadeszła odpowiedź Yendora. – Całkowity brak aktywności Imperium. Chyba że z jakichś niejasnych powodów

zdecydowali się wykorzystać do obrony małe leśne zwierzątka.

– Szczerze? Raczej wątpię. – Thane zamyślił się nad czymś na chwilę. – Powinniśmy umieścić tę planetę na liście potencjalnych lokalizacji pod bazę Rebelii. Imperium najwyraźniej nie jest nią zainteresowane. Nie leży na zbyt uczęszczanym szlaku, a na dodatek obfituje w wodę.

– I bije Hoth na głowę – dodał Yendor.

– Od Hoth jest lepszy nawet brzuch sarlacca! – Thane zaczął wpisywać w komputer nawigacyjny współrzędne „Liberty”.

– Zabierajmy się stąd – zawtórowała mu dowódczyni Koron.

Wrócili na pokład krążownika. Reszta członków eskadry zajęła się konserwacją swoich X-wingów w zaduchu hangaru serwisowego „Liberty”, pośród zwykłych przekomarzanek.

– Daj spokój – przekonywał Yendor dowódczynię eskadry i najstarszą pilotkę w grupie, onieśmielającą kobietę znaną jedynie jako Hrabina. – Nie powiesz mi chyba, że to nie jest zabawniejsze od życia w pałacu!

Spojrzała na niego znacząco.

– Powinieneś spędzać więcej czasu w pałacach.

– Pewnie tak – przyznał Yendor. – Skoro zapraszasz...

– Szczerze? – parsknęła z lekkim rozbawieniem. – Powinieneś brać przykład ze Smikesa. On nigdy nie udaje, że bawimy się lepiej niż w rzeczywistości.

– Bo my nigdy się nie bawimy – rzucił Smikes spod brzucha swojego X-winga. Na głowie miał bandanę, dającą nieco ochrony przed potem zalewającym oczy w dusznym kalamariańskim środowisku. – To wojna. Co w tym zabawnego?

– Ależ z ciebie zrzęda – zażartował Yendor. – Jeśli pewnego dnia się roześmiejesz, lepiej, żeby w pobliżu był droid protokolarny, by to nagrać.

– Nie bądź dla niego taki surowy – wtrąciła Kendy, odrzucając ciemnozielony warkocz za ramię. – Jest po prostu pesymistą.

– Nie pesymistą, tylko realistą – uściślił Smikes.

Owszem, może i był czarnowidzem, jednak świetnie latał.

Thane powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach i pokręcił głową

– stanowili tak barwną zbieraninę istot, że w innych okolicznościach nikt nawet w najśmielszych snach nie spodziewałby się, że utworzą grupę. Cóż, przynajmniej byli gotowi wspierać siebie nawzajem.

W przeciwieństwie do innych.

Gdy wszyscy kończyli już to, co mieli do roboty, Kendy rzuciła:

– Muszę przyznać, że praca wywiadowcza jest znacznie mniej romantyczna i niebezpieczna, niż zawsze sądziłam.

Thane nie podniósł wzroku znad otwartego panelu na skrzydle swojego X-winga.

– Przypuszczam, że element niebezpieczeństwa jest właśnie tym, co może cię w tej robocie zabić. Ale tym będziemy się martwić, gdy przyjdzie co do czego. Mogę zrobić wszystko, czego od nas oczekują, ale nie mam skłonności samobójczych.

Przez kilka minut, podczas których skupił się bez reszty na pracy, nikt się nie odezwał. Niemal już zapomniał, że w ogóle rozmawiał z Kendy, dopóki nie powiedziała cicho:

– Wiesz, że właśnie tak twierdziła Ciena?

Zamarł w bezruchu, gapiąc się na kable i układy zasilające jego statku, z kluczem uniesionym nad złączem, które zamierzał wyregulować. Nie podniósł na nią wzroku.

– Co mówiła Ciena?

– Mówiła, że popełniłeś na Jelucanie samobójstwo. Usłyszałam o tym od naszych znajomych ze szkoły i od razu skontaktowałam się z Cieną, bo nie mogłam w to uwierzyć... jednak nie bardzo chciała rozmawiać. Wówczas sądziłam, że to dlatego, iż cierpiała, ale kiedy zdałam sobie sprawę, że dołączyłeś do Rebelii... Pomyślałam: „Rany, Thane całkiem nieźle zatarł za sobą ślady”. Im jednak dłużej o tym myślałam... zwiódłbyś wszystkich innych w galaktyce, ale nie Cienę. Zbyt dobrze znaliście siebie nawzajem. Ona cię kryła, prawda?

– Tak. – Thane poczuł się, jakby znów znalazł się na Jelucanie, zamykając drzwi za Cieną. Był pewien, że go wyda, nieważne, co się stanie. – Tak.

Kendy aż gwizdnęła pod nosem.

– Ciena Ree sprzeniewierzyła się Imperium?

– Czasami jesteśmy lojalni wobec więcej niż jednej rzeczy –

powiedział machinalnie, z lekkim oporem, jednak i dużą dozą pewności. – W razie konfliktu musimy wybrać, wobec której strony być wiernym. Sądzę... sądzę, że wybrała po prostu mnie.

Ciena go kryła. Zaplanowała tę skomplikowaną intrygę – ona, która nigdy nie splamiła się kłamstwem – dla niego. Znający ją lepiej od niej samej Thane zdawał sobie sprawę z tego, ile musiało ją to kosztować. Poczuł, jak zadzierzgnięty ciasno węzeł gniewu, który nosił w piersi przez trzy ostatnie lata, rozluźnia się wreszcie... Jednak to tylko wszystko pogorszyło, bo jedynie ten gniew jak tarcza chronił go przed żalem po jej utracie.

Słyszając dźwięk kroków dudniących o metalowe poszycie, podniósł wreszcie głowę znad swojego X-winga. Kendy zeskoczyła z kadłuba własnego myśliwca i stanęła pod jego maszyną z rękami wspartymi na biodrach.

– W takim razie dlaczego jej tu nie ma?

– Cieny?

– Ciągle powtarzała, że wierność ślubuje się na zawsze: obietnica to obietnica, musisz być lojalny wobec tego, w co wierzysz. – W jej głosie pobrzmiwała złość. – Nigdy przez myśl by mi nawet nie przeszło, że mogłaby skłamać. A teraz dowiaduję się, że złamała przysięgę po to, żeby cię chronić... A jednak nadal służy w imperialnej flocie. Jak śmie? Jeśli zdołała złamać swoje zasady dla twojego dobra, dlaczego nie chce zrobić tego dla dobra całej galaktyki?

– Ciena nigdy nie była nielojalna względem Imperium. – Thane nienawidził tej myśli, jednak wiedział, że to prawda. – Ten jeden raz przedłożyła nad nie lojalność wobec mnie. To jednak wcale nie jest równoznaczne z wiarołomnością.

– Szczerze? Nie widzę różnicy.

– Dlatego, że nie pochodzisz z Jelucana. – „I nie znasz Cieny tak jak ja” – dopowiedział w myśli. Złącze mogło zaczekać. Zamknął panel, odłożył narzędzia i ześliznął się z kadłuba, żeby stanąć przed Kendy. – Słuchaj: my także służyliśmy w imperialnej flocie, zapomniałaś już? Dobrzy ludzie zmieniają się w służbie złu.

Pokręciła głową i skrzyżowała ramiona na piersi. W powietrzu

unosił się zapach ozonu i silnikowego smaru, zielone włosy Kendy lśniły w ostrych światłach hangaru.

– Dobrzy ludzie mogą zacząć służyć Imperium. Jeśli jednak wytrwają w tej służbie dość długo, przestaną być dobrzy. Robisz jedną rzecz, o której sądziłeś, że nigdy, przenigdy jej nie zrobisz – wypełniasz rozkaz, o którym na samą myśl robi ci się niedobrze – i powtarzasz sobie, że to ten jeden jedyny raz. Wyjątek.

Thane przypomniał sobie, jak sam próbował ignorować niedole nieszczęsnych Bodach'ich.

– Tak, wiem.

– A mimo to brniesz w to dalej – ciągnęła Kendy. Wzrok miała szklany, nieobecny i mówiła teraz jakby bardziej do siebie niż do niego. – Idziesz na kolejny kompromis, a potem jeszcze jeden, a kiedy wreszcie dociera do ciebie, czym tak naprawdę jest Imperium, okazuje się, że zaszedłeś tą ścieżką zbyt daleko, by się cofnąć. Mnie się udało, jednak gdybym nie miała w tym wsparcia... gdybym była osamotniona... całkiem możliwe, że zostałabym. I wolę nie myśleć o osobie, którą wówczas bym się stała.

Thane zorientował się, że Kendy stara się go ostrzec, iż Ciena, jaką znał, ta sama, która go ocaliła, mogła już nie istnieć.

Być może miała rację. Mogło się zdarzyć i tak, że do tej pory Ciena wzięła udział w jednej z „dyscyplinujących” masakr, którymi Imperium karało niesubordynowane światy. Mogła przebywać na pokładzie któregoś z tych gwiazdnych niszczycieli uczestniczących w bitwie o Hoth, z wyrachowaniem biorących na cel rebelianckie myśliwce, którym udało się wystartować. Imperium najprawdopodobniej przekuło jej honor w beznamietność, snobizm i okrucieństwo.

Jednak świadomość tego faktu wcale nie ułatwiała mu pogodzenia się z nim.

– Chyba nigdy się tego nie dowiemy – mruknął tylko. – Żadne z nas już nigdy jej nie zobaczy.

Na chwilę przed tym, jak odwrócił się na pięcie, żeby wyjść z hangaru, dostrzegł minę Kendy: na jej twarzy malowało się współczucie.

Resztę dnia spędził na pracy. Jego ponura mina sprowokowała Yendora do pytania, czy ktoś umarł, a Smikes kazał mu się rozchmurzyć. Gdy skończyli już zdawać raport z oględzin D'Qar, wymówił się od wspólnego posiłku i gry w karty po zakończeniu zmiany. Zamiast tego zaszył się na jednym z rzadko opustoszałych pokładów komputerowych „Liberty”, by pobyć sam ze sobą.

Samotność była luksusem, na który rebeliancki pilot nieczęsto mógł sobie pozwolić – podobnie jak kadet w akademii. Thane nie miał zbyt wielu okazji być sam na sam ze swoimi myślami. Gdy jako chłopiec szukał samotności, zawsze wymykał się do Fortecy. Czasami spotykał tam Cienę, jednak jej obecność nigdy mu nie przeszkadzała. Nim skończyli po dziesięć lat, wiedzieli już, kiedy to drugie chce milczeć i jak być ze sobą blisko, nie wchodząc sobie nawzajem w paradę. Jak często zdarzało się, że ktoś rozumiał kogoś innego tak dobrze?

„Teraz w ogóle byśmy się nie zrozumieli – upomniał się w myśli. – Ona od wielu lat pełni funkcję imperialnej oficer. Wszystko, co było w niej dobrego, zostało dawno temu skażone, zatrute. Gdybyśmy znów się spotkali, już by mnie nie kryła, nie ma na to szans. Muszę wziąć się w garść”.

Przeciągnął się, otarł czoło i wywołał na ekran najnowsze wieści z Jelucana. Widok ojczystego świata nie nappełniał go tęsknotą – wręcz przeciwnie. Planeta zmieniała się z miesiąca na miesiąc, wciąż na gorsze; każde kolejne doniesienie utwierdzało go tylko w przeświadczeniu, że ten dziki, prymitywny świat, na którym dorastał, już nie istnieje. A dziewczyna, którą kiedyś znał i pokochał, tamta Ciena, była tak samo stracona dla galaktyki jak dawny Jelucan.

Pozwolił więc, by przed jego oczami przewinęły się pierwsze ponure obrazy; jak na ironię, widok spustoszonej planety łagodził palący go w piersi ból... dopóki nie trafił na zapowiedź rozprawy czekającej Verine Ree.

Zerwał się na równe nogi tak szybko, że hologram zamigotał – urządzenie nie zdążyło w porę ocenić właściwej odległości od odbiorcy. „To niemożliwe – pomyślał gorączkowo. – Mam omamy, bo dopiero co rozmawiałem z Kendy o Cieni i myślałem o niej”. Jednak wówczas obraz się wyostrzył i w powietrzu przed nim zamajaczyła

twarz matki Cieny. Podpis nad jej głową głosił: OSKARŻONA.

Malwersacja? To niemożliwe. Ktoś z doliny mógł się o coś wściec i w gniewie komuś przyłożyć czy nawet go zabić – do przestępstw w afekcie dochodziło tu równie często, co gdzie indziej. Zdarzały się drobne wykroczenia – kradzieże, tego typu rzeczy. Ale coś tak wyrachowanego i nieuczciwego jak malwersacja? To stało w jaskrawej sprzeczności ze wszystkim, w co wierzyli.

Jasne, pośród mieszkańców dolin zdarzali się hipokryci, jednak z pewnością nie w rodzinie Cieny. Wystarczyło znać samą Cienę, by wiedzieć, że nie.

Thane zacisnął usta. Jeśli zostało coś jeszcze z Cieny, jaką znał... wiedział, że nie puści tego płazem. Jeśli pogodzi się z wyrokiem wydanym na jej matkę i jej uwięzieniem, będzie stracona na zawsze. Równie stracona, jak gdyby zabił ją wówczas tamtego dnia na Hoth.

„Żegnaj” – powiedział do niej w myśli, wspominając tamtą dziewczynkę w prostej, brązowej sukience, brązowy jesienny liść. Nadeszła pora, by zapomnieć o niej na zawsze.

„To nie może być Jelucan – miała ochotę krzyknąć do pilota promu Ciena. – Znaleźliśmy się nie w tym układzie, co trzeba!”.

Wiedziała jednak aż za dobrze, że jest na właściwej planecie. Wszystko się po prostu zmieniło.

Wydawało się, że gęsta mgła osiadła na ziemi na stałe, a powietrze jest lepkie od sadzy. Kopalnie wykute w licznych zboczach nie filtrowały produktów ubocznych towarzyszących wydobywaniu uranu, więc ludzie po prostu pracowali w zanieczyszczonej atmosferze, kaszląc pod żałośnie cienkimi maskami lub zwykłymi chusteczkami zasłaniającymi im usta.

Początkowo Ciena sądziła, że maseczki ją mylą i utrudniają odróżnianie ludzi z doliny od drugofalowców. Chociaż ostatecznie, gdy była w domu, zauważyła znacznie więcej masowo produkowanych ubrań, te dwie grupy nadal wyraźnie się od siebie odróżniały. Teraz nie widziała między nimi żadnej różnicy. Nigdy nie sądziła, że zatekni za krzykliwymi, długimi płaszczami drugofalowców, jednak na próżno szukała choćby śladu szkarłatu czy

kobaltu. Po ulicach nie wędrowały już kudłate muunyaki – ludzie chodzili pieszo albo przemieszczali się graniolazami.

Valentia bardzo się zmieniła przez te trzy lata, jednak wówczas była przynajmniej rozpoznawalna. Teraz szalaszów pracowników sezonowych namnożyło się tak wiele, że niemal całkiem zasłaniały oryginalne kamienne budowle. Budynki Senatu, które zaanektował imperialny garnizon, były teraz pełne wojska i chronione polem siłowym, lśniącym niezdrową zielenią; przez ich bramy nieustannie przechodzili szturmowcy i oficerowie.

Ciena zauważyła, że Jelucanie mijają imperialną placówkę szybszym krokiem. Nie chcieli zwracać na siebie uwagi. Nikt nie patrzył jej w oczy.

– Nie powinienem był cię prosić, żebyś przyjeżdżała – powtórzył Paron Ree, stojąc pod drzwiami jej starej sypialni. – Myślałem tylko o sobie, podczas gdy powinienem był pomyśleć o tobie. Co powiedzą twoi przełożeni?

– Powiedzą, że zaszło nieporozumienie, bo na pewno tak właśnie jest. – Ciena cisnęła na bok swoją mundurową kurtkę, która wylądowała na spodniach i butach. Jej stare ubrania wciąż na nią pasowały i tylko nieznacznie trąciły stęchlizną. Fioletowe getry i bluza wydawały się tak nieprawdopodobnie miękkie! Czy naprawdę nosiła je kiedyś dzień w dzień? Otworzyła drzwi i weszła do głównego pokoju, w którym jej ojciec stał ze splecionymi dłońmi, jakby przygotowując się do złożenia oficjalnego raportu. Położyła mu ręce na ramionach i uścisnęła lekko. – W porządku, tato. Prawda wyjdzie na jaw.

Twarz jej ojca wykrzywił grymas głębokiej troski.

– Mało prawdopodobne, żeby władze zdołały wskazać prawdziwego sprawcę.

– Jeszcze go nie znaleźli? Cóż, pożyjemy, zobaczymy. – Gdyby tylko miała już stopień komandora! Dzięki wyższej randze może mogłaby liczyć na większy posłuch podczas rozmowy z sędzią, która czekała ją nazajutrz. – Wybacz, tato, ale nie wyglądasz zbyt dobrze. Jadłeś coś w ogóle?

– Teraz, kiedy zabrali twoją matkę... straciłem poczucie czasu.

Ciena zamarła. Aż do tej chwili nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, że jej matka jest w więzieniu – i nie mogła uwierzyć własnym uszom, kiedy ojciec powiedział jej, że nie wolno jej przyjmować gości. Tę sprawę również będzie musiała poruszyć podczas spotkania z sędzią. Poprosiła o nie z samego rana, więc z pewnością wkrótce ktoś się do niej w tej sprawie odezwie.

Była tego pewna.

Jej ojciec miał w chłodni nieco mięsa i warzyw, zatem zabrała się do gotowania prostej zupy. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz miała okazję przyrządzać prawdziwy posiłek, jednak wciąż wiedziała, jakich ziół powinna dodać, i знаła ich zapach, który zostawał na palcach po przygotowaniu potrawy. Pierwszy raz od dawna zaburzało jej w brzuchu. W końcu będzie miała okazję zjeść coś innego niż imperialne racje żywnościowe (zabrała ze sobą kilka butelek odżywczych napojów, jednak wolała zachować je na podróż powrotną).

Kiedy wywar zaczął perkotać na ogniu, odeszła od paleniska i usiadła na poduszce na ziemi przy niskim stoliku, naprzeciwko ojca. Ledwie zajęła miejsce, dotarło do niej, że wcale nie czuje się dziwnie – nawet po tych kilku latach jądania przy wyższych stołach i siedzenia na ławach czy krzesłach. Dom wciąż był dla niej domem.

Paron pokręcił z wolna głową.

– Dobrze cię znów widzieć, moja droga. – Pogładził ją czule po policzku.

– Powinnam była przylecieć wcześniej.

– Nie. Wiem, że trwa wojna. Robisz to, czego od ciebie wymagają.

Z zaskoczeniem spostrzegła, jak bardzo posiwiał na skroniach od chwili, gdy ostatni raz go widziała, jednak jeszcze bardziej zdumiała ją zmiana w jego zachowaniu. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze był twardy jak skała, nieugięty, jednak niezmiennie prawy. Silny. Teraz widziała jego śmiertelne niemal znużenie i brak ducha równie wyraźnie, jak nowe zmarszczki na twarzy.

– Na zewnątrz nie ma żadnych flag – zauważyła. – Czy lud doliny nie protestuje przeciwko zarzutom? – To byłby akt sprzeciwu wobec

władzy, sprowadzenie na mieszkańców doliny anatemy, jednak na niesprawiedliwe zarzuty czasami należało reagować ostro.

– Wiedzą o nich – poinformował ją drżącym z napięcia głosem ojciec. – Ale nikt nie przyszedł.

– Zupełnie nikt? – To nie mogła być prawda.
Pokiwał głową.

Przypomniała sobie dni, które spędziła w domu rodziny Nierre, trwając u ich boku w najczarniejszych godzinach. Gdy zarzuty wobec nich w końcu wycofano i zgodzono się z imperialną wersją zdarzeń, wspólnie świętowali... jednak myśl o tamtych chwilach kazała Cienie zapytać:

– Jak w ogóle ktoś, kto zna mamę, mógłby podejrzewać ją o kradzież?

– Wiedzą, że nie wzięła tych pieniędzy! – jęknął jej ojciec. – Wszyscy o tym wiedzą, lecz nikt nie powie tego na głos.

– Ale... ale odmowa wsparcia kogoś niesłusznie oskarżonego... – zaczęła.

– To Imperium wysunęło zarzuty wobec niej – przerwał jej. – Jesteśmy mu winni lojalność. Sprzeciwianie mu się okryłoby nas hańbą!

– Ale przecież... nie wystąpisz chyba przeciwko mamie. – Wpatrywała się w niego wstrząśnięta. – Prawda?

– Twoja matka doskonale rozumie, co znaczy zachować honor, podobnie jak ja – odparł. – Czy ty już o tym zapomniałaś, Cieno?

Jego ostry ton sprawił, że słowa uwięzły jej w gardle; nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć.

„A co z prawdą? – pomyślała smętnie. – Czy prawda się już nie liczy? Od kiedy honorowo jest wierzyć w tak bezczelne kłamstwa?”

– Wybacz mi wzburzenie – poprosił; wydawał się jeszcze bardziej wyczerpany niż wcześniej. – Ostatnie dni były dla mnie... trudne.

– Wiem. Przepraszam. Ale jestem już przy tobie.

Minęła godzina. Zjedli w milczeniu zupę i chleb i choć troski nie opuszczały Cieny ani na chwilę, to nie mogła nie rozkoszować się smakiem prawdziwego jedzenia w ustach. Siedząc tutaj przy ogniu, u boku ojca, wsłuchana w krzyki słonojastrzębi, przez chwilę niemal

była w stanie uwierzyć, że nigdy nie została imperialną oficer, że nigdy nie opuściła Jelucana. Że to tylko sen.

Jednak nie mogła pozwolić sobie zbyt długo śnić na jawie. Z każdą upływającą minutą rzeczywistość opadała na jej barki coraz cięższym brzemieniem, bo wiadomość z biura sądu nie nadchodziła; nie przyszedł też nikt z doliny. Ani jedna osoba. Płytki piaszczysty wąwóz pod ich domem świecił pustkami, poświadczając głębię przewinienia i wstydu spoczywającego na rodzinie Ree.

Niebo dobrze już pociemniało, gdy wreszcie odważyła się spytać:

– Tato? Dlaczego jesteś taki pewien, że nikt nie dowie się, kto za tym naprawdę stoi?

– Znasz odpowiedź – rzucił tylko. – Nie obrażaj inteligencji nas obojga, zmuszając mnie do wyjaśnień.

Ciena doszła już sama do jedyne go nasuwającego się w tej sytuacji wniosku: malwersacji dokonał imperialny oficer – ktoś dość wysoki rangą, by sfałszować dowody.

– Ale czy sąd nie może publicznie podważyć wiarygodności imperialnych oficjeli? A nawet jeśli, to oskarżanie mamy...

– Cieno, posłuchaj mnie – wszedł jej w słowo Paron. – Służysz w imperialnej flocie i jestem z tego dumny. Wszystko, co dobre w Imperium, płynie od ciebie i tobie podobnych. – Poklepał ją po dłoni. – Ale każdy rząd i wszyscy rządzący mają swoje ciemne strony. Tutaj, na Jelucanie... widzieliśmy wiele złego. Jednak musimy wytrwać w naszej lojalności.

Wróciła znów myślą do zasnute go sadzami nieba, gór poznaczonych głębokimi bliznami rozpadlin, wyglądającymi niczym ślady szponów jakichś potężnych bestii. Jej ojciec nie zamierzał ustąpić, nawet gdy wszystko wokół niego waliło się w gruzy i umierało pośród smrodu rozkładu.

„To po prostu Jelucan – powtórzyła sobie ponuro w myśli. – I efekty działania skorumpowanego gubernatora. Wyżsi rangą oficjele nie znają prawdy. Gdyby było inaczej, interweniowaliby”.

Jednak te wyjaśnienia brzmiały żałośnie nawet dla niej samej – do tego stopnia, że nie mogła w nie uwierzyć, nie mówiąc już o wypowiedzeniu ich na głos. Przypomniała sobie minę Ronnadama,

gdy udzielał jej zgody na wyjazd, i jego niezachwianą pewnością w to, że imperialny sąd podejmie właściwą decyzję. Wiedział o tym, bo zdawał sobie doskonale sprawę, że „właściwa” decyzja nie zadośćuczyni prawdzie, wystarczy, że zostanie uzasadniona działaniami podjętymi przez imperialnych dostojników. Pozory sprawiedliwości liczyły się bardziej niż rzeczywistość.

A mimo to...

– Ale nikt z mieszkańców, tato? – Wskazała na pustą połąć piachu, pozbawioną flag.

Potem nie było już nic do dodania. Ciena krążyła po domu jak w transie; schowała resztki zupy i umyła naczynia. Znów czuła się, jakby śniła, jednak teraz jej własne środowisko, dom, w którym przebywała, wydawało jej się dziwnie surrealistyczne. Jak to możliwe, że to miejsce, które tak ukochała, stało się nagle tak ciasne i niewygodne? Niemal tęskniła za powrotem na pokład „Executora”, na którym wielokrotnie filtrowane powietrze cuchnęło ozonem i nikt nigdy nie łamał ogólnie przyjętych zasad ani bezpiecznych procedur.

Ostatni etap podróży na Jelucan potrwał dziesięć godzin, jednak Ciena była zbyt zaaferowana, by choć na chwilę zmrużyć podczas niego oko. Teraz, kolejne dziesięć godzin później, znużenie dawało jej się porządnie we znaki. Była skołowana i piekły ją oczy. Jednak pamiętała cały czas, że zgodnie z tradycją w domu osoby oskarżonej ktoś musiał czuwać. W normalnych okolicznościach członkowie rodziny brali kolejne „zmiany”, jednak tym razem było inaczej – byli tylko ona i jej ojciec. I chociaż padała z nóg, wiedziała, że Paron jest bardziej zmęczony od niej.

– Idź spać – poprosiła cicho. – Ja przejmę wartę.

– Musisz odpocząć – zaprotestował słabo.

– Ty także.

– Po całej tej drodze, którą przebyłaś, by tu dotrzeć... – urwał. Wyglądało na to, że nie ma nawet dość siły, by się z nią spierać.

Nagle usłyszała dobiegający z zewnątrz szum silników graniolaza. Tak rozpaczliwie pragnęła towarzystwa kogoś, kto by im sprzyjał, że na odgłos cichego warkotu nadstawiła uszu. Szybko zganiła się jednak w myśli za robienie sobie płonnych nadziei. „Wiele osób podróżuje

tędy w głąb dolin. To nikt do ciebie”.

Jednak wówczas silnik ucichł, a pojazd zatrzymał się. Chwilę później rozległ się dźwięk kroków i... Och, dzięki Mocy! – charakterystyczny odgłos drzewców wbijanych w piach.

Z triumfalnym uśmiechem poklepała ojca po ramieniu i pobiegła do drzwi. Przynajmniej jedna osoba okazała się wobec nich lojalna – choć jedna postanowiła trwać przy nich niezależnie od wszystkiego. Czy w progu stanie któryś z Nierre’ów, ze szkarłatnym rumieńcem na bladym obliczu, przepraszając za spóźnienie? A może jeden ze starszyzny, zamierzający im oświadczyć, że podejmie ryzyko sprzeciwienia się imperialnym oficjelom w imieniu całego ludu doliny?

Otworzyła szeroko drzwi, jeszcze nim ich gość zdążył zapukać... i zamarła wstrząśnięta. Nie była w stanie się poruszyć, a słowa uwięzły jej w gardle; tylko z najwyższym trudem wykrztusiła pełna niedowierzania:

– Thane?

Rozdział 20

Chociaż Ciena często myślała o Thanie i choć w jakiś sposób pozostał częścią niej samej, nie wierzyła, że jeszcze kiedyś go zobaczy. A mimo to stał teraz przed nią skrępowany, niepewny, jak zostanie przyjęty, z dziwnym blaskiem w błękitnych oczach.

– Kto to? – spytał jej ojciec.

– Panie Ree? To ja, Thane Kyrell – bąknął Thane. – Dowiedziałem się o matce Cieny i... Chciałem z wami czuwać. O ile zechcecie mnie przyjąć. – Wskazał na splechetek piachu z zatkniętą w nim samotną flagą. – Ciena mówiła mi kiedyś, że ludzie spoza społeczności, niemający rodowych sztandarów mogą użyć zwykłej czerwonej flagi. A przynajmniej... tak mi się zdaje. – Po raz pierwszy, odkąd się zjawiał, zawahał się i jego niepewność sprawiła, że wydał jej się bardziej znajomy, podobny do tego chłopca, którego zapamiętała. Jednak ta chwila nie trwała długo i pozory zniknęły bez śladu: przed nią znowu stał obcy człowiek. – Czy dobrze zapamiętałem?

– Owszem – potwierdziła zdziwiona, że w ogóle jest w stanie mówić.

Kiwnął głową, godząc się na jej wyjaśnienia równie sztywno, jakby przyjmował rozkaz.

– Czy w takim razie mogę z wami zostać? Czy może mam odejść?

W jego słowach słyszała wyraźnie inne, oczywiste pytanie: „Czy zamierzasz mnie wydać Imperium?”.

Poprzysięgła, że to zrobi. Śluby wierności złożone Imperium wymagały tego od niej – tym bardziej teraz, kiedy wiedziała, że dołączył do Sojuszu Rebeliantów.

Jednak świętość, nienaruszalność czuwania były priorytetem. Każdy, kto kładł swój honor na jednej szali wraz z twoim, zasługiwał na bezpieczne schronienie w twoim domu. Dlatego kiedy jej ojciec spojrział na nią, podnosząc brew, kiwnęła tylko głową i cofnęła się od drzwi, żeby Thane mógł wejść do środka.

Pomyślała, że najwyraźniej wtedy, w Fortecy, słuchał jej uważniej,

niż jej się zdawało, gdy zabijali czas i gdy próbowała opisać mu wierzenia i rytuały ludu z dolin. We właściwy sposób zwrócił się do jej ojca, skłaniając z szacunkiem głowę:

– Paronie Ree? Wierzę w honor pańskiej rodziny.

– Dziękuję, że postanowiłeś z nami czuwać – odparł jej ojciec z lekkim wahaniem w głosie. Spotkał Thane’a tylko kilka razy i nigdy nie widział w nim nikogo poza bogatym, rozpuszczonym młokosem, który osiągnął sukces tylko dzięki Cienie. A już na pewno nie miał okazji uścisnąć mu dłoni – jednak mimo to potrzęsła ją teraz.

Ciena zamknęła drzwi; palce miała tak zdrętwiałe, że ledwie zdołała zasunąć rygiel. Minęły trzy lata, odkąd widzieli się ostatni raz. Tamtego wieczoru rozplakała się w chwili, gdy zeszła na dół; wątpiła, żeby on wytrzymał wiele dłużej.

„Powiedziałałam mu, że jeżeli jeszcze kiedykolwiek go zobaczę, wydam go – przypomniała sobie. – Powiedziałałam, że jeśli kiedykolwiek wróci na Jelucan, zostanie zatrzymany. Aresztowany. Może nawet czeka go śmierć”. Nawet pomniejsze akty zdrady w ciągu kilku ostatnich lat traktowano surowiej.

A mimo to wrócił.

– W porządku. – Stał, wysoki i budzący podziw, na środku ich dużego, zwieńczonego kopułą pokoju, który jakimś cudem wydawał się dla niego za mały. – Czego ode mnie oczekujecie?

Jej ojciec wskazał stół.

– Wystarczy sama twoja obecność. Jadłeś coś? Ciena ugotowała zupę.

– Nie chciałbym się na...

– Będiesz czuwał – weszła mu w słowo nieco ostrzej, niż zamierzała. – W naszym domu. A to oznacza, że jesteśmy ci winni gościnność i ochronę... dopóki przebywasz pod naszym dachem.

– W takim razie chętnie zjem nieco zupy, dziękuję. – Usiadł na podłodze, nie bez trudu krzyżując nogi pod niskim stolikiem.

Ojciec przeprosił ich i zajął się przygotowywaniem posiłku dla gościa – wymagał tego rytuał wobec ich jedyne go sojusznika, a ponadto najwyraźniej wyczuł, iż jego córka i Thane chcą porozmawiać. A przynajmniej powinni – Ciena zdawała sobie z tego

sprawę, jednak nie wiedziała za bardzo, od czego zacząć.

„Cóż, najlepiej od tego, co najważniejsze” – uznała wreszcie i powiedziała:

– Dziękuję. Za to, że stanąłeś u naszego boku.

Kiwnął głową w stronę drzwi.

– Nie widziałem innych flag.

– Lud doliny opuścił nas w potrzebie. – Uśmiechnęła się do niego gorzko. – Nikt się nie zjawił. Tylko ty.

Wahał się przez chwilę, nim powiedział:

– Wiem, że twoja matka jest niewinna. Nikt z dolin nie zrobiłby nigdy czegoś takiego... a przynajmniej nikt z twojej rodziny.

Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, ale oboje szybko odwrócili wzrok.

Kiedy Paron stawiał przed Thane'em miskę zupy, spostrzegła, jak powoli porusza się jej ojciec. Od momentu aresztowania matki ponad tydzień temu nie zaznał zapewne ani chwili spokoju.

– Pamiętaj, to ja dziś czuwam – przypomniała mu, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Połóż się.

– Ja się tym zajmę – wtrącił Thane. – Ktoś musi pełnić wartę aż do świtu, prawda? Jeśli tak, to powinienem być ja.

Jej ojciec, najwyraźniej uznawszy, że sprawa załatwiona, ucałował ją w policzek i bez słowa zniknął w swoim pokoju. Miała nadzieję, że natychmiast położy się i uśnie, bo widać było, że bardzo tego potrzebuje. Poza tym nie chciała, żeby podsłuchiwał cokolwiek z ich rozmowy.

Milczeli, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi. Wówczas usiadła na poduszce obok Thane'a; kolana miała jak z waty – jego bliskość tak mocno przypominała jej o tamtej nocy, którą spędzili razem... Nie było w nim już śladu tej chłopięcej łagodności, którą zapamiętała; zamiast tego dostrzegła w nim niemal ostentacyjną męskość: szerokie ramiona i gęstą, rudawą szczecinę porastającą mocną szczękę. Odwróciła się jednak od niego, żeby nie patrzeć na jego twarz, i rzuciła:

– Wiesz, na co się narażasz, zjawiając się tutaj?

– Byłem ostrożny – zapewnił ją. – Opuściłem swój statek dopiero po

zmroku. Wynająłem graniolaz pod fałszywym nazwiskiem i przyjechałem prosto do was. Odjadę również w nocy. Nie zobaczę więc nikogo poza tymi, którzy tu przyjdą. Jestem bezpieczny... o ile mnie nie wydasz.

– Do tej pory powinieneś chyba już o tym wiedzieć.

– Bo jesteś winna mi „ochronę” z tytułu udziału w czuwaniu? – spytał; w jego słowach słyszała jednak drugie pytanie, którego nie poważał się jej zadać: „Czy może z jakiegoś innego powodu?”.

Nie odpowiedziała. Otoczyła tylko kolana ramionami i mruknęła:

– Sama będę dziś czuwać.

– Przecież widzę, że jesteś wyczerpana – zaprotestował tak ostro, że poczuła się, jakby ją karcił. – Ja spałem parę godzin na pokładzie statku, więc jestem wypoczęty.

– Nie mogę na to pozwolić.

– Nie chodzi o rytuał, prawda? – zgadł trafnie. – Gdyby tak było, twój ojciec by o tym wspomniał. Więc o co?

Była dość zmęczona, by wyznać mu prawdę:

– Bo nie chcę być ci nic winna.

Roześmiał się bezradośnie, jednak wydawał się zaskoczony. Nie spodziewał się najwyraźniej, że będzie na niego taka wściekła; nie miał pojęcia, że wiedziała, iż dołączył do Sojuszu Rebeliantów, chociaż może zaczynał już to podejrzewać. Miała jednak wrażenie, że jest na nią równie wściekły, nawet mimo tego, że gdy widzieli się ostatni raz, trudno było im się rozstać.

– Spójrz na to inaczej – poprosił Thane głosem tak cichym, że Ciena podniosła na niego wzrok wbrew własnej woli. – I tak już mam wobec ciebie dług za to, że sfiingowałaś moje samobójstwo i na mnie nie doniosłaś. Jeśli więc będę dziś czuwał, wyrównamy rachunki. Nikt nikomu nie będzie już nic winien, w porządku?

W dzieciństwie Ciena słyszała straszliwe historie o okrutnych, barbarzyńskich karach stosowanych w dawnych czasach, nim jeszcze jej lud opuścił ojczystą planetę i dowiedział się, że pośród gwiazd żyją inne istoty. Miewała koszmary, w których była świadkiem jednej z najgorszych tortur: każda z kończyn delikwenta była przywiązana do jednej z czterech bestii, które poganiano w różne strony, by

rozrywały jego ciało na strzępy. Okropny sen prześladował ją raz po raz i budziła się wdzięczna, że coś takiego nigdy jej nie spotka.

Jednak teraz właśnie tego doświadczała – tyle że rozrywano nie jej ciało, a duszę.

Poprzysięgła lojalność Imperium, zaprzyjaźniła się z tymi, którzy mieli trwać u jej boku już na zawsze, i służyła wiernie. A jednak cienie, których obecność dostrzegła dawno temu, wydłużały się i pogłębiały – niepotrzebne śmierci licznych pilotów, coraz większa presja, zmuszająca ją do wyzbycia się wszystkiego, czym kiedykolwiek była, zepsucie i zniszczenie panujące tu, na Jelucanie... Ponad wszystko zaś to, o czym nie mogła zapomnieć: Alderaan, świat zniszczony wskutek próby niedopuszczenia do wojny – próby zakończonej druzgocącą klęską.

Jednak nic z tego nie bolało jej bardziej niż ponowne spotkanie z Thane'em. Nie tylko porzucił swoje obowiązki (i ją samą), ale i dołączył do Rebelii. Do ludzi odpowiedzialnych za śmierć Jude i całą tę przebrzydłą wojnę. To była najgorsza zdrada, jaką była sobie w stanie wyobrazić.

A jednak gdy wszyscy ją opuścili, zawiedli, Thane ryzykował życie, by trwać u jej boku.

Wstała od stołu.

– Dobranoc, Thane – powiedziała. Nie podziękowała mu za objęcie warty. Poszła po prostu do swojej sypialni i zamknęła drzwi, nie oglądając się za siebie. Sądziła, że wyczerpanie sprawi, iż natychmiast zaśnie, jednak zamiast tego leżała z otwartymi oczami przez niemal godzinę, słuchając odgłosów wydawanych przez Thane'a poruszającego się po domu. Wiedziała, że do niej nie przyjdzie – i wcale tego nie chciała – jednak nie mogła przestać nasłuchiwać. Chciała wiedzieć, gdzie jest – i że jest blisko.

Następnego ranka, gdy Paron Ree wstał, Thane przeprosił go, wymawiając się potrzebą odbycia krótkiej drzemki. O tej porze był już dość zmęczony, by rzeczywiście usnąć, mimo niedających spokoju pytań – tych samych, które prześladowały go całą noc, na przykład: „Dlaczego Ciena jest na mnie wściekła?”. Podejrzewał, że dowiedziała

się, iż dołączył do Rebelii. Źle się stało. Czy to znaczyło, że Imperium prowadzi jego akta? To było niemożliwe, chyba że mieli wtyki w Sojuszu Rebeliantów. Czyżby Ciena została ukarana za krycie go podczas jego dezercji? To wyjaśniałoby, dlaczego tak usilnie unikała jego wzorku.

Zastanawiał się też, czy po wszystkim zdoła dołączyć do swojej eskadry. Zgłosił generałowi Rieekanowi chęć udania się na przepustkę, jednak nie wyjawiał mu żadnych szczegółów i nikt nie ciągnął go za język. Być może współrzędne „Liberty”, którymi dysponował, wciąż będą aktualne w chwili jego odlotu, jednak jeśli Rebelia nabierze choćby cienia podejrzeń, że Imperium stara się ich odnaleźć, przeniesie się w inne miejsce. A wówczas Thane będzie skazany na żmudny wysiłek zlokalizowania Sojuszu na podstawie strzępów informacji: przysłuchiwanie się rozmowom pilotów w różnych kosmoportach, podróżowania na światy, o których wiedział, że sympatyzują z rebeliantami, w nadziei na znalezienie poszlak – i tak dalej. To mogło potrwać długo i nie było zbyt bezpieczne.

Jednak pytanie, które nurtowało Thane’a najbardziej, brzmiało: „Co ja tu w ogóle robię?”.

Powtarzał sobie raz po raz, że Kendy miała rację: Imperium żądało od swoich oficerów nie tylko ślepego posłuszeństwa, ale i zaprzędania mu duszy. Wieloletnie pranie mózgow i zmuszanie do moralnych kompromisów zapewne wyzuło Cienę ze wszystkiego, co w niej kochał, pozostawiając jedynie pustą skorupę tworu Palpatine’a.

Jednak wówczas natrafił na informacje o matce Cieny. Wiedział z niezachwianą pewnością, że dziewczyna wróci na Jelucan – i równie szybko uznał, że on także musi tam lecieć i spotkać się z nią ponownie.

Jeżeli Imperium rzeczywiście pozbawiło ją ludzkich cech, czyniąc z niej ślepo posłuszną maszynę do wypełniania swojej woli... odpuści. Jeśli jednak znajdzie tę samą Cienę, którą zapamiętał, wcieli się w rolę najbardziej zapalonego werbownika, jaki kiedykolwiek służył w szeregach Sojuszu.

Niestety sytuacja, jaką zastał, daleka była od tych ekstremów. Tyle

już wiedział. Musiał jednak wejrzeć głębiej w serce Cieny. Stała się dla niego tajemnicą, zagadką, której nie umiał rozwiązać.

Wybudził się z drzemki późnym rankiem, a przynajmniej tak szacował. Trudno było to stwierdzić na pewno, ze względu na powietrze gęste od zanieczyszczeń. Gdy wszedł do salonu, Ciena podniosła głowę i spojrzała na niego. Siedziała na jednej z poduszek, ubrana w getry i białą bluzę; rozpuszczone włosy okalały jej twarz chmurą ciemnych kędziorów. Taką samą fryzurę miała tamtego wieczoru, kiedy tańczył z nią w Pałacu Imperialnym...

Był tak mocno przeświadczony, że lata imperialnej służby ją zmieniły. Starał się myśleć o niej jako o sztywnej, drętwej imperialnej oficer, jednak zamiast tego Ciena pozostała pełna wdzięku, łagodna i dziwnie delikatna... choć Thane wiedział, że to raczej pozory. Pamiętał twarde mięśnie jej ramion, nóg i grzbietu, podobnie jak zamglone spojrzenie ciemnobrązowych oczu, gdy leżała pod nim...

„Przestań!” – upomniał się ostro.

Najwyraźniej nie zamierzała go przywitać, więc on także się nie wychylał.

– Gdzie twój ojciec?

– W pracy – odparła, wskazując chleb i ser, będące zapewne jego śniadaniem. – Tata jest administratorem garnizonu. Nie przysługuje mu taryfa ulgowa z tytułu uwięzienia jego żony i troski o jej los. Nie może się nawet spóźnić.

Czyżby słyszał w jej głosie żal i wściekłość na Imperium? Tak sobie wmawiał, jednak Ciena pozostała tak samo oficjalna i enigmatyczna jak poprzedniego wieczoru. Skubnął nieco chleba i nie bez trudu usadowił się przy niewygodnie niskim stole.

– Co przewiduje rytuał na dziś?

– Nic specjalnego. Ktoś powinien tu być cały czas i obserwować dom, jednak jako że popiera nas tylko jedna osoba, to bezcelowe. – Zawahała się lekko, po czym dodała: – Wczoraj poprosiłam o spotkanie z lokalnymi władzami sądowniczymi, a dziś rano ponowiłam prośbę, jednak nie dostałam odpowiedzi. I pewnie już nie dostanę.

– Chcesz powiedzieć, że moglibyśmy wyjść, ale nie mamy dokąd? –

domyślił się.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się bez słowa w okrągłe frontowe okno, w którym na wietrze łopotała jego prowizoryczna czerwona flaga. Wiedział, że już wkrótce pociemnieje od sadzy przepajającej powietrze. Zdawał sobie sprawę ze zmian na gorsze, jakie na przestrzeni lat zaszły na Jelucanie, jednak to wcale nie ułatwiało mu doświadczania ich na własne oczy. Gdyby tylko mógł się cofnąć w czasie do tych chwil, kiedy byli dziećmi, kiedy ten świat wciąż był ich domem i rozumieli się bez słów...

I nagle wiedział już dokładnie, co powinien zrobić, jak dowiedzieć się, czy Ciena wciąż była tą samą Cieną, co dawniej. Jego Cieną.

– Polataj ze mną – poprosił po prostu.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Chcesz latać? – bąknęła zaskoczona. – Teraz? Dziś?

– Możemy pojechać graniolazami do hangaru mojej rodziny. Idę o zakład, że wciąż stoi tam nasz stary V sto siedemdziesiąt jeden.

– Jeśli twoi rodzice cię zobaczą...

– Sprawdziłem, nim opuściłem kosmoport. Są daleko stąd, po drugiej stronie planety. Wyjechali w interesach. Będziemy bezpieczni.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Może się okazać, że V sto siedemdziesiąt jeden już się do niczego nie nadaje. Minęło parę ładnych lat...

– Sprawdźmy to. Jeśli nie będzie na chodzie, w porządku. Może się jednak okazać, że nadal działa.

Przyglądał się, jak bije się z myślami, szukając wymówki, jednak wreszcie dała za wygraną i z westchnieniem odparła:

– W porządku.

Złapał swoją granatową kurtkę i czapkę, pełen raczej obaw niż nadziei. Ciena wciąż się na niego boczyła i Thane nie był pewien, czy tak nie jest lepiej. A mimo to mało co zbliżało ich do siebie bardziej niż wspólne latanie – właśnie w ten sposób uczyli się siebie nawzajem, poznawali się i jednocześnie budowali wspólny świat. Dlatego przypuszczał, że to doświadczenie pokaże, czy wciąż coś ich łączy.

Przejażdżka do hangaru jeszcze spotęgowała panujące między nimi

napięciu. Choć kilka lat temu szlak prowadzący do niego był odludny, wyglądało na to, że na przestrzeni czasu wszedł do powszechnego użycia. Za każdym razem, gdy mijali inny graniolaz, serce podchodziło mu do gardła. Na wprost oczekiwał, że za jego sterami dojrzy szturmowca, który weźmie go na cel, jednak nikt nie zwrócił na nich szczególnej uwagi – on i Ciena byli po prostu kolejnymi z wielu postaci wspinających się na wzgórze, spowitymi poranną mgłą i kurzawą wzbijaną przez kopalnie. Podążał za jej łożyskiem, czując się niczym jej cień.

Czymkolwiek Dalven zajmował się ostatnimi czasy, nie zaglądał do domu – a przynajmniej nie odwiedzał hangaru od lat. Wrota zardzewiały niemal na amen i kiedy wraz z Cieną wreszcie zdołali je otworzyć, rozkasłali się od wzbitej w powietrze chmury pyłu. Thane bez zaskoczenia spostrzegł, że kadłub V-171 pokrywa gruba warstwa kurzu, jednak kiedy pomanipulował przy kontrolkach, panele rozjarzyły się zielenią.

Z irracjonalną dumą poklepał burzę maszyny.

– Wszystkie systemy gotowe do startu.

– W takim razie ruszajmy. – Ciena odruchowo wyciągnęła dłoń do gry w jaszczurkę-ropuchę-węża, nim z zakłopotaniem zorientowała się, co robi – a przynajmniej takie wrażenie odniósł. On także wysunął rękę. Raz, dwa, trzy... ułożył pięść w kształt ropuchy, ale ona wybrała węża, który „pożarł” płaza.

– Zawsze byłaś w tym lepsza ode mnie – mruknął pod nosem.

Ten komentarz zaskarbił mu jej uśmiech – przelotny, ale szczery.

– Przykro mi, Kyrell – stwierdziła znów jak dawniej. – Robisz dziś za drugiego pilota.

Z ulgą powitał odgłosy towarzyszące procedurze przedstartowej i samemu startowi. Znów wiedzieli, jak ze sobą rozmawiać i co robić. W ciągu kilku chwil V-171 podniósł się z lądowiska. Gdy Ciena wyprowadzała stateczek z hangaru, podpuścił ją:

– Dawaj! Wyżej, w górę!

– Masz to jak w banku – odmruknęła i podniosła maszynę posłusznie, kierując ją wprost ku słońcu.

Niemal natychmiast wpadli w dawną rutynę, idealnie

zsynchronizowani. Thane wiedział doskonale, nim jeszcze to zrobiła, w którą stronę skreśli, zaś Ciena reagowała na każdy jego ruch, nim jeszcze zdążył wykonać daną czynność. Był zaskoczony tym, że chociaż minęło tyle czasu, w tej kwestii właściwie nic się nie zmieniło – mimo że w innych aspektach ich życie zostało praktycznie wywrócone do góry nogami, wciąż wiedzieli, jak latać jako partnerzy.

Kiedy wzbili się na pułap kilku tysięcy metrów, powietrze stało się przejrzystsze, wolne od zanieczyszczeń, aż wreszcie zyskało krystaliczność, którą pamiętali z czasów dzieciństwa. Obłoki lśniły nieskazitelną bielą, a poszarpane granie najwyższych szczytów górskich wynurzały się spośród nich niczym otulone śniegiem wysepki. Na tej wysokości nie prowadzono prac wydobywczych – wierzchołki gór pozostały dziewicze, nieskażone.

Tutaj łatwo było uwierzyć w to, że Jelucan był wciąż równie piękny jak dawniej.

Ciena chciała tu zamarudzić jak długo się da – Thane rozumiał to bez słów. Wspólnie mknęli przez przestwór nieba, robiąc pętle wokół znajomych górskich szczytów, łapiąc prądy dmuchające od strony Falowego Wierchu. Gdy Ciena przechyliła statek na skrzydło, by złapać dryf, Thane rzucił ze śmiechem:

– Uwielbiasz to robić!

– Ty także!

W jej głosie słyszał czystą radość.

„To nie jest złożenie broni – upomniał się w myśli. – Wciąż jesteś rebeliantem, a ona służy Imperium. Nigdy nie będziemy dzielili więcej ponad tę jedną wykradzioną losowi godzinę, samotny lot”.

Powtarzał sobie to raz za razem, jednak nie potrafił się zmusić, by w to uwierzyć.

Chociaż w pewnym momencie w atmosferze rozszalała się burza, przeciągał moment lądowania tak długo, jak zdołał. Gdy jednak wiatr wzmógł się do tego stopnia, że dalszy lot groził katastrofą, jednomyślnie, w milczeniu postanowili, że czas zejść na ziemię – dosłownie i w przenośni. W maleńkiej łupince statku dojmująco odczuwali zmiany pozycji swoich ciał, odpowiadających na przeciążenia.

Wciąż pamiętał, jak się poruszała...

– Dawaj! – Nagle poczuł, jakby znów mieli po dziesięć lat i Ciena chciała pierwszy raz przelecieć między stalaktytami. – Damy radę! – Posłał statek spiralą w stronę ich celu; gwałtowny manewr sprawił, że obojgu w tym samym momencie zakręciło się w głowie i wybuchnęli chóralnym śmiechem.

Lecieli znów złączonymi ze sobą skuterami raketowymi, mknąc przez zaułki Coruscant, kierując się ku centrum ostatniej Bramki Reitgena – i zwycięstwu.

– Jak? Tak?

Czując na nagim ramieniu ciepły oddech szeptu Cieny, zbyt wzruszony i spłoszony, by odpowiedzieć, zdołał jedynie kiwnąć głową.

Wlecieli V-171 do hangaru tuż przed tym, jak się rozpadało. Ciena w milczeniu wygasiała systemy statku; więź, która łączyła ich jeszcze przed chwilą w przestworzach, zniknęła, zgasła bez śladu. Kiedy opuścili pokład i wyszli z hangaru, równie dobrze mogli się wydać dwójką pracowników zatrudnionych w komercyjnym kosmoporcie.

Jednak Ciena nie wróciła od razu za stery swojego graniolaza. Zamiast tego wyszła na taras hangaru, skąd rozciągał się widok na wąską, skalistą ścieżkę, prowadzącą ku głównej drodze do Fortecy. Przystanęła na moment i obejrzała się przez ramię, jakby rzucała Thane'owi wyzwanie: „Idziesz czy nie?”

Nie potrafił się oprzeć.

Żadne z nich nie odezwało się słowem, dopóki nie znaleźli się we wnętrzu Fortecy. Gdy Ciena zapaliła jedną z latarni, które tu zostawili, Thane rozejrzał się dookoła zaskoczony, mrugając nieprzytomnie. Spodziewał się zastać nieopisany bałagan i ruinę, jednak wnętrze było wysprzątane, a koce – wytrzepane. Z sufitu zwisały się modele statków, które złożyli wspólnie, gdy mieli po dziewięć lat.

– Całkiem nieźle się to wszystko zachowało – ocenił.

– Zajrzałam tu wczoraj – wyznała. – Wylądowaliśmy, nim mój ojciec skończył pracę, a Valentia... Cóż, nie mogłam tam długo zabawić. To było jedyne miejsce, w którym chciałam się znaleźć. Musiałam je nieco uporządkować, ale... no, wymagało mniej

sprzątania, niż byś się spodziewał. – Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy, jednak w mroku nadciągającej burzy nie był w stanie dostrzec wyrazu jej twarzy. – Niewiele się zmieniło.

Postąpił ku niej o krok.

– Cieno...

– Dołączyłeś do Rebelii – wybuchła; słowa płynęły z jej ust niczym strumień, który przerwał tamę. – Jak mogłeś to zrobić?! To terroryści! Zabili Jude!

– Nie jesteśmy terrorystami – zaprotestował cicho. – Jeśli ktoś tu jest terrorystą, to chyba tylko sam Palpatine. Rządzi strachem...

– Powiedziałeś mi, że nie dołączysz do nich – weszła mu w słowo.

– Obiecałeś mi to!

– To było, nim dotarło do mnie, jakim złem jest naprawdę Imperium – wypalił. – Może i Rebelia to nie najlepsza alternatywa, jednak ktoś w końcu musi coś z tym zrobić!

– A więc postanowiłeś je znienawidzić – skwitowała gorzko. – Zamierzasz zabijać z zimną krwią ludzi, z którymi chodziłeś do szkoły: swoich kolegów oficerów, przyjaciół. – Postąpiła jeszcze o krok w jego stronę, zaciskając opuszczone po bokach dłonie w pięści. – Byłbyś w stanie zabić nawet mnie...!

– Czy naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, że sama myśl o tym łamie mi serce za każdym razem, kiedy ruszam do walki? – jęknął. – Czy nie wiesz, że wolałbym sam zginąć niż na to pozwolić?! Nie mogę jednak stać bezczynnie i się przyglądać, Cieno. Po prostu... nie mogę.

Pokręciła głową.

– Czy nie możesz choć raz przestać być takim cynikiem?

Miał ochotę chwycić ją za ramiona i porządnie nią potrząsnąć. Chciał błagać ją o to, by go wysłuchała. A najbardziej we wszechświecie chciał wrócić znów w przestworza, z nią u boku, powrócić do chwil, w których wciąż tak dobrze się rozumieli. Jednak burza przybierała na sile z każdą sekundą.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – spytał gorzko. – Zaciągnęłaś mnie tu tylko po to, by na mnie krzyczeć?

– Nie.

– W takim razie co u...

Nie dała mu dokończyć; przyciągnęła go do siebie i pocałowała: mocno, namiętnie.

Kolejne chwile zwały się w mgliste pasmo żarliwych uniesień: jej drobne dłonie gorączkowo rozpinające guziki jego bluzy, by przywrzeć do jego gwałtownie falującej piersi, euforia towarzysząca trzymaniu jej w ramionach, smak jej warg przyciśniętych do jego ust. Miał wrażenie, że nie zdoła być dość blisko niej, by nasycić trawiące go, palące pragnienie bliskości. Nawet gdy przywarli do siebie, jakby stanowili jedno ciało, miał wrażenie, że są od siebie zbyt daleko, za bardzo sobie odlegli.

Objął ją tak mocno, jak zdołał, nie krzywdząc jej przy tym; uniósł ją w ramionach i wsparł plecami o kamienną ścianę, przyszpilając do niej ciężarem własnego ciała. Gdy rozwarła usta, przykrył je zachłannie własnymi, zagarniając jej wargi w łapczywym pocałunku, a kiedy oderwali się od siebie na chwilę dość długą, by złapać oddech, wydyszała w jego rozwarte usta:

– Ani mi się waż... przestawać.

Nie powążył się.

Rozdział 21

Wiele godzin później Ciena siedziała w wejściu do jaskini, okutana w koc, obserwując ostatnie podrygi burzy. Wiatr ucichł jakiś czas temu, jednak deszcz wciąż rosił srebrzystą zasłoną majaczące w dole górskie pasma. Jak mogła zapomnieć, jaki to piękny widok?

To właśnie tu przychodziła zawsze, gdy chciała pomarzyć. Służba w szeregach Imperium nie pozostawiała czasu na podobne bzdury – ani chwili, w której umysł mógł błędzić swobodnie, fantazjować, o czym zechce.

Wstała i wróciła do wnętrza Fortecy – na nogach wciąż mile drżących od doznanej nie tak dawno przyjemności. Futra i koce leżały skłębione w pobliżu starego piecyka, który przytargali tu wieki temu; kąś rozświetlał jedynie nikły blask. Zatrzymała się na moment, by rzucić okiem na Thane'a, leżącego niemal nago na brzuchu, wciąż na wpół pogrążonego we śnie.

Wsparała się ramieniem o kamienną ścianę i wyszeptwała:

– Patrz moimi oczami...

Wzdrygnął się na dźwięk jej słów, przewrócił na plecy i uśmiechnął sennie.

– Rozmawiasz ze swoją siostrą? – domyślił się.

– Obiecałam sobie, że będę jej pokazywać wszystkie najpiękniejsze i najbardziej niezwykłe chwile mojego życia – wyjaśniła mu. – To jedna z nich.

Wyciągnął do niej rękę, a ona posłusznie zwinęła się u jego boku, otulając go kocem. Co prawda mały piecyk nie dawał zbyt wiele ciepła i wewnątrz Fortecy panował chłód, jednak obecność Thane'a rozgrzewała ją wystarczająco. Modliła się o to, by cały świat poza Fortecą zniknął bez śladu – by już na zawsze mogli zostać tu tylko we dwoje, nierozłączni.

– Pewnie wiesz to i tak – mruknęła – ale... wciąż cię kocham.

– A ja ciebie – odparł. – Może i wszystko inne się zmieniło, ale nie to.

Przeturlała się na bok, by na niego spojrzeć. Słowa przechodziły jej przez gardło z niemałym trudem, jednak musiała mu to powiedzieć:

– Dołączyłeś do Rebelii... zmieniłeś się tak bardzo, jak nigdy bym cię o to nie podejrzewała.

– Czy nadal wierzysz w imperialną propagandę, piętnującą Sojusz jako „terrorystów”? – spytał z wyrzutem. – Tak naprawdę to obłąkani idealisci. Szczerze wierzą w to, że Nowa Republika może zyskać świetność, jakiej nigdy nie zaznała stara. Ja... cóż, nie jestem aż tak naiwny. I nigdy nie będę. Jednak Imperium musi upaść.

– Przysięgałeś...

– Dość już tej durnej gadki o ślubach, Cieno! – warknął, ale zaraz umilkł, starając się opanować wzburzenie. – Przepraszam. Doskonale rozumiem, co znaczy dla ciebie dochowanie przysięgi. Honor. Tu jednak nie chodzi o nasze zobowiązania wobec Imperium. Tylko o ich zobowiązania wobec nas.

Gdy tak go słuchała, dotarło do niej, że w jego słowach słyszy zbyt wiele ech własnych wątpliwości. Oczyma duszy ujrzała znów bezsensowną śmierć oficerów, w uszach rozbrzmiał jej ostatni okrzyk Penriego. Widziała ponownie, jak Alderaan wybuchła. A teraz w dodatku jej matka...

Ukryła twarz na szerokiej piersi Thane'a.

– Ja... dostrzegam ciemną stronę Imperium. Jak mogłabym tego nie widzieć?

Nawinął sobie na palec jeden z jej ciemnych kędziorów: błahy gest dziwnie kontrastował z wagą jego słów:

– Skoro to widzisz, nie wiem, jak wciąż możesz mu służyć tylko dlatego, że poprzysięgłeś mu wierność wiele lat temu, kiedy jeszcze nie znałeś całej prawdy.

– Nikt nigdy nie pozna całej prawdy – odparła. – To właśnie dlatego obietnice, przysięgi coś znaczą. Inaczej ich dotrzymanie byłoby zbyt łatwe, nie sądzisz? Jesteśmy gotowi pogodzić się z tym, co niesie przyszłość, i przyjąć to niezależnie od tego, co się wydarzy.

– Westchnęła. – Trwam w swoich obietnicach jednak nie tylko dlatego.

– Dlaczego więc?

– Dlatego że... – urwała, ale za chwilę podjęła nieco śmieiej: – Dlatego że Imperium to coś więcej niż tylko korupcja i agresja. – Trudno jej było dobrać odpowiednie słowa, jednak obecność Thane'a zmuszała ją do bycia szczerą z samą sobą. – To także konstrukcja, która podtrzymuje galaktykę, powstrzymując ją przed ponownym pogrążeniem się w chaosie, jak podczas wojen klonów. A na każdego drobnego biurokrate bogacącego się dzięki różnym machlojkom przypada ktoś taki jak Nash Windrider, starający się czynić dobro. Czy jeśli dobrych ludzi nie będzie, sytuacja się nie pogorszy? Czy nie jest naszym obowiązkiem wytrwać i zmienić Imperium, jeśli tylko możemy tego dokonać?

– Widzę, że wciąż jesteś optymistką – mruknął, a po chwili wahania zapytał: – Co u Nasha?

– Ma się już nieco lepiej. Pierwszy rok po Alderaanie był dla niego trudny, ale jakoś się wylizał. Mam wrażenie, że czasem czuje się samotny. – Przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy przed drzwiami do jej kajuty tak usilnie namawiał ją, by spędzili go razem... Odmówiła mu jednak, a poza tym Thane wcale nie musiał o tym wiedzieć. – Wspomina cię od czasu do czasu. Czuję się paskudnie ze świadomością, że sądzi, iż nie żyjesz.

– Ja też.

Leżeli tak jeszcze przez jakiś czas w milczeniu – ona z głową złożoną na jego piersi. Wróciła myślą do tamtych kilku pierwszych miesięcy w akademii, kiedy byli wciąż jeszcze tak ufni, tak pewni swoich miejsc w galaktyce... Czy to możliwe, że minęło zaledwie sześć lat? Miała wrażenie, że upłynęły całe wieki.

– Cieno? – zagadnął ją ostrożnie Thane. – Chciałbym ci zadać pytanie, które może ci się nie spodobać. Ale wysłuchaj mnie, proszę, dobrze?

Uznała, że skoro nie zabiła go za dołączenie do Rebelii, to jest w jej towarzystwie bezpieczny – cokolwiek się stanie.

– Tak?

– Czy ta cała historia z twoją matką... Czy nie zastanawiałaś się nad tym, że to może być jakiś... test? Kolejna z gier, w jakie Imperium wplątuje swoich żołnierzy?

Gdyby tylko wciąż wierzyła, że te „testy” miały ich wzmocnić, że służyły jakiemuś wyższemu celowi... Czy naprawdę była kiedyś zła na Thane’a, że zasugerował jej coś innego? Na wspomnienie własnej naiwności ogarnęło ją dziwne zakłopotanie. Później dowiedziała się, że Imperium czasami rzeczywiście testowało lojalność swoich ludzi w ekstremalnych warunkach. Jakkolwiek miałyoby to sens w przypadku personelu zajmującego strategiczne pozycje, jednak wystawianie na próbę przyjaźni młodych kadetów tylko po to, by zerwać więź łączącą ich z ojczystą planetą... to graniczyło niemal z bezmyślnym okrucieństwem.

Być może Imperium sprawdzało ją, stawiając jej matkę przed sądem, jednak Ciena szczerze w to wątpiła. To, w co została wplątana mama, było prawdopodobnie zwykłą, głupią prowincjonalną korupcją. Wszyscy zainteresowani doskonale o tym wiedzieli, jednak nikt nie powiedział tego na głos – za bardzo bali się reakcji Imperium.

Tak wiele jeszcze trzeba było zmienić... Od najniższego stopniem administratora aż po Imperatora. Gdzie należało zacząć?

– Nie sądzę, żeby to, w co wrobiono mamę, stanowiło część jakiejś większej intrygi – powiedziała tylko. – Czy ufasz swoim przełożonym z Sojuszu Rebeliantów?

Spodziewała się, że natychmiast zaprzeczy – wszak ufał tak nielicznym, a szumowiny kierujące Rebelią nie zasługiwały na ten przywilej – więc z zaskoczeniem przyjęła jego odpowiedź:

– Niektórym, owszem. Właściwie to większości. Wiesz, że nie musiałem nawet prosić o pozwolenie, gdy postanowiłem tu przylecieć? Wierzą, że nie opuściłbym posterunku bez ważnego powodu. I że wrócę. Jasne, mają swoje szalone wizje na temat idealnej galaktyki, jaką ich zdaniem mogą stworzyć, jednak przynajmniej szanują ludzi, którzy służą pod ich rozkazami.

Niemal nie wierzyła własnym uszom. Czy Thane Kyrell naprawdę odnalazł autorytety pośród ludzi, których kiedyś nienawidził i którzy byli... buntownikami? Z pewnością mówił tak tylko po to, by przekonać ją do porzucenia Imperium; sądziła, że posunąłby się do jeszcze dzikszych fantazji, żeby tylko utrzymać ją przy sobie.

– Jak długo jesteś z nimi?

– Dołączyłem kilka miesięcy temu. – Poglądził kciukiem jej policzek w najdelikatniejszej z pieszczot. – Początkowo kursowałem po zaopatrzenie, jednak kiedy wojna nabrała tempa, coraz częściej walczę.

– Wiesz, że widziałam cię na Hoth?

– Byłaś tam? – Thane pobladł; jego twarz zrobiła się biała jak ściana. – Wmawiałem sobie, że imperialna flota jest tak wielka, że szanse, iż będę z tobą walczył, są... Cóż, nie sądziłem, by mogło do tego dojść.

– Nie byłem w niebezpieczeństwie ani przez chwilę – zapewniła go, siadając i podciągając koc pod brodę. Widok jego przerażenia na samą myśl o tym, że mógł ją skrzywdzić... Nie mogła tego znieść. – Poznałam cię przez ten twój manewr. Kiedy przeleciałeś między nogami AT-AT. Natychmiast wiedziałam, że to mogłeś być tylko ty.

– Jesteś jedyną osobą w całej flocie, która zdołałaby rozpoznać mnie po tym, jak latam.

– Może to było zrządenie Mocy? Skrzyżowała nasze ścieżki, mimo iż nie powinniśmy byli się spotkać.

Widziała, że skrzywił się na te słowa. Cóż, wyglądało na to, iż nie zmienił się jednak na tyle, by zacząć wierzyć w „religijne brednie”, jak to określał.

– Mam wrażenie, że pamiętam jeszcze, jak wykorzystać fałszywe dane, by przelecieć pół galaktyki i do ciebie dotrzeć – stwierdził z przekąsem. – Bez ingerencji Mocy.

Podniosła w górę dłoń.

– Dobrze już, dobrze, niech ci będzie.

Usiadł obok niej i otoczył ją ramieniem w talii. Niebo na zewnątrz niemal całkiem już pociemniało.

– Słuchaj – zagadnął. – Wiem, że nie jesteś jeszcze gotowa, żeby dziś ze mną lecieć. I możliwe, że nie będziesz chciała rozważyć możliwości dołączenia do Rebelii...

– Nigdy.

– Gdybyś jednak kiedyś pomyślała o opuszczeniu Imperium... Nawet tylko po to, żeby wrócić tutaj albo zacząć nowe życie na innym świecie...

Czyżby zamierzał jej obiecać, że porzuci szeregi Rebelii i dołączy do niej, jeśli tylko zdezerteruje? Nie chciała tego wiedzieć.

– Nie odejdę, a przynajmniej nie przed końcem mojej służby – oświadczyła stanowczo. – Jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że dobro w Imperium zatriumfuje nad złem, naszym obowiązkiem jest ją wykorzystać.

– Imperium przegniło do cna. Naszym obowiązkiem jest je zniszczyć.

Wciąż mieli różne zdania i wyglądało na to, że tak już zostanie. Ciena wiedziała o tym z niezachwianą pewnością. A mimo to gdy ją objął, nie miało to dla niej znaczenia – do tego stopnia, że po prostu wtuliła się w niego bez słowa. Ona i Thane nigdy nie byli bardziej w sobie zakochani... i bardziej od siebie odlegli.

Następnego ranka matka Cieny stanęła przed sądem.

Sąd... To słowo brzmiało stanowczo zbyt oficjalnie i urzędowo jak na pospieszne, byle jakie postępowanie. Ciena zasiadała w półkolistej ławie na sali sądowej, ubrana w swój mundur, z czerwono-niebieską rangą na piersi, symbolizującą stanowisko imperialnej komandor porucznik. Obok niej siedział jej ojciec, z głową pochyloną nisko, jakby nie mógł znieść widoku żony, stojącej w boksie ze skutymi rękami.

Prokurator, mężczyzna o drobnych dłoniach i ulizanych włosach, przejrzał pobieżnie materiał dowodowy, włączając go w akta sprawy. Nikt nie dałby złamanego kredytu za to, że nie został zaprzysiężony przez jakiegoś na wpół kompetentnego technika danych, którą to kwestię z pewnością podniosłaby obrona – gdyby tylko oskarżonej w tym procesie przyznano obronę.

Niestety obecnie na obronę zezwalano tylko w sprawach cywilnych, nigdy podczas rozpraw dotyczących wykroczeń przeciwko Imperium.

Ciena słyszała w głowie głos Thane'a, pytającego, czy Imperium pokłada w niej wiarę. Nie śmiała mu odpowiedzieć – nawet we własnych myślach.

Rozstali się wczoraj późnym wieczorem; Thane chciał złapać nocny

prom – dokąd? Pewnie nigdy się tego nie dowie. Pożegnał się oficjalnie, zgodnie z etykietą z jej ojcem, który był dość mądry, by pozwolić jej samotnie odprowadzić go do graniolaza. Całowali się długo i namiętnie, dopóki jej wargi nie nabrzmiały bólem; traktowała go jak pamiątkę, dowód na to, że rzeczywiście Thane przyleciał tu dla niej.

„Cokolwiek dalej z nami będzie – powiedziała mu na pożegnanie – dziękuję, że postanowiłeś stanąć u boku mojej rodziny. Podjąłeś ogromne ryzyko, zjawiając się tu, kiedy potrzebowałam ciebie najbardziej. To akt... najszczerzej lojalności i przyjaźni”.

Uśmiechnął się do niej – tak bardzo, bardzo smutno.

„Jeśli mam być szczery, to przyleciałem z nadzieją, że będę mógł postawić na tobie krzyżyk. Powinienem był wiedzieć, co z tego wyniknie”.

Ciena próbowała podchwycić wzrok matki, licząc, że zdoła okazać jej choć w ten sposób nieco pokrzepienia, jednak mama nie chciała na nią spojrzeć, zupełnie jakby się wstydziła – chociaż teraz wszyscy biorący udział w tej farsie wiedzieli już z pewnością, że zarzuty były fałszywe.

I wówczas do niej dotarło: jej matka nie patrzyła na nią, bo nie chciała jej narażać, skłaniając ją do okazywania współczucia komuś oskarżonemu przez Imperium.

Imperialne rządy nie na każdym świecie były równie surowe, co na Jelucanie. Podczas swoich podróży Ciena przekonała się o tym wielokrotnie. Jednak teraz nie miało to znaczenia, bo doświadczała jego okrucieństwa, niszczącego jej rodzinę i dom, na własnej skórze.

„Wiesz, że nigdy się już nie spotkamy” – powiedziała, gdy Thane przyciągnął ją do siebie podczas pożegnania. Odpalił już silnik swojego graniolaza, jednak szum wichru niemal całkowicie zagłuszał pomruk maszyny.

„Ostatnim razem myśleliśmy tak samo”.

„Tym razem to co innego. Nie powinieneś być wracać, a ja... Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek tu zawitam”.

„Ciągle tylko się żegnamy – szepnął jej do ucha. – Kiedy wreszcie uwierzę, że tym razem naprawdę?”.

Nie odpowiedziała, bo nie wiedziała jak. Nawet gdyby już nigdy mieli się nie spotkać, wiedziała, że w jakiś sposób łącząca ich więź przetrwa. Wrósł w nią w zbyt dużym stopniu, by kiedykolwiek utraciła go bez reszty.

Na swój sposób dawało to otuchę, choć niewielką.

Gdy sędzia ogłaszał wyrok, nie podniósł nawet wzroku znad swojego pulpitu:

– Winna malwersacji i defraudacji godzących w przedstawicieli Imperatora. Skazana na sześć lat ciężkich prac w kopalni.

Ciena miała wrażenie, że cedzone przez niego słowa są trucizną wstrzykiwaną do jej żył, sprawiającą jej niewyobrażalny ból. Ciężkie roboty? Na Jelucanie zniesiono tego rodzaju karę niemal sto lat temu – a wcześniej skazywano na nią tylko oskarżonych o najcięższe przestępstwa. Jej matka była kobietą w średnim wieku, niezbyt wysoką i niespecjalnie silną; jak miała przetrwać tak długo, wydobywając ciężki urobek? Od czasu, gdy do takich robót zaczęto powszechnie używać droidów górniczych, nie było potrzeby zlecania podobnych prac ludziom. Wyrok wydawał się więc równie niesprawiedliwy, co niedorzeczny – a na dodatek skazywano na niego kobietę, o której niewinności sędzia wiedział, bez dwóch zdań.

Verine Ree nie rzuciła swojemu mężowi ani córce nawet jednego spojrzenia, gdy wyprowadzano ją z sali, i do Cieny dotarło, że nie dostaną nawet szansy, by się z nią pożegnać.

– To niemożliwe – wyszeptła, gdy wszyscy wyszli z sali rozpraw; zostali w niej tylko ona i jej ojciec. – To jakaś kpina z wymiaru sprawiedliwości...

– Nic nie mów – ostrzegł ją Paron.

– Jasne, rozumiem – odmruknęła. W pomieszczeniu zainstalowano prawdopodobnie urządzenia rejestrujące. – Nie trzeba nam więcej kłopotów.

– Nie. Nie powinnaś nigdy sprzeciwić się swojemu rządowi, Cieno. Niezależnie od okoliczności.

– Jak możesz tak mówić, tato? – jęknęła. – I to właśnie dzisiaj?

Paron Ree z powagą splótł dłonie niczym mędrzec z osady.

– Mówię tak dlatego, że poprzysięgliśmy lojalność Imperium

w chwili, gdy Jelucan został przez nie zajęty. Dlatego że nie zdradzamy naszego świata, nawet jeśli w zamian sami jesteśmy zdradzani. Inaczej nie będziemy lepsi od nich. – Zażłony mu oczy, jednak gdy podjął, mówił spokojnym, cichym głosem: – Życie tutaj nigdy nie było sprawiedliwe ani łagodne. Wytrwaliśmy jednak – i przetrwamy. Nie jako surowa materia, ale w królestwie ducha.

Dorastała, wierząc w to bez reszty, jednak teraz te słowa wydały jej się tak puste... Nie znajdowała ukojenia w gniewie ani w wierze. Mogła tylko przytulić swojego ojca mocno w nadziei, że jego przekonania przyniosą mu ukojenie większe niż jej.

– Czy na Jelucanie sprawiedliwości stało się zadość, komandor porucznik Ree?

– Tak jest, sir.

Ciena stała na baczność przed oficerem Ronnadamem z IBB, patrząc ponad jego ramieniem na niewielki fragment usianej gwiazdami przestrzeni, widoczny za jednym z iluminatorów. Dłonie spłótła za plecami – zaciskała mokre od potu palce tak mocno, że aż bolało.

Kapitan Ronnadam przyglądał się jej długo, stanowczo zbyt długo – a przynajmniej takie miała wrażenie. Jego cienki wąsik zadrgał lekko, jednak nie była w stanie stwierdzić: z rozbawienia czy z rozdrażnienia.

– A więc twoja matka okazała się winna.

– Dowody nie pozostawiały wątpliwości, sir.

– Zaskakujesz mnie, Ree.

Nie była w stanie wywnioskować z tonu jego głosu, czy to dobrze, czy źle; oczy mrużył w szparki. Pogardzał nią za to, do czego sam ją zmusił. Czy nie dostrzegał własnej hipokryzji? Cóż, pewnie nie.

– Doskonale. Spędziłaś dwa tygodnie na przepustce, jednak poza tym twoje akta są bez zarzutu. Sądzę, że w najbliższej przyszłości możesz liczyć na awans.

Ronnadam naprawdę był głęboko przekonany o tym, że zdradziłaby własną matkę, byle tylko awansować.

Wpiła paznokcie w dłonie, wykorzystując ból, by zachować spokój.

– Dziękuję, sir.

„Wypełniaj powierzone ci obowiązki – powtórzyła sobie w myśli. – Trzymaj kurs. Imperium służy tak wielu dobrych ludzi... Jestem im winna dotrzymanie obietnic i znalezienie sposobu na ocalenie Imperium przed toczącym go zepsuciem”.

Wiedziała, że to słuszne i prawe, jednak gdy wyobraziła sobie, jak opowiada o tym Thane’owi, oczyma duszy widziała, jak kręci tylko głową.

Rozdział 22

Thane dotarł na pokład „Liberty” w samą porę. Eskadra Koron przygotowywała się właśnie do manewrów i zmiany punktu stacjonowania. Nie był to pospieszny odwrót w odpowiedzi na spodziewany atak, jednak działali dość szybko, żeby przegapił odlot, gdyby wrócił parę godzin później.

– Panie Kyrell? Miło, że pan dołączył – przywitała go w hangarze Hrabina; dookoła piloci zajęci byli sadowaniem swoich astromechów w gniazdach i sprawdzaniem racji żywnościowych. Skinął jej głową, jednak nie zwolnił kroku; szedł prosto do generała Rieekana.

– Kyrell. – Stojący na środku hangaru Rieekan tylko na krótką chwilę oderwał wzrok od ekranu swojego datapada; gdzieś w pobliżu spawarka wypluwała snop błękitnobiałych iskieł. Powietrze cuchnęło gumą i paliwem. – Dobrze, że jesteś. Masz dwie godziny do startu.

Thane stanął na baczność, z lekko uniesionym podbródkiem – tak jak uczono go w akademii. Odruchy wpojone podczas szkolenia uaktywniły się natychmiast, gdy dotarło do niego, że coś może pójść nie tak.

– Sir? Chciałbym zgłosić swoje działania podczas nieobecności.

– To ochotnicza armia, zapomniałeś już? Możesz zniknąć i zjawiać się, kiedy ci się żywnie podoba, dopóki przestrzegasz protokołów bezpieczeństwa.

– Wróciłem na ojczystą planetę, Jelucan, żeby... żeby wesprzeć przyjaciółkę, która ma kłopoty – wyjaśnił Thane, jednak Rieekan nie zaszczycił go spojrzeniem, dopóki chłopak nie dodał: – Ona... służy w randze oficera w imperialnej flocie.

To zwróciło uwagę generała, który podniósł na niego wzrok i przypatrywał mu się w milczeniu, podczas gdy wokół gwar i zgiełk aktywności w hangarze stopniowo cichły. Thane czuł na sobie spojrzenia niemal wszystkich w pobliżu, ostre i gorące niczym promienie reflektorów.

– Skontaktowałeś się z wrogiem – stwierdził Rieekan z namysłem.

– Zgadza się, sir – potwierdził Thane; nie dodał nic więcej. Wiedział, że musi to zgłosić, jednak nie zamierzał za nic w galaktyce przeproszać za to, że spotkał się z Cieną.

– To wysoce... nieprzepisowe zachowanie, Kyrell – podjął generał.
– Czy jednak zachowałeś w tajemnicy przed tą... oficer swoją przynależność do Sojuszu Rebeliantów?

– Komandor porucznik Ree wiedziała, że dołączyłem do Rebelii, sir – poinformował go. Dookoła zawrzało od szeptów i pomruków – w pobliżu zgromadził się już całkiem pokaźny tłumek. Kątem oka Thane widział szok malujący się na twarzach Yendora, Smikesa i Kendy. Stał jednak przed Rieekanem bez ruchu, wyprężony. Nawet nie mrugnął.

– A skąd, u licha, się tego dowiedziała? – w głosie Rieekana słychać było wyraźny niepokój. – Czyżbyśmy mieli w naszych szeregach podwójnego agenta, który dostarcza im informacji?

– Nie, sir – uspokoił go Thane. – To nie tak. Ona... rozpoznała mnie na imperialnym nagraniu z bitwy. – Nikt by mu nie uwierzył, gdyby wyznał, że Ciena zidentyfikowała go na podstawie jednego jedyne go manewru. Tylko ich dwoje rozumiało, jak mogło do tego dojść.

Rieekan przyjął jego wyjaśnienia, co Thane powitał z ulgą, jednak wyglądało na to, że jeszcze nie może czuć się spokojny.

– Czy masz całkowitą pewność, że ta oficer nie wykorzystała sytuacji, żeby umieścić na twoim statku... albo nie podrzucić ci urządzenia namierzającego?

– Jestem pewien, że tego nie zrobiła, sir. – Nie zamierzał wtajemniczać go w szczegóły okazji, podczas których Ciena mogłaby tego dokonać. – Ręczę za to – zapewnił go. – Podczas pobytu na ojczystej planecie nie ujawniłem żadnych informacji na temat członków Sojuszu, jego baz ani działań. I nie byłem o nie pytany. Udałem się tam w sprawach natury... osobistej.

– Osobistej. – Rieekan pokręcił głową. – Prześwietlimy ciebie i twój statek. Jeśli skany nic nie wykażą, zapomnimy o sprawie.

– Dziękuję, sir.

– Czy możemy też przyjąć, że nie będziesz podejmował w przyszłości kolejnych prób kontaktu z oficerami Imperium?

Thane wrócił myślą do ostatnich chwil spędzonych z Cieną przed jej domem – tego, w jaki sposób zacisnęła palce na kołnierzyku jego koszuli, jakby próbowała zatrzymać go przy sobie samą siłą woli.

– Tak jest, sir.

– Doskonale. Tak pro forma, Kyrell: galaktyka pełna jest kobiet, które nie walczą po stronie wroga. – Z tymi słowami Rieekan odszedł, a wkrótce do X-winga Thane’a podjechało kilka droidów, żeby go przeszukać. W tej sytuacji nie miał innego wyjścia, jak tylko stawić czoła reszcie Eskadry Koron. Piloci otoczyli go już wianuszkami; na ich twarzach malowała się cała gama uczuć: od niedowierzania po otwartą wrogość. Pierwszy odezwał się Smikes:

– Opuściłeś posterunek, żeby puknąć swoją byłą? Byłą, która pełni teraz funkcję komandora porucznika w imperialnej flocie?

Thane postanowił, że nie da się sprowokować.

– Mają ją awansować na komandora – rzucił z przekąsem.

Pośród zgromadzonych rozległy się jęki niedowierzania i rozczarowania. Bez dwóch zdań w najbliższym czasie nie zdobędzie tytułu najbardziej popularnego członka Eskadry Koron; będą go traktowali jak zgniłe jajo, kogoś, kogo trzeba unikać, bo jest nieobliczalny. Nie miał do nich o to pretensji, był gotów się z tym pogodzić. Jak długo nie zakwestionują jego lojalności wobec sprawy, o którą walczyli, nie obchodziło go zupełnie, co sądzą o jego prywatnych decyzjach.

– Każdy z nas musi zostawić swoją przeszłość za sobą. Każdy. Tyczy się to zarówno tych, którzy walczą po naszej stronie... a tym bardziej zwolenników Imperium. – Nikt nigdy wcześniej nie widział Hrabiny rozgniewanej, jednak teraz kobieta nie kryła wzburzenia.

– To jednak wcale nie znaczy, że nie możemy okazywać uczuć ludziom, których kiedyś kochaliśmy – skontrował.

– A niech mnie! – jęknął Smikes. – On mówi o miłości! To nie skończy się dobrze.

Yendor, spokojniejszy od innych, wsparł się o burtę pobliskiego myśliwca i spytał:

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że ta twoja imperialna dama zabiłaby nas wszystkich, prawda?

To przeppełniło czarę goryczy.

– Nie znasz Cieny – warknął Thane. – W przeciwieństwie do mnie. Dokonałem wyboru właśnie dlatego, że ją znam. Nie naraziłem żadnego z was. To was w ogóle nie dotyczyło, więc i teraz to nie wasz pieprzony interes.

Gdy zapadło milczenie, odwrócił się od Yendora, podnoszącego ręce w geście znaczącym na każdej planecie to samo: „Hej, stary, wyluzuj!”. Uznał, że jedyną sensowną rzeczą, którą może w tej chwili zrobić, jest zgłosić się do 2-1B i poprosić o przeprowadzenie skanów medycznych. Już, już miał odejść, gdy Kendy rzuciła za nim półgębkiem:

– To cię zniszczy.

Myliła się, wiedział o tym.

– To wciąż Ciena – odparł tylko i odmaszerował.

Kendy prawdopodobnie go zrozumie. Ale tylko ona. Nie przejmował się tym jednak zbyt. To był wyłącznie jego interes, jego decyzja, czy postanowi przemierzyć galaktykę wzdłuż i wszerz, da sobie złamać serce, czy wleci swoim X-wingiem prosto w jądro gwiazdy.

Na swoją nową bazę rebeliancka flota wybrała niezamieszkaną planetę tak małą i odległą, że nie miała nawet nazwy. Nosiła tylko numer: 5251977. Obracała się tak powoli, że dni i noce trwały tam tyle, ile na innych planetach tygodnie. Na razie Rebelia czaiła się w mroku.

Pierwszą myślą Thane'a po wylądowaniu było, że tym razem zbudowali hangar znacznie większy niż zwykle. Rozmiarami budowla przypominała mu bardziej obiekty imperialne niż wznoszone w pośpiechu prowizoryczne konstrukcje Sojuszu Rebeliantów. Gdy jednak przekroczył próg pancernych wrót, dotarło do niego, że budynek był tak przestronny nie bez kozery: w ciągu ostatnich dwu miesięcy rebeliancka flota dwukrotnie zwiększyła swoją liczebność.

– Co się stało? – spytał, zdejmując hełm i nasłuchując zgłoszeń członków Eskadry Koron. Zastanawiał się, czy Imperium zniszczyło kolejny świat albo może dopuściło się jakiegoś innego bestialskiego

czynu, tak potwornego, że galaktyka uznała w końcu, iż ma dość.

Większość kolegów zignorowała jego pytanie, jednak Yendor odpowiedział:

– Zazwyczaj nie gromadzą całej floty w jednym miejscu. Kilka oddziałów jest wysyłanych w inne lokalizacje, tak na wszelki wypadek. Jednak tym razem jest inaczej. Chodzą słuchy, że kroi się coś grubego.

– Mamy też nowych rekrutów – dodała Hrabina, wskazując kilka nietypowych statków zaparkowanych w pobliżu. Chociaż podobne jednostki nie stanowiły w szeregach Rebelii nowości, tym razem było ich zdecydowanie więcej niż zwykle, podobnie jak istot różnych ras kręcących się w ich pobliżu; nie miały na sobie mundurów, a jedynie pospiesznie poprzyczepiane do skafandrów naszywki z godłem Sojuszu. Nowi nieustannie dołączali do walki o wyższą sprawę, mimo iż wojna nabierała rozpędu, a starcia wiązały się z coraz większym ryzykiem. Thane pomyślał, że jeśli taka tendencja się utrzyma, mogą mieć jakąś szansę. W okolicy stacjonowało kilka niezależnych myśliwców, parę dorneańskich kanonierek i frachtowiec, który wyglądał, jakby sklecono go z części kilkunastu różnych statków...

Usta Thane'a rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– „Zagłada Ogromnych Dębów”! – zawołał radośnie.

Pozostali członkowie Korony zwrócili się w jego stronę z minami sugerującymi obawę, iż postradał zmysły, jednak nie przejął się tym zbyt, bo z gruchota właśnie zaczęli się wysypywać barwni pasażerowie, którzy spieszyli mu na spotkanie: Brill szczerząca się do niego szeroko spod różowej sierści, JJH2 toczący się żwawo i pogwizdujący po swojemu, Methwat z autorską wersją uśmiechu, a także porykująca radośnie Lohgarra.

– Zjawiacie się w samą porę! – zawołał ze śmiechem Thane, tonąc w miękkich objęciach silnych ramion pani kapitan rasy Wookiee. Lohgarra zaryczała tęsknie i Thane tylko z najwyższym trudem powstrzymał się od przewrócenia oczami. – Wcale nie jestem wychudzony!

– Zmodyfikowaliśmy statek – oznajmiła z dumą Brill. – Wyposażyliśmy go w nowe osłony, nowe przepustnice. Ma działka

z większej liczby myśliwców, niż zliczyłbyś na palcach obu rąk. Albo łap. Czy tam macek, co tylko sobie zamarzysz.

– Gotowi do akcji, co? – Teraz, kiedy mógł się nad tym spokojnie zastanowić, uznał, że wcale go nie dziwi, iż Lohgarra i „Zod” dołączyli w końcu do Rebelii. Mimo to dobrze było wiedzieć, że tak wiele osób, które cenił, stało teraz po jego stronie. Wrócił myślą do chwili, w której postanowił zasilić szeregi Sojuszu, i przypomniał sobie, dlaczego to wspomnienie jest dla niego tak ważne.

Od wszystkich oficerów i szturmowców w służbie na pokładzie superniszczyciela „Executor” oczekiwano nieustannego szlifowania ich zdolności bojowych, jednak od personelu wyższego rangą wymagano mniej. Teraz, kiedy Ciena awansowała na komandora, nie musiała już spędzać przynajmniej godziny w tygodniu na ćwiczeniu walki wręcz. To jednak oznaczało, że poświęcała więcej czasu na doszkalanie się w innych dziedzinach.

– Nie obraziłabym się, gdybym nie musiała już nigdy więcej używać tego... czegoś – mruknęła, zakładając na ramię ćwiczebny miotacz ognia. – Przypuszczam, że jeśli kiedykolwiek zajdzie potrzeba skorzystania z tego na mostku, będzie już po nas.

– Och, Ciena Ree narzeka na przepisy? – prychnęła Berisse, kręcąc głową z udawanym niedowierzaniem. – Hej! Jeśli nie chcesz się w to bawić, masz mnóstwo czasu na wypełnienie grafiku czym innym. Powinniśmy korzystać z tego, że jesteśmy w samym środku jakiegoś galaktycznego zadupia.

Jeśli chodzi o ścisłość, ich okręt przebywał właśnie w nadprzestrzeni, w drodze na galaktyczne zadupie, jednak Berisse miała zasadniczo rację: jako że nakazano im jedynie udać się do niezamieszkałego układu i przyczaić się w nim, wszyscy młodszy stopniem oficerowie mieli więcej wolnego czasu niż zwykle.

– Sprawdźmy, czy Nash i reszta ma wolne, zajrzyjmy do którejś z kantyn, wyluzujmy się i...

– Ja zostaję – przerwała jej stanowczo Ciena. – Jeśli chcesz się zabawić, droga wolna.

– Dobrze już, dobrze! – prychnęła Berisse. – Strzelasz fochy od

niemal trzech tygodni. Jeszcze cię trzyma?

Jej przyjaciółka nie miała pojęcia, dlaczego Ciena jest nie w sosie, i nie wiedziała, że za opryskliwością skrywa swoje emocje. Dawniej Ciena dzieliła się z nią niemal wszystkimi radościami i smutkami... i teraz brakowało jej możliwości zasięgnięcia jej rady. Berisse była tak praktyczną osobą! Nieważne, o co szło: wysłuchiwała całej historii bez mrugnięcia okiem i znajdowała najważniejsze słowa, które niechybnie pomagały Cienie uporać się z jej problemem. Prawdopodobnie byłoby tak i tym razem, tyle tylko że...

No właśnie: prawdopodobnie.

Berisse bywała bezczelna i nie stroniła od łamania przepisów, jeśli tylko uznała, że jest to konieczne, jednak Ciena nigdy nie zwątpiła w lojalność przyjaciółki wobec Imperium. Gdyby wyjawiała jej szczegóły dotyczące niesprawiedliwości, jakiej Imperium dopuściło się względem jej matki, Berisse mogła jej okazać współczucie... ale równie dobrze donieść o wszystkim Ronnadamowi.

Jasne było, że Ciena nie może podzielić się z nikim prawdą o Thanie. Ten ciężar, ten ból musiała nieść samotnie. Mimo że ulżyłoby jej, gdyby mogła podzielić się z kimś targającymi nią rozterkami.

Zamiast tego jednak była zmuszona przyznać przed samą sobą, że nie miała w całym wielkim wszechświecie nikogo, komu mogłaby bez reszty zaufać.

– Sfajczmy trochę złomu, co? – Ciena zasłoniła twarz maską przeciwoogniową i pomanipulowała przy kontrolkach, a tymczasem Berisse, wiedząc aż za dobrze, że nie powinna się wcinać, aktywowała symulację holograficzną. Niemal natychmiast w powietrzu zamajaczyły zielone, widmowe postacie, szarżujące wprost na nie. Ciena wcisnęła spust...

Z lufy jej broni bryztał strumień ognia, spopielający holograficznych wrogów. I jeszcze raz. I znów. Ciena nigdy nie czuła się dobrze podczas walki – jej działką było zdecydowanie pilotowanie, jednak dziś włożyła w ćwiczenia całe serce: każdy strzał dawał jej okazję do wyładowania przepelniającego ją gniewu i żalu. Gdy pierwsza symulacja dobiegła końca, niezwłocznie dała Berisse

znak do rozpoczęcia kolejnej, a potem jeszcze jednej. Kiedy bezkształtne zielone hologramy zniknęły pod celnymi trafieniami, Ciena złapała się na tym, iż żałuje, że program kuleje pod względem graficznym i nie dostarcza jej bardziej „namacalnych” celów. Miała nieodpartą chęć oglądać na własne oczy zadawaną im śmierć.

– Wiesz co? – mruknęła Berisse, kiedy ostatni hologram znikł. – Cieszę się, że nie dzielimy już kajuty. Nie chciałabym doświadczyć na własnej skórze twojej wściekłości.

– Co racja, to racja – odparła Ciena. – Nie chciałabyś. – Zsunęła z twarzy maskę i otarła czoło. Chociaż to ona wcieliła się w tej symulacji w napastnika, a miotacz ognia nie był specjalnie ciężki, wyczerpanie i znużenie porządnie dały jej się we znaki. Od czasu powrotu na pokład „Executora” nie sypiała zbyt dobrze.

I chociaż padała z nóg, to chętnie pisałaby się na kolejną partyjkę szkoleniową... gdyby nie wyczuła delikatnych wibracji pokładu pod ich stopami.

– Wyszliśmy z nadprzestrzeni – poinformowała przyjaciółkę.

– Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, jak bardzo jesteś wrażliwa na takie zmiany – westchnęła Berisse. – Więc to by było na tyle, jeśli chodzi o wolne, co?

Nawet mimo iż znaleźli się w końcu na „galaktycznym zadupiu”, w układzie Hudalla, słynącym jedynie ze swojej największej, otoczonej pierścieniami planety, każdy musiał zameldować się na przypisanym mu stanowisku. Ciena powitała tę informację z prawdziwą ulgą. Nic nie pomagało jej tak jak konieczność skupienia się na obowiązkach.

Gdy jednak wyszły z sali symulacyjnej i Ciena zerknęła przez trójkątny iluminator na czerniejącą za nim kosmiczną przestrzeń, zatrzymała się w pół kroku. Zamiast planety Hudalla majaczył za nim rój imperialnych statków: gwiazdnych niszczycieli, drednotów, lekkich krążowników i TIE-ów, tak licznych jak gwiazdy na niebie...

– Co u licha? – wyrwało się Berisse. – Czyżby przez pomyłkę odesłali nas na Coruscant?

Ciena pokręciła głową. Tylko kapitanowie, admirałowie i sam Lord Vader znali imperialne plany z dużym wyprzedzeniem, więc nie była

w stanie stwierdzić, dlaczego układ Hudalla stał się niespodziewanie punktem zbornym dla tego, co wyglądało na całą imperialną flotę.

Wystarczył jej jednak tylko jeden rzut oka na zgromadzone statki, by nabrała niezachwianej pewności: cokolwiek się działo, było ważne i odbija się na nich wszystkich.

Eskadra Koron otrzymała kolejną misję wywiadowczą zaledwie dziesięć godzin po przybyciu na 5251977. Pierwszy raz zdarzyło się, że dostali rozkazy nie od Rieekana, ale od samego admirała Ackbara z Kalamara.

– Sieć zdalnych sensorów wykryła zwiększony poziom aktywności imperialnej w układzie Hudalla – poinformował ich, spacerując przed nimi w tę i w tę. Ackbar wywierał imponujące wrażenie; wyższy od znakomitej większości ludzi, o wyłupiastych, dużych oczach, więc w jego obecności cała eskadra zachowywała się bardziej przyzwoicie i powściągliwie niż zazwyczaj. – W tym rejonie nie ma nic, co mogłoby zainteresować Imperium. Ani nikogo innego. Dlaczego w takim razie myszkują w tej okolicy? Eskadro Koron, polecicie do Hudalli. Przyjrzyjcie się imperialnej aktywności i zgromadzicie tyle informacji, ile zdołacie.

Mieli się udać do odległego układu jakby nigdy nic, zebrać dane na temat imperialnej floty i odlecieć, ot tak? Thane zastanawiał się, czy Ackbar jest niepoprawnym, oszukującym samego siebie optymistą, czy może kimś, kto nie ma skrupułów przed narażaniem życia innych w zamian za niepewny profit. Wówczas jednak admirał odprawił ich, mówiąc: „Niech Moc będzie z wami”, i Thane uznał, że w grę wchodzi ta pierwsza możliwość.

Kiedy zerknął na panel czujników swojego X-winga, odmówił cichą modlitwę dziękczynną do potężnego pierścienia Hudalli. Gazowy olbrzym wirował w oddali w całym swoim fioletowo-czerwonym majestacie, jednak najbardziej rzucały się w oczy właśnie jego pierścienie, jedne z największych w galaktyce. Tworzyły je miliony szczątków – większość z nich mniejsza od średniej wielkości asteroid – były jednak na tyle duże, że mógł się wśród nich ukryć nawet spory statek.

Podobnie jak reszta członków eskadry Thane zacumował swój myśliwiec za jedną z większych skał w zewnętrznym pierścieniu Hudalli. Ich X-wingi dryfowały pośród niezliczonych skalnych okruchów tworzących pole; łagodny, fioletowy blask odległej gwiazdy układu oblewał wszystko osobliwymi cieniami. Dzięki niskiej orbicie pierścienia mogli zająć pozycje dość daleko, by uniknąć wykrycia. Obecnie znajdowali się w miejscu pozwalającym na przeprowadzenie skanów i mogli uzyskiwać odczyty oraz rejestrować hologramy bez obawy, że wróg zdoła dokonać tego samego. Każdy ze statków działał w trybie minimalnego zasilania i był dobrze chroniony pośród chmury szczątków, więc szanse na ich wykrycie były niemal zerowe.

„Niemał”. Thane nienawidził brzmienia tego słowa. Wiedział aż za dobrze, jaką skrupulatnością wykazywali się imperialni oficerowie – tego ich uczono. Tak czy inaczej, ten jeden raz dla odmiany mieli nad wrogiem przewagę – i zamierzał ją dobrze wykorzystać.

– Jest prawie tak duża jak flota szturmowa, którą wysłali na Hoth – dobiegł z głośnika przerywany trzaskami głos Yendora. – Może wpadli na jakiś fałszywy trop? Cynk, że rzekomo założyliśmy bazę na którymś z księżyców Hudalli? Jak sądzisz?

– Jeśli tak – odparł Thane – to chyba powinni się już do tej pory zorientować, że wpuszczono ich w kanał. A jednak tkwią tu od ładnych kilku dni; na dodatek wciąż zjawiają się nowe statki.

Co tu się działo? Thane główkował nieustannie, próbując znaleźć odpowiedź, jednak bezskutecznie. Gdyby w tej okolicy został odkryty nowy szlak nadprzestrzenny, ich czujniki już by ich o tym poinformowały. Jeżeli Imperium planowało atak, nie potrzebowałyby tyle czasu na zgromadzenie sił. Żadna z planet ani księżyców w układzie nie obfitowała w cenne minerały ani kruszce. Nic, żadnych poszlak, które sugerowałyby choć odległe rozwiązanie tej zagadki.

Thane poprosił o możliwość zliczenia wszystkich myśliwców, co było bardzo żmudnym i niewdzięcznym zadaniem, więc reszta eskadry nie miała nic przeciwko temu, by wziął je na siebie. Dzięki pracy mógł się skupić na czymś innym niż zastanawianie się nad tym, jakie są szanse, że na pokładzie któregoś ze stacjonujących w pobliżu

statków przebywa Ciena, oraz jak zidentyfikować zgromadzone w układzie niszcyciele.

„To wygląda zupełnie, jakby zwołali tu te wszystkie statki tylko na pokaz – pomyślał kwaśno, nie przerywając obliczeń i wpisując w komputer nowe dane dostarczane przez czujniki myśliwca. – Po co jednak urządzać pokaz na takim wygwizdowie, gdzie nikt nie może go zobaczyć? Jaki może być powód zorganizowania tak ostentacyjnej demonstracji potęgi, skupienia całej imperialnej siły ognia w miejscu, w którym nie było z niej żadnego pożytku?”.

I nagle zamarł; po ekranie wciąż przewijały się długie kolumny cyfr. Zaklął pod nosem, gdy dotarło do niego, o co w tym wszystkim chodzi.

Chętnie się własną potęgą przybierało czasami w Imperium wręcz groteskową formę – i Thane przekonał się o tym na własnej skórze, jeszcze gdy służył w jego szeregach – jednak nigdy nie czyniło się tego bez powodu. W większości przypadków chodziło o zastraszenie istot żyjących pod imperialnym jarzmem, ale czasami personel i flota miały zrobić wrażenie na swoich przełożonych. Im większa liczba statków i załogi do dyspozycji komandora, tym bardziej się liczył.

Tę armadę zgromadzono, aby podkreślić czyjeś znaczenie. A w galaktyce była tylko jedna osoba, która zasługiwała na takie poważanie, podziw i szacunek.

– Imperator... – szepnął Thane.

Rozdział 23

W ciągu ostatnich kilku lat Ciena nie miała zbyt często okazji zasiadać za sterami myśliwca TIE, więc kiedy otrzymała wezwanie stawienia się w głównym hangarze, była równie zaskoczona, co uradowana. Może jeśli spędzi nieco czasu w ruchu pośród gwiazd, poczuje się choć przez chwilę dawną sobą?

Ubrała się w czarny skafander i elementy pancerza, a gdy zjawiała się w hangarze z hełmem pod pachą, zobaczyła, że przydzielono jej trzech pilotów: Nasha Windridera i dwóch innych, których nie знаła. Na jej widok Nash uśmiechnął się szeroko, radośnie.

– Co za zaszczyt móc znowu z tobą latać, komandor Ree! – zawołał z udawanym patosem. – Nie sądziłem, że znizysz się jeszcze kiedykolwiek do zgody na służbę z takimi jak my.

– Zamknij się. – Uśmiechnęła się niepewnie; miała wrażenie, że Nash drażni się z nią po przyjacielsku, zamiast drwić z niej jak odrzucony kochanek. Cóż, im szybciej będą to mieli za sobą, tym lepiej. – Wiesz co? Zawsze się zastanawiałam, jak w ogóle udaje ci się pilotować TIE-a. Jakim cudem mieścisz się w kabinie?

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to mam dokładnie centymetr więcej ponad maksymalny dopuszczalny wzrost pilotów. W myśliwcach jest co prawda mniej miejsca niż na okręcie, ale gdzie nie jest? Ty to co innego: jesteś zdecydowanie bardziej kompaktowa i zapewne idealnie pasujesz do kokpitu.

– Wcale nie jestem aż taka niska! – Nieważne, ile razy protestowała z oburzeniem, słysząc komentarze dotyczące jej wzrostu, nikt nigdy jej nie wierzył.

Nash otwierał właśnie usta, żeby wbić jej kolejną szpilę, jednak zamknął je z kłapnięciem na widok idącego w ich stronę admirała Pietta. Wszyscy stanęli na baczność, karnie trzymając hełmy przed sobą.

Piett nie zawracał sobie głowy zbędnymi wstęпами:

– Skany wykazały dziwne odczyty zarejestrowane na skraju

pierścienia Hudalli, sygnalizujące między innymi obecność form życia. Możliwe, że to po prostu śladowe ilości metali i mynocki, jednak może się też okazać, że czają się tam jacyś szpiedzy. Wiecie, co robić.

– Tak jest, sir! – zawołali chórem, zasalutowali i odwrócili się na pięcie, gotowi wsiąść do swoich statków, jednak Piett zatrzymał Cienę:

– Ree? Chciałbym zamienić z tobą słówko.

Zawróciła i stanęła przed nim na baczność. Dlaczego chciał z nią mówić na osobności? Wyobraźnia podsuwała jej wizje przesłuchań; słyszała plotki, jakoby śledczy byli w stanie wyczuć moment, w którym ktoś zbyt niebezpiecznie zbliżał się do granicy dzielącej lojalność od zdrady. Czyżby dostrzegli jej wahanie i rozterki?

Jednak Piett poinformował ją tylko:

– Podczas misji będziesz miała dodatkowe zadanie.

– Tak, sir?

– Te sygnały z okolic pierścienia... to nie mynocki. Mamy niemal całkowitą pewność, że przyczaili się tam rebelianccy szpiedzy.

Ciena kiwnęła głową, starając się nie okazać zmieszania. Dlaczego miał jej udzielać tej informacji, jednocześnie zatajając ją przed Nashem i pozostałymi pilotami?

– Zajmiemy się tym, sir – zapewniła go.

Podniósł ostrzegawczo palec.

– Jeden z rebeliantów powinien ujść z życiem i uciec. Musisz dopilnować, by przynajmniej jednemu z pilotów udało się skoczyć w nadprzestrzeń. Oprócz tego jednego nie ma znaczenia, czy reszta przeżyje, czy zginie.

Przez chwilę nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić, ale w końcu do niej dotarło: wyższe dowództwo floty chciało, żeby Sojusz Rebeliantów dowiedział się, iż w tym miejscu zgromadziła się lwia część imperialnej floty. Mogła się tylko domyślać dlaczego – jednak nie miało to zbyt dużego znaczenia. Powierzono jej trudną i skomplikowaną misję, w dodatku tajną. A to oznaczało, że jej przełożeni ufają jej i wierzą w jej zdolności – z pewnością nie kwestionowali jej lojalności.

Mieli dla niej uznanie. Wystarczyło, że podała w wątpliwość niewinność własnej matki...

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl, jednak przychodziło jej to z trudem.

– Osobiście tego dopilnuję, admirał.

Kiwnął głową na znak, że może odejść, i Ciena ruszyła znów do swojego statku. Zajmując fotel pilota, czuła ulgę. Nie musiała już dłużej myśleć o matce; nie miała już powodów, by wątpić w słuszność imperialnych intencji. Należało sprawdzić odczyty sensorów, uszczelnić właz, przygotować systemy uzbrojenia. Wkrótce będzie szybowała pośród gwiazd i zapomni o wszystkich problemach, skupiając się na jak najrzetelniejszym wypełnieniu powierzonego jej zadania.

W słuchawkach jej komunikatora rozległ się głos Nasha:

– L-P-Osiem-Osiem-Osiem, gotowa do startu?

Włożyła hełm. Teraz nie miała twarzy, była pozbawiona tożsamości. Nie pozostało w niej już nic poza chęcią wypełnienia obowiązków wobec Imperium.

– Gotowa.

Jednym z wielu problemów związanych z utrzymywaniem statku w trybie minimalnego zasilania był znaczny spadek temperatury w kokpicie. Nie na tyle drastyczny, by narazić życie pilota, jednak dość duży, by powodować duży dyskomfort. Na krawędziach wizjera hełmu Thane'a pod wpływem marznącego oddechu zaczęły się osadzać drobne kryształki lodu.

Smikes, jakby czytał Thane'owi w myślach, rzucił do mikrofonu swojego zestawu słuchawkowego:

– Przydałyby się nam tutaj zimowe skafandry.

– Zgadza się, Korono Trzy – poparł go Yendor. – Nie pogardziłbym teraz moją parką z Hoth.

– A mi brakuje moich futer – westchnęła Hrabina. – Ale trzymajcie się. Za jakąś godzinę będziemy orbitowali na tyle daleko od imperialnego konwoju, żeby móc stąd zniknąć.

– Trzymamy się, Dowódco Koron – zapewnił ją Thane.

Nie podzielił się jeszcze z resztą eskadry teorią na temat Imperatora; jeśli nawet była prawdziwa, tego typu informacji nie należało przekazywać za pośrednictwem otwartego kanału łączności. Minęło zaledwie kilka minut, odkąd do głowy przyszło mu to rozwiązanie, ale chwila namysłu wystarczyła, by stwierdził, iż przecucie go nie myli. Jednak świadomość, że wszystkie te statki zgromadzono, by utworzyć konwój dla Imperatora, wzbudzała kolejne pytania. Minęły lata, odkąd Palpatine opuścił ostatni raz Coruscant. Co mogło wywabić go z siedziby galaktycznej władzy... I dokąd się wybierał?

A jeśli tyle statków zjawilo się w jednym miejscu, oznaczało to, że gdzie indziej w galaktyce flota jest drastycznie uszczuplona i przerzedzona. A przynajmniej solidnie rozproszona. Kiedy Thane uświadomił sobie, że czcza demonstracja imperialnej potęgi przekłada się w praktyce na drastyczne uszczuplenie ich sił, w żyłach zatętniła mu adrenalina. To była słabość, którą Rebelia mogła wykorzystać...

Na widok migających kontrolek czujników zaklął pod nosem.

– Nadlatują myśliwce TIE. Naliczyłem cztery.

– Jakie są szanse na to, że to zbłąkany patrol? – spytała Kendy.

To było możliwe... jednak mało prawdopodobne. Maszyny wroga zbliżały się do ich pozycji z każdą chwilą coraz bardziej.

– Mam złe przecucia – mruknął Thane.

– Czy widzisz to co ja? – spytał rozradowany Nash, jakby zamiast do walki szykowali się na przyjęcie.

Ciena zerknęła na odczyty i przygryzła wargę.

– Odbieram sygnatury pięciu statków, najprawdopodobniej myśliwców. Póki co nie mogę zidentyfikować modeli, jednak sędzę, że to mogą być X- albo Y-wingi. – Chociaż tego typu jednostkami latało nieco cywili, to zasadniczo były one wizytówką Sojuszu Rebeliantów. Piett miał dobre informacje; już za chwilę ich patrol TIE-ów przypuścił atak na wroga.

Z pięciu stateczków jeden musiał wyjść z konfrontacji cało.

To można by bez trudu osiągnąć, pozwalając umknąć wszystkim pięciu i unikając walki... Jednak Nash i pozostali piloci byli zbyt

bystry, by dać się tak głupio zwieść, co oznaczało, że jeśli Ciena chciała uniknąć walki, musiała wypłoszyć rebeliantów na czas, tak aby zdołali umknąć.

– Jeśli rozwalilibyśmy jedną z większych asteroid w pierścieniu, mielibyśmy lepsze odczyty – zaproponowała.

– Ale wówczas zorientują się, że tu jesteśmy! – zaprotestował jeden z pilotów.

– Stawiam jeden do dziesięciu, że i tak już to pewnie wiedzą – skwitowała. – Dysponują niemal tak samo zaawansowanymi systemami czujników co my. – Położyła obleczone w czarne rękawice dłonie na kontrolkach, zawieszając kciuk nad czerwonym guzikiem spustu.

– To chyba nie najlepszy pomysł – wtrącił Nash. – Nie potrzebujemy więcej danych, a przy tej odległości zdołają skoczyć w nadprzestrzeń, nim zdołamy związać ich ogniem.

„I to by było tyle, jeśli chodzi o powodzenie mojego planu” – pomyślała smętnie.

Teraz co najmniej jeden, a pewnie i cztery rebelianckie statki zostaną zniszczone z powodu jakichś taktycznych gier. Całkiem możliwe, że podczas tej operacji ucierpi lub zostanie zestrzelony któryś z myśliwców TIE.

Kolejne bezcelowe śmierci. Jeszcze więcej bezsensownych ofiar. Następne niepotrzebne straty...

Myśliwce TIE leciały prosto na nich, bez dwóch zdań. Wyglądało na to, że nie obejdzie się bez walki.

– Wszystkie jednostki, odcumować i przywrócić pełne zasilanie – zarządziła Hrabina.

– Wątpię, czy uda nam się uciec, zważywszy na naszą obecną pozycję, dowódco – stwierdził Yendor, chociaż odczyty czujników sugerowały, że zabrał się posłusznie do wypełniania rozkazu.

– Nie uda nam się – potwierdził Thane. – Szykują się do walki. – Gdy wcisnął kontrolki, budząc statek do życia, kokpit rozświetliły czerwone i złote światła. – Systemy uzbrojenia gotowe?

Pierwszy zgłosił się Yendor:

- Korona Dwa gotów.
 - Korona Trzy gotów! – potwierdził Smikes.
 - Korona Cztery gotów. – Thane nie spuszczał wzroku z odczytów czujników, na wypadek gdyby TIE przyspieszyły do trybu bojowego.
 - Korona Pięć gotowa – zameldowała ostatnia Kendy.
- Thane zastygł, maksymalnie skupiony, podczas gdy Hrabina rzuciła:
- Teraz pozostał nam tylko element zaskoczenia. Zaatakujmy pierwsi.

Ciena spodziewała się, że rebelianckie myśliwce pozostaną w ukryciu tak długo, jak zdołają, licząc na uniknięcie namierzenia. Dlatego nie posiadała się ze zdumienia, gdy pięć myśliwskich maszyn wyprysnęło z pierścienia planetarnego i ruszyło prosto na ich TIE.

– Unik! Unik! – wykrzyknęła, skracając swoim myśliwcem, aby umknąć z zasięgu głównej broni X-wingów. Rebelianci przewyższali ich pod względem liczebnym – bez wątpienia Piett dopuścił do tego z rozmysłem. Brak równowagi miał zapewnić jednemu lub więcej rebelianckim statkom szansę na ucieczkę. Ciena nie mogła jednak pogodzić się z rażącą niesprawiedliwością, jakiej dopuszczało się Imperium, ryzykując ich życiem w próbie zabicia ludzi, których tak naprawdę chciało zachować przy życiu.

Jak miała opóźnić walkę, która rozpocznie się lada chwila?

Manipulowała przy systemie łączności, dopóki nie ustawiła go na najszerze pasmo częstotliwości, dzięki któremu sygnał dotrze do wszystkich w pobliżu, i powiedziała głośno, stanowczo, tak by usłyszeli ją piloci wszystkich maszyn – również X-wingów:

– Niezidentyfikowane jednostki? Nie macie autoryzacji na przebywanie w tym sektorze. Podajcie swoje kody identyfikacyjne i system koncesyjny. Inaczej zostanieie zatrzymani. Opór skutkuje natychmiastowym unicestwieniem.

Wyobrażała sobie konsternację malującą się na twarzy Nasha, jednak wiedziała też, że postępując w ten sposób, nie narusza protokołu. Zastosowała tylko procedurę używaną w przypadku jednostek wałęsających się gdzie nie trzeba, przeważnie statków

przemyticznych lub pasażerskich. Jeśli rebelianci będą dość mądrzy, by skłamać, wciąż mogli uniknąć walki – opóźnić ją o minutę czy dwie: dość długo, by zdołali uciec.

Tyle tylko że Nash podnosił już dziób swojego TIE Interceptor, aby odciąć im najbardziej prawdopodobną trasę ucieczki. Jej plan spalił tym samym na panewce.

„Szlag!” – pomyślała na sekundę przed tym, nim w głośnikach zabrzmiał inny głos, zmieniając jej wściekłość w mrozący krew w żyłach strach.

– Ta galaktyka jest dla nas za mała – powiedział ponuro Thane.

Może i Ciena miała rację? Może to sama Moc krzyżowała ich ścieżki uparcie raz za razem?

Thane uznał, że jeśli tak, miała chore poczucie humoru.

Nie wyobrażał sobie, co odpowie mu Ciena: czy będzie się trzymała oficjalnej procedury, czy może przemówi do niego zwyczajnie, po ludzku: tak jak on rozmawiał z nią wcześniej. Gdy komunikator rozbrzmiał serią trzasków zwiastujących połączenie, nie usłyszał jednak głosu Cieny.

– Thane Kyrell? – Nash Windrider sprawiał wrażenie prawdziwie wstrząśniętego. – Ty żyjesz?

– Witaj, stary. – Thane próbował się jakoś trzymać, nie dać się przytłoczyć. Ciena była tu, w jednym z tych pędzących na nich myśliwców TIE, podobnie jak Nash; to było w tej chwili ostatnie miejsce, ostatnia walka w galaktyce, w jakiej miał ochotę brać udział. Kendy musiała być równie wstrząśnięta, jednak miała dość rozsądku, by trzymać buzię na kłódkę.

Ale Ciena... Dotarło do niego, że prawdopodobnie czuje się tak samo jak on. Podobnie jak Nash. Może całe to zamieszanie zapewni Koronie nieco więcej czasu, którego potrzebowali na ucieczkę?

Ekran Thane'a zamigotał, sygnalizując gwałtowny ruch. Kyrell otworzył szerzej oczy, gdy dotarło do niego, że jeden z TIE-ów przyspieszył do maksymalnej prędkości.

– Sądziłem, że nie żyjesz. – Z każdym słowem głos Nasha coraz mocniej ociekał gniewem. – Lepiej dla ciebie byłoby, gdyby tak się

stało.

Cóż, i to by było tyle, jeśli chodzi o spotkanie po latach.

„Jeden z rebeliantów musi ujść z życiem”.

Ciena trzymała się tej myśli kurczowo niczym ostatniej deski ratunku, która pozwoliłaby jej jakoś z tego wszystkiego wybrnąć. Jeśli ocali Thane’owi życie, nie tylko nie złamie procedur, ale i wypełni rozkazy. Jeden z rebeliantów powinien wyjść z tego cało, a ona zamierzała zrobić, co w jej mocy, by upewnić się, że to będzie on, Thane.

To jednak oznaczało, że musi powstrzymać Nasha tak, by się w tym nie połapał.

Złamał protokół, wszczynając walkę bez jej rozkazu, jednak nikt nie zgani go za wzięcie na cel rebelianckiego statku, niezależnie od okoliczności. Dwa pozostałe TIE także już przyspieszały, podążając jego śladem. Ciena zrobiła to samo: zwiększyła maksymalnie prędkość i ustawiła nowy kurs.

Jeżeli podleci z góry, będzie to wyglądało, jakby próbowała dokonać triangulacji broni – wmawiała sobie. Gdyby jednak zdołała obrać właściwy kąt podejścia, znajdzie się na drodze Nasha i uniemożliwi mu atak.

Nie przyszło jej do głowy, by martwić się o to, że Thane może zostać zestrzelony, dopóki nie zyska okazji, by interweniować. Podczas walki myśliwskiej o życiu lub śmierci decydowała umiejętność pilotażu, a Thane’a nie przewyższał pod tym względem nikt. Nikt oprócz niej...

Kokpit jej maszyny wypełnił ryk silnika, docierając do jej uszu nawet przez grube powłoki czarnego hełmu. Ciena podniosła swój myśliwiec dość wysoko, by na jej ekranie pojawiły się wszystkie X-wingi oraz skały tworzące pierścień planetarny, niczym drobinki lśniącego confetti; gdy zaczęła ku nim pikować, z powrotem szybko nabrały kształtu. Każdy z X-wingów wykonywał teraz unik, jednak jeden z nich poruszał się zwinnie, dokonywał zwrotów płynnie, przechodząc do idealnej spirali, która prowadziła na zewnętrzny skraj pierścienia. Ciena zaczerpnęła głęboko tchu, by uspokoić skołatane

nerwy. Teraz, kiedy wiedziała już, za sterami którego ze stateczków zasiada Thane, jej zadanie wydawało się proste.

Jednak Nash także zidentyfikował Kyrella.

Thane kluczył między odłamkami skał tworzącymi pierścień planetarny, wierząc, że asteroidy przyjmą na siebie nieco z przeznaczonych dla niego strzałów.

– Wrogi myśliwiec, wektor osiem-jeden-dwa-osiem! – zgłosił Smikes. – Zmasowany ostrzał!

Zielony blasterowy promień skruszył skałę tak blisko Thane'a, że jego X-wing został zasypany deszczem szczątków; przez chwilę oczyma duszy widział scenę, w której jego maszyna rozpada się na kawałki, a on zostaje zdany na niełaskę kosmicznej próżni... Myśliwiec wytrzymał.

– Do wszystkich maszyn: obrać ustalone współrzędne skoku w nadprzestrzeń – zarządziła Hrabina, Thane zaś odpowiedział:

– Darujcie sobie formowanie szyku! Zabierajcie się stąd najszybciej, jak się da!

Czasami latanie w kluczu zapewniało ochronę, jednak w sytuacji takiej jak ta dzięki rozproszeniu uzyskają większą szansę na ocalenie choćby kilku członków eskadry.

Wokół niego przemykały zielone blasterowe smugi; w pewnej chwili poczuł lekki wstrząs, sygnalizujący, że oberwał. Przez kilka długich jak wieczność sekund wstrzymywał oddech, dopóki nie upewnił się, że panele kontrolne nie rozbłyskują alarmującą czerwienią, zwiastującą krytyczne trafienie. To nie było nic poważnego, jednak mało prawdopodobne, by następnym razem miał tyle szczęścia.

– Rebeliancka szumowina! – wycedził Nash. – Nie wierzę, że upadłeś tak nisko!

– A ja nie mogę uwierzyć, że wciąż trzymasz z Imperium! – odwarknął Thane. – Zniszczyli twoją ojczyznę, Nash! Wymordowali ci całą rodzinę! Jak możesz...

– Nigdy nie waż się wspominać przy mnie o Alderaanie! – nie dał mu skończyć Windrider; wściekłość w jego podniesionym głosie była

niemal namacalna. – Przenigdy!

Na swoim wyświetlaczu Thane spostrzegł jednego z członków Eskadry Koron, próbującego zgubić dwa atakującego go TIE, jednak mieli względną przewagę nad wrogiem, bo dwa z myśliwców wroga obrały sobie za cel właśnie Kyrella. Najwyraźniej mylnie zidentyfikowali go jako dowódcę...

Która z tych zielonych smug na jego ekranie była statkiem Cieny? Czy to z jego ręki zginie? Czy może ktoś inny zabije ją na jego oczach? A może dziś Ciena postanowi przedłożyć Imperium nad niego?

I właśnie wtedy jeden z TIE-ów zanurkował – opadł ku niemu z nieba tak szybko, że Thane spostrzegł to przez owiewkę swojego statku równie wyraźnie, jak na ekranie celowniczym; wrogi myśliwiec przemknął jak strzała między nim a Nashem.

Świadomość tego, co się właśnie wydarzyło, spadła na niego z takim impetem, że jego pierś przeszła błyskawica bólu: Ciena próbowała go ocalić.

– Z drogi! – wrzasnął do Cieny Nash.

– Nie ty tu rozkazujesz, poruczniku – stwierdziła z lodowatym spokojem i wystrzeliła w stronę statku Thane’a, oddając jednak salwę tak, by ta chybiła.

Na ekranie widziała, jak jeden z imperialnych myśliwców znika: kolejne bezsensownie poświęcone życie; szybki rozbłysk, który nastąpił zaraz potem, sygnalizował, że co najmniej dwa z pozostałych rebelianckich statków skoczyły w nadprzestrzeń. Jednak tuż po tym jeden z X-wingów także zniknął: Imperium upolowało w tej bitwie swoją pierwszą zwierzynę.

Thane z pewnością będzie się kierował do tego samego punktu, w którym zniknęły w nadprzestrzeni dwa poprzednie statki. Ciena błyskawicznie zmieniła trajektorię lotu, obierając wiarygodny kurs ataku, lecz ponownie kolidujący z torem systemu celowniczego Nasha. Znowu znalazła się między maszynami jego i Thane’a, jednak Windrider i tak wypalił.

Nie trafił jej co prawda, ale strzały przemknęły dość blisko kadłuba

jej myśliwca, by uruchomić systemy alarmowe TIE-a. Światelka w kabinie jej maszyny rozbłysły czerwienią i przekleła pod nosem.

Czyżby Nash był tak wściekły na Thane'a, by chcieć go wykończyć, nawet gdyby przy tym musiał zabić ją?

Thane dostrzegł szansę, którą dała mu Ciena – i nie omieszkał jej wykorzystać. Przy pełnej mocy silników pomknął w stronę punktu wyznaczanego przez ustalone wcześniej współrzędne; zobaczył, jak jeden z X-wingów Korony znika w nadprzestrzeni, i sam przygotował się do skoku w nadświatłą.

Przed odlotem chciał powiedzieć coś Cienie, coś jej przekazać... Cokolwiek. Pragnął, by wiedziała, iż zdawał sobie sprawę z tego, co dla niego zrobiła – i co to dla niego oznaczało.

Jednak gdyby tak postąpił, zdemaskowałby ją jednocześnie przed Nashem i pilotem drugiego TIE-a. Ciena go chroniła. Teraz nadeszła jego kolej, by chronić ją, zachowując milczenie.

Jego maszyna zadygotała pod wpływem trafienia: oberwał, jednak ani system podtrzymywania życia, ani hipernapęd nie uległy uszkodzeniu, więc nie przejął się tym zbyt. Wpisał w komputer pokładowy współrzędne, zawiesił dłoń nad odpowiednimi kontrolkami i... podjął decyzję.

Gwiazdy rozmazały się w białe, niekończące się smugi i jego stateczek przyspieszył, zostawiając w tyle chaos bitwy – i Cienę.

Pozwolił sobie odetchnąć z ostrożną ulgą i spędził kilka chwil w bezruchu za sterami swojego X-winga, sprawdzając obecność pozostałych członków swojego zespołu.

– Tu Korona Cztery. Jak reszta?

– Korono Cztery? Potwierdzam – zgłosiła nabrzmiałym od napięcia głosem Hrabina. – Straciliśmy Smikesa...

Smikes – ostrożny, wieczny pesymista, a jednak tak waleczny... Thane uświadomił sobie, że nigdy nie dał mu do zrozumienia, jak bardzo go podziwiał, nawet mimo jego skłonności do zrzędzenia; teraz utracił tę szansę na zawsze.

– Hej! – bąknął cicho Yendor. – To była Ciena, prawda?

– Tak.

– Widziałem, co... co dla ciebie zrobiła. Teraz już rozumiem, dlaczego poleciałeś na Jelucan.

– Miałeś rację – dodała Kendy. – To wciąż ta sama Ciena.

Thane zdawał sobie sprawę z tego, że nigdy nie uzyska od nich nic bliższego przeprosin za to, że wcześniej go unikali, niż to, co właśnie usłyszał. I odnosił wrażenie, że to znacznie więcej, niż sobie zasłużył.

Czy Ciena miała teraz przez niego kłopoty? Czy popadnie w niełaskę? Zastanawiał się, czy z jego powodu nie przyjdzie jej się zmierzyć z imperialnymi śledczymi. Sama myśl o tym zmroziła go do szpiku.

Jeśli jednak ktokolwiek był w stanie znaleźć w podobnej sytuacji wiarygodną wymówkę, by się z tego wykaraskać, to tylko ona. Musiał w to wierzyć.

Ciena wprowadziła swojego TIE-a do hangaru, nie zamieniając po drodze ani słowa z Nashem Windriderem. Nie miała żadnych wątpliwości, że będzie wściekły do granic i że natychmiast zaraportuje jej zachowanie Piettowi.

Całe szczęście, że mogła wymówić się tym, iż działała wedle rozkazów – Piett nigdy nie docieknie prawdziwych przyczyn jej wyborów. Nagle jednak przyszło jej do głowy, że admirał mógł przekazać te same rozkazy co jej reszcie jej zespołu. Czy gdyby cel misji miał pozostać tajemnicą, jej życie również mogłoby zostać skreślone lekką ręką dla sprawy? Czy Imperium byłoby skłonne poświęcić lojalnego oficera tylko po to, by zrealizować własne cele?

Kiedyś Ciena była przekonana, że to niemożliwe, jednak teraz wcale nie była już tego taka pewna.

Zdjęła hełm, wzięła głęboki oddech i otworzyła wąż myśliwca. Cokolwiek ją czeka, mogła tylko z godnością stawić temu czoło.

Gdy zeskoczyła na pokład hangaru, zobaczyła Nasha; szedł w jej stronę, a jego oczy miały gniewne błyskawice. Złapała się na tym, że żałuje, iż nie ma przy sobie blastera, jednak siłą woli próbowała się uspokoić i przystanąła; czekała, patrząc mu prosto w oczy. Gdy przypadł do niej, zacisnął dłonie na jej ramionach.

– Nie mogę uwierzyć, że ci to zrobił! – warknął. – Wiedząc, że go

kochałaś... Porzucić cię dla tego wszystkiego... Fingując swoją śmierć i skazując cię na takie katusze. To... poniżej wszelkiej godności!

Ciena przytuliła go tylko – zbliżyła się do niego na tyle, na ile pozwalały pancerze pilotów, które wciąż mieli na sobie. Była niewymownie wdzięczna za to, że może ukryć twarz na jego piersi.

– Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem – wymamrotał w jej włosy. – Dopiero teraz dotarło do mnie, jak bardzo musiałaś być rozdarta, załamana. Nic dziwnego, że to targnęło tobą tak mocno podczas wypełniania misji. Każdy by się załamał. Starowałaś się go zabić jeszcze usilniej niż ja. – Westchnął i wypuścił ją z objęć, żeby móc spojrzeć jej w oczy. Gniew, który wcześniej w nich kipiał, zmienił się w tłący żal. – Powinienem być ci na to pozwolić. I zrobiłbym to... gdybym tylko zdołał myśleć nieco jaśniej.

– Po prostu... Nie mogę w to uwierzyć – wymamrotała, wdzięczna za to, iż takie wyjaśnienie było równie wiarygodne, co bezpieczne.

– Co za podła kreatura – mruknął pod nosem Nash. – Wygląda na to, że nikt z nas nie znał go tak naprawdę, co? – Wyprostował się. – To znaczy wtedy, dawniej. Musimy stawić się do raportu. To chyba nie będzie zbyt miłe...

I nie było. Przez jakiś czas musieli w milczeniu znosić zżymanie się przełożonych spowodowane faktem, iż nie zdołali zniszczyć wszystkich rebelianckich statków; koniec końców Piett raczył podziękować Cienie za skuteczne wypełnienie misji ledwie zauważalnym skinieniem głowy, gdy nikt nie patrzył. Jakiś czas później, kiedy już oswobodziła się z pancerza i skafandra i wzięła szybki prysznic, spróbowała uspokoić myśli.

Thane mógł dzisiaj zginąć, dotarło do niej. Nash mógł go zabić.

Chociaż z bezgranicznym przerażeniem powitała obecność Thane'a podczas bitwy, myśl, że zdołał wyjść z niej bez szwanku, napawała ją dziwnym spokojem. Nawet jeśli już nigdy nie będzie im dane się spotkać, na zawsze zapamięta fakt, że zdołała go ocalić. Stojąc pod strumieniem obmywającej jej ciało ciepłej wody, z dłońmi wspartymi o metalową ścianę, uznała, że jakoś się z tym pogodzi.

Jednak Nash...? Jak mógł być tak... morderczo wściekły na Thane'a? Znała bolesne poczucie zdrady aż za dobrze – poznała je

w dniu, gdy dotarło do niej, że jej przyjaciel dołączył do Sojuszu Rebeliantów. Jednak nawet w tych chwilach, gdy sądziła, że nienawidzi go bezgranicznie, w głębi serca wciąż go kochała. A chociaż Nash opłakiwał go od lat, w momencie, w którym dowiedział się, że wciąż żyje, znenawidził go natychmiast – do tego stopnia, iż był gotów go zabić.

To nie wyglądało na zwykłą lojalność wobec Imperium. Raczej na... fanatyzm.

Poczuła pod stopami lekkie drzenie, sygnalizujące zmianę trybu działania silników: wyskoczyli z nadprzestrzeni. Z rozdrażnieniem zdała sobie sprawę z tego, że tak doszczętnie pogrążyła się we własnych myślach, iż nawet nie zauważyła, kiedy włączył się hipernapęd.

Wytarła się i wskoczyła w swój roboczy skafander, żeby zorientować się, co się dzieje. Korytarz prowadzący do kabin odświeżaczy był wyposażony w trójkątne iluminatory, więc mogła swobodnie wyrzucić w kosmiczną przestrzeń. Wyglądało na to, że nikt im nie towarzyszył podczas skoku. Ale dlaczego mieliby porzucać imperialny konwój...?

Aby przygotować coś na przybycie Imperatora – odpowiedź nasuwała się sama. Jednak... co takiego? Zlustrowawszy czujnie okolice, Ciena spostrzegła, że zbliżają się do planety, w okolicy której orbitował księżyc tak zielony i tak szczelnie spowity kłębamii białych obłoków, że nieodparcie nasuwała się myśl, iż obfituje w formy życia. A mimo to w jego pobliżu majaczył kształt ciała niebieskiego przypominającego księżyc – wielkiego i mrocznego...

Gdy dotarło do niej, na co patrzy, niemal się zachłysnęła.

„Nie... to niemożliwe... – jęknęła w duchu. – Nie poważyliby się na to ponownie...”.

Nie mogła się jednak oszukiwać: wiedziała, na co patrzy, aż za dobrze: w przestrzeni kosmicznej za iluminatorami jej statku pyszniła się druga Gwiazda Śmierci.

Rozdział 24

Ciena poczuła, że ręce drętwieją jej z paraliżującego strachu, jednak trwała w bezruchu, z dłońmi wspartymi o gładką powierzchnię iluminatora, wpatrując się w osłupieniu w nową Gwiazdę Śmierci.

Dlaczego ją zbudowali? Przecież poprzednia miała na celu zapobieżenie tej wojnie, ale nie spełniła swojego zadania. Dlaczego więc...?

Nim jeszcze dobrze się nad tym zastanowiła, знаła już odpowiedź, a mimo to nie potrafiła jej zaakceptować. Zamiast tego gapiała się w osłupieniu na potężną sferę stacji bojowej, która rosła w oczach, w miarę jak „Executor” zbliżał się do niej nieuchronnie.

Ciena często zastanawiała się, jak w ogóle udało się wybudować taką konstrukcję; nawet nieograniczone środki, jakimi dysponowało Imperium, musiały być nadwreżone budową obiektu o rozmiarach małego księżyca. Teraz jednak mogła przekonać się na własne oczy, jak przebiegał ten proces, bo nowa Gwiazda Śmierci nie była jeszcze w pełni skończona. Przed oczami Cieny majaczyły liczne niedobudowane sekcje, dzięki czemu mogła wejrzeć w głąb imponującej konstrukcji: brzydkie jak noc skrzyżowania korytarzy i nagie wsporniki, okalające bezdenne szyby.

Z odmętów pamięci napłynęły do niej własne słowa, które prześladowały ją niczym duchy przeszłości: „Imperator i moffowie musieli już wiedzieć, że zniszczenie Alderaana nie przyniosło nic dobrego. To nie powstrzyma Rebelii...”. Jedynym powodem do zaatakowania Alderaana było zapobieżenie wojnie. A mimo to doszło do niej i tak. Teraz było już zbyt późno, by uchronić przed nią galaktykę.

Nie potrafiła jednak wyobrazić sobie innego powodu, który uzasadniałby zniszczenie całej planety – ani śmierć miliardów istot. Takie bestialstwo mogła jedynie usprawiedliwić chęć zaprowadzenia w galaktyce pokoju.

Jednak teraz wszystko wskazywało na to, że kolejne istoty zginą

bez sensu – tylko po to, by galaktyka przyjęła na swoje barki brzemię większego cierpienia i strachu.

Przeszło jej przelotnie przez myśl, że być może ma to na celu położenie wreszcie kresu tej straszliwej wojnie... Jednak sama Ciena nie wierzyła w tę nieprzekonującą wymówkę. Skoro Rebelia nie dała się zastraszyć zniszczeniem Alderaana, unicestwienie kolejnych planet także nie zrobi na niej wrażenia. Zamiast tego skłoni kolejne rzesze do przyłączenia się do walki o ich sprawę. A to wcale nie położy kresu tej wojnie – tylko nasilił konflikt, zaognił go w niewyobrażalnym stopniu.

Za każdym razem, kiedy Ciena śniła koszmary o Alderaanie, starała się je rozwiązać, przypominając sobie o Jude. Śmierć, jaką poniosła jej przyjaciółka, pomagała jej usprawiedliwić powody, dla których dokonano tej zbiorowej masakry: przypominały o tym, że śmierć i zniszczenie były wynikiem ścierania się obu stron konfliktu. Teraz jednak była w stanie myśleć tylko o tym, że gdyby Jude zobaczyła drugą Gwiazdę Śmierci, przeszłyby ją dojmujący strach. Uzasadniony. Nigdy nie pisałaby się na uczestnictwo w czymś takim. Przenigdy.

Ogarnęło ją mrozące krew w żyłach przerażenie. W końcu, po chwili wydającej jej się wiecznością, oderwała dłonie od zimnej tafli iluminatora i potarła gwałtownie przedramiona, próbując przywrócić krążenie w zmarzniętych członkach. Nieważne jednak, jak bardzo się starała, wciąż miała wrażenie, że jej ciało przeszywa przenikliwy chłód.

Kiedy prom, na którego pokładzie się znalazła, zadokował na Gwieździe Śmierci, Ciena mogła na własne oczy przekonać się, na jakim etapie jest budowa stacji bojowej. Z zewnątrz potężna sfera wydawała się w dużym stopniu niedokończona. Jednak od wewnątrz – o, wszystko wyglądało zgoła inaczej; promień ściągający w każdej chwili mógł dostarczyć statki na wypolerowany jak lustro pokład, a przechadzka korytarzami superbroni dostarczała takich samych wrażeń, co spacer po pokładach któregośkolwiek z niszczycieli imperialnej armady. Ktokolwiek odpowiadał za przygotowanie całości na odwiedzinę Imperatora, wiedział, co robi.

– A więc wreszcie jesteśmy dość dojrzały, żeby móc zobaczyć samego Imperatora, he? – Berisse zakryła usta dłonią, próbując ukryć ukradkowy uśmiech. – Sama nie wiem, czym się tak jaram. Upchną nas pośród kilku tysięcy innych oficerów. I będziemy pewnie mieli gorszy widok niż z ostatniego rzędu na arenie wyścigów.

Nash jak zwykle trzymał się o krok za nimi. Od czasu walki w układzie Hudalla poświęcał Cienie więcej uwagi niż kiedykolwiek wcześniej.

– Mimo to będziemy mogli opowiadać naszym wnukom o dniu, w którym na własne oczy ujrzeliśmy Palpatine’a – zauważył. – A poza tym taka wielka ceremonia... cóż, to miła odmiana, prawda? Dokładnie to, czego ci trzeba Cieno: czegoś, co cię rozchmurzy.

Od incydentu w Hudalli słyszała to już w przeróżnych wariacjach niezliczoną ilość razy. Jak na ironię, rzeczywiście miała złamane serce, jednak z innego powodu, niż przypuszczała.

Ale teraz serce Cieny rozdzierała inna konsternacja. Jak mogli rozmawiać o ceremonii ku czci Imperatora? Jakie to mogło mieć znaczenie w obliczu faktu, że znajdowali się na pokładzie Gwiazdy Śmierci?

Rozejrzała się ponownie dookoła. Zgadza się, byli na Gwieździe Śmierci, otoczeni setkami innych oficerów – niektórzy tu stacjonowali, inni przylecieli specjalnie po nich wysłanymi statkami. Bez wątplenia niektórzy z nich podzielali jej rozterki, inni pewnie nie. Jednak publiczne wyrażanie swoich wątpliwości zaprowadziłoby ją prosto do aresztu. Uznała, że nie zaszkodziłaby jej odrobina samokontroli, jaką wykazywali jej przyjaciele.

Tak więc Ciena milczała, dopóki ich trójka jakimś cudem nie znalazła się samotna w windzie. Na specjalizacji dowódczej dowiedziała się, że urządzenia nasłuchowe rzadko są montowane w windach ze względu na zmiany częstotliwości, więc mogli tu bezpiecznie rozmawiać. Gdy tylko drzwi się zamknęły, wyraziła głośno swoje obawy:

– Nie wierzę, że zbudowali następną Gwiazdę Śmierci!

Berisse wzruszyła ramionami i oparła się o ścianę – z dala od oczu kolegów i przełożonych nie musiała już stanowić wzoru imperialnych

cnót, dawać przykładu idealną postawą.

– Nie wierzę, że zbudowali ją tak szybko – stwierdziła tylko. – Ile czasu zajmuje skonstruowanie czegoś takiego? Musieli zacząć od razu po bitwie o Yavin. Całkiem nieźle.

Ciena nie wierzyła własnym uszom.

– *Całkiem nieźle?*

– Cóż, musieliśmy ją odbudować. To znaczy... Ej! Wyluzuj! – Berisse ściągnęła brwi, zbita z tropu reakcją Cieny. – Największa i najpotężniejsza stacja bojowa w historii galaktyki, a wysadza ją w powietrze jakaś rebeliancka szumowina? Odbudowa Gwiazdy Śmierci to jedyny sposób, w jaki możemy uczcić naszych ludzi, którzy zginęli podczas bitwy o Yavin! Gdybyśmy tego nie zrobili, terroryści zwyciężyliby.

– Mam wrażenie, że się z tym nie zgadzasz, Cieno. – Nash mówił spokojnie, jednak jego taksujące spojrzenie nie umknęło jej uwadze. – Co o tym wszystkim sądzisz?

Uświadomiła sobie, że zaczyna się pocić.

– J... ja... sądzę, że jeśli zbudowaliśmy nową Gwiazdę Śmierci, zamierzamy jej użyć. Że kolejny świat zostanie zniszczony tak jak Alderaan.

Berisse parsknęła.

– Nic z tego. Kiedy rozejdą się wieści o ukończeniu budowy, nikt już nigdy nie sprzeciwi się Imperatorowi. Rebelia się rozpadnie. Sama zobaczysz.

Nawet targana najboleśniejnymi wątpliwościami dotyczącymi imperialnej taktyki Ciena zawsze wierzyła, że rządy prawa – choćby najbardziej surowe – są lepsze od chaosu. Jednak przyszłość opisywana przez Berisse nie była rządami prawa. Zwiastowała rządy strachu, a więc dyktaturę. Nawet najmroczniejsze z okropieństw wojen klonów bledły w porównaniu ze zniszczeniem całego zamieszkałego świata.

Dlaczego jednak Ciena bała się powiedzieć o tym na głos najbliższym przyjaciołom?

Próbowała znaleźć odpowiednie słowa, tak by zrozumieli:

– Kiedy Alderaan został zniszczony, sądziliśmy, że Rebelia dzięki

temu się podda. Że w ten sposób zapobiegniemy wojnie. Jednak walki trwają już trzy lata! – Jeśli ktoś tak cyniczny jak Thane był w stanie znaleźć pośród rebelianckiego dowództwa osoby godne podziwu i szacunku, Sojusz Rebeliantów nie zniknie tak szybko, jak im się zdawało. – Nie rozumiecie? Taka taktyka nie ma pokrycia w rzeczywistości. Jeżeli ta stacja nie ma służyć ochronie obywateli Imperium przed wojną, jak można uzasadnić jej istnienie?

Nash wyprostował się i spojrzał na nią, mrużąc oczy, a gdy przemówił, ton jego głosu przyprawił ją o gęsią skórkę.

– Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem Alderaan został zniszczony na próżno? Niepotrzebnie?

Ciena podniosła ręce do góry.

– Nash, proszę. Nie chciałam...

– Posłuchaj – wszedł jej ostro w słowo. – Alderaan musiał zginąć, by galaktyka poznała prawdziwą potęgę Imperium. Koniec mojej ojczyzny był jednocześnie końcem Senatu Imperialnego, końcem niezliczonych bezsensownych przepychanek między żądnymi władzy ignorantami, które hamowały Palpatine'a u początków jego panowania. Dopiero wówczas wszechświat poznał prawdziwą siłę Imperium. – Wzrok miał dziwnie zamglony, nieostry, jak u kogoś trawionego gorączką. Ciena pomyślała, że podobnie musiał wyglądać podczas walki w Hudalli. – Ta wojna – podjął – to jedynie pokłosie konfliktów, które targają galaktyką w ciągu minionego stulecia, ostatni, bezcelowy spazm tych, którzy się nam sprzeciwiają. Rebeliantom udało się zniszczyć pierwszą Gwiazdę Śmierci dzięki głupiemu fartowi. Odbudowując ją i wykorzystując tyle razy, ile to konieczne, by przywrócić ład, udowodnimy, że kolejny raz już im się nie poszczęści. Udowodnimy, że jesteśmy jedyną prawowitą władzą – na zawsze.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując ich oczom jeden z mniejszych pokładów hangarowych, na który wkrótce miał zawitać sam Imperator. W korytarzach roіło się od oficerów, skutecznie uniemożliwiających Cienie dalsze otwarte wyrażanie własnego zdania. Czuła się dziwnie odsłonięta. Każdy z tych ludzi mógł ją nazwać zdrajczynią – nawet dwójka jej najlepszych przyjaciół.

Poczuła, jak Nash kładzie jej delikatnie dłonie na ramionach.

– Wciąż nie jesteś sobą – stwierdził łagodnie. – To naturalne, że po tym, jak Thane cię okłamał, boisz się komukolwiek zaufać, a może nawet podważasz prawdziwość tego, co cię otacza.

– Tamta walka... To była jedna z najgorszych chwil w moim życiu. – Przynajmniej tyle mogła wyznać szczerze.

– Wierz w słuszność własnej służby – poradził jej. – Wierz w nas. A ponad wszystko wierz w przysięgę, którą złożyłaś, kiedy ukończyliśmy akademię. To właśnie zasady, według których postępujesz, są tym, co cię definiuje, Ciena. Nie zboczysz z raz obranej drogi, jeśli tylko pozostaniesz wierna samej sobie. – Uśmiechnął się do niej w sposób, który zazwyczaj wywoływał u niej natychmiastową chęć opuszczenia pomieszczenia, w którym razem przebywali, pod byle pretekstem. Ta sama słabość wobec niej, którą tak usilnie starała się u niego wytepić, stała się jej najlepszą ochroną przed oskarżeniem o zdradę.

Tymczasem Berisse maszerowała już zwawym krokiem przed siebie.

– Na co czekacie? – zawołała do nich. – Prom Imperatora będzie tu lada chwila! Ruchy!

Następne kilka godzin wypełnionych poleceniami i formowaniem szyku Ciena spędziła rozdzielona z przyjaciółmi; komandorów ustawiono w nieco lepszej lokalizacji, chociaż wciąż za setkami kapitanów, admirałów i najlepszych strzelców. W dziwnym otępieniu robiła wszystko, czego od niej wymagano, przemieszczając się posłusznie za każdym razem, gdy organizatorom gali zmieniała się koncepcja. Przynajmniej miała coś do roboty. Starła się zająć czymś umysł, przypatrując się zmaganiom sił między różnymi członkami elit, jednak nie była to zbyt ambitna rozrywka. Obserwowanie ich błahych problemów i jakże często okazywanego strachu przed gniewem Lorda Vadera przypominało jej tylko o tym, że imperialna flota, w której służyła, nie była tym samym tworem, za jaki miała ją kiedyś.

Wreszcie nadszedł wyczekiwany przez wszystkich moment. Lord Vader ruszył szpalerem między swoimi podwładnymi, powiewając

czarną peleryną; w oddali biały prom jaśniał niczym jedna z odległych gwiazd. Gdy znalazł się bliżej, Ciena zauważyła na jego dziobie charakterystyczny szary pas: oznaczenie informujące wszem wobec, że na jego pokładzie podróżuje sam Imperator.

Gdy po trapie statku zaczęli schodzić jego pasażerowie, Lord Vader – ku zaskoczeniu Cieny – przyklęknął. Żaden z oficerów nie był zobowiązany kłaniać się ani klękać. Co to mogło oznaczać? Jednak to pytanie natychmiast uleciało jej z głowy, gdy w jej polu widzenia znalazł się sam Imperator Palpatine.

Jego twarz pojawiała się dzień w dzień na niezliczonych hologramach. Podobnie jak każdy z obywateli Imperium, mogłaby opisać jego wygląd z detalami o dowolnej porze dnia czy nocy, niczym każdego z członków własnej rodziny. Niemal całkiem siwy, ale o włosach wciąż gęstych, z twarzą poznaczoną lekką siateczką zmarszczek będących efektem upływu czasu i dźwigania brzemienia trosk, bystry wzrok. Innymi słowy: oblicze pokazywane galaktyce nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Na widok twarzy ocienionej obszernym kapturem, nie do końca skrywającym niezdrowo bladą, obwisłą i poprzecinaną głębokimi jak wąwozy bruzdami skórę, Ciena otworzyła szeroko oczy. Imperator kroczył między szeregami żołnierzy i oficerów przygarbiony, bez słowa, nie zaszczycając nawet jednym spojrzeniem żadnego z setek lojalnych sług, którzy zgromadzili się tu, by go powitać.

„Nie bądź małostkowa – zganiła się w duchu. – Zestarzał się. I co z tego? To normalne. A poza tym z pewnością jego myśli zaprzętają ważniejsze rzeczy niż jakaś głupia ceremonia...”.

Jednak taka argumentacja nie działała. I nie chodziło wcale o wygląd Imperatora, bo to nie on wstrząsnął nią najmocniej, tylko o emanującą od niego niewytłumaczalną aurę prawie namacalnego zła, tak silną, że niemal zakreśliło jej się od niej w głowie. Nawet z tej odległości Palpatine budził w niej fizyczny lęk: prymitywne instynkty, każące jej natychmiast uciekać lub walczyć.

Takie odruchy wywoływała u niej tylko jedna osoba w galaktyce: Darth Vader. Ciena zawsze powtarzała sobie, że Vader to kuriozum, aberracja, jedyny taki przypadek w całym Imperium – i jak dotąd jej

teoria się sprawdzała, jednak teraz bezgranicznie przerażało ją, iż wszechogarniające poczucie wrogości i grozy, które w niej wzbudzał, promieniowało także od najpotężniejszej osoby w galaktyce...

„Czy to właśnie komuś takiemu służyłam przez cały ten czas?” – spytała z lękiem samą siebie.

„To tylko zły sen”.

Nie działało. Thane czuł chłód twardej żelaznej ławki pod pośladkami, wdychając zapachy smaru i ozonu wypełniające hangar serwisowy. Każdy przyziemny szczegół otoczenia przekonywał go, że nie śni, że to się dzieje naprawdę.

„To tylko test – próbował przekonać samego siebie. – Szkolenie. Dowództwo Sojuszu chce przekonać się, jak się zachowamy w skrajnie trudnych warunkach...”.

Nic z tego. Nie ryzykowaliby gromadzenia całej rebelianckiej armady tylko po to, by przeprowadzić ćwiczenia.

Jeśli jednak to nie koszmar ani ćwiczenia, pozostawało tylko jedno wytłumaczenie – straszliwa, okrutna prawda: Imperium zbudowało drugą Gwiazdę Śmierci.

Thane’owi przychodziły na myśl słowa w językach z kilkudziesięciu światów, którymi mógłby opisać, jak się czuje – a każde bardziej niecenzuralne i obsceniczne od poprzedniego. Miał jednak zbyt mocno ściśnięte gardło, by wypowiedzieć któreś z nich na głos. Mógł tylko stać przed zaparkowanymi pod ścianami X-wingami i wpatrywać się w obracający się hologram, podczas gdy generał Madine przeprowadzał odprawę.

– A jak dokładnie mają się zająć tym generatorem osłon? – pytała go właśnie Kendy. – Tam w dole, na lesistym księżycu, będzie się aż roiło od żołnierzy. Będą ich dziesiątki... jeśli nie setki.

– Generał Solo przejmie obowiązki majora Lokmarchy, który zginął podczas wypełniania misji. Zespół Solo na księżycu Endora dopilnuje dezaktywowania generatora osłon. Każda osoba biorąca udział w tym ataku ma dość własnych obowiązków, by nie martwić się o zadania powierzone innym, Korono Pięć – dodał wymownie Madine.

– Kim, u licha, jest generał Solo? – szepnął Thane do Yendora.

– No wiesz: Han Solo, kapitan „Sokoła Millennium”! Nie kojarzysz? Nazwa statku brzmiała co prawda znajomo, jednak Thane nie potrafił przypisać jej do konkretnej jednostki.

Na widok jego konsternacji Yendor otworzył szerzej oczy i przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

– Hej! To jeden z tych gości, którzy uratowali księżniczkę Leię z pierwszej Gwiazdy Śmierci! Teraz coś ci dzwoni?

– Nie należałem jeszcze wówczas do Rebelii – wymamrotał. – Dołączyłem tuż przed Hoth.

– Ach – bąknął Yendor. – Kapitan Solo został chyba tuż po Hoth schwytany przez łowcę nagród. – Jego lekku wyraźnie oklapły. – Nie możesz go więc znać, ale... to jeden z najlepszych.

– Zgadza się – potwierdził generał Madine, który najwyraźniej przysłuchiwał się ich rozmowie. Thane i Yendor spojrzeli w jego stronę i wyprostowali się na swoich miejscach. – Generał Solo poprowadzi zespół, w którego skład wejdą między innymi księżniczka Leia Organa i Luke Skywalker. Wyłączą osłony.

Ach, znów ten Luke Skywalker. Thane z trudem powstrzymał się od przewrócenia oczami. Z kolei księżniczka Leia... o, księżniczka była jedną z osób, które podziwiał. Jeśli miałby komuś zaufać, to jej, bez dwóch zdań.

Generał Madine podjął:

– Tymczasem generał Calrissian poprowadzi myśliwce w głąb konstrukcji Gwiazdy Śmierci, aż do jej jądra. Rozproszenie imperialnej floty daje nam szansę na atak, jaka może się już nie powtórzyć. Dzięki temu, że stacja wciąż jest w budowie, nic nie chroni jej głównego reaktora. Grupie szturmowej powinno udać się go wysadzić i wywołać reakcję łańcuchową, która zniszczy superbroń, nim zostanie ona ukończona i osiągnie sprawność.

„A kim, do diaska, był z kolei generał Calrissian?” – zachodził znów w głowę Thane, jednak tym razem postanowił trzymać język za zębami i nie pytać. Jeżeli Sojusz Rebeliantów nie miał problemów z powierzaniem dwu mających kluczowe znaczenie misji jakimś świeżo upieczonym generałom, w porządku...

– Eskadro Koron, waszym zadaniem będzie osłaniać generała

Calrissiana lecącego „Sokołem Millennium” oraz inne myśliwce z eskadr Żółtej, Czerwonej, Zielonej i Szarej podczas penetracji Gwiazdy Śmierci – oznajmił im Madine. – Im mniej myśliwców TIE napotkacie po drodze, tym większe będziemy mieli szanse na oddanie czystego strzału i szybki odwrót. To oznacza w praktyce, że będziecie musieli zmierzyć się z TIE-ami zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz stacji bojowej... a także potencjalnym ostrzałem z dział większych statków, które Imperium może wysłać na odsiecz.

Thane uznał, że w bliżej nieokreślonej, ale z pewnością niezbyt odległej przyszłości zacznie świrować na samą myśl o udziale w szarzy na Gwiazdę Śmierci. W tej chwili nie bardzo jeszcze do niego docierało, że to cholerstwo w ogóle istnieje.

Uznał Cienę za naiwną, gdy starała się go przekonać, że Imperium już nigdy nie spróbuje zniszczyć żadnej planety. Teraz dotarło do niego, że on także w pewnym stopniu w to uwierzył. Sama myśl o tym, że kolejny świat mógłby podzielić los Alderaana, była zbyt przytłaczająca i absurdalna zarazem, by śmiał w ogóle ją rozważać. Nieważne, jak nikłe mieli szanse na skuteczne wypełnienie tej misji, Rebelia musiała zaatakować. Od tej pory podjęte przez nich kroki doprowadzą nie tylko do najważniejszej bitwy, jaką przyjdzie im stoczyć – ale też jedynej, której wynik będzie miał znaczenie.

Gdy odprawa dobiegła końca, ruszył przez główny hangar, w którym wrzało teraz jak w ulu. Wielu pilotów zabrało się niezwłocznie do sprawdzania systemów własnych statków, inni padali sobie w objęcia i wymieniali uściski dłoni: żegnali się z przyjaciółmi, tak na wszelki wypadek.

Thane przystanął najpierw przy „ZOD”, aby ucisnąć łapę Brill i długopalczystą dłoń Methwata, a potem przytulił Lohgarę – równie mocno co ona jego. Okazało się jednak, że jeden z członków załogi „ZOD” miał lecieć na misję z Eskadrą Koron.

– Potrzebowałem nowego astromecha – wyjaśnił przeproszająco Yendor, gdy JJH2 sadził się w gnieździe na pokładzie jego X-winga.
– Mówiłeś, że ten jest spoko.

JJH2 zapiszczał pytająco i Thane wbrew sobie uśmiechnął się do małego droida.

– Tak właśnie powiedziałem. I mówiłem serio – potwierdził. – Dbajcie o siebie nawzajem, dobra?

Gdy Yendor i JJH2 zabrali się do sprawdzania systemów, Thane wspinał się na pokład własnego myśliwca. Po bitwie w układzie Hudalla przeprowadził już dogłębny przegląd, więc teraz pozostawało mu tylko siedzieć w kokpicie i czekać na rozkaz startu: ruszenia do walki przeciwko Gwieździe Śmierci... co brzmiało ni mniej, ni więcej, tylko jak definicja samobójstwa.

Sojuszowi Rebeliantów udało się zniszczyć pierwszą Gwiazdę Śmierci, jednak tylko dzięki łutowi niebywałego szczęścia – i powinni byli o tym wiedzieć. Uchybienie w konstrukcji systemu wentylacyjnego? Jakie mieli szanse, że uda im się ponownie? Na myśl o tym Thane pokręcił z niedowierzaniem głową. Jako były imperialny oficer wiedział bardzo dobrze, w jaki sposób karano podobne przeoczenia. Żaden inżynier pracujący przy drugiej Gwieździe Śmierci nie popełniłby podobnego błędu. Ta stacja musiała być jeszcze solidniejsza niż poprzednia.

Przez chwilę wspominał tamte czasy, gdy jako świeżo upieczony absolwent Akademii Imperialnej na Coruscant wyruszał, by objąć stanowisko na pokładzie pierwszej Gwiazdy Śmierci. Kiedy zobaczył ją pierwszy raz, na jej widok zaparło mu dech w piersi: nigdy dotąd nie widział nic podobnego. Była tak ogromna... Wciąż trudno mu było uwierzyć, że tamta Gwiazda Śmierci została zniszczona, a tym bardziej, że da się unicestwić drugą.

Cichutki cyniczny głos w jego głowie szeptał: „Wiesz, że w każdej chwili możesz się z tego wycofać, prawda? To ochotnicze wojsko, pamiętasz?”.

Jednak Thane nauczył się już ignorować te podszepty. Członkowie Eskadry Koron i załoga „ZOD” byli teraz dla niego kimś najbliższym pojęciu prawdziwej rodziny, możliwe, że jedynej, jaką kiedykolwiek miał. Może i nie podzielał optymizmu swoich przyjaciół, jednak bodajby szczuł, gdyby miał porzucić ich tuż przed najniebezpieczniejszą bitwą, jaką przyjdzie im stoczyć.

A jeśli Imperium wygra, skazując galaktykę na swoje wieczne, bezlitosne, niesprawiedliwe rządy...?

Thane uznał, że jeśli do tego dojdzie, woli zginąć w walce.

Upłynęły dwa dni, odkąd Ciena na własne oczy zobaczyła drugą Gwiazdę Śmierci i Imperatora – i te dwa dni wyczerpały ją i wypaliły do cna.

Z każdą chwilą coraz mocniej uświadamiała sobie konsekwencje nowej sytuacji i miała wrażenie, że lada moment nie zniesie tego dłużej i zupełnie się załamie. Przytłaczająca osobowość i wygląd Imperatora... niesłuszne oskarżenie jej matki... bezkompromisowe przyzwolenie Nasha i Berisse na ludobójstwo jako środek do osiągnięcia celów militarnych... Śmierć tak wielu pilotów, którzy zginęli na darmo, poświęcając życie dla dowódców, którzy mieli ich za nic – a także Thane, wciąż narażający się w walce z Imperium każdego dnia.

„Nie mylił się w tak wielu sprawach – pomyślała tępo, poddając się posłusznie comiesięcznym badaniom. Przeszył ją nagły dreszcz, który ochoczo złożyła na karb dotyku gładkiego metalu. – Szkoda, że nie mogę mu o tym powiedzieć”.

Wciąż nie wybaczyła Rebelii śmierci Jude. Nie wierzyła też, że Sojusz byłby w stanie sformować skuteczny, sprawnie działający rząd. Jednak chociaż do głowy by jej nawet nie przyszło, by dołączyć do rebeliantów, rozumiała już, dlaczego Thane podjął taką decyzję.

„Tu jednak nie chodzi o nasze zobowiązania wobec Imperium – powiedział jej, gdy trzymał ją w ramionach w Fortecy. – Tylko o ich zobowiązania wobec nas”.

Przysięga pozostawała w mocy, nawet gdy już nie było warto jej dochowywać. To była kwestia honoru – nawet gdy zachowanie lojalności stawało się gorzkim, niewdzięcznym obowiązkiem.

Kiedy Ciena zakładała mundur, pokład statku rozbrzmiał wyciem syreny alarmowej.

– Wszyscy piloci do maszyn, natychmiast – brzmiał komunikat.

Co się działo? Ciena nie sądziła, żeby rebelianci zdołali się tak wcześniej dowiedzieć o nowej stacji bojowej – jej budowę utrzymywano w sekrecie tak ściśle, że nie wiedzieli o niej nawet wysoko postawieni oficerowie z pokładu „Executora”. Być może

chodziło tylko o ćwiczenia albo kolejny pokaz siły ognia, zorganizowany dla Palpatine'a? Mniejsza o to – to nie miało znaczenia; była gotowa podjąć się kolejnego zadania: ponad wszystko chciała znów latać.

Ostatnio do jej obowiązków rzadko należało pilotowanie czegoś mniejszego od promu transportowego – a i to nieczęsto. Zależało jej jednak na tym, by nie wyjść z wprawy, i była gotowa w każdej chwili zgłosić się na ochotnika, jeśli w grę wchodziło pilotowanie myśliwca TIE.

Niezwłocznie zameldowała się u dowódcy lotów, który wydawał się dziwnie... zadowolony z siebie.

– Jasna sprawa, komandor Ree – rzucił na jej widok z uśmiechem.
– To normalne, że chcesz wziąć w tym udział. Będzie co opowiadać wnukom, prawda?

Taa, coś w stylu: „Wiecie, drogie dziatki – pewnego razu, gdy popisywałam się ku chwale tego odrażającego, paskudnego Imperatora, który wysadzał w powietrze całe planety...”. Odpowiedziała jednak z kamienną twarzą:

– Kolejną zmianę zaczynam za sześć godzin, sir. Jestem gotowa do służby.

– Twoja odwaga zostanie z pewnością doceniona, komandor Ree. Staw się niezwłocznie w hangarze lotów numer dziewięć.

Gdy Ciena zakładała czarny pancerz pilota TIE, powtarzała sobie w myśli, że już za chwilę, kiedy zasiądzie za sterami, wszystko się samo ułoży. Latanie wciąż dawało jej największą radość i stanowiło jej jedyną odskocznnię, ucieczkę od rzeczywistości. W przestrzeni kosmicznej, mknąc przez czerń próżni, czuła się wolna od wszystkich targających nią wątpliwości. Przez tych parę krótkich chwil mogła znów być sobą.

Pośród gorączkowych przygotowań do startu kątem oka dostrzegła Nasha, który podchwyciwszy jej spojrzenie, uśmiechnął się do niej łobuzersko. Wciąż w nią wierzył... jednak ukłucie winy minęło, jeszcze nim zdążyła wspiąć się do kokpitu swojej maszyny. Cokolwiek przyniesie los, miała zamiar trzymać się z dala od wszystkich, których dawniej znała. Może mogłaby otrzymać przydział do jakiejś

podrzędnej placówki na którymś z imperialnych zadupii? Gdzieś, dokąd nikt nie chciał trafić – załapać się na fuchę, która nie byłaby zbyt wymagająca, w jakimś miejscu, w którym mogłaby uczynić coś dobrego?

Hełm: uszczelniony. Silniki: pełna moc. Ciena czekała, aż ich eskadra otrzyma sygnał do lotu, a gdy wreszcie nadszedł, wystartowała i szybko opuściła hangar. Otaczały ją setki innych myśliwców, zmuszając ją do precyzyjnego manewrowania. Mimo że musiała maksymalnie się skupić, pilotowanie działało na nią kojąco, łącznie z wibracjami silnika i jego rykiem wypełniającym ciasną kabinę. Start był dla niej zawsze niczym zrzućcie okowów i wyrwanie się na wolność.

Na chwilę wróciła myślą do tamtych chwil, w których szybowiała nad jelucańskimi wzgórzami razem z Thane'em – byli wówczas niczym jeden duch, jedno ciało...

Aktywowała szersze pasmo czujników i niemal się zachłysnęła.

Widziała, że wraz z nią wystartowały setki innych myśliwców TIE, jednak nie miała pojęcia, że w pobliżu zgromadziło się tak wiele innych imperialnych statków, z gwiazdnymi niszczycielami włącznie. Tego się nie spodziewała – było ich tu nawet więcej niż podczas ataku na Hoth.

I wówczas elementy układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca.

„Zostaliśmy masowo postawieni w stan alarmu – myślała gorączkowo. – To oznacza, że wkrótce zjawią się tu rebelianci”.

A jeśli mieli się zjawić, wiedzieli już o Gwieździe Śmierci i Imperatorze. Imperialne dowództwo chciało, by czekali na nich – i by rebelianci się o tym dowiedzieli.

„To właśnie dlatego Piett kazał mi dopilnować, żeby jeden z X-wingów umknął – przypomniała sobie. – Chciał, żeby poinformował Sojusz o ruchach Imperatora. To była od początku pułapka...”.

Dlaczego się tego nie domyśliła? Właściwie w pewnym sensie to przeczuwała: bo z jakiego innego powodu miałyby zadbać o to, by jeden z rebeliantów wyszedł cało, jeśli nie po to, żeby przekazać reszcie fałszywe informacje? Uznała jednak, że to zwykła zmyłka,

mająca utajnić lokalizację Imperatora. A jednak zasadzka zastawiona przez Imperium okazywała się zakrojona na znacznie większą skalę i dużo bardziej skomplikowana – ona była jedynie jednym z pionków w tej grze. To nie zwykłe manewry wojskowe. To miał być dzień, w którym Imperium zgładzi Rebelię i zmiażdży ją na dobre.

Gdy Ciena zacisnęła dłonie na instrumentach sterowniczych, ekran w jej kokpicie zalała fala błyskawicznie przewijających się po wyświetlaczu danych – informacje pojawiały się i znikwały tak szybko, że ledwie nadążała je śledzić. W przestrzeni wokół Gwiazdy Śmierci i księżycy Endora zaroilo się nagle od statków.

Sojusz Rebeliantów przybył... a Imperium czekało na niego.

Rozdział 25

Niech moc będzie z nami – rozbrzmiał z głośników systemu łączności głos admirała Ackbara, gdy rebeliancka armada kierowała się ku Gwieździe Śmierci.

Teraz, gdy Thane zobaczył nową stację bojową na własne oczy, musiał uwierzyć w jej istnienie... jednak widział też, jak wiele brakowało jeszcze do jej ukończenia. Nie mieli walczyć przeciwko kompletnej superbroni, a jedynie fragmentarycznej skorupie. Thane z ulgą pomyślał, że ich misja nie musi zakończyć się porażką.

„Nie musi, ale wciąż może” – zmitygował się po chwili. Jednak teraz każdą pociechę witał z niewysłowioną wdzięcznością.

„Generator osłon powinien już być nieaktywny – powtórzył sobie, sprawdzając odczyty czujników. – Lada sekunda otrzymamy zielone światło do wkroczenia do akcji”.

Jednak rozkazy nie nadchodziły.

A on nie odbierał żadnych odczytów, które świadczyłyby o stanie osłon: włączonych czy wyłączonych. Ściągnął brwi i pomanipulował przy kontrolkach. To byłby bardzo kiepski moment na awarię systemów...

Nagle jednak w jego kokpicie rozległ się głos generała Calrissiana:

– Wycofać się! Osłony wciąż aktywne!

Thane zaklął pod nosem. Co się wydarzyło na Endorze?

– Powtarzam: wycofujemy się! – ponownie zakomunikował Calrissian. – Wszystkie statki: odwrót!

Gdy szerokim łukiem oddalali się od Gwiazdy Śmierci, Thane rozpoczął przygotowania do powrotu w nadprzestrzeń: upokarzającą, jednak konieczną ucieczkę. Przerwał mu wypowiedziany pełnym napięcia głosem rozkaz admirała Ackbara:

– Manewr wymijający!

– Sektor czterdziesty siódmy... Są tu – oznajmiła dziwnie spokojnie Kendy.

Thane zamarł, gdy jego oczom ukazał się przerażający widok:

wyglądało to jak co najmniej połowa imperialnej floty, łącznie z dziesiątkami gwiazdnych niszczycieli.

Sojusz Rebeliantów stawiał się z własnej woli w miejscu, w którym czekała go zagłada.

„Przynajmniej szybko pójdzie” – pomyślała Ciena.

Jej myśliwiec TIE mknął wraz z resztą maszyn, by związać walką rebeliancką flotę. Miażdżąca przewaga Imperium nie pozostawiała złudzeń co do tego, że wygrają tę bitwę w ciągu kilku minut. Gdy jednak posłusznie wypełniała rozkazy, według których mieli wziąć na cel fregatę medyczną, zauważyła, że gwiazdne niszczyciele najwyraźniej nie zamierzają dołączyć do walki. „Po co gromadzić tak potężną siłę ognia i nie korzystać z niej?” – zachodziła w głowę, ale nagle spostrzegła przecinający przestrzeń kosmiczną zielony promień Gwiazdy Śmierci i знаła już odpowiedź na swoje pytanie.

Zamarła, spodziewając się, że Endor lub jego księżyc lada chwila eksplodują... zamiast tego jednak laserowa salwa ugodziła w jeden z większych rebelianckich krążowników. Okręt zniknął w chmurze ognia – w ułamku sekundy.

„Skoro stacja jest w pełni sprawna... po co wysyłać nas do walki?”.

Westchnęła gorzko w duchu. Kolejny pokaz, kolejna bezsensowna demonstracja siły. Dziesiątki pilotów TIE – o ile nie setki – zginą bez potrzeby. Gwiazda Śmierci z łatwością rozprawiłaby się z rebeliantami samodzielnie. Jednak Palpatine chciał, aby każdy admirał i generał zobaczył triumf Imperatora na własne oczy.

„Zginiemy dla jego chwały – pomyślała z goryczą. – Co oznacza bezcelową śmierć. Kolejny raz”.

Świadomość, że uczestniczy się w walce, w której jest się skazanym na klęskę, okazała się wyzwalająca; mobilizacja atakowanych wprost wystrzeliła w kosmos – i to dosłownie.

Tylko dzięki bezgranicznemu skupieniu Thane nie wpadł w panikę, kiedy dotarło do niego, że osłony są wciąż aktywne, i gdy zobaczył, jak ogromną flotę zmobilizowano, by rozpylić Sojusz Rebeliantów na atomy. Nie mrugnął nawet, gdy Gwiazda Śmierci zniszczyła „Liberty”

– okręt będący od wielu miesięcy domem Eskadry Koron. Przypomniał sobie przyjacielskich Kalamarian, którzy powitali go na jego pokładzie; każdy z nich zginął w ułamku sekundy.

Nie żeby Thane miał większe od nich szanse, by ujść z tego z życiem. W tej chwili był przekonany, że zginie dziś z ręki Imperium – nieważne, jak mocno będzie się starał przetrwać. Teraz zależało mu jedynie na tym, by przeciwnicy zapłacili za to własną krwią.

W głośnikach jego X-winga rozbrzmiał głos generała Calrissiana, rozkazującego małym statkom wciągnięcie niszczycieli w bezpośrednią walkę – prawdopodobnie po to, by skorzystać z ich ochrony przed laserem Gwiazdy Śmierci. Mało brakowało, a Thane parsknąłby śmiechem: „Jakbyśmy byli bezpieczniejsi w bezpośredniej bliskości niszczycieli!”. Mimo to cieszył się z okazji do zadania tak wielu zniszczeń, ile tylko zdoła.

– Zamierzam podlecieć do silników – zgłosiła Hrabina. – Kto leci ze mną?

Thane przygotował się mentalnie do szarży.

– Korona Cztery, będę tuż za tobą.

– Korona Pięć potwierdza gotowość! Do dzieła! – zameldowała Kendy niemal radośnie, jakby nie mogła się doczekać chwili, w której zaszkośli wrogowi.

Yendor nie potwierdził co prawda chęci dołączenia do nich werbalnie, ale Thane dostrzegł na ekranie, jak jego maszyna przyspiesza: leciał tak prędko, że wydawało się, iż dotrze do niszczyciela przed nim... Jednak Thane również dał całą naprzód i zanurkował gwałtownie ku rufie okrętu.

Silne osłony gwiazdowego niszczyciela wytrzymały zmasowany ostrzał bez szwanku. Jednak silniki – o, to była inna sprawa. Co prawda znajdowały się zbyt głęboko wewnątrz grubego pancerza, by można było je zniszczyć, jednak nawet spowolnienie takiego molocha lub pozbawienie go części mocy mogło przesądzić o losach walki.

„Sprawdźmy, jak im się spodoba chwilowy przymusowy postój”. Thane wyszczerzył zęby w uśmiechu i skręcił; pozostali członkowie Eskadry Koron trzymali się tuż za nim.

Wróciły nawyki ze szkolenia w akademii; czuł się zupełnie tak,

jakby w powietrzu przed nim zamajaczyły znów hologramy z kursu projektowania dużych jednostek, z naniesionymi na nie strzałkami wskazującymi ich wrażliwe punkty. Thane wycelował i wystrzelił, a potem jeszcze raz – i kolejny. Wiedział, że strzelając z taką częstotliwością, wyczerpie moc swojego myśliwca tak skutecznie, że nie będzie miał szans na skok w nadprzestrzeń i odwrót, jednak w tej chwili nie miało to już żadnego znaczenia. Wszystko wskazywało na to, że dzisiejszego dnia zginie cała Rebelia. Thane mógł mieć tylko nadzieję, że polegnie w walce.

Jego salwy trafiły do celu, jednak Kendy poradziła sobie jeszcze lepiej. „Zawsze była najlepszym strzelcem na roku” – przypomniał sobie, gdy dostrzegł na obrzeżach jednego z silników niszczyciela snopy iskier, które zgasły szybko w kosmicznej próżni.

Zauważył lecący prosto na nich rój myśliwców TIE – przemknęły tak blisko, że Thane dostrzegł rozbłysk jednej z maszyn za iluminatorem swojej owiewki. Nawet nie mrugnął – opuścił po prostu palec na spust.

Imperium nie zapewniało swoim pilotom nawet osłon, które chroniłyby ich maszyny. Jedno trafienie i statek wybuchał. Thane wystrzelił dwukrotnie i został nagrodzony widokiem fontanny iskier towarzyszącej opadaniu spiralą w dół rozmazanego w smugę myśliwca.

„Co teraz?” – zastanowił się przelotnie. Może powinien zanurkować w stronę głównego mostka i rozbić o niego swój myśliwiec, zabierając ze sobą do piekła imperialnego admirała...?

– Osłony wyłączone! Powtarzam: osłony wyłączone!

Thane spisał już wysłany na Endor zespół na straty. „Szlag! – pomyślał z ostrożną nadzieją. – Udało im się!”. Złapał się na tym, że wyobraża sobie księżniczkę Leię jako samotną triumfatorkę. Pewnie rozwaliła ten generator osłon z szerokim uśmiechem na twarzy...

– Wszystkie myśliwce za mną! – zawołał generał Calrissian.

– Ruszajmy! – zawtórował mu okrzyk Hrabiny. W jej głosie nie było śladu rezerwy ani zwykłego chłodu: była żadna krwi. – Eskadro Koron, lecimy do środka!

– Korona Cztery: gotów. – Thane wyszczerzył zęby w uśmiechu,

gdy dokonywali przegrupowania i kierowali się wprost na widniejącą przed nimi pośród kosmicznej pustki stację bojową. Miał wrażenie, że nurkują prosto w morze czarnych metalowych paneli. – Nie zapominajcie, że to cholerstwo jest tak wielkie, że musicie wziąć poprawkę na kompensację jego przyciągania grawitacyjnego!

Skręcił ostro na skrzydło, prowadząc swój myśliwiec wzdłuż boku Gwiazdy Śmierci, tuż pod ziejącą otchłanią, ku której kierował się „Sokół Millennium”. W dole ciągnęły się bezkresne połączone czarne metalu, litej, zwodniczo gładkiej powierzchni, poznaczone szczyrbami w miejscach, w których wciąż jeszcze nie skończono prac konstrukcyjnych; tu i ówdzie wykwitwały chmury płomieni i tryskały snopy iskier podobne fajerwerkom towarzyszącym uroczystym obchodom świąt na jego ojczystej planecie.

Nad łukiem kopuły Gwiazdy Śmierci pojawiły się trzy myśliwce TIE, jednak Thane nie zawracał sobie nawet głowy robieniem uników. Zamiast tego przyspieszył, wycelował, wystrzelił... i przeleciał prosto przez trzy kule ognia, które rozbłysły tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się statki wroga.

Nie zaprzętał sobie nawet głowy zastanawianiem się, czy za sterami któregoś z nich nie zasiadała przypadkiem Ciena. Była zbyt sprytna, by dać się tak głupio sprzątnąć; wystrzeliłaby pierwsza. Nie pozwoliłaby im też bezkarnie zbliżyć się do silników gwiazdowego niszczyciela. Bez dwóch zdań przebywała teraz bezpieczna na pokładzie któregoś z nich... jednak Thane złapał się na cichej nadziei, że jeśli już miałyby zginąć, to z jej ręki. To w pewnym sensie związałyby już ich ze sobą nierozzerwalnie, na zawsze.

– Droga wolna! – zameldowała Hrabina. Zespół szturmowy „Sokoła Millennium” wleciał do wnętrza Gwiazdy Śmierci!

Thane zamarł, uderzony nagłą, zaskakującą myślą: mieli szansę wygrać.

– Dlaczego nie chronicie silników?! – krzyknęła Ciena na idiotów zasiadających za sterami myśliwców TIE, którzy pozwolili idiotom w rebelianckich maszynach uszkodzić „Subjugatora”. – Wracajcie tam, natychmiast! Ruchy!

Rebelianci wpadli w pułapkę – i wiedzieli o tym – jednak wszystko wskazywało na to, że nim polegną z kretesem, zamierzają zabrać ze sobą tylu imperialnych, ilu się da. Przestrzeń kosmiczną wokół stacji zaśmiecały już szczątki okrętów wroga, niszczone przez laser Gwiazdy Śmierci. Ciena znów poczuła falę wściekłości, zalewającą ją na samą myśl o wszystkich tych pilotach posłanych na bezsensowną śmierć przez bezdusznych dowódców, jednak tym razem skupiła ją na władzach Sojuszu – kimkolwiek była osoba, która skłoniła Thane'a do dołączenia do tej wojny.

Jednak jeszcze bardziej wściekła się na siebie samą. Thane był tylko jednym z wielu rebeliantów, którzy zginą w zasadzce, jaką sama nieświadomie pomogła zastawić. Zarówno ona, jak i on padli ofiarami bezdusznego wyrachowania Imperium i potwornej rzezi, którą zapoczątkowało.

Podniosła swojego TIE Interceptorą wyżej, mknąc nad głównym mostkiem „Annihilatora”, na wypadek gdyby któremuś z rebelianckich pilotów przyszło do głowy staranować go własną maszyną, aby zginąć w blasku chwały. Pozostałe TIE trzymały się sztywno ustalonych kursów ataku, jednak ona – dzięki wysokiej randze – miała względną swobodę manewrowania, a także prawo do szacowania sytuacji na polu walki wedle własnego uznania i udawania się tam, gdzie jej zdaniem była najbardziej potrzebna. Zanurkowała po drugiej stronie kadłuba gwiazdowego niszczyciela, skrzyła, zerkając na odczyty czujników, aby ustalić, gdzie powinna lecieć w następnej kolejności... i zamarła.

Ich oddział na księżycu Endora zawiódł. Osłony generatora zostały wyłączone.

Z odczytów jej czujników wynikało, że rebeliancka flota jest świadoma szansy, którą zyskała. Wektory lotów zmieniały się gwałtownie, a przelatujący w pobliżu rój wrogich myśliwców skierował się ku najwrażliwшему punktowi Gwiazdy Śmierci, otworowi w jej nieregularnej powierzchni, prowadzącemu do szybu, wiodącego prosto do głównego reaktora.

Co jednak chcieli w ten sposób osiągnąć? Jasne, po drodze zdołają z pewnością dokonać jakichś zniszczeń, jednak labirynt dźwigarów,

przewodów i wsporników stanowił śmiertelną pułapkę dla każdego statku, który ośmieliłby się zapuścić w głąb niedokończonej konstrukcji. Ciena patrzyła w bezsilnej złości, jak za rebelianckimi statkami znikającymi we wnętrzu stacji bojowej puszczają się w pościg patrolujące okolice TIE, w bezskutecznej próbie ich powstrzymania. Cóż za bezsensowne, bezcelowe marnotrawstwo środków... i istnień.

Skupiła uwagę na najbliższym statku – wyszczerbionej powierzchni niszczyciela, jej matczynej jednostki, „Executora”. Dopiero teraz zaczynał związywać rebelianckie statki bezpośrednio ogniem; wszyscy admirałowie czekali z pewnością do ostatniej chwili, pozwalając, by Gwiazda Śmierci zaatakowała pierwsza: kolejna głupia demonstracja Palpatine’a, przedkładającego durne gierki nad przemyślaną taktykę.

Nagle dostrzegła trafiony zbłąkanym strzałem rebeliancki myśliwiec: jego pilot stracił kontrolę nad sterami maszyny, która pikowała w dzikim korkociągu wprost na generator pól chroniący mostek „Executora”. Klnąc pod nosem, próbowała go wziąć na cel, jednak był zbyt daleko i wirował za szybko...

W miejscu kolizji rozbłysła pomarańczowa kula ognia i Ciena z przerażeniem uświadomiła sobie ogrom wyrządzonych przez nią zniszczeń. Co prawda ani samo zderzenie, ani wcześniejsze uszkodzenia silników nie mogły spowodować większych strat, jednak ich połączenie okazało się zgubne w skutkach. Z szeroko otwartymi ustami przyglądała się, jak „Executor” traci moc i zaczyna nieuchronnie opadać ciężko ku najbliższemu obiektowi o polu grawitacyjnym wystarczającym, by go ku sobie ściągnąć: Gwieździe Śmierci.

Upomniała się szybko w myśli, że nawet uderzenie gwiazdowego niszczyciela w powierzchnię superbroni nie powinno jej poważnie uszkodzić, a potem powtórzyła sobie: „Trzymaj kurs!”.

Jednak zniszczenie „Executora” oznaczało śmierć Berisse...

„Utrzymaj kurs!”.

Ciena oddychała teraz tak szybko i gwałtownie, że wizjer jej czarnego hełmu lekko zaparował. Próbowała się uspokoić, skupiając się na pilotowaniu. Jeżeli potraktuje atak jak wyzwanie, ucieczkę

w kosmiczną przestrzeń... uda jej się, była tego pewna.

Postanowiła obrać kurs na majaczący w oddali potężny kalamariański krążownik. Gdyby tylko zdołała pozbawić go osłon... może nawet udałoby jej się go zniszczyć?

„Mogłabym też staranować go, tak jak tamten rebeliancki myśliwiec, tyle tylko że celowo, by położyć kres tej bitwie. Może nawet zakończyć wojnę?”.

Ta myśl wydała się jej... kusząca.

Nim jednak zdołała wpisać w komputer pokładowy współrzędne, z głośników jej hełmu dobiegł rozkaz:

– Do wszystkich jednostek: przegrupować się i obrać kurs na wcześniej ustalone współrzędne. Przegrupować się, natychmiast.

– Co u...? – wyrwało jej się. Dlaczego mieliby wydawać taki rozkaz? Ustalone wcześniej współrzędne oznaczały punkt leżący zbyt daleko od rebelianckiej floty i Gwiazdy Śmierci, by zdołali z niego coś wskórać. Jej palce zatańczyły nad kontrolkami: powiększyła obraz pola walki, tak by mieć lepsze pojęcie o tym, co się dzieje.

Symbole, które pojawiły się na ekranie, mówiły same za siebie: rebelianci także oddalali się od Gwiazdy Śmierci. Albo się wycofywali, albo...

Ciena nie była w stanie dokończyć tej myśli. W tej chwili liczyło się tylko wypełnianie rozkazów. Musiała odsunąć od siebie wszelkie wątpliwości. Przestać myśleć. Tylko reagować.

Gdy odbiła od kadłuba „Annihilatora”, zobaczyła kilka myśliwców TIE, lecących wolniej niż reszta: były uszkodzone, lecz wciąż sprawne. Podczas szkolenia pilotom myśliwców TIE wpajano, że pomaganie innym pilotom ma najniższy priorytet i że należy to robić tylko w sytuacjach ekstremalnych. Ciena postanowiła tym razem zignorować tę regułę. Ustawiała się za nimi, osłaniając ich przed ewentualnym rebelianckim ostrzałem, podczas gdy z mozołem parły ku imperialnej flocie.

Jednak w miarę upływu czasu zostawały coraz bardziej w tyle. Gdy zorientowała się, że rebelianci wycofują się w przeciwnym kierunku, oddalenie się od nich możliwie jak najbardziej spadło na liście priorytetów, zastąpione przez proste pragnienie utrzymania się przy

życiu.

– Jeszcze trochę! – mruknęła pod nosem: w równej mierze do siebie, co do eskortowanych myśliwców. Musiały przyspieszyć, choćby minimalnie...!

Gdy Thane wcisnął gaz do dechy, silniki jego myśliwca zaprotestowały potępieńczym wizgiem. Wraz z resztą Eskadry Koron dołączył do rzeszy statków podążających za „Sokołem Millennium”, który z maksymalną prędkością chwilę wcześniej wyprysnął z trzewi Gwiazdy Śmierci. Gdyby tylko zdołali skryć się po przeciwnej stronie Endora, który osłoni ich przed nieuchronnym...

W głośnikach jego komunikatora rozbrzmiał przerywany trzaskami głos Hrabiny:

– Przygotować się na falę uderzeniową!

Nadciągało „nieuchronne”. Z najwyższym trudem, pokonując nieodpartą chęć obejrzenia się za siebie, Thane zagryzł zęby. Jeżeli to draństwo wybuchnie, eksplozja ich oślepi. A on nie chciał, by ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w życiu, była Gwiazda Śmierci. Zagryzł więc zęby, zacisnął dłonie na kontrolkach i skupił wzrok na statku lecącym przed nim. Zaokrąglona, rozświetlona blaskiem silników rufa „Sokoła Millennium” przemknęła nad spokojną, zieloną powierzchnią księżyca Endora. „Czyżby nas ocalili? – zastanawiał się Thane. – Czy my ocaliliśmy ich?”.

– Udało nam się! – zawołała triumfalnie Kendy. – Opuściliśmy strefę zagrożenia!

„Udało nam się!?”. Thane niemal stracił już nadzieję, że wyjdą z tego cało. Nie wierzył, że mogła mieć rację. Udało im się?

I nagle przestrzeń kosmiczna pojaśniała, jakby otoczył ich przestwór pogodnego, letniego nieba. Przez ułamek sekundy Thane nie mógł odpędzić od siebie irracjonalnego zachwyty nad pięknem tego widoku... jednak fala uderzeniowa zbliżała się szybko. Stanowczo zbyt szybko.

Wstrząs towarzyszący spotkaniu z falą energii – uwolnionej wskutek wybuchu Gwiazdy Śmierci – był niczym roztrzaskanie się o litą

skąłę. Ciena straciła kontrolę nad swoim myśliwcem, brutalnie pozbawionym stabilizatorów. Desperacko próbowała skierować swój statek do najbliższego hangaru. Gdyby tylko zdołała bezpiecznie wylądować...

Gwiazda Śmierci została zniszczona. Czy Imperium poległo wraz z nią? Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym. Czujniki jej statku oszalały, a wokół rozpętało się piekło. Kiedy jej myśliwiec zaczął koziołkować w niekontrolowanej karuzeli, podobnie jak prostokąt światła za przednim iluminatorem kokpitu, ogarnęła ją fala mdłości.

Kolejny wstrząs, który targnął jej maszyną, okazał się jeszcze gorszy. Ciena mgliście zdała sobie sprawę z tego, że stateczek prześlizguje się po metalowych płytach poszycia... a gdy przeszła ją błyskawica obezwładniającego bólu, cały świat utonął w miękkiej czerni.

Wrak Gwiazdy Śmierci, widziany z powierzchni księżyca Endora, lśnił na nocnym niebie niczym złocista supernowa. Wokół Thane'a rozbrzmiewały melodyjne dźwięki piszczałek i dudnienie bębnów, wygrywających melodię zwycięstwa; ludzie śmiali się, popijali silnikowy bimber i padali w objęcia przyjaciół, o których jeszcze niedawno myśleli, że już nigdy ich nie ujrzą. W oddali, przy jednym z ognisk, widział Kendy tańczącą z kimś, kto mógł być generałem Calrissianem. Yendor i Brill łatali JJH2, który nieco oberwał podczas bitwy – na szczęście nie było to nic poważnego. Lohgarra piła na potęgę, prześcigając w ilości pochłanianych trunków wysokowych niejedną eskadrę. Sądząc po gestykulacji Methwata, Ithorianin tłumaczył właśnie Wedge'owi Antillesowi jakiś skomplikowany manewr.

Thane siedział nieco z dala od wiwatujących rebeliantów, wsparty plecami o pień drzewa, niemal całkiem skryty w mroku.

Wielu imperialnym statkom udało się umknąć przed druzgocącymi skutkami bitwy o Endor... innym nie. „Executor”, flagowy statek Lorda Vadera, został zniszczony. Teraz Thane wiedział już, że to właśnie on był niszczycielem, który na jego oczach roztrzaskał się

o powierzchnię Gwiazdy Śmierci. Wmawiał sobie, że Ciena wcale nie musiała być na jego pokładzie... jednak jako starszy oficer mogła być na nim potrzebna podczas bitwy. Nigdy nie stroniła od walki, nie uchylała się od wypełniania swoich obowiązków, więc pewnie znajdowała się na statku w chwili, gdy spotkał go spektakularny koniec.

A jeśli to prawda, złocista łuna, powoli blaknąca na nocnym niebie, mogła stanowić jedyne pożegnanie, jakie upamiętniłoby jej śmierć.

Thane pocieszał się jedynie świadomością, jak mogła zareagować, gdy zdała sobie sprawę z istnienia drugiej Gwiazdy Śmierci. Jeżeli we wszechświecie istniała jakakolwiek siła zdolna złamać jej nieugiętą lojalność wobec Imperium, sprawić, by zwątpiła w słuszność złożonych mu ślubów... to właśnie widok nowej imperialnej stacji bojowej. Tego był pewien. Kiedy wyobraził sobie, jak musiała się czuć w chwili, gdy dotarło do niej, że Imperator planował zniszczenie kolejnych światów... że unicestwienie Alderaana nie miało na celu zapobieżenia wojnie, ale utwierdzenie imperialnej władzy w galaktyce... Wiedział, po prostu wiedział, że ogarnęło ją dojmujące poczucie zdrady.

„Imperium nigdy nie było ciebie warte” – pomyślał gorzko.

Gdy podniósł wzrok, ujrzał na niebie kolejne rozbłyski, znaczące trasę opadających ku atmosferze rozpalonych szczątków. Przypomniał sobie, że za ich dziecięcych lat Ciena zawsze twierdziła, iż na widok spadających gwiazd należy pomyśleć sobie jakieś życzenie. Nigdy tego nie robił – nie należał do osób, które wierzą w to, że marzenia się spełniają.

Jednak dziś zmienił zdanie.

Nie modlił się w duchu o to, by Ciena przeżyła – bo na to nie miał wpływu; to, czy żyła, zostało już ustalone, dokonało się i nic nie mogło tego zmienić. Zamiast tego więc życzył sobie żarliwie, by Nowa Republika, która miał wkrótce przejąć władzę, okazała się choć w połowie tak sprawiedliwym tworem, jak zarzekało się dowództwo Rebelii. Thane mógł tylko wierzyć w to, że jeśli udało im się zgładzić Imperium i położyć kres jego okrucieństwu, mogli je zastąpić czymś lepszym – i że to czyniło całą tę wojnę grą wartą świeczki. Nawet jeśli

miała kosztować Cienę życie.

Wierzył, że ona także by sobie tego życzyła. I jakimś cudem to było w tym wszystkim najsmutniejsze.

Ciena nie zapamiętała zbyt wiele z procesu uwalniania jej z wraku roztrzaskanego myśliwca TIE – jedynie stłumione odgłosy rozdzieranego metalu i upiorny blask, który oślepił ją, gdy ktoś zdjął jej hełm.

Pamiętała za to aż za dobrze obezwładniający ból, który przeszywał jej ciało, jakby rozdierano je na pół.

W pewnym momencie została załadowana na repulsorowe nosze i przewieziona do przedziału medycznego, w którym spróbowała rzucić okiem na swój brzuch. Jeden z droidów medycznych poinformował ją metalicznym, bezdusznym głosem:

– Odradzam wizualną inspekcję rany na tym etapie. Zgodnie z przesłankami psychologicznymi ten widok mógłby narazić pacjenta na zbędny stres.

Ciena go nie posłuchała. Z jej podbrzusza sterczała metalowa płytką, która rozpruła jej skafander i utkwiała głęboko pod żebrami. Widok był równie przerażający, co surrealistyczny. Przez gęstą watę otępienia, która zdawała się otulać ściśle jej mózg, przedarła się myśl, że to przecież niemożliwe, by przeżyła z tak poważną raną.

Mechaniczni chirurdzy uwijali się dookoła jak w ukropie, opatrując rannych w kolejności zależnej od rangi. Niżsi stopniem musieli zaczekać. Gdy leżała tak, oddychając z trudem i czekając, aż środki przeciwbólowe zaczną działać, obok niej pojawiła się jakaś postać, wciąż na wpół ubrana w czarny skafander i pancerz pilota TIE.

– Cieno... – jęknął Nash. Kiedy ujął jej dłoń w swoje ręce, z wdzięcznością powitała fakt, że nadal miał rękawice, bo to oznaczało, że nie dotykał jej bezpośrednio. – Wytrzymaj, proszę. Trzymaj się. Już wkrótce wszystko będzie dobrze. Dasz radę.

– Admirałowie... kapitanowie i generałowie – wychrypiąta. – Oni... mają pierwszeństwo.

– Oczywiście – zapewnił ją pospiesznie. – Ale tylko niewielu zostało poważnie rannych. Ty jesteś jedną z garstki komandorów, którzy

doznali najcięższych obrażeń, więc lada chwila trafisz na stół operacyjny.

Zakręciło jej się w głowie i znów zalała ją fala mdłości. Albo prochy zaczynały działać, albo za moment miała stracić przytomność... lub umrzeć od upływu krwi. Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

– J... ja... chcę, żeby mój ojciec... musisz powiedzieć mojemu ojcu – wykrztusiła z trudem.

Nash przerwał jej, kręcąc gwałtownie głową; delikatnie przyciągnął jej dłoń do swojej piersi.

– Żadnych „ostatnich słów”, słyszysz? Wylizesz się. Wyjdiesz z tego.

Jednak Ciena nie dawała za wygraną. Za bardzo jej zależało.

– Powiedz mojemu ojcu, że... powiedz mu, że go kocham... i że powinien wytrwać... trwać przy tym, kto wytrwał przy nas.

Jej ojciec będzie wiedział, jak odnaleźć Thane'a, i przekaże mu jej słowa, wiedziała o tym. Przynajmniej na tyle zasługiwał Thane: by wiedzieć, że w końcu dostrzegła Imperium takim, jakim było w rzeczywistości – i że umierając, myślała o nim.

Nash powiedział coś jeszcze, ale nie słyszała już jego słów. Fala zawrotów głowy pozbawiła ją czucia, odcinając od dźwięków i światła.

Może już wkrótce spotka się z Wynnet...?

– Cieno?

Dlaczego ktoś ją niepokoił? Nie miała ochoty na rozmowę. Chciała tylko spać.

– Cieno? Czy możesz otworzyć oczy? Spróbuj, proszę!

Posłuchała, mrużąc oczy w promieniach oślepiającego blasku. Gdy wzrok jej się wyostrił, dostrzegła stojącego przy jej łóżku Nasha, teraz ubranego w roboczy strój, z białym bandażem spowijającym mu czoło. U stóp jej posłania pełniły wartę trzy droidy medyczne, wydające z siebie serie piśnień i pomruków podczas dokonywania odczytów.

– Doskonale! – Nash uśmiechnął się do niej tak, jak uśmiechali się ludzie próbujący z całej siły nie wybuchnąć płaczem. – Wróciłaś do

nas!

– Dla... dlaczego je... – Spróbowała podźwignąć się na łokciach, tak by móc dojrzeć swój brzuch, jednak nawet tak nikły wysiłek przeszył jej ciało błyskawicami bólu. Z trudem wypuściła przez zęby powietrze i opadła bez sił na szpitalne łóżko.

Nash przemawiał do niej cichym, kojącym głosem, niczym treser uspokajający ranne zwierzę:

– Zoperowali cię, jednak to był... trudny zabieg. Musieli... musieli usunąć ci wątrobę. Była zbyt poważnie uszkodzona, by dało się ją uratować.

Ciena wiedziała, że większość organów czy kończyn można było zastąpić dzięki wysoce rozwiniętej protetyce, jednak wątroba należała do nielicznych wyjątków od tej reguły – zbyt delikatna, by dało się ją łatwo zamienić.

– Póki co jesteś podłączona do systemu podtrzymywania życia, całkiem jak Lord Vader – wyjaśniał Nash. – Założyli ci specjalny pas, który będziesz musiała trochę ponosić. Czeka cię intensywna terapia baktowa. Odtworzenie wątroby może potrwać wiele miesięcy – nawet do roku – ale to wykonalne. – Spróbował się do niej uśmiechnąć. – Dzięki temu zyskasz mnóstwo wolnego czasu, nie martwiąc się o naganę.

Ciena spróbowała przełknąć ślinę, jednak usta i gardło miała wyschnięte na wiór.

– Co... co z flotą?

Uśmiech Nasha zniknął bez śladu.

– Gwiazda Śmierci została zniszczona – poinformował ją. – Imperator Palpatine... Lord Vader... moff Jerjerrod... wszyscy zginęli. Podobnie jak Berisse. – Imię jej przyjaciółki wydukał z dostrzegalnym trudem. – Rebelia wysyła masowo komunikaty, w których utrzymuje, że przejmuje władzę w galaktyce. Imperialna flota przegrupowuje się, aby zaplanować nowy atak i wybrać nowego imperatora.

– Nowego imperatora? – wykrztusiła.

– Możesz sobie wyobrazić, jak zaciekle walcą o władzę toczy się obecnie w galaktyce – odparł z niezdrowym ożywieniem. – Cywilne zamieszki, nawet na Coruscant. Jednak zwyciężą najsilniejsi, a my

znajdziemy z pewnością szybko przywódcę, który pomoże nam przetrwać ten trudny okres.

„Władzę obejmą najprzebieglejsi i najbardziej bezlitośni spośród moffów i admirałów – dotarło do niej. – Nie możemy liczyć na lepszego imperatora, który naprowadzi galaktykę na właściwy kurs. Zamiast tego stoczmy się jeszcze niżej, w bezdenne grzędawisko zepsucia...”.

– Nie płacz – poprosił ją błagalnie Nash. – Jesteś wyczerpana. Jak mogłem cię tak męczyć i zmuszać do mówienia? Wybacz. Spróbuj usnąć. Musisz odpoczywać.

Zamiast się z nim pożegnać, Ciena wtuliła twarz w poduszkę.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że odpłynęła, dopóki znów się nie ocknęła. Tym razem, sądząc po przytłumionym świetle i braku w pobliżu istot ludzkich, w przedziale medycznym panowała sztuczna noc. Podtrzymujący życie pas okalający jej talię był ciężki i niewygodny, zaś elementy łączące go z jej ciałem wpijały się w nie jak ostre igły; zdawała sobie sprawę z tego, że będzie tak, dopóki przyjdzie jej nosić to brzemie. Gdy podniosła dłoń, do jej łóżka posłusznie podtoczył się droid ze szklanką wody.

Upiwszy parę łyków przez słomkę, zagadnęła go:

– Kiedy... gdy rozkuwaliście mnie z pancerza, miałam w kieszeni niewielką sakiewkę. Zawierała skórzaną plecionkę, bransoletkę...

– Wszelkie przedmioty zostały zniszczone – poinformował ją beznamietnym głosem droid, model pozbawiony fotoreceptorów. – Jako nieprzepisowe.

„Noszenie czegoś w kieszeni nie stanowi naruszenia prawa!” – miała ochotę wykrzyknąć, jednak milczała. Dopiero teraz dotarło do niej, że ta głupia bransoletka była jej jedynym cichym aktem sprzeciwu wobec wszechobecných regulacji Imperium – jedyną rzeczą, która powstrzymywała ją od poddania się mu i przekształcenia w jeden z bezdusznych tworów. A teraz zabrali jej nawet to... Co więcej: w ten sposób pozbawili bezpowrotnie Wynnet wglądu w jej świat. Nie mogła już dłużej żyć dla swojej siostry – Wynnet pochłonęła ciemność, już na zawsze, bezpowrotnie.

Nie mogła już wierzyć w Imperium: nie było już lojalności,

przyjaciół... Niczego, co łączyłoby ją z jej ojczystym światem. Galaktyka znów pogrążała się w chaosie i anarchii. A jej już nigdy nie miało być pisane ujrzeć Thane'a. Mogła tylko leżeć tutaj bezradna i bezsilna, podczas gdy zastępy maszyn będą torturowały jej udreżone ciało, starając się przywrócić je do służby, której nie chciała już dłużej pełnić.

Przymknęła oczy, pogrążając się w dziwnej przestrzeni między wyobraźnią a snem. W obłąkanym półśnie trwała znów za sterami swojego myśliwca TIE, jednak tym razem z rozmysłem kierowała maszynę ku twardym płytom poszycia hangaru. Gdyby zdołała uderzyć w nie dość mocno, jej statek eksplodowałby, a ona nie musiałaby już myśleć ani martwić się o nic. Przerwałaby te męczarnie – po prostu przestałaby istnieć.

Rozdział 26

Zwolnienie ze służby z powodów zdrowotnych nie wymagało od oficerów Imperium podejmowania żadnych działań – głównie dlatego, że tymi, których uznano za niezdolnych do podjęcia czynnej służby, dość szybko przestawano się interesować. Chodziły też słuchy, że droidy medyczne zajmowały się tymi, którzy doznali najpoważniejszych obrażeń, nierokującymi zbyt szybkiej rekonwalescencji jako ostatnimi, tak by w pierwszej kolejności wyleczyć osoby, które mogły szybciej wrócić do swoich obowiązków.

W ten oto sposób Ciena znalazła się w „uprzywilejowanej” pozycji osoby dysponującej kilkoma miesiącami zwolnienia, pozbawiona jakichkolwiek zobowiązań. Została przypisana do stacji kosmicznej Gniew – chyba tylko dlatego, że na jej pokładzie było miejsce dla zupełnie „obcych”. Nash droczył się z nią, twierdząc, że wreszcie będzie miała czas na czytanie holopowieści i oglądanie holonowel, jednak Cienie wcale nie zależało na wolnym czasie. Godziny spędzane na bezczynności sprawiały tylko, że pogrążała się – stanowczo zbyt głęboko – w rozmyślaniach.

Jednymi z nielicznych chwil wytchnienia był dla niej czas spędzany w zbiorniku z bactą. Zanurzali ją w kadzi wypełnionej kleistą mazią dzień w dzień – czasem na dłużej, czasem na krócej. Wcześniej zawsze aplikowano jej środki uspokajające, mające zniwelować klaustrofobiczne odruchy, które czasami powodowały u pacjentów napady paniki i ataki autoagresji. Ciena z niewypowiedzianą ulgą witała chwile, w której oswabadzano ją z pasa podtrzymującego funkcje życiowe; jeszcze bardziej cieszyła się z momentu, w którym w ramię wkłuwano jej igłę, zwiastującą błogą nieświadomość, przynoszoną przez działanie środków uspokajających. Bywało, że błogosławione odrętwienie trwało i przez kilka godzin.

Podczas krótkich okresów świadomości i trzeźwości nalegała jednak na możliwość pracy.

Nie była w stanie pełnić służby na mostku, nie mówiąc już

o pilotażu, tak więc bez szemrania zgłosiła się do jednego z najbardziej niewdzięcznych i skomplikowanych zadań przydzielonych weteranom bitwy o Endor... a także jedyne zajęcie, które mogła podjąć w swoim stanie. Jej obowiązkiem było obecnie potwierdzanie, którzy z imperialnych oficerów wciąż żyli, a którzy byli martwi – a co za tym idzie, ustalanie lokalizacji tych pierwszych oraz informowanie o losach tych drugich ich rodzin. Wszystko wskazywało na to, że ten ostatni cel miał najniższy priorytet, jednak Ciena spędzała znacznie więcej czasu na próbach dotarcia do rzezonych rodzin niż na szukaniu rzekomych ocalańców, którzy mogliby zdezerterować. Chociaż wymagało to sporego wysiłku i nastęrczało nieco trudności, udawało jej się wymigać od wskazywania winnych tego stanu.

Po śmierci Imperatora galaktyka pogrążyła się w jeszcze większym chaosie, niż Ciena mogła przypuszczać. Na Coruscant zapanował nieopisany wręcz bałagan; wielki wezyr Mas Amedda robił co w jego mocy, by utrzymać Imperium w jednym kawałku, nawet podczas gdy inni możni próbowali rozdrzeć je na strzępy, próbując zachować dla siebie co soczystsze kąski. Z najwyższym trudem utrzymywano konsolidację personelu. Gromadzenie i weryfikacja napływających od personelu informacji – nie były na liście priorytetów, więc gwiazdne niszczyciele musiały polegać jedynie na własnych odczytach. Nawet jednak wówczas dane dawały niepełny obraz.

Co gorsza, ani Ciena, ani żaden z przedstawicieli imperialnego „rządu tymczasowego” nie miał pewności, komu służy w danym momencie. Deklaracje objęcia stanowiska nowego Imperatora były równie częste co puste. Wyglądało na to, że nikt nie potrafi skupić władzy w swoim ręku. Propagandowe hologramy informowały już o licznych „zamieszkach” i „buntach”. Prawda była jednak taka, że niedoszli imperatorzy napuszczali na siebie nawzajem imperialnych żołnierzy, przelewając krew nie w służbie prawa i porządku, ale z powodu swoich głupich, wybujałych ambicji. „Wygląda na to, że nie mają nic przeciwko rozdarciu Imperium na strzępy, byle tylko zachować własną ciepłą posadkę” – myślała Ciena z obrzydzeniem. Sektor Anoat został już kompletnie odcięty. Która planeta upadnie

jako kolejna?

Tymczasem rebelianci umacniali swoją pozycję na licznych światach. Jedyne raporty, które docierały do jej uszu, brzmiały tak optymistycznie, że Ciena nabrała pewności, iż one także są tylko propagandową papką – serwowaną przez przeciwną stronę.

Czasem jednak pocieszała się myślą, że przynajmniej niektóre z układów dawały teraz Thane'owi bezpieczne schronienie. Nie musiał się już ukrywać, nie był ścigany. Czy wciąż towarzyszył rebelianckiej armadzie? Nie wiedziała. To zależało z pewnością od tego, czy zdecydował się zaufać tej całej „Nowej Republice” tak jak wcześniej wierzył w Rebelię.

A może zginął podczas bitwy o Endor...?

Może i rebelianci wygrali, jednak ponieśli też dotkliwe straty. Ciena uparcie wierzyła – choć było to wbrew wszelkiej logice – że rozpoznałaby Thane'a podczas walki. Czyż nie wiedziała doskonale, jak latał? Czy nie robił tego w sposób tak dla niego charakterystyczny i unikatowy jak odcisk palca czy kod genetyczny?

Ale jeśli nawet tak by się stało, oznaczało to tylko, że nie zabiła go osobiście.

Mógł to zrobić którykolwiek z pilotów innych TIE-ów. Równie dobrze Thane mógł też znaleźć się za blisko któregoś z tamtych krążowników, gdy brała je na cel Gwiazda Śmierci. A może znalazł się wśród pilotów, którzy wlecieli do wnętrza stacji i roztrzaskali się o jej metalowy szkielet?

„Nawet o tym nie myśl” – ganiła się w duchu, wyciągnięta na leżance przy terminalu. W tej pozycji lepiej znosiła ucisk pasa podtrzymującego funkcje jej wciąż gojącej się wątroby. „Musisz wierzyć, że jest gdzieś tam i nadal żyje – powtórzyła sobie twardo. – Jeśli nie możesz pokładać wiary w niczym innym, wierz w Thane'a”.

A jednak czasem dopadało ją zwątpienie i nabierała pewności, że nie żył. Wówczas galaktyka wydawała się jej nagle pustym, bezwartościowym miejscem.

Dlatego rzucała się w wir pracy, z nieskończoną cierpliwością rozplątując każdy biurokratyczny węzeł, namierzając i ratując odcięte od floty statki i porzucone garnizony, a także wspierając rodziny

opłakujące poległych bliskich. Skoro nic innego nie działało, chociaż w ten sposób mogła wprowadzić nieco prawa i porządku pośród targającego galaktyką chaosu. Jedyne chwile ulgi przynosił jej spokój i odosobnienie zbiornika z bactą oraz sen. Nauczyła się ignorować wszystko inne – całymi dniami, tygodniami... Miesiącami.

Thane nie oczekiwał, że Imperium upadnie w ciągu jednej nocy. Niektórzy z niepoprawnych optymistów w szeregach Rebelii obudzili się następnego ranka po zniszczeniu Gwiazdy Śmierci i natychmiast zaczęli rozprawiać o tym, że wreszcie żyją w wyzwolonej galaktyce, mogą swobodnie oddychać – i tym podobnych nonsensach. On jednak doprowadził do porządku swojego X-winga i zaczął czekać na nieuchronne: wezwanie do kolejnej walki.

Nie spodziewał się jednak, że pełny rok po bitwie o Endor wciąż będą toczyć otwartą wojnę.

– Nadlatują! – ostrzegł ich Yendor za pośrednictwem systemu łączności.

Thane skręcił swoim X-wingiem i jego oczom ukazała się kolejna falanga myśliwców TIE, nadciągających ku nim sponad łuku nabooskich klifów. To musieli być ostatni z maruderów zespołu szturmowego, który przybył na planetę dzień wcześniej. Na szczęście Nowa Republika w porę otrzymała ostrzeżenie od zbiegów; gdy imperialne statki wyskoczyły z nadprzestrzeni, eskadra Thane'a, podobnie jak kilkadziesiąt innych jednostek myśliwskich, już na nie czekała. Od tamtej pory systematycznie ich eliminowali, jednego po drugim – tak jak teraz. Thane wystrzelił, gdy jego statek przemknął ukosem obok nich, i z ponurą satysfakcją spostrzegł, jak trzy z TIE-ów wybuchają.

Pozostali członkowie Eskadry Koron zajęli się resztą wrogich maszyn. Planeta była teraz czysta – nieomal. Kendy oberwała w prawe skrzydło, jednak zdołała wylądować bezpiecznie wraz z innymi na dachu dużego pawilonu pod królewskim pałacem w Theed. Wyskoczyła z kokpitu, klnąc jak szewc i wzbudzając tym u reszty eskadry salwy śmiechu.

– Daj spokój! – spróbował ją pocieszyć Thane. – Dostawałaś już

gorsze manto.

– Taa... i mam już tego serdecznie dosyć! – Sięgnęła po zestaw narzędzi i zabrała się do roboty.

Pozostałe Korony miały chwilę na złapanie oddechu. W ich eskadrze zaszły zmiany; Hrabina odeszła i wróciła na ojczysty świat, aby startować w wyborach prezydenckich (obiecali wszyscy zjawić się na ceremonii zaprzysiężenia, jeśli wygra), a pozycję dowódcy eskadry objął Yendor; dołączyło też do nich dwóch nowych pilotów: żółtodziób z Nea Dajanam i banita z Coruscant. Thane polubił jednak obydwu i czuł się dobrze w obecnym składzie. Oparł się teraz o burzę swojego myśliwca, napawając się promieniami słońca pieszczącymi mu twarz. Tak rzadko zdarzały się podobne momenty spokoju...

Naboo jako ojczyzna Palpatine'a stała się punktem mobilizacji sympatyków Imperium. Poza swoim znaczeniem symbolicznym stanowiła też prosperujący świat na terenie Środkowych Rubieży, mogący się poszczycić prężną gospodarką i środowiskiem znacznie czystszy niż większość planet pod imperialnym jarzmem. To czyniło z niej jeden z najbardziej pożądaných światów w całej galaktyce.

Imperium trzykrotnie wysyłało żołnierzy w próbach jej podboju – i trzy razy przegrywało z kretezem. Thane zastanawiał się, kiedy zdecydują się na podejście numer cztery.

– Hej! – zawołał Yendor, pomagając JJH2 opuścić gniazdo astromecha. – Jeśli nie będzie już dziś nowych wezwań, wybieramy się wieczorem do Otoh Gunga. Podobno robią desery, do których zjedzenia potrzeba co najmniej czterech humanoidów. Rozpływające się w ustach i wprawiające amatorów słodkości w błogą cukrową śpiączkę. Jak cię znam, to musisz tego spróbować.

– Nie, dzięki – odparł Thane z niepewnym uśmiechem. Jego przyjaciele troszczyli się o niego, jednak wiedział, że z pewnymi rzeczami należało po prostu uporać się samemu. – Bawcie się dobrze. Wezmę wachtę w hangarze.

Yendor pokręcił głową, aż zakołysały się jego błękitne lekku, jednak odszedł bez słowa, nie próbując go dłużej namawiać.

Jelucan miał własne, bardzo specyficzne rytuały żałobne. A przynajmniej lud z dolin. Thane dowiedział się o tym od Cieny; nie

był do końca pewien, czy dobrze wszystko zapamiętał, ale starał się, jak mógł (obecnie planeta pozostawała pod kontrolą Imperium, więc nie mógł poprosić Parona Ree o radę, czy nawet złożyć mu kondolencji). Thane chciał upleść i nosić bransoletkę, tak by Ciena mogła „patrzeć jego oczami”, z tego jednak, co mówiła, wynikało, że ten przywilej był zarezerwowany dla rodziny. I chociaż ceremonie odprawiane ku czci przyjaciół były skomplikowane, pamiętał dość szczegółów, by móc wypełniać je przez pełen rok, tak jak wymagała tego jelucańska tradycja. Wokół ramienia zawiązał pasek materiału, którego nie wolno było zdejmować do końca trwania żałoby. Po upływie pół roku przygotował zwyczajowy posiłek, złożony z chleba i wina, który należało zostawić w nocy dla duchów. Miał nadzieję, że to nie musi być jakiś specjalny chleb i konkretny rodzaj wina – wykorzystał to, czym dysponował. O ile się orientował, poświęcanie się w wolnym czasie rozrywce nie było zabronione, jednak rytuał wymagał spędzania paru godzin tygodniowo na medytacji.

No dobra – nie był może mistrzem medytowania, ale nikt nie mógłby mu zarzucić, że się nie starał.

Nie przepadał zbyt za teatralnymi, przesyconymi do głębi symbolizmem gestami, jednak po Endorze szukał jakiegoś oparcia, pokrzepienia – i nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. W akcie desperacji zaczął szukać Cieni w rytuałach jej ludu... I ku swojemu zaskoczeniu, znalazł w nich ukojenie.

Oplakiwał wszystkich, których utracił: Smikesa, Daka Raltera, łagodnych Kalamarian z „Liberty”, niezliczonych pilotów, których znał... a także Jude Edivon i innych kadetów z akademii, którzy zginęli na pokładach obydwu Gwiazd Śmierci oraz w innych bitwach. Może i Imperium wymagało od nich zaprzędania mu dusz, ale pod pewnym względem większość z nich nie była wcale gorsza od innych. Jednak całe dobro, jakie w sobie mieli, wyssało Imperium i ta straszliwa wojna; z pewnością zasługiwali na to, by ich oplakiwać.

Podczas medytacji z zaskoczeniem odkrył też inną prawdę, coś, czego nigdy by się po sobie nie spodziewał: o Nową Republikę naprawdę warto było walczyć.

Jasne, proces przejściowy nie był łatwy. Wojna wciąż trwała,

a Mon Mothma, księżniczka Leia Organa, Sondiv Sella i inni wysoko postawieni przywódcy dawnej Rebelii wciąż walczyli o stabilizację. Jednak w powołanym prowizorycznie Senacie Galaktycznym zasiadali jedynie reprezentanci wybierani wolą ludu, a pierwsze rozporządzenia, które wydano, naprawiły najgorsze błędy Imperium. Nawet relacjonowane w holowiadomościach kłótnie nad każdą z propozycji były czymś wspaniałym, bo oznaczały, że mieszkańcy galaktyki mogą znów wyrażać swobodnie swoje zdanie, nie ryzykując imperialnych represji. Zredukowano budżety na potrzeby zbrojeniowe – rozpoczęły się już procesy odbudowy zrujnowanych środowisk naturalnych na wielu cierpiących od poważnych zanieczyszczeń światach; rasom zniewolonym przez Imperium wypłacano zaś rekompensaty (Lohgarra stwierdziła, że swoją działkę poświęci na sfinansowanie nowych silników dla „Zagłady Ogromnych Dębów”). Nieważne, jak mocno niedoskonała, galaktyka zaczynała kroczyć ścieżką prowadzącą ku dobremu – oraz może pewnego dnia, ku pokojowi.

Thane nie należał do idealistów, jednak zaczynał pojmować taką postawę.

Gdy zaczął się przygotowywać do spędzenia długiej nocy w hangarze, podeszła do niego Kendy, która właśnie uporała się ze swoim myśliwcem.

– I jak? Udało się naprawić? – zagadnął ją.

– Jako tako. Żeby skończyć, będę potrzebowała zacisku Louara. Pożyczę od Yendora jutro z rana. – Oparła się o ścianę, krzyżując ręce na piersi. Ciemnozielone włosy spływały jej miękko na ramiona. – No to... Zostajesz tu na nockę?

– Jak zwykle.

– Skazany na wiele godzin samotności.

– Taa, zgadza się. Usiądę sobie w tym wygodnym fotelu z holopowieścią, pod jednym z najpiękniejszych nieb, jakie widziałem, na świecie, na którym powietrze jest wciąż czyste, a ptaki ciągle śpiewają. Nikt w końcu nie będzie do mnie strzelał. Po latach wojny definicją miłego spędzania czasu jest dla mnie spokojna noc, taka jak ta.

– Och, szczęśliwych osiemdziesiątych urodzin!
– Daj spokój – mruknął, jednak nie zdołał powstrzymać uśmiechu. –
Musisz przyznać, że mam rację.

Kendy parsknęła śmiechem.

– Wiem, wiem. To po prostu trochę niezwykle, że nagle stałeś się taki uduchowiony i mistyczny.

– Wcale się taki nie stałem. – Tak wiele rytuałów wydawało mu się dziwnych i sztucznych, jednak wierzył, że zyskuje coś dzięki samym tylko próbom ich kultywowania. – To po prostu... coś, co muszę zrobić.

– Jasne, łapię – zapewniła go. – Chciałabym cię jednak o coś zapytać. Mogę?

Gdy kiwnął głową, wskazała błękitną opaskę, którą przewięzała prawe ramię.

– Jak długo zamierzasz to nosić?

Błękit był jelucańskim kolorem żałoby – odcieniem nieba, w którym Jelucanie chowali swoich bliskich.

– Zdejmę ją, gdy minie rok – wyjaśnił.

– Za kilka tygodni rocznica bitwy o Endor – przypomniała mu Kendy. – Czy wtedy przestaniesz wreszcie opłakiwać Cienę?

Nic nie rozumiała.

– Nie. W tym dniu zaprzestane praktyk żałobnych, jednak nigdy nie skończę opłakiwać Cieny. To...

– Nie spodziewałam się po tobie takich sentymentów, Thanie Kyrellu.

Wzruszył ramionami. To nie sentymentalizm, tylko prawda. Jak miał jej to wyjaśnić? Postanowił, że spróbuje.

– To, kim dla siebie byliśmy... – zaczął powoli, ostrożnie. – Gdy utraciłem Cienę, straciłem kawałek siebie samego. Nad tym... nie można przejść do porządku dziennego, zapomnieć o tym. Już zawsze będę czuł pustkę po jej braku.

Ciena skrzywiła się i przyłożyła dłoń do tułowia. Droidy medyczne wreszcie pozwoliły jej wrócić do aktywnej służby, ból jednak wciąż jej towarzyszył. Możliwe, że będzie tak już zawsze.

Wyprostowała się i wygładziła bluzę. Gdy poprosiła o przydział nowego munduru, otrzymała go w tym samym rozmiarze, co zawsze, jednak teraz kurtka i spodnie były dla niej sporo za luźne: w ciągu roku straciła na wadze stanowczo zbyt wiele. Cóż, przynajmniej czapka pasowała.

Z grafika wynikało, że jej pierwszym zadaniem będzie spotkanie z wielkim moffem Randdem na głównym mostku Gniewu. Przypuszczała, że wówczas przekaze jej informacje na temat jej nowych obowiązków, chociaż właściwie oficerowie w randze komandora nie otrzymywali rozkazów od kogoś tak wysokiego stopniem jak wielcy moffowie.

Jednak dni obowiązywania dawnych protokołów bezpowrotnie przeminęły – przypomniwała sobie. Teraz nie mogła już niczego zakładać ze stuprocentową pewnością.

Dotarła do drzwi prowadzących na mostek, odczekała dwie minuty do godziny, na którą była umówiona, i weszła. Wysocy rangą oficerowie lubili, gdy ktoś zjawiał się wcześniej, jednak nie za wcześniej. Mostek Gniewu różnił się od mostków gwiazdnych niszczycieli; zamiast umieszczonych poniżej głównego pokładu poziomów ze stanowiskami przetwarzania danych młodszy oficerowie pracowali przy długich ciągach stanowisk ustawionych pod ścianami przestronnego ośmiokątnego pomieszczenia. Nie było tu iluminatorów, które wychodziłyby na Ponemah, nad którym orbitowali; po niemal roku spędzonym na stacji Ciena wciąż nie wiedziała nic o tej planecie – nawet jak wygląda z przestrzeni kosmicznej. Jedyne widok na przestrzeń kosmiczną, bezkresne pole gwiazd, dawała przejrzysta kopuła wieńcząca przedział mostka. Ciena dostrzegła tu jednak kilka znajomych elementów: przytłumiony, czerwony blask świateł umieszczonych nad kratownicą podłogi, a także atmosferę napięcia graniczącego ze strachem. Żaden z tych szczegółów nie podnosił na duchu.

Wielki moff Randd stał na drugim końcu mostka – rozpoznała go natychmiast po sztywnej, władczej pozycji. Pokazywał plany bojowe kilku oficerom: schemat wyświetlano na dwuwymiarowym ekranie, umieszczonym na jednej z krótszych ścian. Ciena spodziewała się, że

będzie musiała stać za nim na baczność, dopóki jej nie zauważy, jednak gdy znalazła się w jego pobliżu, ktoś ją zaanonsował:

– Komandor Ciena Ree na mostku, sir!

Randd odwrócił się w jej stronę, podobnie jak niemal wszyscy z obecnych. Ciena otworzyła szerzej oczy na widok stojącego w pobliżu Nasha. Uśmiechał się prawie takim samym uśmiechem jak dawniej. „Co on tu robi? – zdumiała się. – I dlaczego ci wszyscy ludzie przerwali pracę i wstali?”

– No, no, komandor Ree. – Randd także się uśmiechał. – W końcu wracasz do czynnej służby.

– Tak jest, sir. – Skrzętnie skryła głęboką konsternację, starając się, by nikt jej nie dostrzegł. Serce tłukło jej się w piersi jak spłoszony ptak; zastanawiała się gorączkowo, czy to przypadkiem nie jakaś pułapka. Może jakimś cudem zorientowali się, że straciła wiarę w Imperium, i zamierzali ją ukarać ku przestrodze innych?

– Słuchajcie! – zawołał Randd, zwracając się do zgromadzonych. – Podczas bitwy o Endor Ree walczyła dzielnie i niemal straciła życie w próbie ocalenia nieodżałowanego Imperatora Palpatine’a. Nikt nie mógłby mieć do niej pretensji, że długi okres zasłużonej rekonwalescencji poświęciła na odpoczynek. O nie, Ree podjęła się żmudnego i niewdzięcznego zadania, które ułatwiłoby zaprowadzenie ładu w imperialnej flocie. Podczas gdy inni knuli dla osiągnięcia korzyści, ona dzieliła się informacjami sprawiedliwie, nigdy nie prosząc w zamian o przysługi.

To nie był żaden heroizm, tylko niezbędne minimum wymagań związanych z tym stanowiskiem. Czy naprawdę cała reszta załogi imperialnej floty wyzbyła się odpowiedzialności wobec kolegów po fachu? Pomimo rozczarowania Ciena nie mogła szanować tych, którzy tak małostkowo wykręcili się od obowiązków, napędzani niskimi ambicjami czy powodowani tchórzostwem.

– W tych trudnych czasach niewielu udowodniło, że rzetelnie zasłużyło na swój stopień, jednak ty, Ree, potwierdziłaś to dobitnie. – Randd podszedł do ekranu i dodał: – Z pewnością nie możesz się doczekać, aż poinformuję cię o twoim nowym przydziale? Cóż, oto i on. – Plany bojowe zniknęły z wyświetlacza, zastąpione przez

wizerunek gwiazdznego niszczyciela; z legendy wynikało, że nosi nazwę „Inflictor”.

– Niniejszym uroczyście przyznaję ci twój pierwszy przydział i przekazuję pod dowództwo ten okręt, kapitan Ree.

Przez mostek przetoczyła się fala braw i wiwatów, a Nash pozwolił sobie nawet na okrzyk radości. Ciena zakryła usta dłonią zbyt zaskoczona, by stosownie zareagować.

Uderzyła ją boleśnie szczerą myśl: imperialna flota była w gorszym stanie, niż przypuszczała.

Może i miała za sobą wzorową służbę, jednak mimo to w normalnych okolicznościach tak młodemu stażem oficerowi nigdy nie oddano by pod rozkazy gwiazdznego niszczyciela. Nawet jako kapitan nie powinna była zostać oddelegowana do dowodzenia takim okrętem. Przepychanki, walka o władzę i zamachy przerzedziły imperialne szeregi. Cała reszta starszych rangą oficerów sprzymierzyła się z którymś z odłamów floty lub z jakiegoś innego powodu wypadła z gry.

Jakaś częśćka Cieny – jej dawne ja, pogrzebane pod warstwami rozczarowań i goryczy, które wciąż pamiętało żarliwe uczucie, jakim darzyło Imperium – chciała czuć dumę. Ranga kapitana przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia! Gwiazdny niszczyciel pod jej rozkazami! To były zaszczyty, o których nie śmiałyby marzyć dawniej, gdy była jeszcze idealistycznie nastawionym kadetem w akademii.

Teraz jednak... awans oznaczał dla niej tylko kolejne brzemię, które musiała dźwigać.

– Sir... – zdołała wykrztusić. – Dziękuję, sir.

Wielki moff Randd wydawał się wielce zadowolony ze swojego małego pokazu. Bez wątpienia postrzegał go jako szansę na zademonstrowanie swoim podwładnym, że wszystko było możliwe, jeśli tylko pracowało się odpowiednio ciężko. Ona także kiedyś w to wierzyła. Jak głupia była...

Jak w odrętwieniu, ruszyła do hangaru, z którego miała wystartować w podróż na pokład swojego nowego statku. Idący u jej boku Randd nie przestawał mówić:

– Twoim oficerem IBB będzie komandor Brisney; systemami statku opiekuje się komandor Erisher, zaś jako komandora lotów przydzielono ci zapewne już ci znanego komandora Windridera...

Odwróciła się do eskortującego ją z drugiej flanki, trzymającego się kilka kroków w tyle Nasha. Wciąż rozpromienionego. Dopiero teraz zauważyła nowe insygnia na plakietce na jego piersi; bez wątpienia ona także otrzyma swoją, gdy tylko dotrze na pokład „Inflictora”.

– Gratulacje, Cieno! – powiedział. – Urwał nam się kontakt, gdy zostałem przydzielony do „Subjugatora”.

– Wybacz – bąknęła. – Ja...

– Daj spokój – wszedł jej w słowo. – Doskonale rozumiem. Jestem zaskoczony, że pośród męczarni rekonwalescencji i przy całej tej ciężkiej pracy, jaką odwaliałś, znajdowałas w ogóle czas, żeby sypiać.

– Nash nie wydawał się zazdrosny ani podejrzliwy. Może podczas długich miesięcy, gdy się nie widywali, przeszła mu obsesja na jej punkcie? Jednak w jakiś dziwny sposób jego niezachwiana wiara w nią była jeszcze trudniejsza do zniesienia. – Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo się cieszę, iż będziemy mogli znów regularnie się widywać.

– Codziennie – rzuciła beznamiętnie.

Po kolejnej krótkiej ceremonii na mostku „Inflictora” Ciena przypięła do mundurowej bluzy plakietkę z nowymi insygniami i udała się w towarzystwie wielkiego moffa Randda do sali odpraw na tajną konferencję. Gdy tylko wszyscy zajęli miejsca, uśmiech znikł z twarzy Randda bez śladu. Teraz widziała w nim jedynie wyrachowanego taktyka.

– Wkrótce nasza walka z rebeliantami utknie w martwym punkcie – zaczął bez zbędnych wstępów. – Rzucamy do walki lwią część naszej floty, a jeśli ta cholerna Rebelia będzie chciała wykorzystać szansę na utrzymanie tego sektora, uczynią to samo. To z kolei zwiastuje największą bitwę od czasów Endora. – Dźgnął długim palcem jedną z kontrolki i w powietrzu nad holoprojektorem zamajaczyła brązowa, rdzawozłota sfera planety. – Oto pustynny świat Jakku; nic niewart sam w sobie, jednak już wkrótce przejdzie do historii jako miejsce, w którym Imperium raz na zawsze zgładziło Rebelię.

„Cóż, może rzeczywiście tak się stanie?” – pomyślała Ciena. A może to oni będą musieli uciekać z podkulonym ogonem? Nie wiedziała – i nie obchodziło jej to zanadto. Wiedziała tylko, że mimo rozgoryczenia, jakie wzbudzało w niej Imperium, musi znów walczyć. Alternatywę stanowiło poddanie się rebeliantom – a ona była sobie w stanie wyobrazić, jak obchodzą się ze schwytanymi więźniami. Gdyby zaś zdezerterowała i porzuciła stanowisko kapitana gwiazdowego niszczyciela... tylko Moc wiedziała, co mogłoby się przydarzyć jej rodzinie, szczególnie jej matce, wciąż odbywającej wyrok ciężkich robót w kopalni. Nie miała czasu choćby pomyśleć o ucieczce podczas rekonwalescencji, a teraz było już za późno. Nie miała wyjścia. Już nie.

Wszystko, na co tak ciężko pracowała w swoim życiu, okazało się ułudą, pozorami. Teraz mogła tylko dalej walczyć w tej wojnie – nie miała wyboru.

Spojrzała na kulisty hologram, oczyma duszy widząc przyszłą bitwę. „Jakku – pomyślała. – Niech się dokona”.

Rozdział 27

Thane'owi niezbyt podobał się pomysł uczestniczenia w walce w sposób inny niż za sterami jego X-winga, jednak generał Rieekan nalegał.

– Potrzebujemy ludzi takich jak ty i porucznik Idele, którzy służyli w przeszłości na imperialnych statkach – argumentował, gdy wraz z Kendy i innymi żołnierzami wsiadali na pokład transportowca. – To proste: potrzebujemy więcej statków i potrzebujemy ich szybciej, niż są w stanie je konstruować, szczególnie teraz, gdy Imperium wciąż trzyma w garści większość stoczni. A jedynym sposobem na ich zdobycie jest przejęcie ich od Imperium.

Zamiast wyszydzić pomysł, Thane zdobył się na grzeczność, choć nie bez trudu:

– Sir, z całym należnym szacunkiem, ale nikomu nie udało się przechwycić gwiazdowego niszczyciela. I proszę mi nie mówić, że tylko dlatego, iż nikt nigdy tego nie próbował. Jasne, dawno temu udało nam się przejąć nad Mustafarem niszczyciel gubernatora, jednak od tamtej pory Imperium wzmocniło ochronę na wypadek przeniknięcia infiltratorów. W tej chwili gwiazdne niszczyciele są niemal niezdołane...

– Już nie obsadzają ich tak zaprawionymi w bojach załogami – nie ustępował Rieekan. – Zdarzało się już, że podczas bitew strony zmieniały tak duże jednostki jak krążowniki bojowe, czyż nie?

– Ale one mają po kilka tysięcy członków załogi – zaproponował Thane. – Nie dziesiątek tysięcy.

– Potrzebujemy jedynie tylu sprzymierzeńców, ilu jest koniecznych do dezaktywowania systemów. Jedynie byli imperialni oficerowie, jak ty czy Idele, mogą doprowadzić nas do ich najwrażliwszych punktów.

Thane niechętnie przyznał Rieekanowi rację. Gdyby zdołali przeniknąć na któryś z mostków pomocniczych, dotrzeć do maszynowni i przejąć kontrolę nad kilkoma stanowiskami uzbrojenia, mogliby skutecznie unieruchomić gwiazdny niszczyciel. Pełne

przejęcie kontroli nad podobną jednostką wymagałoby zażartej walki na pokładzie, która mogła przeciągnąć się nawet do kilku tygodni, jednak było to możliwe.

To był dalekosiężny i ambitny plan, trudny do zrealizowania. Trudny, ale nie niemożliwy.

– Czuję się tu jak w klatce – mruknęła Kendy, gdy zajęli swoje miejsca w przedziale pasażerskim, przypinając się do wąskich siedzeń, które sprawiały, że ich podróż bardziej przypominała jazdę na skuterze repulsorowym niż na pokładzie statku. – Nie będziemy nawet mogli obserwować walki...

Thane także czuł się bardzo dziwnie, mając przed oczami gładkie, beżowe ściany transportowca wojskowego zamiast przestworu przestrzeni kosmicznej i słysząc nie buczenie silników ani terkot działek, tylko nerwowe pomruki innych żołnierzy.

– Może to i lepiej? – rzucił, chociaż sam w to nie wierzył. – Dzięki temu będziemy się mogli skupić na operacji abordażu.

Kendy pochyliła się ku niemu i rozejrzała ukradkiem, aby upewnić się, że nikt ich nie podsłucha.

– Ani ja, ani ty nie służyliśmy nawet na gwiazdnym niszczycielu! – wyszeptwała. – Byłam na pokładach tych molochów tylko trzy razy. I nigdy nie dłużej niż dzień.

– Studiowaliśmy plany w akademii – odparł, starając się, by jego głos brzmiał pewnie. – Znamy najważniejsze informacje, szczególnie dotyczące wewnętrznych systemów obronnych. To wystarczy.

Kendy westchnęła.

– Niech Moc będzie z nami.

Znowu ta Moc. Chociaż Thane medytował pilnie cały rok, nie natrafił na żadną wskazówkę, która sugerowałaby, że za wydarzeniami w galaktyce stoi jakaś wszechpotężna Moc. Mimo to nie oponował, pozwalając, by Kendy czerpała pokrzepienie z tego, w co wierzyła.

Może nie czułby się tak niepewnie i obco, gdyby w tej misji znalazł coś znajomego, jakiś znany element, jednak nie dostrzegął nic takiego. A już najgorzej w tym wszystkim przyjął wysiedlenie go zza sterów jego X-winga; czuł się zdecydowanie pewniej, zestrzeliwując

TIE, niż błędząc po trzewiach gwiazdowego niszczyciela. Jednak dokuczały mu też inne, mniej znaczące drobiazgi. Zamiast pełnego hełmu z osłoną jego głowę chroniła krucha łupinka, zapinana pod brodą na wrzynający się w ciało czarny pasek. Zamiast pomarańczowego skafandra miał na sobie prosty mundur: spodnie, koszulę i kamizelkę, sprawiające wrażenie raczej stroju codziennego niż bojowego ryszunka. Wokół ramienia wciąż nosił szarobłękitną żałobną opaskę.

Teoretycznie powinien był ją zdjąć cztery dni temu, w rocznicę bitwy o Endor, jednak wówczas dowiedział się, że przygotowują się do bitwy o Jakku, i czuł się w obowiązku ją zachować.

„Zdejmę ją, gdy tylko będzie po wszystkim” – obiecał sobie. – „Spalę ją, tak jak nakazuje rytuał, i zachowam prochy do czasu powrotu na Jelucan”.

Oczyrna duszy widział, jak ostatni raz przekracza próg Fortecy. Złoży tam prochy, obok starych zabawek, rozczłapanych butów i koców oraz futer, na których kochali się z Cieną. I wówczas będzie mógł wreszcie zacząć wszystko od nowa.

– Który to niszczyciel? – spytał, zastanawiając się, czy będzie to jeden z tych, które choć raz widział.

– „Inflictor” – odparł ktoś. Thane nigdy o nim nie słyszał.

– Przynajmniej dali nam blastery – wymamrotała Kendy. – W sumie to jestem lepsza w strzelaniu z broni ręcznej niż z działek.

– W takim razie będę się ciebie trzymał – stwierdził.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Do wszystkich! – rozbrzmiał w głośnikach interkomu nienaturalnie spokojny głos. – Przygotować się do abordażu!

Thane złapał szelki swojej uprząży. Do dzieła.

Cienę Ree można było posądzić o wszystko, ale z pewnością nie o bycie zdrajczynią. W ciągu tych kilku krótkich tygodni, które upłynęły, odkąd awansowała na kapitan „Inflictora”, wypełniała powierzone jej zadanie najlepiej, jak umiała. Nie czuła się już zobowiązana wobec Imperium, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że jest odpowiedzialna za życia setek tysięcy osób pod jej rozkazami,

dlatego podczas bitwy o Jakku zamierzała dać z siebie wszystko.

Może gdyby to samo mogli powiedzieć o sobie inni imperialni oficerowie, Imperium nie stałoby na progu zagłady.

– Raport z sytuacji! – zażądała, podchodząc na skraj podestu nad stanowiskami personelu.

– Moc trzeciego silnika spadła do sześćdziesięciu sześciu procent, pani kapitan. – Na rumianym obliczu wpatzonego w nią młodszego oficera malowała się panika. – Silniki pierwszy i piąty nie działają. Pełną moc mają tylko trzeci i siódmy. Drugi, czwarty i szósty działają na trzydziestoprocentowym zasilaniu.

Szlag! Gdyby zespoły wysłane do ich naprawy zdołały przywrócić co najmniej osiemdziesiąt procent mocy, mogliby wycofać się z pola walki i skoczyć w nadprzestrzeń. Jeżeli nie zdołają ich naprawić... lub jeśli trzeci silnik zostanie uszkodzony, „Inflictor” zostanie unieruchomiony. W tym momencie ich jedyną szansą na przetrwanie był odwrót.

Główny wyświetlacz mostka przedstawiał ponury widok: nad brązowo-złotą powierzchnią Jakku wisiały sylwetki setek statków, zarówno imperialnych, jak i rebelianckich – od fregat i gwiazdnych niszczycieli, aż po niezliczone punkciki myśliwców. Tymczasem na mniejszych ekranach pobocznych mogła obserwować relację z pola walki, którą dało się opisać dwoma krótkimi słowami: druzgocąca porażka. Na jej oczach jedna z maszyn krocących została trafiona o jeden raz za dużo, zachwiała się na chudych nogach i runęła na ziemię: z takim impetem, że piasek wzbił się w powietrze, przesłaniając widok, niczym sucha fala w beżowym oceanie. Gdzie by Ciena nie spojrzała, wszędzie widziała szarżujących zaciekle rebeliantów, podczas gdy Imperium broniło się z najwyższym trudem. Od początku mieli przewagę: tak znaczną, że w pewnym momencie z gorczą stwierdziła, że być może cała ta bitwa to pułapka. Może jakiś admirał czy wielki moff, który utracił wpływy, zdradził ich plany rozgromienia Rebelii na Jakku?

– Musimy zmienić strategię – powiedziała, głównie do siebie samej. Imperialne taktyki bojowe niemal zawsze opierały się na opracowanych w najmniejszych szczegółach wspólnych działaniach

wszystkich jednostek biorących udział w walce i pilnie monitorowanych przez centralne dowództwo. Kiedy Imperium miało przewagę liczebności i siły ognia, taka strategia sprawdzała się idealnie. Teraz Ciena była zdania, że postępowali według zasad, które straciły rację bytu ponad rok temu.

Rebelianci udowadniali im z każdą chwilą dobitnie, że niewielkie grupy szturmowe były w stanie działać z niemal zabójczą skutecznością. Często stosowali strategię przypuszczania szybkich ataków na wielu frontach naraz, dzieląc swoje zastępy na małe zespoły. Sporo ryzykowali, jednak tutaj, nad Jakku, dawało to wymierne efekty.

„Inflictor” zadygotał gwałtownie. Chociaż usadowiona w swoim fotelu Ciena odczuła wstrząs raczej jako nikłą wibrację pokładu, wiedziała, że doznali poważnych szkód, nim jeszcze ekrany kontrolne rozbłysły czerwienią.

– Eksplozja skutkująca dekompresją na rufie od prawej burty! – zameldował jeden z oficerów. – Tracimy atmosferę...

– Odciąć wszystkie pokłady sąsiadujące z uszkodzonym rejonem! – wypowiadając te słowa, Ciena wiedziała, że ocali w ten sposób okręt, jednak jednocześnie skaże setki, jeśli nie tysiące ludzi na śmierć wskutek uduszenia.

„Nie możemy dłużej walczyć według starych zasad. To daremne” – jęknęła w duchu.

Podeszła do wyświetlacza taktycznego i wywołała miniaturę trójwymiarowego obrazu bitwy. Gdyby tylko zdołała przekonać wielkiego moffa Randda, żeby zarządził rozproszenie floty, tak by mogła zaatakować rebelianckie krążowniki z wielu kierunków naraz... może nawet wysłać jedną z korwet wyposażonych w dwadzieścia dział w atmosferę, skąd mogłaby zapewnić wsparcie TIE-om walczącym w pobliżu powierzchni planety, mogliby zadać rebeliantom więcej strat. Rozpaczliwie potrzebowali każdej przewagi, jaką mogli zdobyć.

Jednak czy Randd zechce jej w ogóle wysłuchać? Może i dowodziła gwiazdowym niszczycielem, ale on był wielkim moffem i delikatnie dał jej do zrozumienia, że to jemu zawdzięcza swoją obecną funkcję.

Ponownie boleśnie zdała sobie sprawę z tego, w jak absurdalnej sytuacji się znalazła – jakim marnotrawstwem skutkował fakt, że ranga liczyła się w imperialnej flocie bardziej niż pomysły. Była wściekła do granic i zde gustowana. Nienawidziła Imperium, któremu służyła, odrazą napawały ją wartości, które ono wyznawało, i czuła obrzydzenie na myśl o tym, jak wszyscy wyrażają się o Palpatinie z nabożną czcią, jakby był jakimś szlachetnym męczennikiem, który poległ w walce o wyższą sprawę. A nade wszystko pogardzała sobą za to, że sama kiedyś w to wszystko wierzyła... a także za to, że nie zostało jej nic poza tym.

Jednak wówczas dostrzegła innych krzątających się wokół niej oficerów, robiących, co w ich mocy, by wypełnić powierzone im obowiązki – i przetrwać. Miała wobec nich dług: była winna im choć tyle, by także się starać. Skoro nie pozostało nic innego, co mogła zrobić, spróbuje przynajmniej zapewnić im bezpieczeństwo.

– Otworzyć kanał łączności z wielkim moffem Ra... – urwała, gdy statek zadrżał ponownie: tym razem tak mocno, że części oficerów czapki pospadały z głów, a co najmniej dwóch analityków wylądowało na podłodze. Wsparła się ramieniem o ścianę. – Co to było?

– Pani kapitan, uszkodzenie kadłuba na lewej burcie, od pokładów RR po ZZ! – Na twarzy młodej oficer malował się ten sam lęk, który skręcał jej trzewia w ciasny węzeł. Jej twarz oblewała czerwona poświata alarmowych lampek. – Czujniki nie wykrywają jednak śladów próżni...

Nim jeszcze skończyła mówić, „Inflictoorem” targnął kolejny wstrząs zwiastujący trafienie. „Jeszcze jeden – pomyślała spanikowana. – To już czwarty”. A każde z uderzeń skutkowało tymi samymi dziwnymi wskazaniami instrumentów: uszkodzeniami, które jednak nie powodowały rozszczelnienia. To zaś mogło znaczyć tylko jedno...

Ciena przełknęła ślinę, czując, jak wnętrzości przeszywa jej dojmujący chłód, mroząc krew w żyłach. Chociaż nigdy dotąd nie znalazła się w podobnej sytuacji, nie doświadczyła jej osobiście, to podczas szkolenia w akademii nauczyła się o takich symptomach dość, by przyprawiała ją o powracające koszmary.

– Doszło do abordażu.

Abordaż... W samym środku bitwy to mogło oznaczać tylko jedno: jej statek czekała nieuchronna zagłada.

– Musimy się dostać do centrum kontroli trzeciego silnika – rzucił do komunikatora Thane, przedzierając się przez zasnuty gęstym dymem korytarz. – Jeśli zdołamy dezaktywować ostatni silnik dysponujący pełną mocą, może nam się udać!

Jego zadanie było znacznie prostsze, jednak miało kluczowe znaczenie. Musiał najprędzej, jak się da, wyłączyć system autodestrukcji okrętu. Wiedział aż za dobrze, że żaden z imperialnych oficerów nie zawaha się ani przez chwilę przed wydaniem samobójczego rozkazu, byle tylko nie dopuścić do tego, by gwiazdny niszczyciel wpadł w ręce Nowej Republiki.

Na jego oczach w prostopadłym korytarzu trwała wymiana blasterowego ognia, echa każdego ze strzałów rezonowały w jego uszach z bolesnym natężeniem. Pośród metalicznego dźwięczenia rozsadzającego mu czaszkę słyszał meldunki składane przez pozostałych członków zespołu. Wbrew przewidywaniom Rieekana załoga „Inflictora” stawiała im czynny opór. Wyglądało na to, że żołnierze na pokładzie okrętu wykazywali się większym oddaniem sprawie niż znakomita większość imperialnych. Cóż, jak pech, to pech.

Strzelanina ustała i zza rogu wychynęła zielona czupryna Kendy.

– Oczyszciliśmy wam drogę – zakomunikowała. – Ruchy! Szybko!

Thane puścił się korytarzem na czele oddziału, licząc na to, że zdołają dotrzeć przynajmniej do pomocniczego mostka na lewej burcie. Gdyby udało im się przejąć nad nim kontrolę, mogliby przynajmniej pomóc innym żołnierzom Nowej Republiki przedrzeć się w głąb statku.

Gdy jednak dotarli do kolejnej sekcji, na spotkanie wybiegła im następna fala szturmowców, ostrzeliwując ich zaciekle. Thane przypadł plecami do ściany. Powietrze cuchnęło dymem i ozonem, a on nie widział sposobu wybrnięcia z rozpaczliwej sytuacji. „Co robić? Co robić?” – myślał gorączkowo.

Nie zdołają dotrzeć na czas do systemów autodestrukcji – nie tędy. Co oznaczało, że w ciągu kilku minut „Inflictor” wybuchnie, a oni zginą na jego pokładzie.

„Damy radę. Udam nam się – powtórzył sobie z mocą. – Naprzód!”.

– Pani kapitan Ree? Nie może pani... – zaprotestowała jedna z młodszych oficerów. Miała co najwyżej siedemnaście lat. Imperialna flota wyłuskiwała ich z tych akademii, które jeszcze działały, nawet mimo że byli stanowczo zbyt młodzi, by podjąć służbę.

– Mogę... I muszę to zrobić. – Ciena opadła na swój fotel i próbowała psychicznie przygotować się na to, co zamierzała zrobić, a potem, nieco łagodniejszym tonem, dodała: – Proszę się nie obawiać, podporucznik Perrin. Będziemy mieli dość czasu, by dotrzeć do kapsuł ratunkowych, a każda z nich jest wyposażona w system automatycznego naprowadzania, który pokieruje ją prosto do najbliższej imperialnej jednostki.

Perrin uśmiechnęła się niepewnie, sąsiadujący z nią oficerowie także zdawali się stopniowo odprężyć. „Dlaczego imperialne protokoły zabraniają wyrażania współczucia czy wyrozumiałości, skoro przynosi to tyle dobrego?” – zastanawiała się półprzytomnie Ciena.

Cóż, przynajmniej bezlitosność Imperium i jego umiłowanie do ścisłego trzymania się procedur popłacą po bitwie. Gdy będzie już po wszystkim – zakładając oczywiście, że nie trafią wszyscy do jednego z obozów jenieckich Nowej Republiki – Ciena zostanie wezwana do złożenia wyjaśnień w związku z podjęciem decyzji o poświęceniu gwiazdowego niszczyciela, zniszczeniu jednego z najpotężniejszych i najcenniejszych statków w imperialnej gwiazdnej flocie. Znała jednak zasady tej gry dość dobrze, by wiedzieć, że niezależnie od tego, jakich wytłumaczeń dostarczy, zostaną one uznane za niewystarczające. Przed Endorem zasłużyłaby sobie w ten sposób na długi, wyniszczający wyrok na Kessel, jednak teraz albo czekało ją zwolnienie ze służby, albo egzekucja na miejscu. Stwierdziła jednak, że nie obchodzi jej zbytnio, co się z nią stanie.

– Na mój sygnał... – rzuciła. – Przygotować się do uruchomienia

procedury autodestrukcji. Zaczynamy za dziesięć... dziewięć... osiem...

„Inflictor” znów zadrżał. I chociaż Ciena darzyła teraz Imperium czystą nienawiścią, to jako kapitan nie mogła zaprzeczyć, że obrażenia zadawane statkowi pod jej rozkazami nie raniły boleśnie jej samej.

– ...trzy... dwa... jeden... – dokończyła spokojnie. – Teraz!

Podporucznik Perrin pchnęła dźwignię, która uruchamiała proces autodestrukcji. Ciena czekała cierpliwie na rozbłyski czerwonych świateł, wycie syren alarmowych i automatyczny komunikat polecający załodze udanie się do kapsuł ratunkowych, sygnał nakazujący uszczelnienie grodzi – jednak na próżno. Po kilku stanowczo zbyt długich sekundach pełnego napięcia oczekiwania wstała z fotela, aby wywołać na ekran plany okrętu w czasie rzeczywistym. Światelka sygnalizujące uszkodzenie rozbłyskiwały w dziwnie niestosownych punktach – ze szczególnym natężeniem w miejscu bliskim pomocniczego mostka na lewej burcie.

– Dobrali się do systemu autodestrukcji! – jęknęła z niedowierzaniem. – Wyłączyli go – celowo!

W ułamku sekundy dotarło do niej: tylko były imperialny oficer wiedziałby, jak tego dokonać. W uszach dźwięczały jej słowa ojca, który powiedział jej kiedyś, gdy była dzieckiem: „Wszyscy zdrajcy są przeklęci”.

– Jakie rozkazy, pani kapitan? – spytał porucznik z poziomu stanowisk.

Ciena zdała sobie sprawę z tego, że wszyscy obecni na mostku – a pewnie i cała załoga okrętu – nie ma bladego pojęcia, co począć.

Ona jednak wiedziała, co robić.

Świadomość tego faktu opadła na nią niespodziewanie niczym blask słońca wschodzącego w najpiękniejszym dniu jej życia. Mogła wypełnić swój obowiązek, zadośćuczynić złożonym dawno temu ślubom... i uwolnić się od tego szaleństwa, w które wplątała się na własne życzenie, raz na zawsze.

Wróciła na swój fotel i wdusiła przycisk systemu łączności, dzięki któremu jej głos miał dobiec ze wszystkich głośników na pokładzie

okrętu, dotrzeć do każdego z pilotów myśliwców stacjonujących na „Inflictorze”:

– Do całej załogi: opuścić statek. Piloci wszystkich myśliwców: zarządzam zgrupowanie w punkcie zbornym na pokładzie najbliższej imperialnej jednostki. Cała załogo: opuścić statek. Macie na to dziesięć minut.

Otoczający ją oficerowie wpatrywali się w nią z nieskrywanym osłupieniem. Jeden jedyny raz podczas całej swojej kariery Ciena pozwoliła sobie podnieść na nich głos:

– Na co czekacie?! – wrzasnęła. – Do kapsuł ratunkowych! Natychmiast!

Jak jeden mąż zerwali się i rzucili w popłochu do wyjścia. Kanał łączności zatrzeszczał i zabuczał serią białego szumu. Ciena wiedziała, czym głosem rozbrzmi, nim jeszcze zdołała zaczerpnąć tchu; istniała tylko jedna osoba, która ośmieliłaby się kwestionować jej rozkazy w chwili takiej jak ta.

– Oszalałaś? – krzyknął Nash.

– Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli, komandorze Windrider – odparła ze stoickim spokojem.

– Nie komandoruj mi tutaj, ani mi się waż! Nie teraz! Gdyby została uruchomiona sekwencja autodestrukcji, otrzymalibyśmy automatyczny sygnał! A skoro do tego nie doszło, śmiem podejrzewać, że zamierzasz zniszczyć statek... w jakiś inny sposób.

Ciena opadła na oparcie swojego wyściełanego skórą fotela; była tak znużona, jakby nie spała od lat.

– Wykrztuś to z siebie.

– ...zamierzasz roztrzaskać „Inflictora” o powierzchnię planety...

Zacząła spokojnie wklepywać w klawiaturę komputera nawigacyjnego współrzędne, które skierują go wprost ku powierzchni Jakku. Oczyma duszy widziała już pożogę, czuła żar i nieuchronny koniec, które zwiastowały.

Gdy to się stanie, wypełni raz na zawsze swoje zobowiązania wobec Imperium i ostatecznie przetnie więzy ją z nim łączące.

– Muszę zrobić, co w mojej mocy, by „Inflictor” nie wpadł w ręce rebeliantów – wyjaśniła mu z ciężkim sercem. Próbowała wyobrazić

sobie, że przemawia do chłopca, którego znała z akademii, tego samego, który splatał długie włosy w warkocze na alderańską modłę i którego zaraźliwe poczucie humoru rozśmieszało wszystkich wokół.
– To jedyne wyjście, Nash.

– Jak jasna cholera! – warknął gniewnie. – Możesz ustawić współrzędne i się stąd wynieść.

– I zostawić statek na pastwę rebeliantów? – spytała retorycznie. – Żeby zajęli mostek, zmienili kurs i odlecieli w siną dal nowym niszczycielem? – Wsparła potylicę o zagłówek i wbiła wzrok w wyłożony metalowymi panelami sufit, majaczący tak absurdalnie wysoko nad jej głową. Czy skala mostka miała w jakiś dziwny sposób odzwierciedlać potęgę Imperium? Jeśli nawet, to zamysł projektanta był nietrafiony: przestronne pomieszczenie wznosiło tylko poczucie pustki i chłodu.

– Cieno? Proszę... – Słyszała, jak Nashowi łamie się głos, ledwie słyszalny przez ryk odpalanych masowo silników TIE-ów. – Obiecuj mi przynajmniej, że spróbujesz...

To była ostatnia rzecz, jaką miała ochotę usłyszeć. W chwili, gdy znalazła sposób, by się z tego wykaraskać, czuła tylko obezwładniającą ulgę. Dopiero teraz, gdy z jej barków w magiczny sposób zniknęło brzemie towarzyszące codziennej egzystencji, dotarło do niej, jak wielki ciężar przytłaczał ją każdego dnia – i nie posiadała się z radości, że nie musi go już dłużej dźwigać.

– Muszę zablokować grodzie – oznajmiła oschle. – Żegnaj.

Nie siląc się na dalsze wyjaśnienia, rozłączyła się i zamknęła kanał łączności z TIE-ami. Wiedziała, że już nigdy nie usłyszy głosu Nasha.

Gdy mechanicznie wdrażała procedurę uszczelnienia grodzi mostka, błędziła myślami wokół spraw, których nie miała doświadczyć już nigdy. Spotkanie z rodzicami. Latanie myśliwcem – albo jeszcze lepiej, pilotowanie V-171, wzbijanie się nim ponad chmury spowijające Jelucan. Chichotanie z któregoś z obscenicznych żartów Berisse. Próba dobudzenia rankiem Jude i przysłuchiwanie się, jak jej praktyczna, sumienna przyjaciółka jęczy w poduszkę. Dosiadanie muunyaka, pokonującego górskie granie. Mknienie pełnym pędem przez Bramki Reitgena. Smak lukrowanych ciastek

pana Nierre'a. Gnane na oślep przez Podniebną Pętlę, podczas gdy w dole lśniła rozmigotana tysiącami świateł powierzchnia Coruscant.

Bliskość Thane'a. Chwile, w których byli jednością. Bez troski lot w jego towarzystwie.

– Do widzenia – westchnęła cicho, zegnając się ze wszystkim, co znała dotychczas.

W chwili, gdy uszu Thane'a dobiegł komunikat, zamarł w bezruchu. Kiedy obwieszczenie odbijało się echem od metalowych ścian „Inflictorów”, wzywając jego załogę do opuszczenia pokładu, starał się przekonać sam siebie, że to nie może być ona... Jednak nie byłby w stanie pomylić brzmienia głosu Cieny z żadnym innym.

– Ale przecież dopiero co wyłączyliśmy system autodestrukcji! – jęknęła Kendy. Wyglądało na to, że nie rozpoznała dobiegającego z głośników głosu. – Jak zamierzają wysadzić to cholerstwo w powietrze?

Mimo jej wątpliwości Thane wiedział, co zamierza zrobić Ciena: on postąpiłby w jej sytuacji tak samo.

– Roztrzaska go o powierzchnię planety. – Bez namysłu wklepał w komunikator kod bezpośredniego połączenia z Rieekanem. – Musimy się ewakuować – warknął, nie starając się nawet zamaskować zdenerwowania. – Natychmiast. Jeśli nasi nie zdołają dotrzeć na czas do transportowców, niech się kierują do imperialnych kapsuł. Dotrą do nich dzięki oznaczeniom świetlnym.

Nim jeszcze Rieekan potwierdził odpowiednimi rozkazami sugestie Thane'a, Kendy puściła się biegiem do wyjścia z pomocniczego mostka, podobnie jak towarzyszący im żołnierze. Zanim jednak dotarła do grodzi, przystanęła, zdając sobie sprawę z tego, że Thane nie podążył ich śladem.

– Co ty wyprawiasz? – warknęła. – Ogłuchłeś? Mamy niecałe dziesięć minut!

– Dogonię was – skłamał gładko bez zająknięcia. – Leć!

Kendy rzuciła mu kose spojrzenie, jednak pomna rozkazów Rieekana, pognała przed siebie, pozostawiając Thane'a sam na sam ze sobą. Ciena żyła. Żyła, była tu. A on musiał dotrzeć do niej, nim

zabije ich oboje.

Thane przypadł do oddalonego o ładnych parę metrów kąta pomocniczego mostka, w którym, o ile dobrze zapamiętał ze szkolenia projektowania dużych jednostek, znajdował się szyb serwisowy. Pamięć go nie myliła: jedna z metalowych kratownic dała się usunąć, odsłaniając prosty, wyłożony gładkimi panelami tunel prowadzący w górę. Uderzył dłonią w przycisk przy drzwiach, wzywając repulsorową platformę, która w ciągu kilku chwil mogła go dostarczyć na dowolny pokład, wedle uznania.

Gdy się zjawiała, wskoczył na nią i chwycił się kurczowo szyny bezpieczeństwa, poderwany gwałtownie w górę. Jak dotąd nigdy nie miał okazji korzystać z tego systemu. Przejazdźka była zdecydowanie bardziej szalona, niż mógłby się spodziewać w oparciu o wiadomości wyniesione ze szkolenia. Gdyby w porę nie zadbał o odpowiednią asekurację, ześlizgnąłby się z platformy, lecąc na łeb na szyję, kilka kilometrów w głąb szybu, na pewną śmierć.

Na szczęście w porę zdołał wziąć głęboki oddech i wpisać kod zapewniający dotarcie na pokład, z którego zdoła dostać się do głównego mostka.

Kiedy platforma niosła go w górę w szalonym pędzie, wypierającym mu dech z piersi, zerwał z głowy idiotyczny hełm i odrzucił go na bok, pozwalając, by spadł w bezdenną czelusć szybu. Po drodze bezskutecznie próbował rozeznaczyć się w upływie czasu. Czy minęły trzy minuty? A może cztery? W tej chwili silniki „Inflictora” nie musiały już pracować – grawitacja Jakku robiła swoje. Sekunda za sekundą, planeta ściągała gwiazdny niszczyciel w swoje objęcia, ku rychłej zagładzie.

„Jeszcze trochę! – modlił się w duchu, kurczowo zaciskając dłoń na szynie bezpieczeństwa. – Jeszcze odrobinę!”.

Gdy wreszcie dotarł na żądany pokład, rąbnął pięścią w panel kontrolny i wyskoczył na korytarz. Po chwili zdezorientowania niemal natychmiast zganił się w duchu za naiwność: jak mógł wierzyć, że dotrze bez trudu na główny mostek? Nie tracąc resztek nadziei, podbiegł do grodzi i zatrzymał się w półślizgu, kiedy nie otworzyła się na jego sygnał.

– Cieno! – wrzasnął, łomocząc pięściami do drzwi. Krzyczał, by wyładować w jakiś sposób ogarniającą go frustrację, bo w głębi duszy wiedział, że nikt nie zdoła go usłyszeć przez gruby metal. Gródź była nie tylko zbyt masywna, by przeniknął przez nią jego głos, była też odporna na strzały z blasterów, laserowy ogień, a nawet eksplozje detonatorów termicznych. Wszystko wskazywało na to, że Ciena zabezpieczyła się przed ingerencją intruzów, do których, chcąc nie chcąc, należał.

Przypomniawszy sobie jednak półprzytomnie, że gródź mostka na pokładzie niszczyciela można było zablokować na kilka różnych sposobów – a on wiedział bez cienia wątpliwości, który z nich wybrałaby jego przyjaciółka. Na własne uszy słyszał kiedyś, jak to tłumaczy. Wykorzystałaby system kapitańskiego hasła. A jeżeli rzeczywiście wybrała taką możliwość, to mostek był teraz niedostępny dla wszystkich, którzy nie wiedzieli, jakiej frazy użyła, by się na nim zabarykadować.

Wsparł czoło o metalową płytę ściany i położył dłoń na panelu kontrolnym. Bezdzuszny, mechaniczny głos zażądał:

– Podaj hasło.

Thane nachylił się do kratki mikrofonu i szepnął:

– Patrz moimi oczami...

Rozdział 28

Ciena pochyliła się nad konsolą nawigacyjną, kładąc na niej jedną dłoń, a drugą przyciskając do przeszywanego nieznośnym bólem podbrzusza. System autonawigacji raz po raz próbował uparcie obejść jej rozkazy, jednak wreszcie udało jej się go odciąć. Teraz pozostało jej tylko czekać.

Cofnęła się od konsoli i klapnęła na miękkie siedzisko fotela dowodzenia. Gwiazdy na ekranie przed jej oczami zniknęły, zastąpione przez piaszczystą powierzchnię Jakku. W miarę upływu sekund obraz się wyostrzał. Ciena przyglądała się ze stoickim spokojem, jak cienie nikną, przeradzając się w połacie pustyni i pasma wzgórz. Wskaźniki czujników rozbłysły czerwienią, ostrzegając o wniknięciu w atmosferę. Zignorowała odczyty.

W pewnej chwili obraz zaczął jej się zamazywać przed oczami. Gdy odruchowo podniosła dłoń do twarzy, spostrzegła, że palce ma dziwnie mokre. Zamrugowała gwałtownie, by wyostrzyć wzrok. Czuła niezachwianą pewność: gdy nadejdzie koniec, powita go ze spokojem. Nie zawaha się. To będzie ostatecznie, czego doświadczy – i z pełną świadomością zamierzała chłonąć wszystkimi zmysłami każdą chwilę tego doznania, łącznie z towarzyszącym mu bólem.

Nikt nie mógł żądać więcej nad honorową śmierć.

Nagle gródź mostka rozsunęła się z ogłuszającym hukiem.

Ciena zerwała się na równe nogi. Odruchowo sięgnęła po blaster, jednak w porę przypomniała sobie, że kapitan na mostku nie mógł być uzbrojony. „Jakim cudem ktoś zdołał się tu wedrzeć?” – pomyślała jeszcze nieprzytomnie...

I wówczas zobaczyła Thane'a.

Jak przez mgłę dotarło do niej, że był jedyną osobą w całej galaktyce, która mogła znać tajne hasło – ale że nagle zjawił się tu nieproszony?

Przez chwilę oszukiwała się, że może śni albo ma omamy. Wyobrażała sobie jego obecność, bo jej mózg nie dopuszczał do siebie

faktu, że umrze samotnie. Na litość Mocy – przepasał nawet ramię żałobną opaską, wzorem jej ludu, zapewne już po to, by opłakiwać tragedię, która miała się właśnie wydarzyć!...

Jednak wówczas odetchnął z ulgą: cały, zdrowy, żywy – i ten błahy drobiazg sprawił, że wszelkie targające nią wątpliwości wyparowały w mgnieniu oka niczym poranna rosa w promieniach letniego słońca. Był prawdziwy. To się działo naprawdę.

– Cieno... – Thane postąpił ku niej o krok, jednak zatrzymał się, gdy cofnęła się spłoszona. Zamarł i podniósł w górę zwrócone wnętrzem w jej stronę dłonie, jakby chciał ją zapewnić, że nie ma złych zamiarów. Widziała jednak przytroczoną do jego pasa kaburę z blasterem. – Już dobrze. Wyciągnę cię stąd.

– Nigdzie się stąd nie ruszę. – Miała niejasne wrażenie, że wypowiedziane przez nią słowa dobiegają z dużej odległości, jakby nie padały z jej ust, a zamiast tego komunikował je ktoś inny. – Zostanę na pokładzie swojego statku.

– Doskonale wiesz, że będziemy mogli sobie uciąć długą pogawędkę na temat honoru i obowiązkowości później – argumentował. – Teraz musimy jedynie wyrwać się stąd, nim okręt wejdzie na całego w atmosferę.

Kapsuły ratunkowe były zaprojektowane tak, by wytrzymać lądowanie na planecie, jednak ich wystrzeliwanie w atmosferze było ryzykowne. Odczyty temperatury na zewnątrz kadłuba gwałtownie rosły. Ciena poczuła, że puls jej przyspiesza z narastającego równie szybko strachu, jednak nie bała się o siebie. – Thane, do najbliższej kapsuły ratunkowej. Szybko.

Podniósł hardo podbródek jak krnąbrny, dumny chłopiec, którym był tak dawno temu.

– Nigdzie się bez ciebie nie ruszę.

Strach zastąpił palący gniew.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że mogłabym cię teraz aresztować? Albo zastrzelić?

– Nie sądzisz, że w tej sytuacji nie dotyczą nas już przepisy? – Wyciągnął do niej dłoń, jednak cofnęła się od niego o kolejny krok. Dzieliły ich teraz niecałe dwa metry. Otaczały ich rzędy niezliczonych

ekranów i paneli czujników, rozświetlanych alarmowymi lampkami i migoczących obrazami z bitwy i scenami z rozlewu krwi na polu walki.

– Musisz stąd uciekać! – zawołała sfrustrowana i zdesperowana. – Nie rozumiesz? Próbuję ocalić ci życie!

– A ja próbuję ocalić twoje! – Rzucił jej błagalne spojrzenie, równie desperackie, jak gdy pierwszy raz próbował namówić ją, by zdezerterowała z Imperium wraz z nim.

Być może dla niego nic się przez te pięć lat nie zmieniło, jednak ona czuła się znacznie starsza. I o wiele smutniejsza. Udęczona. Jednak on uparcie stał przed nią z wyciągniętą dłonią, wierząc, że zdoła uratować ich oboje.

– Chodź, Cieno. Mamy mało czasu.

Nie wiedział, że ona nie miała już czasu, wcale.

Co oni jej zrobili?

Ciena stała przed nim tak wychudzona, że wyglądała, jakby najłżejszy podmuch mógł ją przewrócić. Mundur wisiał na niej jak na wieszaku, zaś migające szaleńczo wokół światła ostrzegawcze nadawały całej scenie pozorów jakiejś upiornej parodii, jakby przebywali w teatralnej scenerii udającej tylko imperialny mostek. Jednak tym, co przerażało Thane'a najbardziej, była pustka w jej oczach. Nie było w nich śladu ducha dawnej Cieni, a jedynie gniew i rozpacz.

A jednak Ciena, jego Ciena, wciąż tu była. I wiedział, że tkwi w swoim uporze tylko dlatego, że wolała umrzeć niż służyć dłużej Imperium.

– Posłuchaj mnie – powiedział, z najwyższym trudem siląc się na spokój. „Inflictor” dygotał, wchodząc w kontakt z atmosferą Jakku. Wkrótce zrobi się goręcej – i to dosłownie. – Nie jesteś temu przekłętemu Imperium nic winna. Nie zasługują na twoją lojalność, a już z pewnością nie na to, byś poświęciła dla nich życie.

– Nie masz pojęcia, czym jest lojalność...

– Jak cholera! Cieno, czy byłbym tu, gdybym nie był lojalny wobec ciebie?

Statkiem ponownie szarpnęło. Thane zatoczył się w bok, a Ciena musiała złapać się swojego fotela, żeby utrzymać równowagę.

– Thane, musisz stąd iść! – zawołała. – Musisz znaleźć kapsułę ratunkową! Natychmiast!

– Nie zostawię cię tu!

Nagle dotarło do niego, że to mogłoby się w ten sposób skończyć: zginie tu wraz z nią, ale za nic jej nie zostawi, aby ujść samemu z życiem.

Chciał jednak żyć. I chociaż kochał Cienę, dzięki wydarzeniom z minionego roku wiedział, że był w stanie przeżyć po jej „śmierci”, a nawet dojść do siebie i znaleźć ukojenie.

Jednak nie mógłby żyć ze świadomością, że zostawił ją tu na pewną śmierć.

– Nie zostawię cię – powtórzył z mocą.

– Proszę! – Ciena dygotała jak w febrze. – Proszę, nie zmuszaj mnie do odpowiedzialności za twoją śmierć! Przez cały ten czas, podczas każdej z bitew modliłam się jedynie o to, żebyś nie zginął z mojej ręki!

– A ja modliłem się o to, by tak się właśnie stało. Bo łączy nas nierozzerwalna więź, ciebie i mnie. Na śmierć i życie. Wiesz o tym równie dobrze co ja. I to właśnie dlatego musimy opuścić ten statek. Razem.

Ciena milczała przez długą chwilę. Statek przechylił się na bok: ostrzeżenie sztucznej grawitacji, że ściąga ich ta prawdziwa, efekt bliskości Jakku. Na wyświetlaczu Cieny powierzchnia planety wirowała powoli, w miarę jak okręt opadał ku niej spiralnym torem.

I wtedy Ciena postąpiła ku niemu o krok, a potem kolejny. Thane poczuł ulgę tak przemożną, że miał ochotę załkać ze szczęścia.

– Świetnie. Właśnie tak. Chodź ze mną.

Ciena zatrzymała się tuż przed nim i ich spojrzenia się spotkały. I wówczas uderzyła go mocno, z całej siły, pod żebra.

Gdy runął jak długi na podłogę, wyszarpnęła mu z kabury blaster. Stała nad nim, a on wpatrywał się w nią zbity z tropu, próbując złapać oddech.

– Czy tego właśnie chcesz? – wykrztusił. – Zamierzasz mnie zastrzelić?

– Oczywiście, że nie. Ogłuszę cię i zaciągnę do kapsuły ratunkowej. Jednak chciałabym... Wiesz, że robię to tylko po to, by cię ocalić, prawda?

Thane wierzgnął i podciął jej nogi kopniakiem tak silnym, że zatoczyła się kilka kroków w tył, nim upadła na podłogę. Blaster prześlizgnął się po kratownicy, z dala od nich obojga, tymczasem Ciena zerwała się błyskawicznie na równe nogi.

On także wstał, przyjmując pozycję bojową, miotając iskry z błękitnych oczu.

– Chcesz to rozegrać na ostro? W porządku. Zagramy w takim razie ostro!

Przed oczami stanęły jej wspomnienia z czasów, gdy byli dziećmi i toczyli bójki.

Wyglądało na to, że zginą, robiąc to samo.

Rzuciła się na niego, a on nie zdołał w porę zrobić uniku i powstrzymać jej przed założeniem mu blokady. Gdy wyrznęła jego głowę w siatkową podłogę, warknęła:

– Zabieraj swoje rebelianckie dupsko z mojego mostka!

Pchnął ją z całej siły, zrzucając z siebie. Gdy odtoczyła się na bok, wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Zamierzam cię uratować, czy tego chcesz, czy nie.

Czy nie rozumiał? Dlaczego tego nie dostrzegał? Dlaczego próbował pozbawić ją jedynej szansy na ucieczkę z tego piekła i odejście z honorem? Zachowywał się, jakby zupełnie jej nie znał.

Gdy celnie wymierzony kopniak dosięgnął jego szczęki, głowa aż mu odskoczyła na plecy. Ciena tymczasem poderwała się z podłogi; kątem oka dostrzegła przelotnie widok na wyświetlaczu: powierzchnię Jakku, przerażająco blisko, jednak maconą co chwila zakłóceniami i czerniejącą. Zewnętrzne czujniki topiły się w żarze towarzyszącym wejściu w atmosferę. Iluminatory jarzyły się teraz oślepiającym pomarańczowym blaskiem, skutecznie uniemożliwiającym dostrzeżenie czegokolwiek na zewnątrz skąpanego w płomieniach okrętu. Walczący w atmosferze i na ziemi

z pewnością dostrzegą „Inflictora” przecinającego niebo świetlistą smugą, ciągnącego za sobą warkocz ognia niczym kometa.

Thane chwycił Cienę za nogę i pociągnął na podłogę; impet zderzenia z metalowym poszyciem przeszył jej trzewia nową falą bólu. Gdy próbowała złapać oddech, Thane wykorzystał przewagę i przyszpilił Cienę do kratownicy, zamykając jej nadgarstki w żelaznym uścisku.

– Po prostu... chodź ze mną – wydyszał. – Musisz ze mną pójść. Teraz.

Zgięła nogę w kolanie i wbiła mu je pod żebra, a potem uwolniła ręce. Chciała mu powiedzieć, żeby przestał zachowywać się jak idiota, bo wkrótce będzie za późno – o ile już nie było – jednak zdołała tylko wykrztusić:

– Pozwól mi odejść.

Zacisnęła dłonie w pięści i poderwała je gwałtownie, uderzając go w szczękę. Jeżeli nie pozostawiał jej wyboru, pozbawi go przytomności w bardziej bolesny sposób.

Mimo przeszywającego bólu Thane dostrzegł kątem oka, jak obraz na ekranie migocze i znika. Kończył im się czas...

Zrobił więc coś, na co w innych okolicznościach nigdy, przenigdy w życiu by się nie poważył. Odwzajemnił cios i uderzył Cienę.

Był postawnym mężczyzną, a ona drobnej postury kobietą. Ten sam cios, który sprawił, że zatoczył się w tył, ją rozpląszczył na podłodze. Ogarnęło go poczucie winy, jednak nie mógł się już wycofać – nie teraz...

Ciena rzuciła się naprzód i uderzyła go barkiem pod żebra tak mocno, że wyparło mu z piersi dech. Kiedy wpadli razem na panel kontrolny, pomyślał nieprzytomnie, że gdyby ktoś ich w tej chwili oglądał, stwierdziłby bez wątpienia, że próbują się nawzajem pozabijać, nie ocalić.

Światła zamigotały, gdy zasilanie zaczęło szwankować; coraz więcej elementów stawało w ogniu. Thane usłyszał głęboki, przerażający jęk: potężna metalowa konstrukcja gwiazdowego niszczyciela zaczęła się odkształcać, gdy metal osiągnął temperaturę

topnienia. Przez panele widokowe nie było widać choćby zarysu powierzchni Jakku ani nieba, tylko płomienie.

Ciena odepchnęła go od siebie w tej samej chwili, w której podłoga znów przechyliła się gwałtownie na bok. Teraz oboje leżeli na niej plackiem, niezdolni wstać. Thane spróbował dosięgnąć do jednego z krzeseł, wspornika – czegokolwiek, dzięki czemu mógłby się podnieść... gdy nagle zobaczył jakiś czarny kształt, sunący po kratownicy wzdłuż jednej ze ścian.

Rzucił się w tę stronę, jednak gdy odtaczał się na bok, usłyszał tupot butów Cieny, która jakimś cudem zdołała najwyraźniej podnieść się z podłogi. Biegła w jego stronę, coraz prędzej, jednak on był szybszy i pierwszy dosięgnął do blastera.

Jedno kliknięcie, przestawienie w tryb ogłuszania... Teraz!

Nim błękitna wiązka ugodziła ją w pierś, zdołał jeszcze dostrzec bezgraniczne przerażenie w oczach Cieny. Upadła na podłogę z takim impetem, że przez chwilę Thane obawiał się, że wybrał zły tryb i ją zabił. Kiedy jednak podpełzł do niej po przechylonej podłodze, z ulgą spostrzegł, że jej pierś wznosi się i opada w rytm płytkiego oddechu.

– O wybaczenie poproszę cię później – wymamrotał, a potem podźwignął się na kolana, obrócił jej ciało i zarzucił sobie na ramię. Gdy z trudem wstał i skierował kroki do najbliższej kapsuły ratunkowej, w ustach czuł metaliczny posmak krwi.

Szalona podróż tunelami serwisowymi odświeżyła mu zasoby wiedzy przyswojonej na zajęciach z projektowania dużych jednostek, więc był pewien, że wie, gdzie szukać kapsuł. Nie wiedział jednak, czy zdoła do którejś dotrzeć na czas, a jeśli tak, czy uda mu się opuścić w niej okręt. Jeżeli klamry się stopiły podczas wejścia w atmosferę, w kapsule zamiast ocalenia znajdą jedynie śmierć.

Oczywiście istniało też prawdopodobieństwo, że opuszczający statek imperialni oficerowie i żołnierze Nowej Republiki wykorzystali już wszystkie kapsuły...

„Ruchy, ruchy, ruchy!” – powtarzał w myślach jak mantrę, zataczając się na zakrętach i biegnąc korytarzami gwiazdowego niszczyciela. Pierwsze gniazdo kapsuły, do którego dotarł, okazało się puste – moduł wystrzelono w kosmos dawno temu. Nim jednak

panika wzięła górę i zalała go fala paraliżującego strachu, dotarł do drugiego gniazda, w którym wciąż tkwił bezpiecznie moduł ratunkowy.

Rąbnął kolanem w panel kontrolny i drzwi kapsuły otworzyły się posłusznie. To była jedna z mniejszych wersji, jednak spokojnie powinna pomieścić dwie osoby. Thane upchnął wewnątrz ciało Cieny, jednak gdy przeciskał się przez otwór wejściowy, by do niej dołączyć, światła na statku nagle zgasły. Wszystko spowił gęsty mrok, rozświetlany jedynie pomarańczową łuną ognia szalejącego za niewielkim okienkiem kapsuły, oblewającą ciało Cieny miękkim blaskiem.

Zasilanie padło. Czy drzwi się zamkną? Czy kapsuła zdoła wystartować? Jeśli ładunki wybuchowe w klamrach zwalniających stopiły się, mieli poważny problem.

Thane uderzył pięścią w przycisk startu. Na widok zamykających się drzwi kapsuły pomyślał, że nigdy w życiu nie widział nic piękniejszego. Kiedy się zatrzasnęły, statek przeszył głęboki jęk, brzmiący jak ostatni ryk umierającej bestii, a potem kapsuła wystartowała, unosząc ich z każdą chwilą dalej od „Inflictora”.

Towarzyszący startowi wstrząs cisnął go na zaokrągloną ścianę modułu, a bezwładne ciało Cieny przetoczyło się na bok. Thane skulił się przy niej, tak by móc ją trzymać w ramionach. Niezbyt duża moc repulsorów i słabe kompensatory przyspieszenia oznaczały, że czeka ich niezbyt komfortowa podróż. Thane nie miał pojęcia, czy w ogóle w tak niewielkiej odległości od ziemi zadziała procedura lądownicza. Przez mikroskopijny iluminator widział jedynie migoczące jak w kalejdoskopie plamy błękitu, złota, a potem znów błękitu: niebo i piasek, niebo i piasek. Lot potrwa zapewne jeszcze tylko kilka sekund...

Otoczył Cienę ramionami, ukrył jej twarz na swoim barku i przygotował się na twarde lądowanie.

Kapsuła uderzyła w ziemię z wypierającym dech z piersi impetem, a potem rąbnęła w nią jeszcze raz – i ponownie. Thane zorientował się, że musieli toczyć się po piasku. Nie wypuszczając Cieny z objęć, odbijał się raz po raz od ścian modułu – zderzenia nie były tak

mocne, by wyrządzić im poważną krzywdę, mimo to bolało. Wreszcie kapsuła odbiła się od piasku ostatni raz i zaczęła stopniowo wytracać pęd, aby wreszcie się zatrzymać.

„Czy jesteśmy bezpieczni? – zastanawiał się. – Chyba nam się u...”.

Nie zdołał dokończyć myśli, bo nagle zostali znów poderwani w powietrze – tak gwałtownie, że Thane uznał początkowo, iż wybuchł któryś z nieodpalonych wcześniej ładunków. Jednak głuchy huk, który rozległ się chwilę później, sprawił, że dotarło do niego: „Inflictor” rozbił się właśnie o planetę, a ich kapsuła ratunkowa została poderwana falą uderzeniową wraz z pyłem i piaskiem.

Otoczył Cienę ramionami tak mocno, jak zdołał, i zacisnął zęby, podczas gdy metalowa łupinka toczyła się przed siebie. Za iluminatorem nie było widać teraz nic poza pomarańczowym piachem. Co, jeśli zostaną zasypani i utkną w hałdzie piasku? Co, jeśli i tak już poobijana kapsuła nie wytrzyma i w którejś chwili pęknie? Nie chciał zginąć tu od uduszenia, pogrzebany żywcem...

Jednak kapsuła powoli zaczęła znów zwalniać, aż wreszcie znieruchomiała – tym razem na dobre.

Minęła długa sekunda, nim Thane pozwolił sobie uwierzyć, że przeżyli lądowanie. Co jednak, jeśli znajdowali się głęboko pod ziemią? Czy jego boja zdoła wysłać do sił Nowej Republiki sygnał z prośbą o ratunek?

Aktywował urządzenie, odczekał długą chwilę... i zobaczył, jak sygnalizator zmienia barwę na zieloną: komunikat został wysłany.

– Udało nam się! – szepnął do Cieny, wciąż bez przytomności wspartej o jego ramię. Może jakimś cudem w swojej nieświadomości go usłyszy i dowie się, że wszystko będzie dobrze.

Z rozcięcia na jej czole spływała strużka krwi. Thane zdjął z ramienia żałobną opaskę, aby zrobić z niej prowizoryczny bandaż; gdy opuścił wzrok na Cienę, pokręcił z niedowierzaniem głową.

Ze wszystkich statków galaktyki musiał trafić na pokład tego dowodzonego przez nią.

Może... może Ciena, Luke Skywalker i inni tradycjoniści mieli rację w kwestii Mocy? Może rzeczywiście istniała jakaś dziwna siła, która spajała galaktykę w jedną całość i kierowała losami

zamieszkujących ją istot? Jeśli tak, to właśnie Moc poprowadziła go do niej, tak by mógł ocalić jej życie, którego resztę miała spędzić u jego boku.

Czuł się, jakby cały cynizm i gniew, wypełniające szczelnie jego dawne życie, zniknęły bez śladu. Żył pod rządami sprawiedliwych i uczciwych władz; mężnie walczył w wojnie o słuszną sprawę, którą mieli wkrótce wygrać; służył u boku ludzi, których lubił i szanował. Ciena została uwolniona z okowów wierności wobec Imperium i nic nie ograniczało już jej swobody. Podobnie jak jego. Jak to możliwe, że człowiek taki jak on – pozbawiony nadziei i wiary – znalazł się w tej sytuacji?

Wsparł czoło o jej czoło. Mimo bolesnych guzów i sińców nabrzmiewających mu na twarzy, mimo krwi wciąż wypełniającej mu usta, mimo zatrważającego stanu Cieny i duchoty panującej w rozgrzanej kapsule ratunkowej – pomyślał, że to może być najszczęśliwszy moment w jego życiu.

Jego rozmyślania przerwały dobiegające gdzieś z góry przytłumione dźwięki; kiedy podniósł wzrok na drzwi kapsuły, zobaczył, że drżą. Po chwili otworzyły się, wpuszczając do środka strumyczek piasku, który utworzył niewielki kopczyk u ich stóp; w otworze pojawiły się twarze zespołu poszukiwawczego Nowej Republiki na tle oślepiającego słońca.

– Dobrze was widzieć, chłopaki. – Thane uniósł Cienę w ramionach. – Pomożecie?

– Pewnie, Korono Cztery. – Jeden z członków grupy wyciągnął rękę i przejął od niego Cienę, ostrożnie wydobywając ją z wraku kapsuły.

Thane wygramolił się tuż za nią i klapnął obok niej na rozgrzany piasek.

Niemal natychmiast znalazł się przy nim medyk.

– Czy potrzebujesz pomocy?

– Najpierw zajmijcie się nią – wydyszał.

Spodziewał się, że sanitariusz zajmie się obrażeniami Cieny, jednak zamiast tego ze zdumieniem przyglądał się, jak pozostali członkowie zespołu dobywają blasterów, a dowódca grupy klęka przy niej i zamyka na jej nadgarstkach kajdanki.

– Co u...? – urwał, gdy dotarło do niego, że żołnierze Nowej Republiki robili dokładnie to, czego od nich wymagano: aresztowali wysoką rangą imperialną oficer, która zostanie postawiona przed sądem za swoje zbrodnie.

Sądził, że ją ratuje, że Moc w cudowny sposób interweniowała, by ochronić ich oboje... jednak zamiast tego doprowadził tylko Cienę do więzienia.

Rozdział 29

Ciena stała w swojej celi, ze splecionymi z przodu dłońmi. Pole energetyczne oddzielające pomieszczenie od reszty więzienia było niemal idealnie przejrzyste i zabarwiało otoczenie po drugiej stronie na lekko srebrzysty kolor. Przez większość czasu spędzonego w areszcie Ciena nie zwracała sobie głowy wyglądaniem na zewnątrz; chwilami była tak przybita, że nie miała nawet siły ani chęci zwlekać się z więziennej pryczy.

Jednak dziś miała gościa.

Rozpoznała Thane'a po samych tylko krokach – a może jedynie sobie wmawiała, że to on? Przez cały dzień wyteżała słuch, chociaż miał się zjawić dopiero o tej porze.

Nie myliła się jednak wcale: tym razem to rzeczywiście był on.

Na jej widok uśmiechnął się, chociaż jej uwagi nie umknęła troska w jego spojrzeniu. Czyżby czuł się winny, że przyczynił się do zamknięcia jej tu jak ptaka w klatce? Być może, jednak zdawała sobie sprawę, że raczej po prostu martwi go jej widok: wychudzonej, znużonej, w prostym więziennym stroju o jasnobrązowej barwie, niemal w tym samym odcieniu co jej skóra.

– Jesienny liść – mruknął pod nosem, bardziej do siebie niż do niej, ale zaraz przywołał się do porządku. – Cieno, dziękuję, że zgodziłaś się wreszcie ze mną spotkać.

Skinęła tylko głową. Nie było sensu wyjaśniać mu, że ustąpiła po zaledwie tygodniu... tylko po to, by dowiedzieć się, że został wysłany na misję. To była chwila słabości. Teraz była wreszcie gotowa, by z nim porozmawiać.

– Mamy sobie tyle do powiedzenia... – westchnęła. – Nie wiem nawet, od czego zacząć.

– Może od tego, dlaczego nie chciałaś się wcześniej zgodzić, żebym cię odwiedził?

Ciena odwróciła wzrok, niezdolna spojrzeć mu w oczy.

– Żałuję, że nie zostawiłeś mnie na pokładzie „Inflictora”.

– Jeżeli spodziewasz się ode mnie przeprosin za ocalenie ci życia...
daruj sobie. – Milczał przez chwilę, po czym dodał: – Ale chyba
rozumiem, dlaczego tak uważasz.

– Czyżby?

– Chciałaś jednocześnie wypełnić swój obowiązek i uciec od
Imperium. Samobójstwo było zaś jedynym sposobem na dokonanie
tego, wyrównanie rachunków. Nie powinnaś jednak mierzyć swojej
wartości skalą Imperium. Jesteś warta znacznie więcej niż ono całe
razem wzięte.

Ciena podniosła na niego wzrok, wbrew sobie samej poruszona
jego słowami. Był jeszcze przystojniejszy niż w jej snach. Włosy nieco
mu pociemniały, teraz bardziej rude niż blond. Możliwe, że ktoś, kto
nie widział go od czasów dzieciństwa, nie rozpoznałby go teraz,
jednak ona wiedziała, że pozna go zawsze i wszędzie, nieważne, co
się stanie: po krokach, sposobie latania czy oczach. W jego oczach
wciąż było to coś, niezmiennego od lat.

– A więc rozumiesz – powiedziała cicho. – Mogłeś jednak
uszanować moją decyzję.

– Mimo to cieszysz się, że żyjesz. – Podszedł bliżej do pola
energetycznego i dodał z lekkim wahaniem: – Prawda?

Przez chwilę nie potrafiła mu odpowiedzieć, jednak wreszcie
bąknęła:

– Zbyt wcześnie jeszcze, by o tym mówić.

Wyglądało na to, że nie bardzo wie, co powiedzieć w tej sytuacji.
Nie miała do niego o to pretensji.

Bywały chwile, w których myślała, że naprawdę wolałaby zginąć
niż znosić teraz całe to upokorzenie... jednak czasem łapała się też na
tym, że cieszy się z drobnych przyjemności płynących z samego faktu
istnienia – a przynajmniej tych, do których miała dostęp w swojej celi
– i czuła, że nie była jeszcze gotowa, by umrzeć. Tak jak teraz, gdy
patrzyła na Thane'a.

– Jest mi... ciężko – powiedziała. – Wszystko, na co pracowałam
przez całe swoje życie, legło w gruzach. Wszystko, za co walczyłam...
okazało się kłamstwem.

– Nie wszystko – zaprotestował cicho. – Na końcu walczyłaś ze

mną. – Uśmiechnął się do niej krzywo. – O mnie chyba warto walczyć, co?

Wzruszenie ścisnęło jej gardło i z trudem powstrzymała cisnące jej się do oczu łzy.

– To jedyne, na czym jeszcze mi zależy.

– Cieno...

– To była idealna pułapka, wiesz? – Zacisnęła pięść tak mocno, że paznokcie wbiły jej się w skórę; ból pomagał jej się skupić, chronił przed zupełnym załamaniem. – Tak mocno walczyłam o zachowanie honoru, że stałam się zbrodniarzem wojennym.

– Istnieją różne rodzaje pułapek – odparł łagodnie. – Wiesz, przez chwilę po tym wszystkim byłem przekonany, że naprawiliśmy całą galaktykę. Że zwyciężyły prawda i sprawiedliwość i tak dalej, i tak dalej... Do tego stopnia, że zacząłem nawet wierzyć w Moc! – Roześmiał się z własnej naiwności. – Odzyskałem poczucie sensu i postanowiłem wykorzystać tę szansę i spróbować cię uratować... jednak wygląda na to, że ocaliłem cię tylko po to, byś skończyła w ten sposób. Uwięziona tu, gdzie nie mogę cię nawet dotknąć...

– Dość. Przestań, proszę. – Odwróciła twarz, by nie musieć na niego patrzeć, jednak wydawało jej się, że on także spuścił wzrok.

Przez chwilę trwali tak w milczeniu, próbując się opanować. Wcześniej Cienie wydawało się, że brzemię jej własnych trosk jest zbyt wielkie, by zdołała je udźwignąć, ale teraz czuła też ciężar zmartwienia Thane'a. To było zbyt wiele dla nich obojga – a jednak nie mieli wyboru. Gdy jedno z nich zostało zranione, drugie cierpiało. Był częścią niej, już na zawsze.

Wreszcie uspokoiła drżący oddech i odzyskała częściowo kontrolę nad sobą. Kiedy znów podniosła wzrok, zobaczyła, że Thane także jakoś się pozbierał.

– No to... Jak się czujesz? Czy dobrze cię tu traktują? – Omiótł wzrokiem jej ciasną celę, jakby dokonywał inspekcji.

– Tak – zapewniła go zgodnie z prawdą. – Mogę czytać holopowieści i grać w proste gry. Mogę spędzać nawet do siedmiu godzin tygodniowo na ćwiczeniach poza celą – oczywiście pod nadzorem – jednak lekarze mówią, że nie powinnam się forsować,

dopóki jeszcze trochę się nie podkuruję. – Mimowolnie zakryła dłonią podbrzusze.

Widząc to, skrzywił się boleśnie.

– Gdybym tylko wiedział, jak poważnie zostałam ranna, byłbym... delikatniejszy.

– Tak, wiem – przyznała, choć zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby tak się stało, oboje mogliby już nie żyć, bo nie starałby się tak zaciekle jej unieszkodliwić. Mimo to czuła dziwną dumę. – Mniejsza o to. Dużo sypiam. Jak widzisz, nie mam tu jakichś specjalnych luksusów, ale prycza jest względnie wygodna. Oficerowie Rebelii... Nowej Republiki – poprawiła się – potraktowali mnie humanitarnie. – Odsunęła z twarzy zbłąkany ciemny kędzior, skrępowana swoim wyznaniem. – Spodziewałam się, że będą mnie torturować, żeby wyciągnąć ze mnie informacje. Imperium wpoilo mi, że to standardowa procedura, na którą powinien być przygotowany każdy więzień. Zamiast tego opatrzyli moje rany i poinformowali o przysługujących mi prawach.

– Czy powiedziałaś im coś dobrowolnie? – spytał, a potem dodał szybko: – Tylko sobie nie pomyśl, że do czegoś cię zmuszam. Nie przychodzę tu w imieniu Nowej Republiki – i nigdy nie przyjdę, jasne? Nigdy niech ci nawet przez myśl nie przemknie, że przysłali mnie tu, bym z tobą pogrywał.

Ciena musiała przyznać sama przed sobą, że miewała podobne myśli, szczególnie późno w nocy, gdy leżała na swojej pryczy, nie mogąc zasnąć, jednak teraz mogła odpowiedzieć szczerze:

– Wierzę ci.

Thane odetchnął z wyraźną ulgą i podjął:

– Zapytałem tylko dlatego, że... no wiesz, gdybyś to zrobiła, mogłabyś zostać ułaskawiona.

Jakby ten argument miał ją przekonać...

– Moja przysięga wciąż pozostaje w mocy, Thane – odparła cicho. – I chociaż muszę przyznać, że postrzegam teraz Nową Republikę w zupełnie innym świetle, nie zamierzam zostać zdrajcą. Ani przyjąć ich władzy. Z tego, co słyszałam, wojna wciąż trwa. Galaktyka znów pogrążyła się w chaosie...

– To normalne zamieszanie, towarzyszące procesowi ponownego tworzenia planetarnych rządów po latach... – Thane westchnął. – Ach, nieważne. Oboje wiemy swoje.

– To i tak bez znaczenia – stwierdziła. – Nie ułaskawiliby mnie, nieważne, ile bym im powiedziała. Jestem zbrodniarzem wojennym, zapomniałeś już? Nowa Republika zmusi mnie, bym zapłaciła za służenie Imperium.

I może właśnie na to zasługiwała.

Thane przyglądał jej się długą chwilę bez słowa, a potem, ku jej osłupieniu, z uśmiechem pokręcił głową.

– Wyjdiesz stąd. I to całkiem szybko, nawet jeśli nic nie powiesz. A gdybyś ujawniła im nieco informacji, idę o zakład, że nie stanęłabyś nawet przed sądem.

– O czym ty mówisz? – Jej obrońca z urzędu pokazał jej listę postawionych jej zarzutów; ciągnęła się przez kilka ekranów i opisywała w szczegółach jej udział w bitwach o Hoth, Endor i Jakku. Nie mogła zaprzeczyć, że była winna wszystkich zarzutów na liście. – Oboje wiemy, że jestem winna – westchnęła. – Nowa Republika zechce na pewno przykładowo mnie ukarać ku przestrodze innym. Będą chcieli udowodnić, że sprawiedliwość i prawo zawsze zwyciężają – dlatego że to nowe prawo i nowa sprawiedliwość. Zmieniły się zasady gry, a ja znalazłam się po niewłaściwej stronie. – Po chwili milczenia zdołała ubrać w słowa swoje najgorsze obawy: – Całkiem możliwe, że spędzę w tej celi całe swoje życie.

– To także już przerabialiśmy. – Thane pochylił się w stronę pola energetycznego. – Straciłem już złudzenia. I wiem już, jak to wszystko funkcjonuje. Prawda jest taka, Cieno, że wszystko zaczyna się sypać. Dla Imperium pracowało zbyt wielu ludzi, by teraz pozamykać wszystkich w więzieniach. To dosłownie setki miliardów, nie licząc nawet żołnierzy, którzy zniknęli z resztą imperialnej floty. Sądziś, że Nowa Republika zdoła ukarać każdego z nich?

– Uwolnią pucybutów i pomywaczy. Nie kapitanów gwiazdnych niszczycieli – zaoponowała, jednak Thane wydawał się pewny swoich racji:

– Masz wiele cennych talentów. A to jedna z rzeczy, których Nowa

Republika będzie potrzebować. Prędzej czy później zaczną szukać ludzi o przydatnych umiejętnościach. Na dodatek masz przyjaciół na odpowiednich stanowiskach... a przynajmniej ja zamierzam uciąć sobie długą pogawędkę z każdym, kto mógłby ci pomóc.

– Nie chcę, żebyś prosił w moim imieniu o specjalne traktowanie – obruszyła się.

– Szkoda. Bo takie rzeczy dzieją się nieustannie, Cieno. Nie ma powodu, by nie korzystać z szansy, jeśli się trafia.

Ciena przypomniała sobie pierwszy raz, gdy wałkowali ten temat. Byli wówczas w kantynie w Valentii i mieli się rozstać już na zawsze. Spierali się ze sobą i próbowali nawzajem przekonać, dopóki wreszcie nie dali za wygraną i nie poszli się kochać. Miała wrażenie, że to wydarzyło się w innym życiu – chwile, gdy leżała obok niego, czuła jego ciało przy swoim ciele – a jednocześnie, jakby to było wczoraj. Nigdy nie zapomni, co do niego wówczas czuła – i nie chciała, by tak się stało.

– A więc wracamy znów do punktu wyjścia – podsumowała ze smutnym uśmiechem. – Dyskutujemy nad wyższością porządku nad chaosem i vice versa.

– Może sam los rozstrzygnie kiedyś za nas tę kwestię – stwierdził. – Jeśli jednak okaże się, że masz rację... cóż, czeka cię kilka trudnych lat. Jeżeli jednak wyjdzie na moje i Nowa Republika przedłoży wolność nad zemstę... nawet się nie obejrzysz, jak wyjdiesz na wolność. – Nawet przez srebrzystą zasłonę pola energetycznego widziała czułość w jego oczach. – Tak czy inaczej, pamiętaj, że będę na ciebie czekał, dobrze?

Oddałyby wszystko, byle tylko móc go w tym momencie przytulić, jednak powiedziała tylko:

– Nie powinieneś...

– Ty czekałabyś na mnie, gdybym to ja był w tej celi zamiast ciebie.

– Masz rację. Czekałabym. – Powoli podniosła dłoń i zatrzymała ją tuż przed taflą pola energetycznego, zwróconą wnętrzem w jej stronę. Thane powtórzył jej gest. Stali tak naprzeciwko siebie niczym swoje lustrzane odbicia – tak blisko, a jednak tak daleko od siebie.

– W ciągu miesięcy po bitwie o Jakku Imperium nie podjęło żadnej zakrojonej na większą skalę ofensywy. Z różnych źródeł napływają informacje o obecności imperialnych statków na terenie Jądra i Wewnętrznych Rubieży, trzymających się w granicach ustalonych przez ugodę. – Prezenterka holowiadomości uśmiechnęła się i podjęła: – Kilku wysoko postawionych członków Senatu Tymczasowego snuje ostrożne przypuszczenia, że wojna Nowej Republiki z pozostałościami Imperium wreszcie dobiegła końca i należy lada chwila spodziewać się jego kapitulacji. W dzisiejszym apelu pani kanclerz zastrzegła jednak, że wszystkie planety powinny pozostać w stanie najwyższej czujności i że flota Nowej Republiki powinna w najbliższej przyszłości trwać w pogotowiu. Naszymi dzisiejszymi gośćmi, których zaprosiliśmy do dyskusji w tej sprawie, są...

Nash wyłączył program serwujący rebeliancką propagandę prosto z układu Hosnian. Dowiedział się już wszystkiego, co chciał wiedzieć, a mianowicie, że ta cała tak zwana Nowa Republika uznała, że pokonała Imperium. Co za głupcy...

„Niech sobie tacy będą: tłuści, opieszali i leniwi – pomyślał. – Niech poklepują się z samozadowoleniem po pleckach. Niech tracą czujność”.

Komandor Nash Windrider opuścił prywatne biuro i przeszedł do głównego hangaru swojego nowego statku, krążownika bojowego „Garota”. Na odgłos jego kroków odbijających się dźwięcznie od metalowego poszycia każdy z członków załogi wyprężył się, stając na baczność, jednak żaden nie ośmielił się nawet zerknąć w jego stronę. Doskonale. Udało mu się wreszcie zaprowadzić pośród nich odpowiednią dyscyplinę.

Komuś, kto spędził wiele lat, służąc na pokładzie gwiazdowego niszczyciela, przydział do krążownika bojowego mógł się wydawać degradacją, jednak flota imperialnych niszczycieli została mocno uszczuplona. Nash został komandorem lotów na statku o dużym znaczeniu strategicznym, co oznaczało spory krok ku szansie na objęcie wreszcie dowództwa własnej jednostki. Z dumą przygotowywał „Garotę” do kolejnego etapu wojny, następnego ataku

– takiego, który zaskoczy rebeliantów.

Kroczył między długimi rzędami myśliwców TIE, wyposażonych w silniejszą broń nowego projektu. Zmodyfikowane maszyny potrafiły jednym strzałem przebić się przez osłony i kadłuby myśliwców, co oznaczało, że jedyna przewaga, którą dotąd miały inne maszyny myśliwskie nad TIE-ami, przestanie istnieć. Podobne drobiazgi mogły zapewnić zwycięstwo w tej wojnie.

Myśl o tym, że to Ved Foslo wynalazł tę broń była... odpychająca. Nash od zawsze był zdania, że Ved wspinał się po szczeblach drabiny sukcesu jedynie dzięki interwencji ojca, jednak okazało się, że miał też pewne zdolności. Bez wątpienia jego nastoletnia arogancja przekształciła się u niego teraz w nieprawdopodobną pyszałkowatość.

Nash westchnął, przypomniawszy sobie, że z dwu jego współlokatorów w akademii to Ved Foslo wydawał się tym bardziej znośnym.

Sama myśl o tym, że Thane Kyrell mógł przeżyć wojnę... Może nawet świętował gdzieś teraz bezczelnie tymczasową przewagę Rebelii w tej wojnie... Samo to podejrzenie przyprawiało go o mdłości. Dlaczego Ciena musiała umrzeć, podczas gdy Thane prawdopodobnie żył?

Przypomniał sobie jednak, że los nie zawsze bywał sprawiedliwy. Należało brać sprawy we własne ręce. Imperium go tego nauczyło.

– Sir? Komandorze Windrider, sir? – Asystent Nasha jak zawsze deptał mu po piętach. – Czy mogę o coś spytać?

– Słucham, poruczniku Kyrell?

Dalven Kyrell stanął przed nim z tabletem w dłoniach, wyraźnie podenerwowany. Nie miał pojęcia o tym, że jego brat dołączył do Rebelii. Nash postanowił zataić to przed nim i nie oceniać go przez pryzmat tego faktu. To było jedyne słuszne rozwiązanie. Musiał jednak przyznać, że Dalven był słaby i zahukany, zdolny tylko do wypełniania najprostszycch zadań, które mu powierzono. Na szczęście pozycja asystenta dowódcy lotów nie wymagała wiele więcej.

– Chciałem zapytać o tę listę oficerów, których wybrał pan do odznaczenia wyróżnieniami.

Czyżby Dalven zamierzał zapytać, dlaczego go na niej nie ma?

Jeżeli tak, Nash zamierzał mu to wyjaśnić.

– O co dokładnie chodzi?

– Nominował pan kapitan Cienę Ree do Orderu Zasługi Imperialnego Honoru. Wydaje mi się, że miał pan na myśli zwykły Medal Honoru...

– Doskonale wiem, co miałem na myśli, poruczniku Kyrell – wszedł mu ostro w słowo; wypowiedanie jego nazwiska w nieco szyderczy sposób dawało mu ogromną satysfakcję. – Order Zasługi Imperialnego Honoru to najwyższe odznaczenie, jakie można przyznać, a moim zdaniem nikt nie zasługuje na niego bardziej. Pozostanie na swoim statku w chwili, gdy zawiódł system autodestrukcji... Rozmyślnie rozbicie go o powierzchnię planety, aby nie dopuścić, by wpadł w ręce wroga, nawet kosztem własnego życia... Kapitan Ciena Ree zasługuje na pamięć.

– Tak jest, sir – potwierdził niepewnie Dalven, jednak nie przestał dążyć tematu: – Chodziło mi tylko o to, że nominowanie kogoś do tego odznaczenia to poważna sprawa... coś, co inni mogą uznać za brak bezstronności.

– Być może w innym przypadku – uciął jego dywagacje Nash. – To jednak precedens, w którym mam poparcie licznych kapitanów, generałów i admirałów. Nawet wielki moff Randd jest tego samego zdania. Może i Imperium targają wewnętrzne konflikty, jednak w tym punkcie wszyscy są zgodni: kapitan Ree zginęła bohaterską śmiercią.

– Oczywiście – przytaknął pospiesznie Dalven. – Cóż za okropna śmierć...

– Okropna? – prychnął Nash. – Raczej chwalebna! Wszyscy żałujemy, że nie ma jej już wśród nas, jednak to nie zmienia faktu, że nie ma nic bardziej zaszczytnego od oddania życia za Imperium. Mam nadzieję, że sam kiedyś będę mógł tego dokonać.

– Oczywiście, sir. Tak jest, sir – odparł skwapliwie Kyrell i odmaszerował pospiesznie.

Thane zawsze powtarzał, że gdy byli dziećmi, Dalven często naśmiewał się z Cieny, drwiąc z jej ubóstwa i staroświeckich zwyczajów – jakby wszyscy mieszkańcy Jelucana nie byli prowincjonalnymi kmiotami. Czasem, kiedy Nash przypominał sobie

o tym i wyobrażał sobie Dalvena szydzącego z młodej, bezradnej Cieny, miał ochotę wysłać go na jakąś samobójczą misję.

Teraz jednak nie mógł już wierzyć w prawdomówność Thane'a. Koniec końców okazało się, że Thane Kyrell był mistrzem oszustwa.

Nash podszedł do wrót hangaru. Włoski na ciele stanęły mu dęba od lekkiego mrowienia pola energetycznego, które utrzymywało wewnątrz atmosferę – sygnał, że stoi za blisko. Mimo to nie cofnął się, aby móc w pełni napawać się widokiem, który roztaczał się przed jego oczami: w gęstej chmurze mgławicy Queluhan, ukryta głęboko w lśniących kłębach zjonizowanego gazu, który zakłócał odczyty czujników wroga, czekała przyczajona imperialna flota. I podczas gdy rebelianccy mądrze z niezłomną pewnością wieszcyli upadek Imperium i jego kapitulację, wierzyli, że jest ono skłócone wewnątrz i bezradne, ono jednoczyło się i umacniało swoją siłę, aby stać się potężniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Zdaniem Nasha proces jednoczenia się trwał stanowczo zbyt długo; wewnętrzne niesnaski pozwoliły rebeliantom podbić tereny, których w innym razie nie mieliby szans zająć. Teraz jednak imperialna flota ustaliła już nową hierarchię. Opracowali długofalową strategię. Podziały na frakcje zniknęły i w końcu Imperium stanowiło znów jedno silne ciało.

Nash lubił myśleć, że Ciena Ree przyczyniła się do tego na swój sposób. Może i były to tylko głupie sentymenty, jednak nie mógł zaprzeczyć, że jej wzniosłe poświęcenie stanowiło inspirację dla nich wszystkich.

„Przypomniałaś nam, co to znaczy prawdziwa dyscyplina – pomyślał. – Pokazałaś nam, że żadna cena nie jest zbyt wysoka, jeśli w grę wchodzi zwycięstwo”.

Przed nim, w niebiesko-fioletowym blasku mgławicy, pyszniło się co najmniej dziesięć gwiazdnych niszczycieli i jeszcze więcej lekkich krążowników. Każdy z niezliczonych myśliwców TIE czekał na przydział pilota. Siłą rzeczy szkolenie nowych rekrutów trwało teraz krócej i było trudniejsze niż dawniej, jednak wykuci w jego ogniu żołnierze okazywali się najlepszymi z najlepszych. Może i imperialna flota nie imponowała już tak jak kiedyś, jednak Nash uważał, że

z czasem urośnie w siłę, stając się jeszcze potężniejsza.

I tym razem nie spoczną, dopóki Rebelia nie zostanie całkowicie zdławiona. Thane i inni zapłacą za zmuszenie Cieny do poświęcenia własnego życia. Słono zapłacą za wszystko.

– Gdy Imperium znów powstanie – szepnął Nash – zostaniesz pomszczona.

KONIEC

O autorce

Claudia Gray to autorka bestsellerów z listy „New York Timesa”, a także licznych powieści młodzieżowych, między innymi trylogii *Firebird*, w tym jej pierwszej części *A Thousand Pieces of You*, a także serii *Evernight*. Odkąd skończyła siedem lat, jest zagorzałą fanką *Gwiezdných wojen*. Obecnie utrzymuje, że przekształcenie jej dziecięcej garderoby w symulator kabiny X-winga stanowiło kluczowy krok na drodze do pisarskiej kariery.

Przekład: Błażej Niedziński i Anna Hikiert
Konsultacja merytoryczna: Jacek Drewnowski
Redakcja: Magdalena Adamska
Korekta: Magdalena Marciniak, Marcin Grabski
Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
al. 3 Maja 12, 00-391 Warszawa
Tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3218-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

virtualo